

PIĄTY, FINAŁOWY TOM,
W KTÓRYM NIEKTÓRE SERCA
ZOSTANĄ ZŁAMANE...

Wierne
SERCA

BELLOMO #5

LENA M. BIELSKA



LENA M. BIELSKA

WIERNE SERCA

BELLOMO #5

OŚWIĘCIM 2021



Prolog

Vito

Po raz pierwszy nastąpiła taka chwila w życiu naszej rodziny, kiedy każdy z nas znajdował się w innym kraju – ba, Salvatore i Giovanna nie przebywali nawet na tym samym kontynencie co reszta!

Trzy dni wcześniej na Komisji Syndykatu podjęliśmy finalne decyzje co do kolejnych działań. Giovanna miała ochotę wysadzić wszystkich w powietrze, a Ciro jej w tym wtórował. Regolo najchętniej załatwiłby wszystko najciszej, jak się da, Salvatore zaś chciał władować się do domu starego Letowa i strzelać do każdego, kto by się poruszył. Tylko Silvio podszedł do wszystkiego z dystansem – zapewne wziął pod uwagę fakt, że ostatnim razem przejechał się nieco na swojej spontaniczności i byciu w gorącej wodzie kąpanym. Nie chciał działać pochopnie i właśnie to cenilem.

Gdzieś pomiędzy problemami dotyczącymi nas wszystkich musiałem zmierzyć się z rodziną Vivienne. Brad nie był zadowolony, że został ściągnięty wraz z pozostałymi do Nowego Jorku. Na każdym kroku powtarzał, że nie rozumie, jak jego siostra mogła się związać z kryminalistą. Z kolei Amy, jej siostra, owinęła sobie wokół palca jednego z moich żołnierzy, co przyczyniło się do początkowego niezadowolenia Vi. Na szczęście w ogólnym rozrachunku te sprawy nie miały znaczenia, to były jedynie drobnostki, niewielkie przerywniki w walce o utrzymanie władzy.

Zdecydowanie ważniejsze były moje plany względem LaScali i Catellazo oraz późniejszy udział w wojnie z Wetrowem – to na tym się w sporej mierze skupiałem, czekając na dogodny moment do załatwienia starych spraw.

Nie sądziłem jednak, że nie wszystko pójdzie tak, jak to sobie zaplanowaliśmy.

Rozdział pierwszy

Salvatore

Wylądowaliśmy na lotnisku w Moskwie w godzinach szczytu. Początkowo planowaliśmy nocny lot, ale doszliśmy do wniosku, że łatwiej nam będzie wtopić się w tłum ludzi w trakcie dnia. Przed piątą po południu dotarliśmy bezpiecznie do niewielkiego domu w północnej części obrzeży miasta.

Zoja zmarkotniała, jak tylko postawiła stopę na rosyjskiej ziemi. Ani trochę jej się nie dziwiłem. Sam nie miałem najmniejszej ochoty przebywać w tym kraju, jednak co mogłem zrobić? Nic. Nie mieliśmy wyjścia, musieliśmy zlikwidować Wetrowa. Tym razem byliśmy lepiej przygotowani, no i nie byliśmy sami. Dino Papini dołączył do nas wraz ze swoimi ludźmi. Nasze szanse były wyższe niż ostatnim razem. Znacznie wyższe.

– Od czego zaczniemy? – zapytał Dino, wrywając mnie z zamyślenia.

Siedzieliśmy przy stoliku w małym salonie. Na blacie leżała mapka stolicy z naniesionymi budynkami należącymi do Moskiewskiej Braci. Jeden z nich – ten najważniejszy, dom starego Letowa, obecny dom Wetrowa – był zlokalizowany na tym samym osiedlu, na którym się znajdowaliśmy.

– Musimy zacząć od obserwacji – odezwał się, przeczesując włosy. – Dzisiaj odpoczniemy, za to od jutra trzeba sprawdzać budynki Wetrowa. Dwadzieścia cztery na siedem.

Musieliśmy wszystko wiedzieć. O której przyjeżdżały transporty. O której mieli spotkania czy gości. Nawet to, o której Siergiej chodził srać.

– Kiedy dokładnie ma przylecieć reszta? – odezwała się Zoja, ściskając moją dłoń i przysuwając się bliżej mapki.

– Divo i Grate przylatują dzisiaj z szóstką swoich ludzi – odpowiedział natychmiast Dino. – Kolejnym samolotem przylatują Lodovico i Lieto, także z szóstką żołnierzy.

– Varo, Fedro i Adelmo dotrą jutro – dodałem. – Varo z samego rana z czwórką ludzi, a reszta wieczorem z piątką.

– Trzydziestu jeden przeciwko... – Zoja zamilkła, przymykając oczy. Potrząsnęła głową, wyprostowała się i nachyliła nad mapką, wzmacniając uścisk na mojej ręce. – Co ile będziemy się zmieniać podczas obserwacji?

– Proponuję co sześć godzin – odparł Dino, zerkając na mnie pytająco.

Skinąłem głową, nie spuszczać spojrzeń z poważnej twarzy Zoi. Była tak cholernie piękna, gdy planowała działania wojenne. Miałem w dupie, że to brzmiało irracjonalnie. Dla mnie jej towarzystwo w Rosji i czynny udział w Wojnie znaczyły wszystko.

– Do obserwacji mamy pięć budynków – kontynuował Dino. – Po dwóch ludzi na każdy z nich da nam dwunastogodzinne okienka na odpoczynek. Nam przypadnie trzecia zmiana. Proponuję na pierwszy strzał dom Wetrowa.

– Miałem zaproponować to samo – mruknąłem. – Może dzięki temu dowiemy się, co ten skurwiel planuje. I co robił z Iwanką w cholernych Włoszech.

Z jednej strony założyliśmy, że Iwanka była w jakiś sposób powiązana z Wetrowem, a z drugiej – w głowie mi się nie mieściło, że była w stanie tak po prostu zdradzić Zoję, jakby nie patrzeć, dawną przyjaciółkę. Nie wiedziałem, co siedziało tej szmacie w głowie, za to jedno było pewne: Gi zajęła się nią w odpowiedni sposób. Chociaż moim skromnym zdaniem powinna była się męczyć przed śmiercią, ale cóż... Najważniejsze, że nie znajdowała się już na naszej liście zmartwień, a jedyne, co po niej pozostało, to spory niesmak.

– Divo i Grate powinni wylądować za dwie godziny – poinformował nas Dino, spoglądając na telefon.

– Zatrzymają się w domu naprzeciwko. – Wyjrzałem przez okno na piętrowy dom po drugiej stronie ulicy. Kupiłem go na Jane Doe. W jednym byśmy się nie zmieścili. – Kto będzie z nami ulokowany?

– Obojętne. – Wzruszył ramionami. – Może być Lieto z dwójką żołnierzy.

Skinąłem głową. Brałem z Lietem udział w kilku akcjach. Był jednym z lepiej wyszkolonych ludzi, jeśli chodzi o techniki samoobrony. Dodatkowo jak mało kto potrafił się wtopić w otoczenie. Trudno było go dojrzeć, co działało na naszą korzyść.

Ze swoich ludzi wybrałem Adelma Fago, trzydziestoletniego Amerykanina z włoskimi korzeniami. Pracował dla nas, odkąd osiągnął pełnoletność. Był mistrzem, jeśli chodziło o używanie karabinu wyborowego. Praktycznie nie rozstawał się ze swoją snajperką – mówił o niej jak o trzeciej ręce. Może nie był nam aż tak potrzebny podczas obserwacji, jednak do zabicia Wetrowa z oddali jak najbardziej.

– Ty pewnie bierzesz Adelma – rzucił Dino, spoglądając na mnie z błyskiem w oku. Potwierdziłem cichym mruknięciem. – Widziałem jego trening na strzelnicy przed wylotem. W wojsku zostałby strzelcem wyborowym – skomentował, wstając. – Idę się położyć. Lot w ekonomicznej był tragiczny. Nigdy więcej. – Mówiąc to, skierował się w stronę schodów. Chwilę później po domu rozniósł się odgłos przekręcanego klucza w zamku.

Oparłem się wygodniej o kanapę i uniosłem ramię, spoglądając sugestywnie na Zoję. Uśmiechnęła się niemrawo i przysunęła bliżej, przyciskając policzek do mojego torsu.

Moja maleńka.

Była zestresowana i przerażona. Nie sposób nie było tego zobaczyć w jej oczach i skulonej postawie. Wcześniej, zanim uciekliśmy, wydawała się silniejsza, ale to było tylko chwilowe. Po ucieczce żyła przeciw w przekonaniu, że mieliśmy już nigdy nie wrócić do Rosji.

– Boję się – wyszeptwała, unosząc nieznacznie głowę. Przebiegła palcami po moich bliznach na twarzy, spoglądając na mnie uważnie.

Skrzywiłem się i odchyliłem. Chciałem się odsunąć. Nie lubiłem, gdy przyglądała się tym skazom.

– Kocham cię całego, Salvatore. – Przytrzymała mi twarz, zaciskając palce na podbródku. – Każdą część ciebie. – Uśmiechnęła się czule i musnęła wargami moje.

Oddałem pocałunek, od razu wkradając się językiem do wnętrza jej ust. Zacisnąłem dłoń na jej udzie, wbijając palce w skórę, dopóki nie usłyszałem przytłumionego jęku. Tylko na to czekałem. Wstałem, nie przerywając pocałunku, wziąłem Zoję w ramiona i skierowałem się w stronę naszej tymczasowej sypialni.

Skoro się bała, zamierzałem odciągnąć jej myśli od strachu i zrobić wszystko, żeby skupiła się na czymś znacznie przyjemniejszym. Na mnie w niej i na naszej miłości, która – zamiast zmaleć po tym, przez co przeszliśmy – jeszcze bardziej się umocniła.

Zamknąłem za nami drzwi, postawiłem Zoję na dywanie i przycisnąłem do ściany, skupiając pocałunki na jej szyi. Wędrowała dłońmi po moich plecach, rozsyłając przyjemne dreszcze po ciele. Spomiędzy jej warg ulatywały ciche jęknięcia. Ocierała się o mój tors falującymi pod wpływem przyspieszonego oddechu piersiami. Naparłem na nią bardziej, wsuwając dłoń pod jej koszulkę. Jęknęła gardłowo, kiedy dotarłem do jędrnego biustu.

Westchnęła głośno i przyciągnęła mnie bliżej, wbijając mi paznokcie w kark.

– *Amore...* – wychrypiałem, miętosząc palcami pierś.

– *Salvatore...* – Odchyliła głowę i pocałowała mnie zachłannie.

Musiałem się w niej znaleźć. Jak najszybciej.

Objąłem ją za pośladki i uniosłem, a ona natychmiast oplótła mnie nogami. Podszedłem do łóżka, ułożyłem ją pomiędzy poduszkami i zawisłem nad nią. Docisnąłem biodra do zwieńczenia jej ud. Jęknęła głośno, spoglądając na mnie żarliwie spod na wpół przymkniętych powiek.

Moim ciałem targały miliony emocji. Od pożądania, przez miłość, aż po strach. Strach o Zoję. Znowu byliśmy na wrogim terenie. Tym razem jednak... Tym razem były dwa wyjścia.

Albo wygram, zabijając Wetrowa, albo zginę, próbując.

Nie zamierzałem uciekać po raz drugi.

Nie zamierzałem dać się znowu pokonać.

Musiałem udowodnić – sobie i reszcie – że nie byłem kolejnym nic niewartym mafiosem.

– Dino jest...

– Nieważne – uspokoilem ją szeptem i przygryzłem jej dolną wargę.

Jęknęła cicho, ale niepewność nie zniknęła z jej oczu.

– Usłysz nas... – wyszeptala. Na policzkach pojawiły jej się urocze rumieńce.

Od razu musnąłem je wargami, mamrocząc jej do ucha:

– W takim razie musisz być cicho. – Chwyciłem za brzeg jej bluzki i uśmiechnąłem się łobuzersko. – Będziesz cicho? – zapytałem, powoli unosząc jej ubranie.

Nie miała pod spodem nic oprócz jasnego, koronkowego biustonosza. Jęknąłem gardłowo.

– Yhm... – mruknęła, unosząc się na łokciach. Pozwoliłem jej ściągnąć ze mnie koszulę.

Odchyliłem głowę, gdy zaczęła wodzić ciepłymi wargami po moim torsie.

– Zoja... – wychrypiałem, kiedy zaczęła się szamotać z paskiem. – Gdzie ci się tak spieszy, *amore?* – Zacisnąłem dłoń na jej piersi, drugą wsuwając powoli pod jej spodnie. Wbiłem palce w rozkoszny pośladek.

– Do nieba – wymamrotała niewyraźnie drżącym głosem. – Spieszy mi się do nieba – wyszeptala, zanim mnie pocałowała.

Skoro tak... Nie zamierzałem jej tego utrudniać. Zanim się obejrzała – była już tylko w bieliźnie, a ja ściągałem spodnie.

Rozdział drugi

Zoja

Tak bardzo skupiłam się na moim pragnieniu pocucia Salvatore'a bliżej siebie, że nawet nie zauważyłam, kiedy pozbawił mnie ubrań. Leżałam na łóżku w samej bieliźnie, a on rozbierał się ze spodni. Mój wzrok natychmiast przyciągnęły blizny zdobiące jego ciało, które próbował przede mną kryć. Ja uważałam, że dodawały mu uroku. Nikt nie mógł zmienić mojego zdania. Salvatore nie chciał, żebym ich dotykała czy nawet na nie patrzyła zbyt długo. Nie rozumiał, że dla mnie był jeszcze przystojniejszy. Co z tego, że już nie wyglądał, jakby się urwał z okładki modowego czasopisma? Dla mnie był idealny. W każdym calu. A te blizny były tylko przypomnieniem, ile dla mnie zniósł i jak bardzo mnie kochał.

– Chodź tu, Salvatore – szepnęłam, zaciskając dłoń na jego nadgarstku, gdy w końcu został w samych bokserkach. Pociągnęłam go mocno na siebie i objęłam udami w pasie, ocierając się o twarde wybrzuszenie pod materiałem.

Pragnęłam go tak bardzo, że aż bolało mnie ciało. Skóra parzyła mnie w miejscach, po których przejeżdżał rozgrzanymi, miękkimi wargami. Umysł krzyczał, a serce rwało się do niego, objając mocno o zebra. Salvatore był całym moim światem.

– *Amore*, nawet nie wiesz, jak bardzo wariuję na twoim punkcie – wyszeptał mi do ucha, zanim zacisnął zęby na płatku.

Jęknęłam głośno, kiedy przez moje ciało przetoczył się mocny dreszcz. Salvatore przycisnął dłoń do moich ust, patrząc na mnie z figlarnym błyskiem w oczach.

– Miałaś być cicho... – Przesunął nosem po mojej żuchwie, powodując u mnie kolejne dreszcze. – Chyba nie chcesz, żeby Dino nas usłyszał.

Nie wiedziałam, czy zdawał sobie sprawę z tego, jak na mnie działały jego słowa. Drżałam i byłam bliska błagania go, żeby w końcu we mnie wszedł. Zaczęłam się o niego ocierać, próbując chociaż trochę zmniejszyć napięcie w podbrzuszu i pulsowanie między nogami.

Odetchnęłam głośno z ulgą, gdy w końcu się nade mną zlitował. Przesunął palcami po mojej łechtaczce, na koniec wsuwając je we mnie. Przyjemność rozlała się po moim ciele. Jęknęłam głośno. Znowu. Gdyby Salvatore nie dociskał dłoni do moich ust, Dino na pewno by mnie usłyszał.

Zaczął całować mnie po piersiach, co rusz przesuwał językiem i zębami po sutkach. Pieścił mnie palcami, zaginając je w odpowiedni sposób, żebym... żebym...

O rany.

Wypchnęłam biodra do góry, czując zbliżające się spełnienie. Miałam wrażenie, jakby świat nagle przestał istnieć. Jakbyśmy byli tylko we dwójkę. Nic się nie liczyło.

Syknął z bólu, gdy zacisnęłam zęby na brzegu jego dłoni. Przyspieszył ruch palców, zassał sutek między zęby i docisnął kciuk do łechtaczki. To był mój koniec. Spadłam z przepaści. Z oczu wypłynęły mi łzy. Nigdy się tak nie czułam. Nigdy. Mrowiła mnie skóra, a ciałem wstrząsały mocne dreszcze. Z trudem łapałam oddech.

– Pięknie wyglądasz, kiedy dochodzisz – wyszeptał z dumą w głosie i na powrót skupił się na całowaniu moich piersi.

Nie schodząc ze mnie, zdjął z siebie bokserki i zsunął moją bieliznę. Wszedł we mnie wolno, gładząc po policzku. Rozchyliłam powieki wyłącznie po to, żeby zobaczyć jego roziskrzone spojrzenie. Klatka piersiowa unosiła mu się szybko i nierówno. Szczękę miał tak mocno zaciśniętą, jak gdyby z trudem powstrzymywał się przed głośnym jękiem. Poruszał się wolno, niespiesznie, jakby chciał się napawać każdą sekundą bycia we mnie. Jakby nie chciał mnie nigdy opuszczać.

Do oczu ponownie nabiegły mi łzy. Uroniłam najpierw jedną. Druga wypłynęła zaraz po niej. Do głowy napłynęła mi myśl, że to może być nasze ostatnie zbliżenie.

– Hej, co się dzieje, Zoja? – Zmarszczył brwi, przesuwając kciukiem po mokrej skórze. – *Amore...*

– Boję się, że cię stracę – wyszeptałam drżącym głosem, przyciągając go bliżej za kark. – A ja nie chcę cię stracić. – Złączyłam nasze wargi w powolnym, czułym pocałunku. Próbowałam zapamiętać każdą, nawet ich najmniejszą krzywiznę.

– Nie myśl o tym – wyszeptał, nie przestając się we mnie poruszać. – Jesteśmy tu. Razem. Zawsze będziemy razem. Gdziekolwiek się nie znajdziemy. Przysięgam.

Wbiłam mu paznokcie w plecy, gdy zmienił kąt pchnięć. Teraz czułam go znacznie głębiej. Znacznie bardziej...

– Chodźmy do tego nieba, *amore*. – Jęknął gardłowo, przygryzając płatek mojego ucha.

Mimowolnie krzyknęłam, kiedy wszedł we mnie mocnym, zdecydowanym pchnięciem, niemal spychając ze skraju.

– Mam cię zakneblować? – zapytał tuż przed tym, jak mnie pocałował.

Mógł mnie zakneblować, związać... Mógł zrobić ze mną, co tylko chciał. Ufałam mu bezgranicznie. Ufałam mu jak nikomu innemu.

Wtuliłam twarz w jego szyję, ciasniej obejmując go ramionami, gdy przyspieszył ruch bioder. Doprowadził mnie na sam szczyt. Poczulałam to w każdej komórce ciała. Trzęsłam się jak osika, a jego ciało drżało ze mną. Zasnęłam, dalej mając go w sobie. Zasnęłam, czując się bezpiecznie i na moment zapominając o wojnie.

– *Amore*.

Uśmiechnęłam się, słysząc przez sen zachrypnięty głos Salvatore'a.

– Najchętniej zostałabym tu z tobą, ale musimy wstać. Część chłopaków już się pojawiła – szepnęła, składając na moich ustach czuły pocałunek.

– Mhm... – mruknęłam, mocniej się w niego wtulając.

– Twoje nagie ciało przed moimi oczami powoduje, że nie mam najmniejszej ochoty wychodzić z łóżka.

Zachichotałam cicho, otwierając oczy. Uśmiechnęłam się do siebie, muskając wargami jego ciepły tors. Bezpieczeństwo. Tak, w jego ramionach zdecydowanie byłam bezpieczna.

– Wstajemy? – zapytał, opuszkami palców przebiegając po moim policzku.

– Wstajemy – przytaknęłam, mimo że najchętniej zostałabym jeszcze pod kołdrą.

Wzięliśmy szybki prysznic, ubraliśmy się i zesłiśmy na dół, gdzie siedział już Dino w towarzystwie dwóch nieznanym mi mężczyzn. Domyśliłam się jednak, że byli to jego ludzie, którzy mieli przylecieć do Moskwy jako pierwsi – Divo Crespi i Grate Tomaro.

– Divo, Grate – przedstawił ich Dino, gdy zatrzymaliśmy się przed nimi.

Salvatore się z nimi przywitał, na koniec układając mi dłoń tuż nad pośladkami.

– Moja żona. Zoja Letowa-Bellomo. – W jego głosie pobrzmiwała duma.

Przywitałam się z mężczyznami uściskiem dłoni, choć oczywiście niezbyt długim, bo przecież Salvatore'owi odbijało, kiedy byłam zbyt blisko innych facetów.

Zazdrośnik.

– Jak lot? – zapytał mój mąż.

– Bez problemów. Wszystkie bagaże przeszły odprawę.

– A broń? – wtrąciłam się, marszcząc brwi. Sądziłam, że im się nie uda.

– Nie w całości – odpowiedział Grato, ale nie patrzył na mnie, tylko na Dina i Salvatore'a. – Udało nam się przewieźć niektóre części. Mamy na nie wystawione papiery, że są to kolekcjonerskie zbiory. Każdy z chłopaków dostał po kilka sztuk do walizek. Zanim kontrolerzy domyślą się, że coś jest nie tak, my już będziemy ją składać.

Byłam wdzięczna, że mi to wyjaśnił, jednak nie dałam tego po sobie poznać; zamiast tego skinęłam głową. Dalej byłam w tym wszystkim nowicjuską. Nie rozumiałam wielu spraw, ale czułam

się bezpiecznie wśród ludzi, którzy znali się na tym, jakby się z tą wiedzą urodzili.

– To jaki jest dokładnie plan? – zapytał Divo.

– Obserwacja każdego budynku, o którym na ten moment wiemy. – Dino wskazał mapkę. – Po dwie osoby na jeden budynek, co sześć godzin podmiana, dwanaście godzin odpoczynku. Notujemy wszystko, robimy zdjęcia każdemu, kto się choć trochę zbliży. Po tygodniu przeanalizujemy zebrane informacje i sprawdzimy powtarzalność, a na koniec zaplanujemy atak. Mieszkacie po przeciwnej stronie ulicy. Monitorujcie okolicę.

Cóż, po wprowadzeniu ich w plan nie pozostało nam już nic innego, jak tylko czekać na przyjazd reszty i przystąpić do działań, które miały wyłącznie jeden cel: zlikwidować Siergieja Wetrowa i wszystkich stojących po jego stronie.

Bez wyjątków.

Bez jeńców.

Bez litości.

Rozdział trzeci

Silvio

Wróciliśmy do pieprzonej Ottawy po kilku tygodniach, ale tylko po to, żeby puścić z dymem pierdolonego Pennę i jego ludzi. Nasze zadanie było proste – znaleźć gnoja, przypilnować, żeby posiedział trochę w magazynie i zrobić nalot. Ot, nic trudnego, prawda? Niby tak, tyle że skurwysyn ukrywał się jak cholerny ninja i dopiero po kilku dniach od przyjazdu byliśmy w stanie go zlokalizować. Przebywał w jednym ze starych budynków na obrzeżach miasta.

– Silvio?!

– Na balkonie! – odkrzyknąłem Payton, zaciągając się fajką.

– Dlaczego nie śpisz?

– Myślę.

– O czym? – zapytała cicho, owijając ramiona wokół mojego pasa. Wtuliła się we mnie; po plecach przebiegł mi dreszcz.

Nic nie mogłem poradzić na to, że jej bliskość tak na mnie działała.

– Zastanawiałem się nad tym, jak zamordować Pennę, żeby zaczął przed śmiercią żałować, że z nami zadarł.

– Po co chcesz się nad nim znęcać? Nie lepiej posłać w jego stronę kulkę, kończąc te chore rządy?

– zapytała, kradnąc mi papierosa. Wetknęła go między wargi i zaciągnęła się, przymykając powieki.

– Nie – odparłem od razu. – Wcale nie lepiej. Penna musi cierpieć – warknąłem, zaciskając dłoń na balustradzie. – Musi żałować, że odważył się nam sprzeciwić. Nie uważasz, że na to zasłużył? – Obrzuciłem ją uważnym spojrzeniem.

Ułożyła brodę na moim ramieniu, spoglądając zamyślonym wzrokiem przed siebie. Zapewne zastanawiała się nad słowami, których użyć. Dalej czasami bała się mówić na głos to, co chodziło jej po głowie. Dalej obawiała się moich reakcji, chociaż zupełnie niepotrzebnie. Cokolwiek by mi nie powiedziała, nie mógłbym się za to na nią zdenerwować. Nie była już kobietą, której obawiałem się zaufać. Była moją narzeczoną. Mogła mówić, co chce, nie patrząc w ogóle na konsekwencje. To jednak do niej nie docierało.

– Oczywiście, że sobie na to zasłużył. – Wtuliła się we mnie mocniej. – Po prostu uważam, że powinniśmy go zabić, jak tylko przytrafi nam się ku temu okazja.

Odwrociłem się do niej i uśmiechnąłem czule, odsuwając z jej twarzy kosmyki włosów. Zerknąłem w jej piękne oczy. Mógłbym się w nie wpatrywać godzinami. Była moim wybawieniem.

– Masz rację – przytaknąłem. – Władujemy w niego cały magazynek, jak tylko nadarzy się ku temu okazja. – Pocałowałem ją lekko, popychając w stronę pokoju. Nie chciałem, żeby zmarzła.

Kiedy zamknąłem za nami drzwi, Payton przylgnęła do mnie, chowając twarz w zagłębieniu mojej szyi. Wsunąłem dłonie pod jej krótkie spodenki, na co cicho fuknęła. Zaśmiałem się głośno. Od dwóch dni miała okres i od tych dwóch dni bardzo szybko się denerwowała. Za każdym razem, gdy ją dotykałem, prychała na mnie.

– Przecież tylko trzymam twoje seksowne pośladki – wymruczałem, wodząc wargami po jej skórze.

– Próbujesz mnie namówić do seksu – burknęła, układając ręce na moim torsie. Próbowała mnie odepchnąć, lecz oparłem się o parapet. Nic nie było mnie w stanie ruszyć. Fuknęła. Znowu.

A ja się zaśmiałem.

– Wcale nie próbuję cię namówić do seksu. – Posłałem jej rozbawione spojrzenie. – Za kogo ty mnie masz, kochanie, co? – zapytałem, unosząc brew.

– Za niewyżytego – mruknęła, krzywiąc się. Udawała rozzłoszczoną, ale nie potrafiła ukryć rozbawienia w oczach.

– To wszystko przez ciebie. – Przesunąłem powoli dłonią po jej plecach, aż w końcu dotarłem do

karku. Zacisnąłem na nim palce i przyciągnąłem jej twarz bliżej siebie. – To ty masz na mnie taki wpływ, Payton. Tylko ty.

– Dobra. Już się tak nie przymilaj. – Przewróciła oczami. – Powiesz mi wszystko, bylebym rzuciła z siebie ubrania i...

– Rzuciła się na mnie – dokończyłem za nią, szczerząc się. – Tak, masz rację. Zrobiłbym wszystko, jednak nie zamierzam cię do niczego namawiać czy zmuszać. Przecież o tym wiesz – wyszeptalem, wsuwając dłoń w jej włosy. Przesunąłem wargami po jej szyi, wdychając jej zapach. – Ja się jedynie z tobą droczę, kochanie – dodałem, obsypując pocałunkami jej zuchwę.

– Och... – sapnęła, wbijając mi palce w ramiona. – Próbujesz mnie nakręcić... – Napała na mnie biodrami, wzdychając głośno.

– I jak mi idzie?

Jęknęła głośno, kiedy przygryzłem płatek jej ucha, a po chwili przesunąłem po nim językiem.

– Jeszcze chwila... – wbiła mi mocniej paznokcie w skórę – ...a dostaniesz kopa między nogi.

Natychmiast zabrałem ręce z jej ciała i uniosłem je, spoglądając na nią z udawanym przerażeniem. Pokręciła na to z rozbawieniem głową, na koniec przeczesując włosy palcami i uśmiechając się lekko.

– Jest trzecia w nocy, Silvio. Może pójdziemy spać? – Przytknęła dłoń do ust i ziewnęła.

– Masz rację – zgodziłem się i poprowadziłem ją do łóżka.

Położyliśmy się, okrywając szczelnie kołdrą. Noce były chłodne. Przysunąłem się do Payton, żeby czuć ją cały czas blisko siebie. Nie wiem, czemu tak miałem, ale odkąd przyjęła moje oświadczenia, nie potrafiłem bez niej spokojnie spać. Raz, gdy w nocy wstała do toalety, a ja się przebudziłem i nie znalazłem jej obok, byłem bliski postawienia całego domu na nogi. Payton oczywiście się z tego później naśmiewała.

Mnie to ani trochę nie bawiło.

– Więc co? – zapytała, nachylając się nad mapką. Razem z Fabriciem analizowaliśmy wszystko, czego się dowiedzieliśmy o Pennie. – Penna większość czasu spędza w tym magazynie?

– Tak – odpowiedział Fabricio, bębniąc palcami po blacie. – Właściwie to prawie go nie opuszcza. Chłopaki są w okolicy od ponad dziesięciu godzin i tylko raz widziały, jak wyszedł. Porozmawiał z kimś przez telefon i wrócił do środka.

– A reszta jego budynków? W ogóle się tam nie pokazuje? – Zmarszczyłem brwi, spoglądając na trzy krzyżyki. Zaznaczyliśmy nimi pozostałe magazyny Penny na terenie Ottawy.

– Nikt go tam nie widział. – Fabricio pokręcił głową.

– Czyli skupiamy się na tym magazynie – skwitowała Payton, stukając długopisem w odpowiednie miejsce na mapie. – Jak to w końcu zrobimy?

– Proponuję kilka dni obserwacji. – Upiłem łyk kawy. – A potem zaatakujemy.

– Rozumiem, że zabijamy wszystkich napotkanych na drodze.

– Wszystkich z wyłączeniem kobiet i zakładników – doprecyzowałem.

Fabricio się uśmiechnął i skinął głową. Był zadowolony, sądząc po rozluźnionej postawie, jednak kilka razy poruszył ustami, jakby chciał coś powiedzieć. Już miałem go ponaglić, kiedy rozdzwonił się telefon Payton. Mruknęła ciche przeprosiny, zerknęła na ekran i... Już wiedziałem, kto do niej dzwoni. Uśmiechnęła się szeroko, przycisnęła komórkę do piersi i wlepiła we mnie spojrzenie.

– To moja siostra.

– Idź. – Uśmiechnąłem się, machając w stronę balkonu. – Pozdrów ją.

– Dziękuję. – Posłała mi wdzięczne spojrzenie, cmokając szybko w usta. Wyszła na dwór, po drodze odbierając połączenie: – Kara! Jak dobrze...

Uśmiechnąłem się do siebie. Payton była szczęśliwa, zatem i ja byłem szczęśliwy.

– To ta jej siostra, którą uratowaliście z klubu Penny? – zagadnął Fabricio.

– Tak.

– Jak sobie radzi?

– Coraz lepiej, przynajmniej tak mówi. Dzisiejszy telefon to dopiero druga rozmowa, odkąd jest w klinice. Przeszła sporo gówna i... – Westchnąłem ciężko, pocierając policzek. – Zastanawiam się czasami, czy nie dać Payton szansy na dokonanie zemsty na Pennie.

– Chcesz, żeby go odstrzeliła? – Zmarszczył brwi.

– Myślę nad tym. Zabiła Cliftona bez chwili wahania. Zlikwidowanie Penny pozwoli jej zamknąć pewien rozdział w życiu.

Fabrizio pokiwał głową ze zrozumieniem, zerkając na uśmiechniętą Payton. Przeniósł na mnie uważne spojrzenie, kiedy chrząknąłem.

– Słyszałem, że próbowała się dostać do policji.

Zmarszczyłem brwi. Byłem ciekaw, kto mu sprzedał takie rewelacje.

– Sprawdziłem ją, Silvio. – Wzruszył ramionami. – Musiałem wiedzieć, z kim mam do czynienia.

Nie szastam zaufaniem na lewo i prawo.

Pokiwałem głową na znak zrozumienia. Doskonale wiedziałem, o czym mówi. Gdyby nie moje idiotyczne, nadmierne zaufanie wobec Iwanki, Vi prawdopodobnie dalej byłaby w ciąży.

Kurwa.

Rozdział czwarty

Payton

Ogromnie się ucieszyłam z telefonu Kary. Co prawda rozmawiałam z nią dzień wcześniej – po raz pierwszy od dawna – ale nie trwało to zbyt długo. Rozmowy miały być krótkie i zwięzłe, tak zalecił terapeuta. Każda kolejna miała być coraz dłuższa. Cierpliwie więc na nie czekałam. Marzyłam też o tym, żeby ją zobaczyć, przytulić i nie wypuszczać z objęć przez długi, długi czas.

– Jak samopoczucie? – zapytałam, stając przy barierkach.

– Dobrze. Coraz lepiej. Naprawdę.

Usilnie próbowałam w to uwierzyć. Chciałam, żeby była szczerą.

– A co mówią lekarze? – Przygryzłam wewnątrz policzka ze stresu. Martwiłam się o nią.

– Payton... – mruknęła uspokajającym tonem. – Naprawdę jest okej. Przesypiam prawie sześć godzin ciągiem i nie męczą mnie już tak koszmary. Chciałabym jednak stąd wyjść i móc się do ciebie przytulić, wiesz? Dobija mnie to...

– Musisz jeszcze trochę...

– Wytrzymać, wiem – przerwała mi. – Wiem, tyle że to nie zmienia faktu, że tęsknię za normalnym życiem...

– Rozumiem... – wyszeptalam, z trudem hamując łzy. – Szybko zleci, zobaczysz.

Bolało mnie serce z tęsknoty. Tak cholernie chciałam mieć ją blisko.

– A jak z Silviem?

– Uhm... Dobrze – odpowiedziałam wymijająco. Dalej jej nie powiedziałam, że się zaręczyliśmy.

– Payton... – burknęła ostrzegawczo. – Co się dzieje?

Oczami wyobraźni widziałam, jak przykładła palec do ust i zaciska na nim zęby. Zwykle tak robiła, gdy się czymś denerwowała.

– Wszystko jest w porządku – wymamrotałam szybko, przeklinając siebie w myślach. Nie chciałam denerwować Kary. – Tylko... – Chrząknęłam.

Cholera jasna, jak mam jej to powiedzieć? Wiem, że to wszystko wydarzyło się szybko, dla wielu za szybko, ale... ja naprawdę go kocham.

– Tylko? – ponagliła mnie. – Jesteś w ciąży?! – Niemal pisnęła.

Wytrzeszczyłam oczy, szybko kręcąc głową.

– Nie! Zabezpieczamy się, do licha. Kara, proszę cię...

Na samą myśl o ciąży niemal zaczęłam się krztusić własną śliną.

– Zaręczyliśmy się – wyrzuciłam z siebie, kiedy siostra niecierpliwie westchnęła. Natychmiast przymknęłam powieki.

A potem odsunęłam telefon od ucha, bo Kara zaczęła krzyczeć.

– Przepraszam! Boże, właśnie pielęgniarka wybiegła na korytarz, żeby sprawdzić, co się dzieje. Popatrzyła na mnie jak na wariatkę – wyrzuciła z siebie potok słów. – Tak bardzo się cieszę! Opowiadaj! Jak ci się oświadczył? Nie, czekaj, niech zgadnę! Romantyczna kolacja przy świecach? Nie, to raczej nie... Śniadanie do łóżka? Schował pierścionek w rogaliku...

Parsknęłam śmiechem, jednocześnie ciesząc się z reakcji Kary. Brzmiała na autentycznie szczęśliwą.

– Uklęknął przede mną z kluczykami do swojego auta – wydusiłam z siebie, przerywając jej monolog.

W głośniku od razu zapadła cisza.

– Kara? – bąknęłam niecierpliwie i przygryzłam wargę.

– Czekaj, łączę wążki – wymamrotała i chrząknęła. – Oświadczył ci się... czym?! Kluczykami?! Daj mi go do telefonu! – warknęła.

Wypuściłam spomiędzy warg drżące od śmiechu powietrze.

– To nie jest zabawne! W tej chwili daj mi go do telefonu! Payton Arabello Keen, w tej chwili chcę rozmawiać z twoim, pożałuj się Boże, narzeczonym!

– Kara... To naprawdę...

– Nie denerwuj mnie, Payton – syknęła, ścisząc nieco głos. Zapewne ktoś znowu zwrócił jej uwagę, że jest zbyt głośno. – Chcę z nim porozmawiać.

– Ale...

– Nie ma żadnego ale – przerwała mi rozeźlonym tonem.

Westchnęłam ciężko, pocierając palcami czoło. Nie chciałam przeszkadzać Silviowi, choć jednocześnie nie mogłam pozwolić, że Kara będzie się denerwować. Weszłam z powrotem do domu, czując w trzewiach, że będę tego żałować. Chrząknęłam i wlepiłam błagalne spojrzenie w Silvia, gdy odwrócił się w moją stronę.

– Kara chciałaby z tobą porozmawiać – mruknęłam cicho, podając mu telefon. – Przepraszam.

Zmarszczył brwi, mimo to wziął telefon i przyłożył go do ucha.

– Cześć, Kara. Co tam? Jak...? – Zamilkł i odsunął telefon, posyłając mi niezrozumiałe spojrzenie.

Poruszyłam bezwiednie wargami, mamrocząc kolejne przeprosiny. Było mi tak strasznie głupio...

– Nie powinnaś się tak denerwować, Karo – zwrócił jej uwagę spokojnym tonem. – Rozumiem, że uważasz, że... – Odsunął ponownie komórkę, wzdychając. Następnie oddał mi urządzenie, przymykając powieki i zaciskając palce na nasadzie nosa.

Niedobrze.

Przyłożyłam telefon do ucha. Fabricio poklepał Silvia po ramieniu i opuścił pokój.

– ...na żaden ślub, jeśli nie oświadczysz jej się tak, jak przystało! Jesteś dupkiem, jeśli myślisz, że możesz ją sobie kupić cholernym samochodem! Payton zasługuje na o wiele więcej. Zasługuje na pieprzony diament wielkości krążka do hokeja! Zrozumiałeś?! Jak tylko wyjdę, to...

– Kara – przerwałam jej ostro. – Kocham cię, ale przestań. Bardziej mnie cieszy samochód niż pierścionek – wyjaśniłam, uśmiechając się nieznacznie do Silvia. – Powinnaś przeprosić mojego przyszłego męża. Zrobił dla nas, dla ciebie tyle dobrego... Nie możesz go tak traktować. Nie możesz rzucać w jego stronę obelgami, jakby był nikim, bo jest wszystkim, rozumiesz?

– Uch...! – Mruknęła coś niezrozumiałego. – Dobra, daj mnie na głośnik.

Natychmiast to uczyłam.

– Już?

– Tak – odpowiedziałam, spoglądając przepraszająco na Silvia. Pulsowała mu żyłka na czole. Bez wątpienia Kara wyprowadziła go z równowagi.

Ani trochę mu się nie dziwiłam.

– Przepraszam, Silvio. Poniosło mnie. Nie chciałam, żebyś się poczuł urażony. Jeśli Payton jest szczęśliwa, to ja też. Cieszę się, że się zaręczycie i życzę wam wszystkiego, co najlepsze.

– Wybaczam – mruknął w odpowiedzi, po czym wstał i skierował się w stronę balkonu, mijając mnie bez słowa.

Westchnęłam ciężko, przesuwając palcami po czole. Dalej był zdenerwowany.

Porozmawiałam jeszcze przez chwilę z Karą, ale niezbyt długo. Przesadziła i teraz ja miałam z tego tytułu perspektywę nieprzyjemnej atmosfery.

Wyszłam na balkon i stanęłam obok palącego Silvia.

– Przepraszam cię za nią – odezwał się pierwsza, opierając łokciami o balustradę. – Nie powinna była...

– Nie, nie powinna była – przerwał mi; w jego głosie wyczułam złość i irytację. – Może faktycznie się za bardzo pospieszy...

– Co ty niby chcesz powiedzieć? – przerwałam mu, patrząc na niego rozszerzonymi oczami. – Że się pospieszyliśmy? To chcesz powiedzieć? Niby dlaczego? – Wyrzuciłam ręce do góry, kompletnie go nie rozumiejąc.

– Nie wiem. – Wzruszył ramionami i zgniótł w popielniczce niedopałek. Oparł się przedramionami o balustradę, splótł palce, a głowę schował między ramionami. – Podobają ci się w ogóle oświadczyzny? Bo jeśli...

– Silvio... – Położyłam mu dłoń na ramieniu i lekko ścisnęłam. – Co ci powiedziała, zanim oddałeś mi telefon, że nagle zacząłeś w to wątpić?

– Że potraktowałem cię jak blacharę, która leci na mój samochód i kasę – odparł, napinając mięśnie ramion. – Że cię nie szanuję, bo nie pofatygowałem się do jubilera.

Każde jego kolejne słowo powodowało, że miałam ochotę udusić Karę.

– Aż w końcu stwierdziła, że nie powinniśmy brać ślubu, skoro potraktowałem zaręczyny po macoszemu. Uznała, że pokazałem tym, że nie jesteś dla mnie ważna.

– Słucham? – wykrztusiłam z ledwością. – To wszystko są jej słowa?

Cholera jasna.

– Ta. – Pokiwał głową, a następnie wlepił we mnie spojrzenie. Miałam wrażenie, że w moje serce wbiło się miliony szpilek. Już nie był rozzłoszczony, teraz był po prostu przygnębiony. – Czy, jak ci się oświadczyłem, poczułaś się, jakbym nie miał do ciebie szacunku? Jakbym potraktował cię jak zwykłą kobietę, a nie kogoś, z kim chcę spędzić resztę życia?

Nawet nie mrugnął. Na twarzy wymalowane miał pełne skupienie. Patrzył na mnie uważnie, jakby chciał zauważyć nawet najmniejszą zmianę w mojej mimice.

– W żadnym momencie tak nie pomyślałam – zapewniłam go, przykładając dłoń do jego policzka. Przesunęłam po nim palcami, spoglądając mu w oczy. – Nie mogłam sobie wymarzyć lepszych zaręczyn. Dałeś mi coś, co było dla ciebie znacznie ważniejsze niż głupi pierścionek, a poza tym to wszystko było szczere, oryginalne i takie... bo ja wiem – wzruszyłam ramionami – po prostu nasze.

Na twarzy Silvia natychmiast pojawiła się ulga. Usta wykrzywił w delikatnym uśmiechu. Sama też się uśmiechnęłam. Ucieszyłam się, że zdołałam odgonić od niego przygnębienie i złość.

Musnęłam delikatnie jego usta swoimi, żeby w zupełności przywrócić mu pozytywny nastrój, a on natychmiast objął mnie w pasie i przyciągnął bliżej siebie.

– Kocham cię – wyszeptalam. – Kocham cię, Silvio, i nawet jakbyś mi się oświadczył, klękając przede mną na kolanie, bez fajerwerków, zgodziłabym się. – Uśmiechnęłam się szczerze.

– Ja ciebie też, Payton. – Złożył czuły pocałunek na moim czole. – Nawet nie wiesz, cholera, jak bardzo – mruknął, wzmacniając uścisk ramion wokół mnie. – Jesteś całym moim światem. Pieprzonym kompasem prowadzącym mnie w kierunku lepszego jutra i szczęścia.

Do oczu napłynęły mi łzy. Serce przyspieszyło bicia, objając się głośno o żebra. Wzruszyłam się cholernie mocno, jednak z całych sił próbowałam się powstrzymać przed płaczem.

– Bawisz się w poetę? – Zachichotałam cicho wprost w jego tors, za co uszczypnął mnie w pośladek. – Ej! – pisnęłam, uderzając go pięścią w ramię.

– Nieładnie nabijać się z przyszłego męża, panno Keen – mruknął rozbawionym tonem, rozmasowując bolące miejsce.

Prychnęłam cicho, kręcąc ze śmiechem głową i jednocześnie mocniej do niego przywierając. Kochałam go całego – każdy skrawek jego ciała; każdy, nawet najcichszy szept. Z kolei fakt, że mogłam go nazywać narzeczoną, powodował, że po moim ciele rozlewało się przyjemne ciepło.

– Już nie będę, panie Bellomo.

Uśmiechałam się do siebie jak głupek.

– Jak skończymy z Penną, a ty nie będziesz chciała szybkiego ślubu, po prostu cię porwę – wymruczał wprost do mojego ucha, zaciskając dłonie na moim tyłku. – Tak tylko cię lojalnie ostrzegam, kochanie. – Przycisnął wargi do mojej szyi i westchnął, powodując u mnie ciarki i gęsią skórę.

To zadziwiające, że nie poczułam złości, kiedy zasugerował porwanie. Wręcz przeciwnie. Ogarnęła mnie ekscytacja. Przez myśl mi przemknęło, że chyba potrzebuję leczenia. Aż mnie rwało, żeby sprowokować Silvia do zrealizowania groźby.

Co ta miłość ze mną zrobiła?

Rozdział piąty

Giovanna

Całe popołudnie i niemal pół nocy spędziłam z Maurem na planowaniu akcji. Mieliśmy tylko jeden cel: jak najbardziej osłabić Camorrę. W pierwszej kolejności musieliśmy zniszczyć trzy rodziny mieszkające w Carpi – Tufaro, Carsello i Pase. Nie mogliśmy jednak rzucić się na głęboką wodę bez przygotowania.

– Jesteś pewna, że najlepiej będzie zacząć od nich? – zapytał, spoglądając ze skupieniem na mapkę.

Przedstawiała skupisko trzech domów obok jednego ze skrzyżowań w Carpi.

– Tak. Roberto wspominał, że to powinien być nasz kolejny krok. – Postukałam palcem o blat. – Pytanie tylko, ile czasu przeznaczyć na obserwację... Tydzień? Dwa?

– Lepiej dwa. Po tym czasie zobaczymy, co wiemy i pomyślimy, co dalej.

Skinęłam mu głowę na znak, że się z nim zgadzam.

– Udało nam się załatwić sprawy z wybuchającymi samochodami po cichu.

– To dobrze. – Odetchnęłam z ulgą. – W końcu jakaś dobra wiadomość. Szkoda tylko, że ten fiut, Bucca, dalej trzyma łąsko na wszystkich naszych kontaktach – mruknęłam, krzywiąc się. – Mógłby już sobie darować. Przecież, do cholery, nie mają żadnych niezbitych dowodów na winę Roberta, a trzymają go w zamknięciu jak jakiegoś śmiecia – warknęłam, zwiijając dłonie w pięści.

Jedyny dowód, jaki miał Bucca, to znalezienie ciężarówek na terenie należącym do Roberta, ale... one nawet nie stały za płotem, tylko przed nim, na cholernym parkingu dla ciężarówek! Niestety plac też należał do firmy. Według policji Roberto powinien wiedzieć, co znajduje się na jego posiadłości. Teoretycznie był za wszystko odpowiedzialny.

Z pomocą Artura udało nam się dotrzeć do nagrań z kamer i kilku informacji na temat anonimowego donosu. Ktoś zadzwonił na policję niecałe pięć minut przed tym, jak ciężarówki wjechały na parking. To był jawny spisek przeciwko Robertowi, żeby odciągnąć go od władzy. Przeczynałam, że ktoś z policji był w niego zamieszany, bo w innym przypadku już dawno wypuściliby mojego męża z aresztu.

– Może ma z tego profity?

– Myślisz, że ktoś z Camorry brata się z gliniarzami? – Zmarszczyłam brwi. – Nie wydaje mi się. To nie miałoby sensu. Przecież oni jeszcze bardziej gardzą policją niż wy... – Pokręciłam głową. Z drugiej strony nie wszystko musiało mieć sens. Wrobili Roberta w ataki terrorystyczne, co znacznie wykroczyło poza normalne ramy ich działania. Tylko... Skoro stary Carvelli nie żyje, kto opłaca Buccę? Ktoś z Carpi?

– Nie mam pojęcia. Dalej nie mamy zbyt wielu informacji.

Miał rację. Mgła się trochę przerzedziła, niestety i tak dalej w niej błądziliśmy. Cholera jasna.

– Okej... – Westchnęłam. – Zróbmy nalot na magazyny Carvellich.

– Kiedy? – Wyciągnął telefon i wlepił we mnie wyczekujące spojrzenie.

Byłam mu wdzięczna, że ani razu nie dał mi odczuć, że nie powinnam stać na czele Sprawy. Był lojalny aż do bólu.

– Jak najszybciej. Może być jutro wieczorem. Pojadę z chłopakami.

– Nie wiem, czy to...

– Nie zamierzam siedzieć w domu z założonymi rękami – przerwałam mu stanowczo. – Biorę udział w akcji.

Skinął mi głową, nie mówiąc nic więcej. Ucieszyło mnie to, bo nie miałam ochoty na dyskusje czy sprzeczki z nim. Był jednym z nielicznych ludzi, z którymi mogłam tu na miejscu szczerze porozmawiać. Jasne, był jeszcze Jack, ale on skupiał się na wyciągnięciu Roberta z więzienia. To właśnie z Maurem spędzałam najwięcej czasu.

– Słuchaj... – Chrząknęłam. – A ta siostra twojej żony? Loris czy jak jej tam?

Na czole pojawiły mu się dwie zmarszczki.

– Co z nią?

– Może ona ma jakieś nowe informacje o Bucce?

– Wolałbym jej w to nie wciągać... To znaczy, niech mnie szefowa źle nie zrozumie, ufam Loris i wiem, że chce dobrze, po prostu boję się o jej bezpieczeństwo. Jeśli zacznie za bardzo węszyć, a Bucca faktycznie jest opłacany, mogą ją zlikwidować. Moja żona mi tego nigdy nie wybaczy.

Odchyliłam się na krześle, kiwając głową. Jeśli Loris zaczęłaby się skupiać na tym, na czym nie powinna, mogliby ją wziąć na celownik.

– Ale jeśli uważasz, że...

– Nie, nie. Masz rację – weszłam mu w słowo. – Jeśli chcemy, żeby zbierała dla nas informacje, musimy jej zapewnić ochronę. Na komisariacie tego nie zrobimy, za to w jej domu...

– Jest jeszcze Arturo.

– Tyle że to twój brat. – Pokręciłam głową. – Nosicie to samo nazwisko, a mnie widziano z tobą na komisariacie. Loris się inaczej nazywa i tu mamy element zaskoczenia. Jesteś w stanie mnie z nią umówić? Na jakimś neutralnym gruncie?

Wciągając Loris w to wszystko, ryzykowałam jej życiem, jednak nie widziałam innego wyjścia. Co z tego, że mieliśmy w planach zlikwidować rodziny z Carpi, skoro dalej odnosiłam wrażenie, że umykało nam coś zajebiste ważnego? Przez głowę przemknęła mi irracjonalna myśl...

– Siergiej Wetrow.

Na twarzy Maura pojawiła się dezorientacja.

– Był na gali charytatywnej. Współpracował z Carvellim. Do tego jeszcze cyjanek, z którego skorzystał kierowca Carvelliego. Przecież ludzie Wetrowa uwielbiają uciekać w samobójstwa przy pomocy trucizny, gdy coś idzie nie tak.

Oczywiście nie mogłam być tego wszystkiego w stu procentach pewna, ale jeśli dołożyć do tego jeszcze martwego ojca nienarodzonego dziecka Eleny na granicy polsko-ukraińskiej, założyłam, że Rosjanie maczali w tym palce.

– Kurwa. To może być to... – Mauro podrapał się po brodzie. – Tylko po cholere Camorra miałyby się bratać...

– Żeby nas zniszczyć! – zawołałam; serce mi mocniej zabiło. – Pomyśl... Skoro Camorra rosła w siłę, odkąd Roberto przejął władzę i wybił rodzinę Santiny, a w tym samym czasie Siergiej, Anton i Miron zaczęli planować przejście Moskiewskiej Braci, to oznacza, że mogli w pewnym momencie połączyć siły. Po prostu zrobili to na tyle cicho, że nikt tego nie zauważył.

Mauro pokiwał głową.

– Siergiej i Iwanka pojawili się w Mediolanie, żeby spotkać się z Carvellim. Siedzieli przy jednym stoliku. Siergiej opuścił teren Włoch od razu po wybuchu w domu Carvelliego. – O tym ostatnim Mauro poinformował mnie jakiś czas wcześniej. – Musimy założyć, że ze sobą współpracują. To ma sens.

– No dobra... – Upił łyk kawy i przeczesał palcami włosy. – Ale skoro rodzina Carvellich nie żyje... – Wyprostował się jak struna, wbijając we mnie skupione spojrzenie.

– To znaczy, że albo mamy spokój z Wetrowem, bo współpracował tylko z nimi, albo... – Pokręciłam głową. – Albo musimy spojrzeć poza schemat i założyć, że jest jeszcze ktoś, kto kieruje tym wszystkim z ukrycia.

– To by było nielogiczne – mruknął. – Camorra nie ma hierarchii, żyją sobie, jak chcą.

– No właśnie. – Zwinęłam dłonie w pięści. – Nie zabili Roberta, choć on sam podejrzewał, że to zrobią. Grozili mu, jednak nie odebrali... – Rozszerzyłam oczy. – Chwila! Przecież odebrali mu to, co dla niego najważniejsze. Odebrali mu władzę! Tamten gnojek, zanim zmarł, powiedział przecież, że zanim się obejrzy, straci wszystko, na czym mu zależy. Wszystko, co jest dla niego ważne.

Kurwa. To faktycznie może być to. Roberto cały czas myślał, że chodzi o moją śmierć, tymczasem im chodziło o władzę!

– Czyli zakładamy, że Camorra jednak ma kogoś, kto nimi steruje – podsumował Mauro, zabierając telefon z blatu. – Musimy się dowiedzieć, kto to jest.

– A ja muszę zadzwonić do Jacka – wydusiłam z ledwością, przypominając sobie treść kolejnej groźby.

„Tik tok, tik tok,

zegar tyka,

Twój czas ucieka.

Pożegnaj się z żoną,

póki jeszcze dychasz”.

Musiałam powiedzieć Neckerowi, że życie Roberta jest zagrożone.

Rozdział szósty

Roberto

Kolejny dzień w tej pierdolonej dziurze, pomyślałem, ściągnąjąc z siebie koc. Pół nocy spędziłem na drapaniu się – był tak cholernie nieprzyjemny w dotyku.

Nie śpiąc, zastanawiałem się, jak długo jeszcze będę musiał tkwić zamknięty za kratami. Jak wiele czasu potrzebował Necker, żeby wyciągnąć mnie na wolność? Ile miało minąć, abym mógł w końcu zobaczyć Gio... przytulić ją i powiedzieć, że wszystko będzie dobrze?

Ile, do kurwy?!

Przemyłem twarz zimną wodą, żeby choć trochę się rozbudzić. W rogu pomieszczenia wisiała kamera, dioda świeciła się na czerwono – byłem obserwowany. I dobrze. Wrogowie mieli mniejsze szanse na atak. Necker się postarał, musiałem mu to przyznać. Postanowiłem, że mu za to podziękuję, gdy jeden ze strażników zaprowadzi mnie na spotkanie z nim.

Wszyscy łypali spod byka; byli do mnie uprzedzeni. Widziałem to w ich oczach. Zapewne uznali, że jestem winny. Miałem to jednak w dupie. Nie zamierzałem ich wyprowadzać z błędu, najważniejsze było moje bezpieczeństwo w pierdłu. Reszta nie miała znaczenia. Mogli na mnie wieszać psy – nie dbałem o to.

Nigdy za specjalnie nie interesowała mnie opinia publiczna. Mogli sobie wyzywać, ile chcieli. Mogli głośno wszem wobec, że jestem terrorystą i zdrajcą. Najważniejsi ludzie i tak znali prawdę.

– Idziemy – warknął strażnik. Przechodziliśmy korytarzem prowadzącym do pomieszczeń, gdzie odbywały się widzenia. – Szybciej! – Popchnął mnie do przodu, na co przekląłem pod nosem, bo się potknąłem.

Zakuli mnie w pierdoloną gejszę¹ – zupełnie tak, jakbym bez niej mógł zrobić komuś krzywdę. Kurwa, naprawdę traktowali mnie jak terrorystę i szczególnie niebezpiecznego więźnia. Jakbym był psycholem.

Strażnik wepchnął mnie do pokoju z metalowym stołem i krzesłami. Na jednym z nich siedział już Necker. Zerknął ze złością na strażnika, jak tylko spojrzał na kajdanki na moich nadgarstkach i kostkach.

– To nie będzie potrzebne.

– Oczywiście, że nie – sarknął w odpowiedzi strażnik.

Kiedy rozpiął mi kajdanki, rozmasowałem bolącą skórę. Na nadgarstkach widniały czerwone ślady. W kilku miejscach naskórek został naruszony; pojawiło się trochę krwi.

Kutas.

– Wszystko w porządku? Niczego ci nie brakuje? – zapytał Necker, gdy usiadłem.

Miał sińce pod oczami. Ewidentnie się nie wysypiał.

– Żony mi brakuje – odparłem. – Jak ona się czuje? Wszystko z nią dobrze? Jest bezpieczna?

– Tak – przytaknął, na moment odwracając spojrzenie. W końcu westchnął i znowu się odezwał:

– Poprosiła mnie, żebym ci przekazał ostrzeżenie.

Zmarszczyłem brwi. Chciałem go zapytać, o czym on, do cholery, mówi, ale był szybszy.

– Uważa, że ktoś będzie chciał cię tutaj zabić.

Prychnąłem głośno, kręcąc z niedowierzaniem głową.

– Nie ma opcji – zaprotestowałem pewnie. – Jestem w celi monitorowanej, nie mają jak się do mnie dostać. Gio powinna się martwić o siebie, a nie o moje życie.

– Nie zamierzam się z tobą kłócić, Roberto – mruknął, splatając dłonie. Ułożył je na środku stołu i przysunął się bliżej. – Giovanna uważa, że pierwsze ostrzeżenie wcale nie oznaczało, że to ona jest zagrożona.

– A niby kto?

– Według niej miałeś stracić władzę i właśnie to się stało. – Chrząknął. – Dlatego też spędziłem niemal całą noc na próbie opłacenia strażników. Mają zwrócić większą uwagę na twoje bezpieczeństwo. Mamy pełne prawo uważać, że ktoś chciał zrobić z ciebie łatwy cel, zamykając cię w areszcie.

Chciałem mu powiedzieć, że to nie ma większego sensu, jednak nie zrobiłem tego, bo... Kurwa, dotarło do mnie, że faktycznie stałem się cholernie łatwym celem. Jednoosobowa cela, a do tego brak swojej ochrony stwarzały moim wrogom idealne warunki do zabicia mnie.

– Kurwa – mruknąłem, przeczesując nerwowo włosy. – Jak stoimy z moim wyjściem na wolność?

Westchnął ciężko. Ani trochę mi się to nie spodobało.

– Stoję na mieliźnie. Kurwa, naprawdę się staram, tyle że policja i prokuratura mają w dupie niejednoznaczność dowodów. Według Giovanni Bucca został przekupiony.

Skinąłem głową. To brzmiało logicznie.

– Nie wiemy, czy tylko on, czy może jest ktoś jeszcze. Cały czas szukamy dokładniejszych informacji.

– W porządku. – Chrząknąłem i zerknąłem w stronę drzwi, a potem na kamerę pod sufitem; była wyłączona. – Mogę zadzwonić?

Bez słowa podał mi telefon, a ja od razu wybrałem numer Gio. Nerwowo poruszyłem nogą. Cholernie za nią tęskniłem. Musiałem ją usłyszeć.

– Słucham?

Wypuściłem spomiędzy warg drżące powietrze. Wydawała się przybita. W jej głosie nie było nawet krzty radości.

– Cześć, skarbie – wyszeptalem.

Natychmiast wybuchła płaczem. Miałem wrażenie, jakby ktoś ścisnął mi serce i próbował je wyrwać z piersi. Tak bardzo bolały mnie jej łzy.

– Nie płacz, proszę. Wszystko jest w porządku. Jak się czujesz?

– Tak cholernie się o ciebie boję, Roberto – załkała. – Chciałabym się już do ciebie przytulić. Tak bardzo bym chciała...

– Jeszcze trochę, kochanie. – Zwinąłem dłoń w pięść. Nie chciałem, żeby płakała. Błagałem w myślach, żeby przestała. Rozrywało mi to serce na strzępy. – Niedługo stąd wyjdę.

– Dobrze... – wymamrotała, a po chwili chrząknęła i pociągnęła nosem. – Będziemy przeprowadzać atak. Wiesz na kogo. – Jej głos już nie był słaby. W okamgnieniu zmieniła postawę.

– Domyślam się. Mam nadzieję, że będziesz siedzieć w domu. Obiecuj mi to.

Zapadła głucha cisza, a ja już wiedziałem. Warknąłem do mikrofonu kilka niecenzuralnych słów. Uparte babsko chciało wziąć udział w akcji. Ależ oczywiście. Nie byłaby sobą, gdyby z tego zrezygnowała. Nie mogłem się na to zgodzić. Nie mogła ryzykować życiem, kiedy mnie nie było obok, żeby ją chronić.

– Giovanna – warknąłem ostrzegawczo.

– Roberto... – Westchnęła; dałbym sobie rękę uciąć, że przewróciła oczami. – Zamierzam ich wszystkich zniszczyć. Biorę udział w akcji. Będę ostrożna, to ci mogę obiecać.

– Gio... – Wziąłem głęboki wdech, przymykając powieki, i zwiesiłem głowę. Na samą myśl o tym, że zamierzała ryzykować, oblał mnie strach. – Nie rób mi tego. Nie każ mi siedzieć w zamknięciu, czekając na twój telefon. Nie każ mi się zastanawiać, czy mam żonę, czy może jestem już wdowcem...

Byłem bliski błagania.

– Nic mi nie będzie. Będę ostrożna. Nie próbuj wywoływać we mnie wyrzutów sumienia. I zacznij we mnie wierzyć.

Uparte babsko.

– Przecież ja w ciebie wierzę! Ale, kurwa, na akcji zawsze może coś pójść nie tak... Zostaniesz postrzelona i co wtedy? Co, jeśli nie zdążą cię...

– W Obitorium będzie przygotowana sala operacyjna. Mauro załatwia dwóch lekarzy i mobilny

szpital. Nie martw się, proszę – oświadczyła spokojnie. – Wszystko będzie dobrze. Przysięgam.

– Nie możesz tego...

Chciałem jej powiedzieć, że nie może rzucać takimi obietnicami, jednak na korytarzu usłyszałem hałas. Necker wyrwał mi telefon z ręki, akurat gdy do pomieszczenia wszedł strażnik.

– Favale, twój czas się skończył. Wstawaj. – Poruszył ręką. Kajdanki wydały z siebie irytujący odgłos.

– Jeszcze nie skończyliśmy – zaprotestował Necker.

– Skończyliście. – Strażnik do mnie podszedł. – Piętnaście minut minęło. Pomieszczenie jest potrzebne dla kolejnego osadzonego. – Zapiął mi kajdanki, patrząc na mnie triumfalnie. – Wstawaj, Favale. Nie testuj mojej cierpliwości.

– Chciałbym porozmawiać z pańskim przełożonym – rzucił Necker opanowanym tonem, chociaż wyraźnie widziałem, że pulsowała mu żyła na skroni.

– Oczywiście – sarknął strażnik. – Jak tylko odprowadzą osadzonego do celi, skontaktuję się z przełożonym. Może pan na niego poczekać na korytarzu.

– Wolałbym...

– Proszę nie utrudniać mi czynności, panie Necker – przerwał mu ostrym tonem klawisz. Pociągnął mnie do pozycji stojącej, zapiął kajdanki na kostkach i szarpnął w stronę wyjścia.

Zaje-kurwa-biście.

Poruszałem powoli nogami, bo kutas zapiął mi kajdanki tak ciasno, że krew z ledwością dopływała do stóp. Wyszliśmy z pomieszczenia i skierowaliśmy się w stronę oddziału. Przeszliśmy przez kraty, które ktoś z oddali musiał otworzyć dzięki elektrycznemu zamkowi. Następnie skręciliśmy w jeden z korytarzy, ten prowadzący do mojej celi.

– Z pozdrowieniami od Adama Orsiego.

Zanim zdążyłem się odwrócić do strażnika, poczułem w boku tak ogromny ból, że mnie zamroczyło.

– Zabiłeś mu rodzinę, skurwysynie.

Nie byłem w stanie wydusić z siebie nawet marnego krzyku, kiedy wbił mi coś w brzuch. Po moim ciele rozlał się obezwładniający ból. Zachłysnąłem się własną krwią.

Pierdolony, przekupny gnój.

– Zdychaj ze świadomością, że twoja żona zginie z rąk ostatniego Orsiego – warknął, podcinając mi nogi.

Upadłem na betonową posadzkę. W głowie eksplodował ból. Nie byłem w stanie osłonić czaszki przed upadkiem.

– Mam nadzieję, że zdążyłeś się z nią pożegnać. – Roześmiał się szyderczo i odszedł, pogwizdując pod nosem radosną melodię.

Jakim cudem Orsi zlecił moją śmierć, skoro zabiłem go cztery lata temu?

Dociskałem dłoń do krwawiących ran na moim boku, starając się jednocześnie podpełznąć do krat oddzielających mnie od korytarza z salami widzeń. Niestety z każdą moją próbą poruszenia się coraz bardziej ciemniało mi przed oczami. Ból był nie do zniesienia. Odbierał mi trzeźwość umysłu. W uszach mi szumiało, z trudem łapałem każdy kolejny oddech.

Ostatkiem sił udało mi się uderzyć stopą w kratę. Próbowałem krzyknąć, ale jedyne, co wydostało się spomiędzy moich warg, to żalosne charczenie.

Wiedziałem, że umrę. Czuję to, gdy odpływałem w nicość. Jedyne, o czym myślałem, to Gio i jak cholernie ją to zdruzgocze.

Rozdział siódmy

Giovanna

Od rana coś siedziało mi na żołądku. Było mi niedobrze. Skrzywiłam się, słysząc odgłos przychodzącego połączenia. Zaakceptowałam je wyłącznie dlatego, że dzwonił Necker. Jak tylko usłyszałam jego głos, zakrztusiłam się pitą miętą. Zaczęłam kaszleć i rzeźić jak gruźlik, jednocześnie próbując wykrztusić z siebie kilka słów. W końcu mi się to udało.

– Przesłyszałam się, prawda?

– Przykro mi, Giovanni, ale nie...

Przymknęłam powieki, przyciskając dłoń do mostka. Miałam wrażenie, jakby nagle w mojej piersi wybuchł pożar.

Nie, to się nie dzieje. Nie może.

– Kłamiesz – rzuciłam ostrym tonem. – Kłamiesz!

Wstałam na równe nogi i od razu się zachwiałam. Kubek wypadł mi z dłoni, gdy próbowałam utrzymać równowagę. Rozsypał się na małe kawałeczki – dokładnie tak, jak rozsypywało się moje serce. Moja dusza wyła. W głowie mi szumiało. Wszystko mnie bolało.

– Nie... – wyszeptałam, potrząsając głową. – Jack... Powiedz mi, że...

– Przykro mi...

– Muszę się z nim zobaczyć! – wydarłam się, kierując w głąb domu.

Donato, zapewne zaalarmowany moim krzykiem, od razu zjawił się obok mnie.

– Nie możesz – zaprzeczył stanowczo Jack. – Przykro mi, Giovanni, jednak naprawdę nie możesz. Ciało zabrał coroner. Mają przeprowadzić sekcję zwłok. Dopóki nie znajdą odpowiedzialnego za jego śmierć...

– Kurwa! To nie jest żadne ciało, to jest Roberto! – wrzasnęłam łamiącym się z bólu głosem. – Powiedz mi, że to jakiś chory żart, jakiś wasz pomysł na wydostanie go z pierdła. Necker, błagam... On może... Ja nie... – Z ledwością łapałam oddech. Musiałam się przytrzymać ramienia Donata, bo inaczej bym upadła. – On żyje. Musi.

Przecież chyba bym coś poczuła, gdyby zmarł, prawda?

– Przepraszam... – wyszeptał z bólem w głosie. – Chciałbym ci powiedzieć, że Roberto żyje, ale... Nie mogę. – Chrząknął. – Wkrótce do ciebie przyjadę.

– Zapiardolę ich wszystkich – wysyczałam z mocą przez zaciśnięte zęby. Po ciele zaczęła mi się rozlewać furia. Zadarli z niewłaściwą osobą.

Rozłączyłam się, schowałam telefon do kieszeni i spojrzałam na zdezorientowanego Donata.

– Co...

Nie usłyszałam kolejnych słów, bo wybuchłam głośnym płaczem, upadając na zimną posadzkę. Z trudem łapałam powietrze, kiedy przez umysł przetaczały się słowa Jacka.

Roberto nie żyje. Został zamordowany.

Nie chciałam w to uwierzyć. To się nie mogło dziać naprawdę. Kurwa. On nie mógł umrzeć. Poczulałabym coś. Na pewno bym poczuła, do cholery!

Miałam wrażenie, jakby ktoś rozrywał moje ciało na strzępy. W serce wbijały się miliony szpilek i noży, rozcinając okoliczne tkanki. Jak przez mgłę usłyszałam, że Donato rozmawia z Maurem. Mówił coś o tym, że wpadłam w histerię, a ja nawet nie zaprzeczyłam, ponieważ... Miał rację.

Trzęsałam się jak osika. Żołądek zacisnął mi się w supeł do tego stopnia, że mdłości zmieniły się w wymioty. Zwróciłam śniadanie zjedzone kilkanaście minut wcześniej. Bolał mnie brzuch, gardło piekło, a głowa pękała. Czułam się, jakby ktoś zdzielił mnie kolbą w czaszkę.

Nawet nie wiedziałam, ile czasu leżałam na podłodze w przedpokoju. Nie byłam w stanie tego określić. Poczułam tylko, że ktoś wziął mnie na ręce i zaniósł do łazienki. Jak maszyna zwymiotowałam raz jeszcze, a potem umyłam zęby, nie patrząc na swoje odbicie w lustrze. Czułam na plecach delikatny dotyk męskiej dłoni. To jednak nie była dłoń Roberta...

– Przerażasz mnie. Co się dzieje? – Głos Maura drżał.

Nie wiedziałam, co mu powiedzieć... Dalej do mnie nie dotarło, że...

Zostałam pierdoloną wdową, a nie miałam nawet dwudziestu pięciu lat!

Kurwa.

Mauro przetarł mi twarz, zmywając rozmazany makijaż, a potem wyprowadził mnie z łazienki. Cały czas był obok, mimo to miałam wrażenie, że znajdował się miliony lat świetlnych stąd.

Bóg mi świadkiem, że gdyby nie obecność Maura, zabiłabym się. Tak kurewsko mocno mnie wszystko bolało. Całe ciało, a najbardziej serce...

– Giovanni... – mruknął nerwowym tonem Mauro, gdy posadził mnie na kanapie. – Co się dzieje? – Głaskał mnie uspokajająco po plecach, ale to nic nie dawało. Nic nie było w stanie mi pomóc. Nic!

– Roberto nie żyje – wyszeptałam z ledwością, po czym chrząknęłam i się wyprostowałam. Przypomniałam sobie, co wbijał mi do głowy mój mąż. Miałam nie dawać po sobie znać słabości. Przy nikim. – Roberto został zamordowany – oznajmiłam twardym głosem, chociaż najchętniej znowu wybuchnęłabym płaczem.

W oczach Maura błysnęły łzy. Szlag by to, kurwa, trafił, bo przez niego sama się znowu rozplakałam. Przyciągnął mnie do siebie w ciasnym objęciu, nie przestając gładzić po plecach. A ja wyłam i się trzęsłam, pozwalając sobie na ostatnie chwile żałoby.

Jak przez mgłę usłyszałam odgłos zamykanych drzwi wejściowych, a potem poczułam na ramieniu czyjś dotyk. Przez ułamek sekundy myślałam, że to Roberto.

O ja naiwna.

– Przykro mi, dziecinko. Tak cholernie mi przykro... – szeptał słowa pocieszenia Jack, kiedy wyrwałam się z objęć Maura i rzuciłam w jego ramiona.

Wtuliłam się w niego jak dziecko pragnące uzyskać pocieszenie od ojca. Było mi tak cholernie źle na ciele i duszy. Rozpadałam się na drobne kawałeczki. Każdy oddech powodował jeszcze większy ból.

Potem wszystko potoczyło się bardzo szybko. Mauro musiał wykonać milion telefonów, a ja jeszcze raz błagałam Jacka, żeby przyznał się do sfingowania śmierci Roberta. Gdy to się nie stało, po raz kolejny zawisłam nad muszlą klozetową. Targana spazmami uświadomiłam sobie, że przestałam pełnić funkcję głowy Cosa Nostry. Ja się nią stałam.

Im więcej czasu mijało, tym bardziej docierało do mnie, że Roberta już nie ma. A kiedy już to do mnie dotarło, przekułam płacz i smutek w furję. W żyłach zaczęły mi płynąć wściekłość i chęć zemsty. Pragnęłam własnoręcznie zabić tego, kto odważył się odebrać mi męża. Zamierzałam zniszczyć Camorrę, zmieść ją z powierzchni Ziemi. Rodziny z Carpi miały być jedynie początkiem.

Poprzysięgam sobie, że pomszczę męża, choćbym miała przy tym zginąć.

Rozdział ósmy

Vito

Śmierć Roberta przyczyniła się do zmiany moich planów. Wszyscy byliśmy nią zdruzgotani, ale nie mogłem sobie wyobrazić, co czuła Gi. Wiedziałem, że życie jej się właśnie zawaliło, a jednocześnie obawiałem się tego, co zamierza zrobić. Dlatego też umówiłem się z komisarzem nowojorskiej policji. Musieliśmy mieć chociaż ciche poparcie władz w razie eskalacji walk.

– Dzień dobry – przywitałem się z niezadowolonym mężczyzną za biurkiem. – Vito Bellomo, byłem umówiony z komisarzem Rockerem.

Nie zdążył mi odpowiedzieć, ponieważ za moimi plecami rozniósł się głos komisarza:

– Panie Bellomo.

– Panie komisarzu. – Ruszyłem w stronę siwiejącego mężczyzny, po czym uściśniłem mu dłoń.

– Dziękuję, że znalazł pan dla mnie czas.

– Witam, witam – powiedział, prowadząc mnie w stronę gabinetu. Przepuścił mnie w drzwiach, a następnie zasiedliśmy na fotelach po przeciwnych stronach biurka. – Co pana do mnie sprowadza? – Ułożył splecione dłonie na torsie i wlepił we mnie uważne spojrzenie.

– Przyszedłem w dość delikatnej sprawie. – Chrząknąłem. – Zanim jednak powiem, o co chodzi, chciałbym, żeby sprawdził pan kilka nazwisk w bazie.

Uniósł brwi, patrząc na mnie z rozbawieniem.

– Nie chcę oglądać akt. Chcę tylko coś panu pokazać, a potem możemy przejść do tematu, z którym przyszedłem.

Rocker przytaknął mi po dłuższej chwili, a ja natychmiast podałem mu kartkę z imionami i nazwiskami uratowanych kobiet z Red Pubu w Bostonie. Z każdym kolejnym kliknięciem myszy coraz bardziej marszczył brwi, zerkając na mnie co jakiś czas. W końcu potrząsnął głową i popatrzył na mnie z uwagą.

– Nie mam pojęcia, co...

– Wszystkie kobiety, które właśnie pan sprawdził, zostały uratowane dzięki moim działaniom.

Zapadła cisza. Nie przerwałem jej. Pozwoliłem, żeby Rocker to zrobił. W końcu musiał wszystko przetrwać.

– Dlaczego pan mi o tym mówi?

Może to i lepiej, że nie zagłębiał się w temat, jakim cudem udało mi się je uratować.

– Cóż. – Chrząknąłem. – Takich klubów jak Red Pub jest na terenie Stanów Zjednoczonych znacznie więcej. Zapewne się pan domyśla, że nasze metody są raczej... niekonwencjonalne.

– Domyślałem się, że jest pan samozwańczym bohaterem, który chce uratować świat, ale nie bardzo rozumiem, czego pan ode mnie oczekuje.

– To proste. W zamian za pełną ochronę mojej rodziny, wręczę panu adresy osiemdziesięciu procent nielegalnych klubów. Nie interesuje mnie, czy przypisze pan sobie zasługi, czy nie. Mam to gdzieś – kontynuowałem. – Zależy mi wyłącznie na obietnicy, że w razie problemów będę mógł się do pana zwrócić o pomoc, a pan mi tej pomocy udzieli. Bez względu na wszystko.

Nawet na moment nie odwrócił wzroku. Wlepił go we mnie, zapewne analizując moje słowa i zastanawiając się nad korzyściami.

– Równie dobrze mógłbym teraz wytoczyć przeciwko panu...

– Nie, bo zależy panu na zwiększeniu skuteczności działań – przerwałem mu. – Uratowanie setek kobiet panu w tym pomoże.

Skrzywił się.

– Nie mogę przeprowadzić nalotu bez nakazu.

Uśmiechnąłem się pod nosem.

– Dostanie pan anonimowe zgłoszenia. Nie jedno, a kilka. Będzie pan to musiał sprawdzić,

prawda? No właśnie – mruknąłem, gdy skinął głową. – Dostanie pan wiadomość z adresami, tyle że muszę być pewien, że nie będzie próbował mnie pan wyrolować. Nie chcę uciekać się do gróźb, jednak nie chce pan mieć we mnie wroga, panie Rocker – dodałem ostrzegawczym tonem.

Przełknął ślinę, powoli kiwając głową.

– Porozmawiam z kim trzeba i się odezwę. – Wstał, a ja zrobiłem to zaraz po nim. Okrążył biurko i zatrzymał się obok mnie. – Nic nie obiecuję, ale może uda mi się zarekomendować stworzenie jednostki, która zajmie się klubami.

– Jeśli będzie pan mieć problem z finansowaniem akcji, proszę się do mnie zgłosić – poinformowałem go, kierując się w stronę wyjścia. – Czekam na decyzję do końca tygodnia.

Jak tylko opuściłem komisariat, wsiadłem do samochodu i poinformowałem Enza, żeby odwiózł mnie do domu. Nie planowałem rozmawiać z Vi o Robercie czy Gi, bo nie chciałem, żeby się martwiła. Ledwo zaczęła wychodzić na prostą, jeśli chodziło o stosunki między nią a Bradem, jej bratem. Dupek robił jej wyrzuty, odkąd ściągnęliśmy go do Nowego Jorku, żeby chronić zarówno jego, jak i jego żonę oraz dzieci. Czasami miałem ochotę mu wpierdolić, bo zachowywał się jak kutas.

Zanim wysiadłem z auta pod domem, zadzwoniłem do Neckera. Musiałem sprawdzić, jak trzyma się moja siostra.

– Robi dobrą minę do złej gry, a gdy zamyka się w łazience, słyhać jej zawodzenie. – W jego głosie wyczułem zmartwienie. – Nie wiem, cholera, jak jej pomóc. Chciałbym coś zrobić, żeby jej ulżyć, jednak nie potrafię... Od kilku godzin śpi, na szczęście. Był u niej lekarz, żeby dać jej leki na uspokojenie, ale... – Chrząknął. – Gi nie może nic brać.

– Dlaczego?

Serce zatłukło mi się boleśnie w piersi. Miałem złe przeczucia.

– Giovanna jest w ciąży.

Zamrugąłem gwałtownie. Oddech ugrzął mi na moment w gardle, a po chwili przyspieszył.

– W ciąży? Co? – Zacisnąłem palce na nasadzie nosa. – Kurwa, to...

– To dobrze – przerwał mi stanowczo. – Kiedy usłyszała o ciąży, uspokoiła się i udało jej się zasnąć. Wydaje mi się, że świadomość, że nosi pod sercem dziecko Roberta, powoduje, że odsuwa na bok negatywne myśli. Zostanę we Włoszech, ile będzie trzeba. Będę o nią dbać, Vito.

Wypuściłem spomiędzy warg drżące powietrze. Powiedzmy, że odetchnąłem z nikłą ulgą. Ufałem Neckerowi. Giovanna była z nim bezpieczna. Giovanna i... mój siostrzeniec lub siostrzenica.

Kurwa, będę wujkiem.

Rozdział dziewiąty

Vivienne

Odkąd dowiedzieliśmy się o śmierci Roberta, Vito zrobił się nerwowy. Martwił się o rodzeństwo i o mnie, a ja nie potrafiłam mu w żaden sposób pomóc. Staralam się odciągać jego myśli w innym kierunku, ale zwykle kończyło się to tym, że zostawiał mnie samą i barykadował się w biurze. Dobijało mnie to, ponieważ mnie od siebie odsuwał...

– Vito?

Zapukałam wieczorem do jego gabinetu. Kilka godzin wcześniej się w nim zamknął.

– Stało się coś? – zapytał przejętym głosem, gdy weszłam do środka.

Pokręciłam głową, podchodząc do niego. Westchnęłam, widząc, że wygląda jeszcze gorzej niż wcześniej. Pod oczami miał sińce, na twarzy kilkudniowy zarost, nawet koszulę miał wymiętą... Zdecydowanie nie sprawiał wrażenia, jakby się trzymał i jakby wszystko było dobrze. Był zmarnowany. Bolało mnie serce na ten widok, bo to przecież on zawsze mnie pocieszał i starał mi się wszystko tłumaczyć. To on od samego początku był moim oparciem, a teraz role musiały się odwrócić. Nie mogłam pozwolić, żeby się załamał. Chciałam mu pomóc i wiedziałam, że muszę zrobić wszystko, żeby mi się udało.

– Kochanie... – Westchnęłam. – Nad czym tak myślisz? – zagadnęłam, siadając mu okrakiem na udach. Wsunęłam dłoń w jego włosy i lekko zacisnęłam na nich palce, żeby nie mógł odwrócić ode mnie spojrzenia.

– A o czym mogę myśleć? – W jego oczach nie było już tego blasku, który zwykle widziałam. – O rodzinie. – Ścisnął mnie lekko za biodra i przytknął czoło do mojego ramienia. – O tobie, o siostrze, o braciach... Po raz pierwszy mam wątpliwości co do tej wojny, *bella*. Już nie wiem, czy to taki dobry pomysł. Może się myliłem? Boję się, że porywamy się z motyką na słońce. Że próbujemy zabić wroga ślepakami.

W jego głosie wyczułam ból i strach. Ścisnęło mnie w dołku. Nie sądziłam, że jest z nim aż tak źle. Zginął ten pewny siebie mężczyzna, który był przekonany, że jest w stanie wszystkich pokonać. Że jest jednym z najsilniejszych ludzi na świecie.

Westchnęłam cicho i zaczęłam masować mu kark. Zastanawiałam się, co powiedzieć, żeby choć trochę mu ulżyło. Chciałam go zapewnić, że przy nim jestem i zamierzam już zawsze być, tyle że nie potrafiłam znaleźć odpowiednich słów. Czułam się źle z tym, że nie jestem w stanie podnieść go na duchu.

– Boję się, że stracę któregoś z nich – wyszeptał tak cicho, że z trudem go zrozumiałam. – Teraz już wiem, co czuła *mamma*, kiedy Silvio został porwany i nie mogła nic z tym zrobić. Jestem za nich odpowiedzialny, kurwa, a siedzę sobie w domu i...

– Vito, błagam... – przerwałam mu stanowczo i uniosłam jego głowę, żeby na mnie spojrzał. – Przestań. Sami chcieli jechać i dokończyć swoje sprawy. Sami podjęli takie, a nie inne decyzje. Silvio chce przejąć tereny Penny. Nie byłbyś w stanie go zatrzymać, chyba że rozkazem, a tego byś nie zrobił. – Poglaskałam go delikatnie po twarzy, a on natychmiast wtulił policzek w moją dłoń. – Salvatore'owi należy się władza w Moskwie. Nie odpuściłby, nawet jakbyś go poprosił, żeby sobie darował. A Giovanna... Giovanna to też Bellomo, uparte stworzenie. – Uśmiechnęłam się delikatnie. – Ona ich wszystkich zniszczy, zobaczysz. Szczególnie teraz, gdy jest napędzana zemstą.

Pocałowałam go, a on natychmiast oddał pocałunek, mocniej do mnie przywierając. Oddech mu się uspokoił, ramiona rozluźniły. Odetchnęłam z nikłą ulgą, kiedy się od siebie oderwaliśmy, a on posłał mi wdzięczny uśmiech.

Oparłam czoło o jego i przymknęłam powieki, zaciągając się jego zapachem. Koił moje nerwy. Jasne, że ja też się bałam o nasze rodziny, ale zmuszałam się do tego, żeby się nie martwić. To Vito mnie nauczył, żeby nie rozkładać wszystkiego na czynniki pierwsze, żeby zobaczyć, że życie ma różne kolory

i nie jest czarno-białe.

– Kochanie... – wyszeptalam, muskajac ustami jego policzek, na co cicho westchnal. – Powiedz mi, jak mam ci pomoc... Daj mi sobie pomoc... – poprosilam, wodzac ustami po jego zuchwie, a palcami zahaczajac o guziki w koszuli.

Zareagowal tak jak zwykle. Uniosl biodra i otarl sie o mnie. Mimowolnie zadrzalam. Stesknilam sie za nim.

Juz po chwili nie mialam na sobie bluzki, a jego koszula lezala gdzieś na podlodze.

– Kocham cie – szepnelam mu w usta, zanim go pocalowalam.

Całe moje ciało rwało się do niego.

– Ja ciebie też.

Postawil mnie na podlodze i odwrócił do siebie tyłem. Zadrzalam, gdy zsunal mi z nog spodenki, a potem westchnalam glosno, bo przywarl do mnie całym ciałem. Skladal czule pocałunki na moich plecach, dlonimi wodzac po brzuchu. Coraz mocniej zaciskalam palce na brzegu biurka. W zyłach plynelo mi czyste poządanie. Pieścił dlonimi wewnetrzną strone moich ud, co rusz podgryzajac skore na szyi. Bylam bliska błagania go, zeby sie mną porzadnie zajal. Brakowalo mi go tak cholernie mocno.

– Na pewno juz możemy? – upewnil sie, rozpinajac pasek.

– Tak – szepnelam zduszonym glosem, wypinajac w jego strone pośladki.

Jak tylko do moich uszu dotarl odglas szeleszczacego opakowania i opadajacych spodni, po ciele przebiegly mi ciarki, kumulujac sie w podbrzuszu. Drzalam z oczekiwania.

– Cholera... – sapnal, rozsuwajac mi nogi cieplymi dlonimi. – Tak bardzo za tobą tęsknilem...

– Zaczal sie we mnie powoli wsuwac, obsypujac moja szyje pocałunkami.

Rozciagal mnie centymetr po centymetrze. Przyjemne uczucie rozpierania powodowalo, ze nie bylam w stanie powstrzymac glosnych jekow. A kiedy przycisnal dlon do lechtaczki i zaczal sie we mnie poruszac, z ledwością utrzymalam sie na nogach.

– Vito...

W glowie kręcilo mi sie od nadmiaru emocji, a w podbrzuszu latała chmara motyli, rozsyłajac po moim ciele dreszcze. Drzalam pod wplywem jego ruchow i delikatnych, subtelných pocałunkow, które skladal mi na plecach i karku. Serce pompowalo krew z zawrotną predkoscia. Bylo mi cudownie. Lepiej niz zapamiatalam.

– Tak bardzo cie kocham.

– Ja ciebie też – wydyszalam z ledwością, zaciskajac na nim miesnie. Bylam tak blisko. Dosłownie ułamki sekund dzielily mnie od spełnienia.

– Vito... Zaraz...

Przyspieszyl, na co glosno jeknelam. Z przyjemności musialam przymknac powieki. Wypchnalam jeszcze bardziej biodra do tyłu, pragnac go poczuć jak najgłębiej, a wtedy on trafil w ten jeden czuly punkt. Przepadlam. Dotarlam na sam szczyt i z hukiem z niego spadlam, rozpadajac sie w drobny mak. Jeczalam i wilam sie pod nim, gdy przycisnal mnie do biurka, nie przestajac we mnie wchodzic. Ciagnal mnie za sutek, lizal i calowal po szyi, coraz ciezzej i glosniej dyszac. Kiedy zaczal we mnie pulsowac, a spomiedzy jego warg ulecial krzyk spełnienia, niespodziewanie doszlam po raz drugi.

Opadlam bezsilnie na blat biurka, próbujac złapac chociaz jeden normalny wdech powietrza. Vito gladzil mnie po plecach, calujac po karku. Bylo mi tak dobrze... Mimo ze drzaly mi nogi i ledwo zyłam, to dawno nie bylam tak... przyjemnie zmeczona.

W oczach stanely mi lzy, poniewaz kochalismy sie po raz pierwszy, odkad Iwanka odebrala nam dziecko. Zamrugalam kilka razy, odganiajac od siebie placz, po czym pocalowalam mocno Vita. Objal moja twarz dlonimi i natychmiast poglebil pocałunek, co rusz powtarzajac mi, jak bardzo mnie kocha.

Uśmiechnalam sie, zauwazajac, ze oczy mu blyszczą z zadowolenia, a twarz ma wyraźnie rozluźnioną.

– Poradzimy sobie ze wszystkim – szepnelam, wtulajac sie w niego. – Zawsze sobie poradzimy.

Ani przez chwile nie zalowalam, ze wzeliśmy ślub. Ani przez chwile.

Kochalismy sie. Bylimy dla siebie wszystkim. Tylko to sie liczylo.

Rozdział dziesiąty

Salvatore

Obserwowaliśmy z Dinem i Zoją stary dom Letowa, w którym przebywał Siergiej. Ukryliśmy się w czarnym busie należącym – według dokumentów – do firmy przeprowadzkowej. Nienawidziłem beczynnego siedzenia, jednak nie mieliśmy innego wyjścia. Nie zamierzałem popełnić tego samego błędu. Tym razem miałem zamiar być przygotowany na wszystko.

– Kutas prawie nie wychodzi na zewnątrz – warknąłem, zwijając dłonie w pięści.

Minęła właśnie trzecia godzina, a Siergiej dalej się nie pojawił.

– Z tego, co chłopcy zauważyli, wychodzi jedynie wieczorami i to o nieregularnych godzinach – mruknął Dino zza lornetki. – Jak tak dalej pójdzie, chuja się dowiemy. – Opał na fotel z mocno zaciśniętą szczęką. Miał dość. Podobnie zresztą jak ja.

W głębi siebie przyznałem mu rację. Zaczynałem się wkurwiać czekaniem. Po stokroć wolałbym wpaść do środka i zrobić rozpiardol. Nie mogliśmy jednak ryzykować. Obiecałem Zoi, że podejziemy do wszystkiego z głową. Szczególnie po tym, co się stało z Robertem. Straciliśmy już jedną osobę, nie mogliśmy stracić kolejnych.

– A jak reszta? – zapytała Zoja, spoglądając to na mnie, to na Dina.

Westchnął cicho i podrapał się po policzku, na koniec kiwając głową. Na ustach zadrgał mu lekki uśmiech.

– Zdecydowanie lepiej. Ludzie pojawiają się mniej więcej o tej samej porze w każdym z budynków, więc dość łatwo przyjdzie nam obliczyć optymalny czas na dokonanie ataku, ale... – Zamilkł, krzywiąc się i zerkając na posiadłość, w której zaszył się Wetrow.

– Ale najważniejszy jest Siergiej – warknąłem. – Ci cholerni Rosjanie wpędzą mnie do grobu.

Zoja prychnęła, na co posłałem jej przepraszające – poniekąd – spojrzenie. Ona była po prostu wyjątkiem.

– Nie każdy Rosjanin jest taki jak Siergiej – mruknęła.

– Oczywiście, że nie. Ty nie jesteś.

Miałem cholerne szczęście, mogąc ją nazywać żoną. Ta mała, niepozorna i zahukana blondyneczka stała się całym moim światem. Nie potrafiłem sobie wyobrazić bez niej życia. Gdyby coś jej się stało przez moje niedopatrzenie, nie byłbym w stanie sobie wybaczyć.

– Wyszedł.

Natychmiast wlepiłem spojrzenie w wyjście z domu. Siergiej wyłonił się z niego w towarzystwie jakiegoś osiłka, którego pierwszy raz widziałem na oczy. Zresztą odkąd wróciliśmy do Rosji, ani razu nie zobaczyliśmy Iwankowa, Korotkowa czy Lasowa. Do głowy mi przyszło, że Siergiej mógł ich posłać do piachu. Nasi ludzie ich szukali – intuicja mi podpowiadała, że mogą być nam pomocni.

– Co on kombinuje? – Zmarszczyłem brwi, kiedy Siergiej zszedł po schodach i zatrzymał się obok mercedesa.

Oparł dłonie o maskę, a głowę schował między ramionami. Chwilę postął w tej pozycji, aż w końcu wyprostował się szybko i uderzył pięścią w dach. Zmarszczyłem brwi, zastanawiając się, co go tak rozwścieczyło.

Dowiedział się, że jesteśmy w Rosji? Nie, to niemożliwe.

– I to tyle? – zapytała Zoja, gdy Siergiej odwrócił się na pięcie i wrócił do budynku. – Dlaczego on się stąd nie rusza?

– A bo ja to, kurwa, wiem – burknąłem cicho. – To jest Siergiej. Z nim to nigdy nic, kurwa, nie wiadomo. – Oparłem ze zrezygnowaniem głowę o zagłówek. – Może ktoś dał mu cynk, że jest obserwowany?

Na to pytanie nikt z nas nie znał odpowiedzi.

– A może... – Zoja chrząknęła. – Może jest załamany?
– Załamany? – Parsknąłem śmiechem, obrzucając ją niezrozumiałym spojrzeniem. – Niby czym?
– No... W końcu Gi zabiła Iwankę, a najwyraźniej byli tam razem i może... – Wzruszyła ramionami.

– Błagam – prychnąłem, kręcąc z rozbawieniem głową. – Tylko mi nie mów, że myślisz, że on ją kocha i dlatego jest teraz załamany – powiedziałem z rozbawieniem.

– Przecież może tak być – syknęła z irytacją.

– Chyba w to nie wierzysz... Czy on ci wygląda na kogoś, komu na kimś zależy?

– A co, uważasz, że tacy jak on nie są w stanie się zakochać? – warknęła. – Oczywiście, że są. Przecież też ma...

– Nie pieprz mi tu, że Siergiej ma serce, bo jak to usłyszę, to wyjdę z siebie – przerwałem jej, zwijając dłonie w pięści.

To, co sugerowała, było gadaniem potłuczonej kobiety, która wierzy w miłość i jednorożce.

Wetrow może i miał organ odpowiadający za pompowanie krwi, jednak w życiu bym nie uwierzył, że jest w stanie kogoś kochać szczerą miłością. Co najwyżej mógł mieć na czyimś punkcie obsesję, o. Zresztą... Kurwa, naprawdę? Miałby się zakochać w kimś, kogo porwał? To było tak irracjonalne, że pokręciłem głową ze śmiechem.

Nie wiem, co Zoi strzeliło do głowy, ale jedynym wyjaśnieniem było to, że Letow trzymał ją zbyt długo pod kloszem. Myślała, że każdy ma w sobie załączek dobra. A przecież to był Siergiej! Skurwysyn bez serca i krzty współczucia. Powinna o tym doskonale pamiętać. Albo o tym zapomniała, w co wątpiłem, albo...

Myśl, żeby wyjść poza ramy, dopadła mnie dość nagle. A może Zoja miała rację? Może Siergiej naprawdę był załamany?

Uśmiechnąłem się nieznacznie.

– Skąd ta zmiana? – zdziwił się Dino, spoglądając na mnie kątem oka.

– Pomyślałem, że...

– Że mogę mieć rację – wtrąciła się Zoja. – I jeśli ją mam, to mamy szansę pokonać Siergieja, bo nie myśli racjonalnie. Po prostu musimy przeanalizować jego zachowanie pod kątem utraty kogoś, na kim mu zależy.

Nie zamierzałem mówić na głos, że dokładnie o tym pomyślałem. Nie dałaby mi później spokoju.

– Chodzi mi o to, że jeśli masz rację, to mamy większe szanse, choć nie liczę na to. – Wzruszyłem ramionami.

Zoja natomiast się skrzywiła, ale już nic więcej nie powiedziała, tylko podążyła za moim spojrzeniem. Na powrót skupiliśmy się na obserwacji.

Dopiero około drugiej w nocy, godzinę przed końcem naszej zmiany, pod budynek podjechał czarny, terenowy mercedes. Nikt go nie opuścił, na szczęście nie musieliśmy długo czekać na ruch ze strony Siergieja. Wyszedł z domu, zbiegł po schodach i wszedł do auta na miejsce pasażera. Samochód odjechał chwilę później.

– Jedziemy – postanowiłem. Dino obrzucił mnie niespokojnym wzrokiem. – Nie patrz tak na mnie. Wiem, że mieliśmy zgłaszać takie wyjazdy, ale nie mamy na to czasu. Musimy go śledzić.

– Dobra. Masz rację – przytaknął, uruchamiając silnik.

Ruszyliśmy za Siergiejem, kierując się w stronę centrum Moskwy.

Rozdział jedenasty

Zoja

Staraliśmy się utrzymać bezpieczną odległość za mercedesem. W końcu mieliśmy szansę dowiedzieć się o Siergieju czegoś więcej.

– Jedziemy na południe? – zdziwiłam się, bo Siergiej nie miał tam żadnych budynków. To znaczy o żadnych nie wiedzieliśmy.

– Ta... – mruknął w odpowiedzi Salvatore. – Może ma jakieś magazyny na inne nazwisko.

Pokiwałam głową, jednocześnie zastanawiając się, czy to możliwe, że Wetrow jedzie tam, gdzie myślałam, że jedzie.

Jedynym miejscem, które było na południu, a które znałam, to dom rodziców Iwanki. Pomyślałam sobie, że to głupie, więc nie wspomniałam o tym na głos. Po co miałby do nich jechać? Po co miałby jechać do kogoś, komu zabrał córkę do burdelu?

Uniosłam jednak brwi, gdy samochód wjechał na teren posesji państwa Sajanowów.

– Co on tu robi? – zapytał Salvatore, wyciągając telefon. Zapewne chciał sprawdzić, do kogo należy dom.

– Nie...

– Tu mieszkała Iwanka – przerwałam Dinowi, gdy z budynku wyszli jej rodzice. Podeszli do Siergieja, jak tylko wysiadł z auta, po czym...

Przyciągnęli go do uścisku.

– Co do...

– ...kurwy? – dokończył za mnie Salvatore, nie kryjąc zaskoczenia w głosie. – Dlaczego oni się zachowują tak, jakby go dobrze znali? Dlaczego nie próbują go zabić za to, że wywiózł ich córkę?

Zadawał te pytania, ale myślę, że już wtedy dotarło do niego, że przez większość czasu byliśmy w błędzie co do relacji Siergiej-Iwanka.

– Najwidoczniej... – Chrząknęłam i przełknęłam głośno, ponieważ w gardle urosła mi gęsia skórka. Tyle lat żyłam w kłamstwie. – Najwidoczniej się bardzo dobrze znają – wyszeptalam, wbijając paznokcie we wnętrze dłoni. Syknęłam z bólu, jednak nie rozluźniłam pięści.

Byłam wściekła!

– Kurwa! – Salvatore uderzył w fotel. – Kurwa! Kurwa! Kurwa!

– Uspokój się – warknął do niego Dino; ja bym się nie odważyła. – Wkurwianie się nic ci teraz nie da. Trzeba się...

– Czy to nie oczywiste? – prychnęłam z irytacją. – Ta szmata od początku się mną bawiła. Udawała przyjaciółkę, żeby się do mnie zbliżyć. Nie zliczę, ile razy przesiadywała u mnie w domu, kiedy ja musiałam pomóc mamie albo wracałam później ze szkoły. Zamach na mojego ojca był od dawna zaplanowany!

Już dawno nie czułam takiej furii jak teraz. Miałam ochotę wyjść na zewnątrz, wziąć pistolet i wybić wszystkich w domu Sajanowów. Musieli zapłacić za to, co nam zrobili. Musieli zapłacić za dziecko Vi, za Rosalie, za moich rodziców. Za to, co ze mną zrobili!

Nigdy wcześniej żądza rozlewu krwi nie była przeze mnie tak silnie odczuwana.

– Pierdoleni Rosjanie pragnący władzy – warknęłam.

– Twój ojciec nigdy niczego nie podejrzewał? – zapytał Salvatore, obrzucając mnie uważnym spojrzeniem.

– A w życiu! Gdyby coś podejrzewał, już dawno by ich wszystkich powybił – warknęłam, obserwując budynek, w którym zniknęli rodzice Iwanki i Siergiej. – Ojciec bał się o utratę władzy, więc jak tylko miał jakieś podejrzenia, nie zadawał pytań, tylko mordował.

Jednego ze swoich znajomych zabił tylko za to, że grzebał w jego papierach. Nie dał mu nawet dojść do słowa. O tym człowieku wiedziałam, bo przez przypadek byłam świadkiem akcji w biurze.

– Okej... – Salvatore westchnął ciężko, kiwając głową. – Jesteśmy o krok do przodu. Siergiej nie wie, że my wiemy. Pewnego dnia się zdziwi, gdy tu przyjedzie i zastanie zwłoki.

– Chcesz ich zlikwidować?

– Czy to nie oczywiste? – Wbił we mnie wzrok, kiedy mruknęłam kilka słów pod nosem. – Co mówiłaś?

– Chcę się na nich zemścić.

Uniósł brwi, a po chwili potrząsnął głową.

– Nie – zaprotestował stanowczo. – Nie ma takiej pierdolonej opcji, Zoja – dodał, gdy otworzyłam usta.

Zacisnęłam wargi w wąską kreskę, warcząc ze złością.

– Chłopcy to załatwią. My będziemy obserwować wszystko z zewnątrz. Koniec tematu.

– Ale...

– Nie – warknął, zaciskając mi dłoń na ramieniu. – Koniec dyskusji. Jedziemy.

Dino bez wahania uruchomił silnik i odjechaliśmy spod budynku.

Przez całą drogę nie odezwałam się do Salvatore’ a ani słowem. Wkurzył mnie swoją nadopiekuńczością. Pogodziłam się z tym, że miałam na koncie śmierć niewinnych ludzi, więc równie dobrze mogłam zabić kolejnych – tym razem już nie tak niewinnych. Przecież oni się pośrednio przyczynili do śmierci mojej matki, do śmierci tamtych ludzi. Nie robiło mi to żadnej różnicy. I tak miałam się smażyć w piekle!

– Salvatore...

Próbowałam z nim porozmawiać, jak tylko weszliśmy do sypialni.

– Czy ty siebie słyszysz? – syknął, spoglądając na mnie ze złością. Napiął mięśnie. Wyraźnie widziałam, jak pracują pod materiałem białej koszuli. – Myślisz, że to takie proste wejść do ich domu i ich zabić? Myślisz, że strzelenie komuś w głowę jest...

– Przecież już zabijałam!

– Do kurwy! – ryknął, zaciskając palce na moich ramionach i potrząsając mną.

Nigdy nie widziałam, żeby był aż tak wyprowadzony z równowagi. Gdybym mu nie ufała, pewnie bym się przestraszyła, a tak? Jedyne mnie jeszcze bardziej rozwścieczył.

– To nie jest to samo! Wtedy zabijałaś, bo nie miałaś wyjścia, do jasnej cholery! Teraz... Sekunda twojego zawahania może sprawić, że zginiesz. Nie mogę do tego dopuścić...

Otworzyłam usta, żeby zaprotestować, jednak nie zdążyłam nic powiedzieć.

– A nawet jeśli się nie zawahasz, to akcję i tak trzeba przeprowadzić bardzo szybko. Tam nie będzie bezpiecznie, *amore* – powiedział spokojnie, rozluźniając uścisk. – Przysięgam, że oboje zginą, tyle że nie weźmiemy udziału w tej akcji. Nic, co powiesz albo zrobisz, nie zmieni mojego zdania. Obiecałem sobie i tobie, że zrobię wszystko, żebyś była bezpieczna, i zamierzam dotrzymać danego słowa. Proszę, nie walcz ze mną.

Westchnęłam głośno, przymykając powieki. Zrozumiałam, dlaczego tak zareagował. Martwił się o mnie. Cholera jasna. Rozumiałam to, bo ja też się o niego martwiłam.

Postanowiłam skapitulować.

– W porządku – przytaknęłam, kiwając głową. – Ale zginą na dniach, tak?

– Tak. – Objął moją twarz dłońmi i pogładził mnie po policzkach. – Ustalimy dzień i chłopcy się z nimi rozprawią.

Uśmiechnęłam się do niego czule i objęłam go w pasie ramionami, przyciskając twarz do jego torsu. Klatka piersiowa unosiła mu się szybko pod wpływem nerwowego oddechu, a serce głośno tłukło się pod żebrami. Dalej był zdenerwowany. Zapewne się bał, że może mi odbić i wymknę się z domu. Nie byłam głupia.

Poza tym za bardzo go kochałam, żeby odstąpić od niego choćby na jeden krok.

– Obiecasz mi coś? – zapytał szeptem, wsuwając mi palce we włosy. Odchylił mi głowę tak, że mogłam spojrzeć w jego błyszczące oczy. Czaiły się w nich zmartwienie i strach. – Nie ruszaj się nigdzie beze mnie. Nie odstępuj mnie nawet na krok, *carissima*. Każdą obserwację, każde wyjście z domu... róbmy to razem.

– Obiecuję, mężu – wyszeptałam bez chwili wahania, przytykając dłoń do jego policzka. Kciukiem przesunęłam po bliźnie, na co się skrzywił, ale gdy chciał się odsunąć, przytrzymałam go. – Przestań, proszę. – Musnęłam jego wargi. – Jesteś najprzystojniejszym mężczyzną na świecie. Nawet z bliźniami. Ile razy mam ci to jeszcze powtórzyć?

– Aż w to nie uwierzę – odpowiedział, uśmiechając się nieznacznie. Nachylił się i pocałował mnie lekko, na koniec szepcząc: – *Ti amo, amore mio*².

– Ja ciebie też, przystojniaku – wymamrotałam. – Cholernie mocno.

Dokładnie tak było. Kochałam go tak bardzo, że na samą myśl o tym, że mogę go stracić i zostać sama na tym popieprzonym świecie, czułam się, jakbym miała zaraz dostać ataku paniki. Na samą myśl, że mogłabym zostać wdową, robiło mi się gorąco i duszno. Nie potrafiłam sobie wyobrazić, co czuła Giovanna, kiedy dowiedziała się o śmierci Roberta. Tak cholernie jej współczułam. Jak lwica broniła się przed małżeństwem, a potem, gdy już wszystko zaczęło się układać, bańka szczęścia pękła. Kilka sekund i została pustka.

Ktoś mógłby powiedzieć, że mieliśmy świetne życie i mogliśmy wszystko, ale... Jeśli nie miało się obok siebie kogoś, kto był naszym oparciem w trudnych chwilach i kto był w stanie wskoczyć za nim w ogień, to nawet miliardy na koncie nie zapełniały pustki w sercu.

To właśnie dlatego tak bardzo się wtuliłam w Salvatore'a po położeniu się do łóżka. W głębi siebie czułam, że zbliżało się coś, co miało zachwiać naszym światem, co mogło nas zniszczyć.

Rozdział dwunasty

Silvio

W końcu! W końcu mogliśmy się skupić na obserwacji magazynu, w którym przebywa Penna. Co prawda nie siedział w nim dwadzieścia cztery na siedem, jednak spędzał w nim sporo czasu.

Tym razem obserwowaliśmy budynek z Payton, siedząc w starym pickupie nieopodal. Towarzyszyło nam kilku żołnierzy – byli rozstawieni tak, żeby mieć podgląd na każdą stronę magazynu. Nie chciałem żadnych niespodzianek czy ataku z zaskoczenia. Mieliśmy zadanie tylko obserwować, nic więcej. Co prawda dłonie mnie świerzbiły, żeby zwołać resztę chłopaków i wpieprzyć wszystkie kule w ludzi Penny, ale...

No właśnie – było małe „ale”. Dzień wcześniej przyjechała ciężarówka. Wyprowadzili z niej kilka kobiet i umieścili je w magazynie. To nam utrudniało robotę. Nie mogliśmy strzelać na oślep, nawet gdybyśmy mieli taką potrzebę. Nie chciałem ryzykować śmierci niewinnych ludzi.

Dlatego siedzieliśmy jak kołki w samochodzie, niemal zapuszczając korzenie.

– Jak ja nienawidzę beczynnie siedzieć – mruknęła Payton i westchnęła ciężko. Oparła policzek o szybę, nie przestając patrzeć na budynek. – Wolałabym już ich zaatakować.

– Wiem. Ja też – przytaknąłem, zaciskając palce na jej ręce. – Cierpliwość nie jest moją mocną stroną. – Uniosłem jej dłoń i przycisnąłem do niej wargi. – Niestety musimy wytrzymać.

Posłała mi rozczulone spojrzenie, lecz dosłownie po ułamku sekundy spowaźniała.

– Nie zmieniłeś zdania co do ataku? Może go przyspieszymy?

Pokręciłem głową.

– Nie. Musimy jeszcze poczekać. Mamy zbyt wiele niewiadomych. Za mało czasu spędziliśmy na obserwacji.

Przytaknęła, kiwając głową. Musiała mieć podobne zdanie do mojego, skoro nie zaczęła się ze mną sprzeczać.

– Czyli jak dobrze pójdzie... za miesiąc będziemy w Rosji.

– Ta... – Ani trochę nie chciałem tam jechać. – Salvatore nie da sobie sam rady.

Może i wychodziłem na chujowego brata, ale miałem rację. Fakt, że miał Dina do pomocy, wcale mu wiele nie dawał.

– Boisz się?

– Czego? – Zmarszczyłem brwi, posyłając jej niezrozumiałe spojrzenie.

– Tego, że albo nam się uda, albo...

– Uda nam się – przerwałem jej. – Uda nam się, zobaczysz. Penna zginie, a my polecimy do Rosji. Albo przylecimy, gdy Siergiej będzie już martwy, albo pozbędziemy się go razem z Salvatore'em. Tak czy siak wygramy – powiedziałem stanowczo, gładząc ją po dłoni. – Nie biorę innego rozwiązania pod uwagę.

– Mam nadzieję – wyszeptała niemrawo. – Nie chciałabym, żeby coś poszło nie tak, żeby coś ci...

– Nic mi nie będzie – warknąłem może nieco zbyt ostro. To zamartwianie się nie było do niej podobne. – Ani mnie, ani tobie, ani nikomu z mojej rodziny.

– Roberto też tak pewnie myślał... – dodała półgłosem, przymykając powieki.

Westchnąłem ciężko i zazgrzytałem zębami. Kompletnie mi się nie podobało, że Giovanna została – jakby na to nie patrzeć – sama we Włoszech.

Cholera jasna.

Z drugiej strony... niespecjalnie wierzyłem w jego śmierć. Nazwijcie mnie naiwnym, jeśli chcecie, jednak nie chciało mi się wierzyć, że Roberto się tak po prostu poddał. Na pewno walczył o życie.

Tyle że wszystkie znaki na niebie wskazywały na to, że moja siostrzyczka została wdową.

Przez myśl mi przemknęło, żeby zahaczyć o Włochy przy okazji lotu do Rosji. Po pierwsze chciałem sprawdzić, jak się trzyma Gi, a po drugie przekonać się, czy Roberto aby na pewno nie żyje. Miałem dziwne przeczucie, że jest inaczej. Jasne, mogłem o tym wspomnieć siostrze, tylko po co? Była w ciąży – cholera jasna, będę wujkiem! – więc nie powinna się stresować.

Zaśmiałem się w myślach.

Gi ma unikać stresu? Dobrze. W naszym świecie to niemożliwe.

– Wyszedł. – Głos Payton wyrwał mnie z zamyślenia. – Rozmawia przez telefon.

Faktycznie Penna stał przed magazynem i przyciskał komórkę do ucha. Od razu włączyłem urządzenie podsłuchujące i ustawiłem je na odpowiedniej częstotliwości, kręcąc pokrętłami.

– ...mówiłem ci, że mam wszystko pod kontrolą...

– ...masz... zabić...

– ...zrobię... teraz... czas...

Zwinąłem dłonie w pięści. Rozmowa była strasznie niewyraźna, mało z niej rozumiałem. Penna miał kogoś zabić. Rozkazał mu to rozmówca. Tyle wiedziałem. Nie miałem pojęcia, kim była druga osoba na linii – numer najpewniej był zastrzeżony – ale wychodziło na to, że Penna nie jest rozgrywającym. Usta wykrzywiły mi się nieznacznie. Penna był pionkiem w tej grze.

– Za dużo się...

– Mylisz się – przerwałem Payton, wyłączając urządzenie, bo Penna schował się do budynku. Ściany były zbyt grube, żeby w środku w ogóle był zasięg, a co dopiero możliwość podsłuchu. – Pamiętasz moje porównanie do kutra rybackiego?

– Oczywiście – mruknęła z jawnym rozbawieniem. – Clifton był płotką, a Penna...

– ...też nią jest – dokończyłem za nią, na co rozszerzyła oczy, jakby nagle coś do niej dotarło. – Ktoś inny jest rekinem. Musimy się dowiedzieć, kto to. Może Gi będzie coś wiedzieć – mruknąłem, wyciągając telefon.

Nie usłyszałem nawet drugiego sygnału, zanim odebrała.

– Do kurwy! Przestań do mnie wydzwaniać albo się odezwij, pierdolony stalkerze!

Na moment mnie zatkało. Autentycznie na kilka sekund zabrakło mi słów.

– Odezwij się! Słyszę twój pierdolony oddech!

Otrząsnąłem się i chrząknąłem.

– Cześć, siostrzyczko. Kto cię tak wkurzył?

Odezwała się dopiero po chwili:

– Boże, Silvio, tak bardzo cię przepraszam. – Jęknęła żałośnie. – Od jakiegoś czasu dostaję głuche telefony. Zaczyna mnie to coraz bardziej wkurwiać.

– Masz stalkera, tak? Nie wiesz może, kto to?

– Nie mam pojęcia. – Westchnęła ciężko. – Nieważne. To tylko jakiś idiota. Coś się stało, że dzwonicz? Wszystko u was okej?

– Powiedzmy – wymamrotałem. – Podejrzewamy, że Penna jest jedynie pionkiem w tej porąbanej grze. Podsłuchaliśmy jego rozmowę, gdy ktoś mu rozkazywał. Zastanawiamy się, czy masz może pomysł na to, kto to mógł być? Zdecydowanie miał włoski akcent.

– Nie mam pojęcia... – Westchnęła. – Siergiej współpracował ze starym Carvellim i możliwe, że współpracuje z kimś jeszcze we Włoszech, ale oprócz tego nie wiem nic więcej na ten moment. Błędzimy trochę we mgle...

– Ta... – przyznałem, drapiąc się po policzku. Coś jeszcze mi nie dawało spokoju. Musiałem zapytać. – Jak się czujesz?

Czasami byłem głupkiem. Zrozumiałem to, kiedy Payton posłała mi zirytowane spojrzenie, a Gi westchnęła płacząco, zanim się odezwała.

– A jak mam się czuć? – zapytała z kpiną w głosie. Najpewniej miała łzy w oczach i próbowała je ukryć. – Śpię, jem, śpię, jem, planuję, śpię, jem, a w przerwach, gdy nikt nie patrzy, trochę sobie płaczę – wyszeptwała. – Cholernie za nim tęsknię, wiesz?

– Gi... – Zdażyłem się ugryźć w język, zanim jej powiedziałem o swoich szalonych podejrzeniach. – W końcu poczujesz się lepiej.

Nie nadawałem się na pocieszyciela. „Poczujesz się lepiej”? Miałem ochotę strzelić sobie w łeb za własną głupotę. Gi na szczęście nie skomentowała tego w żaden sposób. Chwilę jeszcze porozmawialiśmy o naszych planach, aż w końcu zakończyłem połączenie, bo podjechała nasza zmiana. Stanęli w niedalekiej odległości od nas.

– Wreszcie będę mogła się wyprostować – rzuciła Payton, uśmiechając się do mnie i posyłając mi figlarne spojrzenie.

Kokietka.

– Wyprostować się, mówisz? – Przesunąłem spojrzeniem po jej ciele, na dłużej skupiając się na wyeksponowanym przez pasy dekolcie. Zdusiłem w sobie jęknięcie.

– Wyprostować się. – Zaśmiała się i dodała szeptem: – Wygiąć się, zgiąć... Możemy sprawdzić, w jakiej pozycji będzie mi wygodnie spędzić najbliższy czas po tych kilku godzinach siedzenia na cholernie niewygodnym fotelu. – Przesunęła dłoń wyżej, zatrzymując ją na milimetry od mojego rozporoka.

Tym razem nie powstrzymałem głośnego jęku.

Rozdział trzynasty

Payton

W drodze do hotelu specjalnie prowokowałam Silvia, wodząc dłonią po jego udzie. Uśmiechałam się delikatnie, zerkając na niego kątem oka. Czułam pod palcami napięte mięśnie. Widziałam, jak nerwowo zaciskał szczękę, gdy skupiał wzrok na drodze. Samo wybrzuszenie w jego spodniach nakręcało mnie jeszcze bardziej.

Nie potrafiłam jednoznacznie określić, co mnie w nim tak podniecało, ale za każdym razem, kiedy patrzył na mnie z pożądaniem, odnosiłam wrażenie, jakbym miała zaraz eksplodować. Jeszcze nikt nigdy nie powodował we mnie aż takiego skoku libido.

Nie przeszkadzało mi to ani trochę. Byłabym głupia, gdybym miała z tego powodu narzekać.

– Mam na ciebie ochotę – zamruczałam, zaciskając dłoń na jego strategicznym miejscu.

Przeklął siarczyście i zahamował tak ostro, że gdyby nie pasy, poleciałabym na szybę.

– Co robisz? – zapytałam ze śmiechem, widząc, że zjeżdża na przydrożny parking.

Oddech mi przyspieszył. Zrobiłam się jeszcze bardziej wilgotna.

Silvio zatrzymał się na końcu parkingu – w miejscu, do którego nie docierało światło z okolicznych lamp. Wyłączył silnik, odwrócił się w moją stronę i przyciągnął mnie do siebie za kark, wpijając się zachłannie w moje usta. Jęknęłam głośno, odpięłam pas wolną ręką i przybliżyłam się do niego. Drżącą dłonią rozsunałam mu rozporek i odpięłam guzik w spodniach.

– Kocico moja – mruknął gardłowo, przygryzając mi wargę.

Moje ciało zapłonęło z pożądania z chwilą, w której wsunął mi dłoń pod koszulkę. Pociągnął za miseczki stanika w dół i ścisnął mocno sutek pomiędzy palcami.

– O Boże! – sapnęłam głośno, wypychając mocno pierś do przodu. Po ciele przebiegły mi dreszcze przyjemności i bólu.

Bez zastanowienia i dość niecierpliwie wy dobyłam z jego bokserek sztywnego członka, by zacisnąć na nim palce. Silvio jęknął, opierając czoło o moje i spoglądając na mnie zamglonym z pożądania wzrokiem. Zaczęłam poruszać powoli dłonią, czując, jak pęczniał coraz bardziej.

Kiedy oddech mu jeszcze bardziej przyspieszył i się spłycił, popchnęłam go lekko do tyłu i wspięłam się na fotel. Uklęknęłam na siedzeniu i nachyliłam się w stronę Silvia, uśmiechając się figlarnie. W jego oczach pojawił się błysk zrozumienia, gdy objęłam dłonią penisa i przejechałam po nim językiem – od podstawy aż po sam czubek.

– Payton... – jęknął zduszonym głosem, wsuwając mi dłoń we włosy.

Uwielbiałam jego reakcje na to, co mu robiłam. Kochałam je.

Objęłam czubek wargami, przesunęłam po nim językiem i wsunęłam go głębiej w usta, mrużąc przy tym z zadowolenia. Silvio od razu owinął sobie moje włosy wokół nadgarstka i przyciągnął mnie bardziej do siebie, wypychając biodra. Byłam na to przygotowana. Lubił mieć nade mną władzę, a mnie to ani trochę nie przeszkadzało.

Uwielbiałam, kiedy dominował podczas seksu. To było dla mnie jak powiew świeżego powietrza – oddawałam mu kontrolę, o niczym nie myślałam, jedynie o przyjemności.

– Payton – wychrypiał, wchodząc głębiej w moje usta.

Przełknęłam ślinę, żeby powstrzymać odruch wymiotny. Zmusiłam się do równego oddychania nosem, bo w oczach stanęły mi łzy. Gdybym nie miała wypełnionych ust, pewnie bym głośno jęknęła.

– Och, tak, właśnie tak...! – Wypchnął mocno biodra, dociskając mnie do siebie tak, że poczułam go aż w gardle.

Zakrzusnęłam się i lekko odsunęłam, na co zareagował, rozluźniając uchwyt na mojej głowie. Chciałam więcej, ale nie pozwolił mi na to. Pociągnął mnie do góry i pocałował mocno. Dłońmi powędrował do moich spodni dresowych. W duchu dziękowałam sobie za to, że nie założyłam dżinsów.

Jak tylko zsunął materiał z mojego tyłka, wsunął we mnie dwa palce. Nie potrzebowałam

dotatkowej stymulacji. Byłam rozgrzana do granic możliwości.

– Taka mokra... – wymamrotał z zadowoleniem, wodząc wargami po mojej żuchwie.

Jęknęłam głośno, gdy zaczął poruszać dłońią, co rusz przesuwał zębami po mojej szyi. Po ciele rozlało mi się przyjemne ciepło, kumulując się w podbrzuszu.

– Chodź tu – odezwał się rozkazująco, zabierając dłoń. Chwyił mnie za biodra i przyciągnął stanowczo do siebie tuż po tym, jak odsunął fotel.

Zrzuciłam z siebie spodnie i wspięłam się na Silvia, odwracając się przodem do kierownicy. Dobrze, że w pickupie było sporo miejsca, dzięki czemu nic nie wbijało mi się w brzuch. Przyklękłam nad jego udami, a w momencie, w którym uznałam, że wygodniej już nie będzie, opadłam na niego. Jęknęliśmy głośno, kiedy wszedł we mnie do samego końca, rozpychając mocno. Przymknęłam z przyjemności powieki i oparłam plecy o jego tors.

Było mi tak dobrze...

– Silvio...! – sapnęłam. Docisnął dłoń do łechtaczki, poruszając się we mnie powoli.

Kochaliśmy się niespiesznie. Jego usta na mojej szyi i ręka pomiędzy udami doprowadzały mnie do szaleństwa, a coraz mocniejsze ruchy biodrami powodowały, że chwilami brakowało mi tchu. Niewiele było mi trzeba do osiągnięcia spełnienia. Jak tylko zaczęłam się na nim zaciskać, unieruchomił mnie i przyspieszył ruch palców na łechtaczce, wchodząc we mnie głęboko i niemal niecierpliwie.

– Tak! – krzyknęłam głośno, gdy po moim ciele rozlały się błogie dreszcze. Serce niemal połamano mi żebra, tak mocno biło.

Zwolnił, kiedy dalej targały mną spazmy silnego orgazmu. Gładził mnie po brzuchu, całując delikatnie po karku. Mruczał mi do ucha, jak bardzo mnie uwielbia i jak cudownie jest mu ze mną. Czasami był takim słodziakiem, że roztopiał mi mózg i serce.

Syknęłam cicho, czując zbliżający się skurcz w łydce.

– Silvio... – szepnęłam przepraszająco nieco jeszcze zdyszonym głosem. – Zmienimy pozycję?

– Mam lepszy pomysł. – Uśmiechnął się łobuzersko, a ja już wiedziałam, co mu chodzi po głowie. – Uklęknij, kochanie.

Serce mi mocniej zabiło.

– Dobrze, proszę pana – mruknęłam, uśmiechając się lubieżnie, po czym zsunęłam się z niego. Oblizawałam powoli wargi, zanim uklękłam między jego nogami.

Kierownica trochę mi przeszkadzała, jednak nie było tragedii.

Zajęłam się nim tak, jak uwielbiał. Wzięłam go głęboko między wargi, dłonie trzymając na udach. Pozwalałam mu na wszystko, bo wiedziałam, że on jest w stanie dać mi wszystko, czego tylko bym zapragnęła. No i ufałam mu. Wiedziałałam, że nie zrobi mi krzywdy. Znał reakcje mojego ciała. Wiedział, kiedy rozluźnić uchwyt na moich włosach, a kiedy go wzmacniać.

Poruszał moją głową coraz szybciej, wsuwając się niemal całą długością. Z boku może to wyglądało, jakby mnie nie szanował, ale... miałam to gdzieś. Wystarczyło, że my znaliśmy prawdę, która była zgoła inna.

– Payton... Cholera... Kocham cię... – Jęknął gardłowo, wypełniając moje usta nasieniem.

Patrzyłam na niego, gdy puszczały mu hamulce, jak dochodzi, miało w sobie coś rozczulającego. To przy mnie pozwalał sobie na opuszczenie gardy. To ja pokazałam mu, że może mi zaufać. Zapięły mnie oczy. Po policzkach spłynęło mi kilka łez. Silvio, jak tylko na mnie spojrział zamglonym wzrokiem, wciągnął mnie na siebie i starł je z policzków.

– Jesteś cudowna, wiesz? – wyszeptał zduszonym głosem. – Kocham cię. Nawet nie wiesz, jak cholernie się cieszę, że cię poznałem, kochanie. – Uśmiechnął się czule, nie przestając gładzić mnie po policzkach.

– A ja się cieszę, że bez wahania ci wtedy zaufałam. Cieszę się, że cię mam. Jesteś najlepszym, co mogło mi się przytrafić. – Przełknęłam ciężko ślinę, bo właśnie coś do mnie dotarło i zamierzałam powiedzieć to na głos. Po tym, co się stało z Robertem, nie warto było tracić czasu. W końcu żyje się tylko raz. – Kocham cię i chcę wziąć z tobą ślub, Silvio.

– Naprawdę? – Popatrzył na mnie z zaskoczeniem, wykrzywiając usta w uśmiechu. W jego oczach błysnęła radość.

– Naprawdę. – Uśmiechnęłam się i musnęłam wargami jego usta. – O niczym innym tak nie marzę, jak o tym, żeby móc nazywać cię moim mężem.

Miałam gdzieś, że znaliśmy się krótko. Wiedziałam, że nie znajdę nikogo lepszego. Silvio był dla mnie stworzony.

Rozdział czternasty

Giovanna

Minęło trzynaście dni, odkąd zostałam wdową z perspektywą na samotne wychowywanie dziecka. Trzynaście cholernych dni, które spędziłam na planowaniu ataku na domy w Carpi. Ustaliliśmy z Maurem, że to właśnie ten moment był idealny na podłożenie bomby – nazajutrz rodziny Tufaro, Carsello i Pase organizowały bal z okazji zaręczyn córki starego Tufaro. Ciężarówka z trotylem i innymi materiałami wybuchowymi miała wtopić się w „tłum” samochodów z dostawą towaru na bal.

Ze znalezieniem kierowcy-samobójcy nie było najmniejszego problemu. Został nim Fernando Mola – sześćdziesięcioletni mężczyzna chcący oddać życie dla dobra Naszej Sprawy w zamian za opłacenie studiów syna i sfinansowanie jego przyszłych planów biznesowych. Fernando kochał swoje dziecko bardziej niż własne życie.

Mimowolnie, gdy myślałam o rodzicielskiej miłości, położyłam dłoń na płaskim brzuchu i przymknęłam powieki. Było jeszcze zbyt wcześnie, żebym coś poczuła, ale sama świadomość tego, że pod sercem rosło dziecko moje i Roberta... Do oczu nabiegły mi łzy. Otarłam je wierzchem dłoni, jak tylko pociekły mi po policzkach. Brakowało mi męża. Przerażała mnie myśl o samotnym rodzicielstwie.

Z posępnym refleksji wyrwał mnie odgłos powiadomienia na telefonie. Zaakceptowałam połączenie bez patrzenia na ekran.

– Słucham? – zapytałam, siłąc się na normalny ton. Nie chciałam, żeby ktokolwiek słyszał, że płakałam. Musiałam być silna; chociaż z zewnątrz.

W głośniku nie usłyszałam nic oprócz czyjegoś oddechu. Spięłam się. Pieprzony stalker działał mi na nerwy. Z jednej strony chciałam się na niego wydrzeć, jednak z drugiej... może właśnie o to mu chodziło? O wytrącenie mnie z równowagi.

Rozłączyłam się.

Zanim zdążyłam odłożyć urządzenie, rozdzwoniło się raz jeszcze. Odrzuciłam połączenie. Potem zadzwonił jeszcze pięć razy. Nie miałam jak zablokować numeru, bo był zastrzeżony, a wyciszać telefonu nie mogłam – w każdej chwili mogli odezwać się do mnie kapitanowie grup.

Odetchnęłam z ulgą, kiedy komórka w końcu przestała się wydzierać. Rozluźniłam się i odblokowałam ją, żeby usunąć powiadomienia o nieodebranych połączeniach. Dokładnie w tym samym momencie dostałam wiadomość.

„Nawet nie próbuj brać udziału w akcji!”.

Wytrzeszczyłam oczy. Serce mi mocniej zabiło, bo przez ułamek sekundy wpadła mi do głowy idiotyczna myśl. Jednak bardzo szybko potrząsnęłam głową, parszcząc śmiechem. Nadzieja matką głupich.

Musiałam powiedzieć Maurovi, że prawdopodobnie mam podsłuch i ktoś wie o akcji. Musieli uważać.

Przeszłam cały parter, lecz nie znalazłam nigdzie mężczyzny. Zazgrzytałam zębami, wybierając jego numer.

– Gdzie jesteś? – warknęłam, zwijając wolną dłoń w pięść.

Domyślałam się odpowiedzi.

– W drodze na akcję.

– Czego nie rozumiałeś, gdy powiedziałam, że jadę z wami?! – podniosłam głos. – Sprzeciwiłeś mi się, Mauro! Jak cholera mi się to nie podoba!

– To zbyt niebezpieczne. Jesteś w ciąży – powiedział spokojnie. – Nie mogłem ryzykować, że szefowej albo dziecku stanie się krzywda.

Warknęłam ze złością, szarpiąc za drzwi od lodówki. Wyciągnęłam sok i upiłam łyk, próbując nie oszaleć.

– Nie mydl mi tu teraz oczu mówieniem do mnie per szefowo, Mauro! Miałam, do cholery, jechać

z wami. Nie taki był...

– Proszę się nie denerwować – przerwał mi opanowanym tonem. Wkurzało mnie, że ani trochę nie był wystraszony. – Na blacie w kuchni jest laptop. Po otwarciu wyświetli się zrzut kamery jednego z naszych ludzi. Może...

– To nie jest, kurwa, to samo – warknęłam, choć jednocześnie otworzyłam laptopa i usiadłam na krześle przed nim. – Ktoś wie o akcji – mruknęłam. – Dostałam wiadomość, że mam nie brać w niej udziału.

– Wszystko mamy pod kontrolą.

– Cholera jasna, Mauro. Mówię ci, że...

– Proszę się nie denerwować. Wszystko pójdzie zgodnie z planem. Muszę kończyć.

Zazgrzytałam zębami, kiedy się rozłączył. Miałam ochotę go udusić za to, że tak nonszalancko podszedł do wiadomości.

Uspokój się, Gi. Stres nie jest wskazany. Szczególnie teraz.

Odetchnęłam kilka razy głęboko, a gdy w końcu moje serce się uspokoiło, wlepiłam spojrzenie w czarny ekran. Czekałam, aż się rozświecili.

Zerknęłam na telefon, słysząc dzwonek. Zmarszczyłam brwi, bo znowu dostałam wiadomość. Przełknęłam ciężko ślinę, kiedy ją przeczytałam.

„Grzeczna dziewczynka”.

Serce znowu przyspieszyło. Oddech się spłycił. Znowu pojawiło się we mnie to uczucie zagrożenia... Miałam już go serdecznie dość. Nie potrafiłam w nocy spać, bo bałam się o własne życie. Nie dość, że na samą myśl o Robercie dostawałam mdłości, to jeszcze te cholerne wiadomości, które najwyraźniej miały się nasilić. Nie rozumiałam ich. Były jak wyrwane z kontekstu. „Grzeczna dziewczynka”? Ten SMS był dziwny i w kompletnie innym tonie niż cała reszta. Z trudem zdusiłam w sobie załączek nadziei. Ktoś robił mi sieczkę z mózgu, ot co.

Pierwsza wiadomość, którą dostałam z nieznanego numeru, brzmiała: „Adamo Orsi”. Domyśliłam się, że to ktoś z rodziny Santiny. I faktycznie tak było. Adamo był jej starszym bratem. Roberto zamordował go lata wstecz – tuż po śmierci Santiny. Nie miałam pojęcia, co ten SMS miał znaczyć.

Najdziwniejszą wiadomością było: „Nie waż się go pochować”. Kolejna brzmiała: „Zawsze będę miał cię na oku”. Ktoś chciał, bym wpadła w panikę.

Zwiększyłam ochronę wokół domu, praktycznie nie wychodziłam na zewnątrz. Bałam się ewentualnego ataku. Musiałam chronić nie tylko siebie, ale przede wszystkim nasze dziecko. Nie mogłam kolejny raz stracić ciąży.

W uspokojeniu się ani trochę nie pomagał fakt, że czułam się obserwowana. To uczucie było tak silne, że nawet w głupiej kuchni odwracałam się co chwilę za siebie. Tyle że nigdy nikogo na tym nie przyłapałam.

A może wariowałam?

„Kim jesteś?”, wystukałam wiadomość. To był pierwszy raz, kiedy próbowałam się z tym kimś skontaktować. Moim ludziom nie udało się zlokalizować właściciela numeru.

Odpowiedź nadeszła niemal od razu.

„Kimś, kogo znasz”.

Parsknęłam żalonym śmiechem, kręcąc głową.

„Daj mi spokój”.

To było głupie, jednak miałam nadzieję, że naprawdę da mi spokój.

Odłożyłam telefon, gdy ekran laptopa się rozświecił. Przed oczami stanął mi niezbyt dobrej jakości obraz, ale było wystarczająco wyraźnie, żebym rozpoznała trzy domy. W większości pomieszczeń świeciło się światło. Najwyraźniej rodziny się już zjechały. Cudownie.

Serce mi mocniej zabiło, kiedy pojawiła się nasza ciężarówka. Pojazd podjechał pod wysoką bramę oddzielającą posesję od ulicy. Do kierowcy podszedł ochroniarz. Obraz był kiepski, mimo to zdołałam zobaczyć, że Fernando podaje mu podrobione dokumenty dostawy. Ochroniarz je przejrzał,

oddał, a potem skinął głową w stronę paki.

– Wiedziałam – wyszeptałam. Zamierzał sprawdzić naczepę. Nie przejmowałam się tym. Ładunki były schowane pomiędzy artykułami spożywczymi.

Fernando otworzył tylne drzwi, po czym obaj zniknęli we wnętrzu. Przygryzłam nerwowo wargę, poruszając szybko nogą. Odetchnęłam z ulgą, jak tylko wyszli. Następnie ochroniarz otworzył bramę, a Fernando wjechał powoli na posesję.

– Tak... – Uśmiechnęłam się; brama zamknęła się za naszym koniem trojańskim.

Niecałą minutę później na ekranie pojawił się oślepiający błysk. Coś zabrudziło soczewkę kamery, bo obraz stał się rozmazany. Mimo to widziałam, jak trzy budynki zamieniają się w ruiny, z których wydobywają się kłęby dymu i języki ognia. Patrzyłam na to jak zahipnotyzowana, uśmiechając się triumfalnie.

Telefon się rozdzwonił. Natychmiast zaakceptowałam połączenie od Maura.

– Wszystko poszło zgodnie z planem. Zostaniemy tu jeszcze trochę, żeby sprawdzić, czy wszyscy zostali unieszkodliwieni – poinformował mnie z zadowoleniem w głosie.

– W porządku – przytaknęłam. Rozłączyłam się i potarłam palcami oczy, ponieważ zapiekły mnie od jasności na ekranie.

Zanim odłożyłam komórkę, zerknęłam na nią. Serce mi przestało bić, uśmiech zamarł na ustach, a oddech ugrzązł w gardle. Nie słyszałam powiadomienia o wiadomości. Do oczu napłynęły mi łzy.

Tym razem nie byłam w stanie zdusić nadziei w zarodku. Moją głową zawładnęły kompletnie idiotyczne, irracjonalne i nierealne myśli.

„Nie dam Ci spokoju. Niedługo się zobaczymy, lwico”.

Rozdział piętnasty

Roberto

Jakiś czas wcześniej

Ocknąłem się w jakimś pomieszczeniu wyglądającym jak szpitalny pokój. Byłem zamroczony lekami do tego stopnia, że znowu odpłynąłem. Budziłem się i zasypiałem, nie kojarząc nikogo, kto wchodził do środka. Dopiero po jakimś czasie – nie wiedziałem nawet jakim – udało mi się obudzić na dobre.

Napotkałem uważne spojrzenie Neckera. Siedział na krześle obok łóżka i przyglądał mi się z powagą.

– Co? Gdzie? – Zmarszczyłem brwi, nic nie rozumiejąc.

Byłem przekonany, że umrę na korytarzu aresztu.

– Zaraz ci wszystko wyjaśnię.

– Gdzie Gio?

Skoro Necker jest przy mnie, Gio też powinna się tu znajdować.

– W domu. – Chrząknął. – Nie wie, że przeżyłeś.

Zamrugąłem gwałtownie. Kiedy się nie zaśmiał z żartu, zazgrzytałem zębami. Zanim zdołałem się odezwać, zrobił to pierwszy:

– Na razie nie może wiedzieć, że przeżyłeś. Zaraz ci...

Chyba się przesłyszałem.

– Ocipiałeś, Necker – wycedziłem. – Czy ty, kurwa, sugerujesz, że moja żona myśli, że jest wdową? Czy ciebie do reszty popierdoliło?! – wydarłem się, unosząc na łokciach. Gdyby nie ból w boku, rzuciłbym się na niego i go rozszarpał. – Gdzie ja w ogóle jestem?

– Trzy domy od waszego – odpowiedział od razu i pokiwał głową. – Słuchaj, plan był inny... Jednak zamach na twoje życie nieco mi go pokrzyżował. – Potarł twarz dłonią; dopiero teraz zauważyłem, że wyglądał, jakby się postarzał o dobre dziesięć lat. – W nocy przed naszym spotkaniem udało mi się przeciągnąć na naszą stronę kilku strażników. Mieli sfingować twoją śmierć, a potem opłacona firma miała wywieźć twoje ciało. Tyle że plan poszedł się jebać, bo ktoś...

– Nie ktoś, tylko strażnik – przerwałem mu ostro. – Wjechał mi kosę z pozdrowieniami od Adama Ortisa.

– Adamo Ortis? – Zmarszczył brwi. – Muszę to jakoś przekazać...

– Daj mi telefon – przerwałem mu ponownie, machając dłonią, żeby się pospieszył.

– Nie możesz się z nią skontaktować – zaprotestował, wstając. Pogrzebał w torbie leżącej na podłodze i wręczył mi komórkę. – Nie da się go namierzyć. Jeśli chcesz usłyszeć jej głos, zadzwoń do niej, ale pod żadnym pozorem nie mów, że żyjesz.

– Dlaczego, do kurwy? – warknąłem, jednocześnie wystukując wiadomość do Gio z danymi Ortisa.

– Musi być wiarygodna.

– Pierdolenie. – Zazgrzytałem zębami. – Co wy macie, kurwa, z tym fingowaniem czyjejś śmierci, Necker? Jak nie Salvatore, to, kurwa, ty. – Odłożyłem telefon i wlepiłem w niego ostre spojrzenie. – Jeśli jej się coś stanie, to cię, kurwa, zajebię gołymi rękami. – Miałem w dupie, że był moim adwokatem i pewnie dzięki niemu poniekąd wyszedłem na wolność, jeśli jednak chodziło o Giovannę... byłem w stanie zrobić wszystko.

Prychnął, patrząc na mnie z rozbawieniem i uniesioną brwią.

– Roberto... – Uśmiechnął się z pobłażaniem. – Jeśli myślisz, że ruszają mnie pogrożki kogoś, kto nawet nie jest w stanie wstać z łóżka i sika przez cewnik, to się grubo mylisz. Nie od wczoraj żyję na tym świecie i nie od dzisiaj załatwiam tego typu sprawy, więc... – chrząknął – ...byłbym wdzięczny, gdybyś po prostu dał mi działać i przestał się wkurwiać.

Burknąłem w odpowiedzi kilka przekleństw. Uspokoilem się, jak tylko Necker pokazał mi nagrania sprzed domu. Ochrona została zwiększona, Giovanna była bezpieczna.

Ja niekoniecznie. Nie wątpiłem, że kiedy się dowie, że żyję, zrobi mi z dupy jesień średniowiecza.

Siedziałem już trzynaście dni w ukryciu, sto pięćdziesiąt metrów od mojej żony, oglądając ją na kamerach, które zamontował Necker na moje wyraźne polecenie. Widziałem, jak Gio snuje się po domu, ukradkiem ocierając łzy. Podziwiałem, że jakoś się trzyma w towarzystwie – miała wtedy na twarzy maskę obojętności.

Moje wewnętrzności rozdzierał ból, mimo to siedziałem grzecznie w kryjówce, czekając, aż Necker pozwoli mi się ujawnić. Mieliśmy zaatakować dom Adama bez jego wiedzy. Dodatkowo adwokat przekazywał mi wszystkie informacje uzyskane od Gio. Ktoś bawił się Penną jak kukiełką i prawdopodobnie ten ktoś należał do Camorry. Moje przeczucie podpowiadało mi, że tym kimś był Adamo Orsi. Kurwa, byłem przekonany, że go zabiłem, ale najwidoczniej od lat żyłem w cholernym błędzie.

– Co ty robisz, kochanie? – zapytałem szeptem, gdy Gio położyła dłoń na brzuchu i zaczęła go gładzić. – Co ty... O kurwa.

Rozszerzyłem oczy. Oddech ugrzązł mi w gardle, a serce mocno załopotowało w piersi. Dotarło do mnie, że ona jest...

– ...w ciąży – wyszeptałem drżącym głosem. Do oczu napłynęły mi łzy.

Łzy szczęścia i smutku. Szczęścia, bo marzyłem o tym, żeby mieć z nią dziecko, a smutku, ponieważ... Znowu ją, kurwa, zostawiłem.

– Mauro! – wydarłem się, a jak tylko mój człowiek pojawił się w pokoju, wlepiłem w niego rozwścieczone spojrzenie.

Jego wzrok uciekł w stronę ekranu. Przełknął ciężko ślinę.

– Powiedz mi, kurwa, że to nie jest to, na co wygląda – warknąłem.

– Chciałem powiedzieć, naprawdę, tyle że Necker...

– Chuj mnie obchodzi, co Necker! – wrzasnąłem, wstając z krzesła. Przycisnąłem dłoń do boku, gdy przeszył mnie ból. Nie powstrzymał mnie jednak przed ruszeniem w stronę Maura. – Nigdzie z tobą nie jedzie. Nie bierze udziału w akcji.

– Szefie, ona nie odpuści...

– Palcem po mapie sobie może, kurwa, pojeździć! – ryknąłem. – Jedziesz bez niej. Prosto stąd. Daj jej laptop, komuś wciśnij kamerę, jebie mnie to, jak to zrobisz, ona zostaje w domu. – Zazgrzytałem zębami. – Masz, kurwa, szczęście, że dopiero niedawno dowiedziałeś się, że żyję, bo inaczej wpierdoliłbym w ciebie cały magazynek.

Machnąłem na niego, żeby zniknął mi z oczu, po czym odwróciłem się przodem do blatu i oparłem o niego, zwieszając głowę.

Kurwa. Jego. Mać.

Odbiło mi, ponieważ zacząłem wydzwaniać do Gio, a potem wysyłałem jej wiadomości. Naprawdę mnie powaliło i to grubo.

Aż w końcu – nie byłem dokładnie pewien po jakim czasie, ale tuż po udanej akcji w Carpi – doszedłem do wniosku, że w dupie mam plan Neckera. Musiałem się z nią zobaczyć.

– Necker! – ryknąłem, podążając w stronę kuchni, z której wydobywał się zapach parzonej kawy.

– Czemu, do kurwy, nie powiedziałaś mi, że będę ojcem? – Wlepiłem w niego rozwścieczone spojrzenie.

Odłożył powoli kubek na stolik i popatrzył na mnie uważnie.

– Skąd...

– Domyśliłem się, kurwa! – Zwinąłem dłonie w pięści. – Twój plan właśnie poszedł się jebać. Wracam do domu. Do mojej ciężarnej żony.

Odwróciłem się na pięcie i ruszyłem do wyjścia.

– Roberto! Mamy plan idealny! Nie możesz go zaprzepaścić! – Próbował mnie zatrzymać, chwytając za łokieć.

Błąd, Necker.

Wyrwałem się z uścisku, odwróciłem bokiem do niego i pchnąłem na ścianę. Przycisnąłem ramię do jego szyi, cedząc:

– Plan jest chujowy, Necker. Gio nosi pod sercem moje dziecko. Myśli, że została sama! Myśli, że znowu będzie przez wszystko przechodzić sama! – Puściłem go i odsunąłem się o krok. – Wymyślimy inny plan. Na ten moment Giovanna i dziecko są moim priorytetem – oświadczyłem spokojnie.

– Ona się załamie, jak cię teraz zobaczy – mruknął, pocierając szyję.

– Nie, Necker. – Parsknąłem. – Ona mnie zabije.

Miałem nadzieję, że Giovanna nie będzie miała przy sobie niebezpiecznych narzędzi.

Do naszego domu wszedłem drzwiami tarasowymi – tuż po tym, jak przedostałem się przez zaskoczoną ochronę. Jak już znalazłem się w środku, przystanąłem na końcu kuchni, spoglądając ze łzami w oczach na Gio. Patrzyła na ekran telefonu. Zapewne czytała moje wiadomości.

Uśmiechnąłem się, gdy wyszeptała:

– To niemożliwe...

– Lwico – odezwałem się, robiąc krok w jej stronę. Oddech ugrzął mi w gardle, kiedy uniosła głowę i wlepiła we mnie załzawione spojrzenie.

Rozchyliła wargi w niemym zaskoczeniu.

– Kocha...

Przerwał mi jej wściekły krzyk:

– Ty popierdolony, skończony idioto!

Sekundę później musiałem zrobić unik – rzuciła we mnie laptopem.

Rozdział szesnasty

Giovanna

Irracjonalna myśl, że Roberto jednak żyje, nagle przestała być tak nieprawdopodobna i głupia. Mogłam się, kurwa, tego domyślić już na początku – w końcu to Jack poinformował mnie o śmierci mojego męża. Kurwa! Przecież to było jasne jak słońce, że kombinował, jak wyciągnąć Roberta z więzienia. Sfigowanie czyjejś śmierci to „stary, dobry sposób”.

Uwolniłam zaledwie ułamek wściekłości, roztrzaskując laptop na ścianie za Robertem. Niemal dwa tygodnie życia ze świadomością, że jestem wdową, a w przyszłości będę samotnie wychowywać dziecko, teraz rozsierzdziły mnie do furii.

– Kochanie... – Roberto przerwał milczenie, nie spuszczać ze mnie uważnego, nieco skruszonego wzroku. Wodził spojrzeniem od moich oczu aż do brzucha ukrytego za stołem.

– Nawet do mnie nie podchodź – warknęłam, wystawiając przed siebie dłoń, gdy zrobił krok do przodu. – Nie rękę za siebie.

– Kochanie, ale... – Zamilkł i przełknął ciężko ślinę. – Mogę cię chociaż przytulić? Mogę przytulić moją żonę, która nosi pod sercem nasze dziecko?

Z ledwością powstrzymałam wybuch szloch. Z trudem skinęłam głową, pozwalając mu na ten drobny gest. Rozpromienił się, a sekundę później trzymał mnie w ciasnym, acz delikatnym objęciu, przyciskając czoło do mojej szyi.

– Tak bardzo cię przepraszam... Kurwa... Dwa tygodnie to...

– Nie rób z siebie ofiary – sarknęłam, zmuszając się do olania jego drżącego głosu. Wściekłość ponownie wróciła. Odepchnęłam go od siebie tak mocno, że się zachwiał. Posłał mi zaskoczone spojrzenie. – Nie ty opłakiwałeś kogoś, kogo kochasz.

Dopiero teraz spojrzałam mu w oczy. Dotarło do mnie, że on naprawdę żyje. Szlag by to trafił, cholera jasna! Rozplakałam się. Nie byłam w stanie powstrzymać płaczu. Rzewne łzy zaczęły mi spływać po policzkach, a serce boleśnie obijało się o żebra. Nogi mi drżały, dłonie zresztą też. Roberto to chyba zauważył, bo zbliżył się do mnie, a ja od razu zacisnęłam palce na jego ramionach, żeby nie upaść. Obraz przed oczami zaczął mi się rozmazywać.

On żyje.

Zrobiło mi się słabo. Zakręciło mi się w głowie.

– Gio, co się dzieje? – zapytał z przejęciem, obejmując moją twarz dłońmi.

– Muszę usiąść – wymamrotałam niewyraźnie.

Natychmiast poprowadził mnie do krzesła. Uklęknął przede mną, jak tylko opadłam na siedzisko, i przycisnął czoło do moich nóg.

Próbowałam uspokoić rozszalały oddech, zerkając na roztrzepane blond włosy Roberta. Próbowałam sobie wytłumaczyć, że nie powinnam być zaskoczona, że nie powinnam aż tak pokazywać swoich uczuć, jednak nie potrafiłam. Nie rozumiałam, jak mógł się ukrywać... Powinien był mi powiedzieć! Byłam rozżalona. W głowie miałam mętlik, a do tego było mi przykro, że nikt nie wyznał mi prawdy – zupełnie tak, jakbym nie potrafiła udawać, że on nie żyje.

– Tak bardzo cię przepraszam – wyszeptał, unosząc dłoń. Krótki i zdławiony szloch uciekł mi spomiędzy warg, kiedy dotknął dłonią mojego brzucha. – Ciebie też przepraszam, kimkolwiek jesteś.

Tym razem zaszlochałam głośniejsz, zwijając dłonie w pięści.

– Necker miał plan. Miał upozorować moją śmierć, a potem wywieźć z więzienia i ukryć, żebym mógł pozbyć się Adama, zanim zdołałby się domyślić, że żyję – wyrzucił z siebie, spoglądając na mnie z dołu. W jego oczach wciąż czaiła się skrucha.

Chciał się pozbyć Adama? Przecież zabił go kilka lat wstecz...

– Zamach na mnie nie był upozorowany, Necker musiał improwizować, żeby mnie stamtąd wyciągnąć. Jak się ocknąłem, od razu chciałem ci dać znać, że żyję, ale Necker przekonał mnie do swojego planu. Miałem być martwy przez górę miesiąc. To ja do ciebie wydzwaniałem. Musiałem usłyszeć twój głos. Obserwowałem cię dzięki kamerom zamontowanym przez Neckera. O ciąży dowiedziałem się dopiero dzisiaj... – Przełknął ślinę, zaciskając palce na moich łydkach. – Gdybym wiedział wcześniej, natychmiast pojawiłbym się u ciebie. Mimo że myślałaś, że nie żyję, byłem cały czas obok ciebie.

Prychnęłam głośno, wlepiając w niego niedowierzające spojrzenie.

– Wcale nie byłeś... – Zamilkłam, słysząc trzask frontowych drzwi.

– Szefowo! – krzyknął Mauro. – Melduję, że wszyscy nie żyją!

Trzy, dwa, jeden...

– Co, do... Szefie? – Wlepił zaskoczone spojrzenie w Roberta i przełknął ślinę, zerkając na mnie kątem oka.

Pokręciłam z niedowierzaniem głową.

– Daruj sobie, Mauro – warknęłam, odpychając od siebie dłonie Roberta. Wstałam i spojrzałam z irytacją na Maura. – Myślałam, że jesteś lojalny i szczery.

– Dowiedziałem się dopiero kilka godzin...

– I? Co w związku z tym? – przerwałam mu ostro. – Kilka godzin to za mało, żeby mnie poinformować? Jestem twoją szefową! – wydarłam się i zrzuciłam rękę Roberta, kiedy położył mi ją na plecach, jakby chciał mnie uspokoić.

Akurat się uspokoję. Niedoczekanie jego.

– Technicznie rzecz biorąc, skoro żyję, to... – Roberto zamilkł, gdy parsknęłam ironicznym śmiechem.

Skrzyżowałam ramiona na piersi i popatrzyłam na niego z uniesionymi brwiami.

– Oficjalnie, kochanie, to ty nie żyjesz – wycedziłam przez zaciśnięte zęby. – Przejęłam władzę po twojej śmierci.

Zmarszczył brwi.

– Ale żyję. Mogę pojechać do Obitorium i...

– Nie, nie możesz – przerwałam mu stanowczo.

– Co, proszę?

– To. – Wzruszyłam ramionami. – Dwa tygodnie temu przejęłam twoje stanowisko i nie zamierzam go oddawać. – Zmrużyłam oczy, widząc, że otworzył usta; nie odezwał się. – A z tobą... – popatrzyłam na Maura – ...policzę się później. Zostaw nas samych.

Opuścił nasz dom niemal natychmiast. Jak tylko zatrzasnęły się za nim drzwi, Roberto objął mój podbródek palcami i przyciągnął do siebie, wbijając we mnie wściekle spojrzenie.

– Co ty odwalasz, Giovanna? – warknął. – W co ty się bawisz? Chcesz mnie ukarać?

– Ja? – zapytałam niewinnie, wachlując rzęsami jak kretyńka. – Ciebie ukarać? Za co? – Uśmiechnęłam się słodko. – Przecież nie mam za co. Przecież – wycedziłam – nic się takiego nie stało.

– Mogłabyś na chwilę przestać ironizować i zacząć się zachowywać jak dorosła?

Zaśmiałam się w duchu, gdy żyłka na skroni zaczęła mu pulsować.

– Ależ oczywiście! – Wyrwałam się z jego objęcia i wyrzuciłam dłonie do góry, na koniec opierając je na biodrach. – Porozmawiajmy! Zrób to, bo ty ze mną też porozmawiałeś o zajebistym planie sfingowania twojej śmierci! Przecież Necker też mi powiedział wprost, że żyjesz, zamiast wciskać mi kit, który spowodował, że niemal się przekręciłam! To było w cholerę dorosłe! Tak bardzo, że po nocach nie spałam! Bałam się, że stracę przez to dziecko!

Miałam w dupie to, że wydzierałam się jak wariatka, ale puściły mi nerwy. Nie będzie mi mówić, że mam się zachowywać jak dorosła! To on zachował się jak gnojek.

Wbił we mnie zboląły wzrok. Nie ruszyło mnie to ani trochę.

– Wiem, że powinienem był... – Zamilkł, przeczesując nerwowo włosy. – Żałuję, że tak wyszło.

Żałuję, że nie zostałam wtajemniczona. Popeliłem błąd. Gdybym wiedział o ciąży, od razu bym ci...

Prychnęłam, kręcąc z niedowierzaniem głową. Po policzku spłynęła mi niechciana łza.

– Nie płacz – wyszeptał, ocierając moją twarz.

Na moment przymknęłam powieki. Byłam tak cholernie przytłoczona.

– Przyszedłbyś, gdybyś wiedział o ciąży... – wyszeptałam, otwierając załzawione oczy. –

Gdybym nie była w ciąży... pokazałbyś się tu w ogóle, zanim zabiłbyś Adama? – Głos mi zdrzął. Przechybiałam już, jaka miała być jego odpowiedź.

– Gio, nie rozumiesz...

– Ależ oczywiście, że rozumiem. Doskonale rozumiem – przerwałam mu beznamiętnie. –

Pojawiłeś się tu nie dla mnie, a dla naszego dziecka. Rozumiem to, naprawdę. Cieszę się, że to zrobiłeś.

– Odetchnęłam głęboko, prostując plecy. – Jednak nie przyszedłeś tu dla mnie, a to cholernie boli.

Obiecałeś mi, że nigdy mnie nie zostawisz. Obiecałeś... – wyszeptałam, ocierając policzki z łez. –

Złamałeś daną mi obietnicę. Ale cóż... Mogłam się tego spodziewać.

Wiedziałam, że użyłam ostrych słów, kiedy przez jego twarz przetoczył się grymas bólu.

– Giovanna, nie pomyślałem, że...

– No właśnie. – Zaśmiałam się nieszczerze, kręcąc głową. – Nie pomyślałeś. Nigdy nie myślałeś.

A ja głupia sądziłam, że się zmieniłeś – zakpiłam, wznosząc oczy na sufit.

Zamrugłam kilka razy, żeby odgonić łzy. Spojrzałam ponownie na Roberta, dopiero gdy się uspokoiliam.

– Nie oddam ci władzy – oznajmiłam stanowczo, chociaż bolały mnie wszystkie wnętrzności. –

Oznajmię, że żyjesz, jak tylko skończy się wojna, z kolei teraz... – Umilkłam na moment, szukając

odpowiednich słów. – Teraz, kochanie, to ja podejmuję decyzje, nie ty. Albo się do nich dostosujesz,

albo będziemy mieć problem. I, zanim zaprotestujesz, przemyśl to. Oboje wiemy, że mamy teraz

przewagę. Wszyscy myślą, że nie żyjesz, a ja jestem sama. Słaba i niezdolna do walki. Mylą się. Mam

dla kogo walczyć. – Dotknęłam dłonią brzucha i, ignorując kolejny grymas na twarzy męża, wyszłam z

kuchni.

Weszłam pod kołdrę i zacisnęłam mocno powieki, błagając o szybki sen. Byłam smutna, zła i

miałam ogromny żal do Roberta. Nie wiedziałam, czy w pełni zrozumiał, co do niego mówiłam, ale

miałam nadzieję, że tak. W innym przypadku mielibyśmy kłopot, bo ja nie zamierzałam już wracać do

tej rozmowy.

Przez dwa tygodnie się ukrywał, udając martwego. Teraz musiał się przestawić na to, że jego rola

w naszym domu i życiu się zmieniła. Nie zamierzałam oddać władzy. Na pewno jeszcze nie teraz.

Rozdział siedemnasty

Silvio

Po długich i nudnych obserwacjach w końcu ustaliliśmy, że Penna przebywa cały czas w magazynie i praktycznie z niego nie wychodzi. Dzień wcześniej podsłuchaliśmy także jego rozmowę z Adamem Orsim – gnój planował przejęcie władzy we Włoszech i zniszczenie Cosa Nostry. Najwyraźniej Camorra przechodziła rewolucję.

Vito oczywiście się wkurwił, że Adamo próbuje nas zniszczyć. Salvatore zaczął się zastanawiać nad związkiem Orsiego i Wetrowa, a Giovanna... nie przekazała telefonu Robertowi, bo „to ona rządzi”. Jej słowa – nie moje. Potem jeszcze dodała, że Orsiego czeka bombowa impreza. Chyba jej się spodobało rozwiązywanie spraw materiałami wybuchowymi.

Ja jednak preferowałem stare, dobre tortury i to właśnie je zamierzałem wykorzystać z Penną. Najpierw planowaliśmy wybić wszystkich jego ludzi, a na końcu dorwać jego. Miał umrzeć w agonii, krztusząc się krwią i wymiocinami, szczając pod siebie i błagając o litość. O tak, nie mogłem się tego doczekać.

– O której zaczynamy? – Payton zacisnęła palce na moim ramieniu.

Od razu na nią popatrzyłem. Wlepiała we mnie uważne spojrzenie.

– O jedenastej. – Złączyłem nasze dłonie. – Przywieźli już kamizelki? Przymierzyłaś? Jest odpowiednia?

Jak cholera bałem się o jej życie. Nie chciałem, żeby brała udział w akcji, ale przecież jest upartym babskiem i nigdy by nie odpuściła. Pozostało mi więc pilnowanie jej jak oka w głowie przy jednoczesnym wybijaniu wrogów.

Bulka, kurwa, z masłem.

– Tak. – Uśmiechnęła się uspokajająco. – Pasuje. Będzie dobrze, Silvio.

– Mam nadzieję – mruknąłem, przymykając na moment powieki. W głowie znowu pojawiły się myśli niedające mi od jakiegoś czasu spokoju. Zanim się zastanowiłem, po prostu wyrzuciłem je z siebie:

– Weźmy ślub. Dzisiaj.

– Dzisiaj? – Wytrzeszczyła oczy. – Nie chcesz wziąć ślubu przy rodzinie?

Nie zaprotestowała – dobra moja.

– Chciałbym... – przytaknąłem, kiwając głową. – Jednak bardziej zależy mi na tym, żebyśmy poszli na dzisiejszą akcję jako małżeństwo, Payton – wyznałem, gładząc wierzch jej dłoni kciukiem. – Co ty na to?

Westchnęła głęboko, wpatrując się we mnie czule. W końcu się uśmiechnęła i skinęła głową.

– Weźmy ślub – przytaknęła, a po sekundzie zmarszczyła brwi. – Tyle że nie mamy...

– Mam – przerwałem jej. – Fabricio ma licencję. Nie pytaj skąd. Co prawda będzie potem trochę zabawy w urzędzie, ale... To nic, z czym sobie nie poradzimy.

– Wariat. – Zaśmiała się, kręcąc z niedowierzaniem głową. – Fabricio! – zawołała głośno, ściskając mnie mocniej za dłoń.

Fabricio wetknął głowę przez tarasowe drzwi, marszcząc brwi.

– Co jest?

– Udzielisz nam ślubu.

Zmarszczył brwi, zerkając na mnie, a po sekundzie się wyszczerzył.

– Serio? Dobra – zgodził się, wchodząc do pokoju. – Potrzebujecie świadka.

Nie mieliśmy zbyt wielkiego wyboru, jeśli o to chodziło, więc wysłałem wiadomość do Stephana, żeby do nas przyszedł. Dotarł chwilę później – zapewne siedział z resztą w garażu. Kilka dni wcześniej przenieśliśmy się do domu, żeby nie wzbudzać podejrzeń podczas przygotowywania się do akcji.

Ustawilem się obok Payton i chwycilem jej dłonie, uśmiechając się. Oczy jej błyszczały z radości, gdy Fabricio wprowadzał Stephana w temat.

– Zebraliśmy się tutaj...

– Do rzeczy, Fabricio – przerwałem, posyłając mu zniecierpliwione spojrzenie.

Przewrócił oczami.

– Silvio...

– Mogę pierwsza?

– Chryste...

Parsknąłem śmiechem.

– Payton, czy bierzesz tego mężczyznę za męża, aby żyć razem w związku małżeńskim, aby go kochać, czcić, pocieszać i utrzymywać w chorobie i zdrowiu, odłączając się od wszystkich innych tak długo, jak oboje będziecie żyć?

– Tak.

Fabricio skinął głową i wlepił spojrzenie we mnie.

– Silvio, czy bierzesz...

– Tak – wypaliłem, patrząc z czułością na Payton. Miała łzy w oczach. – Mogę już ją pocałować?

– Jeszcze przysięgi – warknął Fabricio. – Payton, powtarzaj za mną...

– Mam swoją.

Fabricio machnął dłonią, zwieszając ramiona. Chyba się poddał.

– Masz przysięgę? – wymamrotałem, mrugając.

Czułem, że zbłądłem. Krew odpłynęła mi z twarzy. Jakim cudem zdążyła w ciągu pięciu minut przygotować przysięgę?!

Payton uśmiechnęła się delikatnie, obejmując moją twarz dłońmi i spoglądając mi prosto w oczy. W jej widziałem isierki radości. Delikatnie drżała jej dolna warga – zupełnie tak, jakby moja przyszła żona miała się zaraz rozplakać.

– Silvio... – wyszeptala, nie spuszczaając ze mnie spojrzenia. – Nasz związek jest... – zmarszczyła nos – ...nietypowy, to dobre słowo.

Uśmiechnąłem się szeroko, bo to faktycznie było dobre określenie.

– W najśmielszych snach nie wyobrażałam sobie, że mogę się z kimś związać na poważnie, ale jak widać... jednak się związałam. I nie żałuję. Nigdy nie będę żałować, bo mnie uszczęśliwiasz, mimo że czasami doprowadzasz mnie do szewskiej pasji. – Zaśmiała się, kiedy Fabricio i Stephano parsknęli śmiechem.

Ja się z ledwością przed tym powstrzymałem.

– Dlatego też... – chrząknęła – ...ślubuję ci dzisiaj, biorąc Stephana za świadka, że będę cię chronić, choćbym miała to uczynić własną piersią. Będę cię kochać aż po grobowe deski. Będę twoją podporą, będę ci wierna i nigdy, przenigdy cię nie zostawię – wyszeptala.

Szlag by to trafił.

Do oczu napłynęły mi łzy. Wiedziałem o tym, bo Fabricio odwrócił wzrok, chrząkając. Zamrugalem gwałtownie, próbując je od siebie odgonić. Nie byłem taki. Miałem grubą skórę i ani trochę nie ruszyło mnie wyznanie Payton. Ani, kurwa, trochę.

Ta, dalej sobie to wmawiaj.

– Silvio, teraz ty – mruknął Fabricio.

Szukałem w głowie odpowiednich słów, ale... miałem w niej pustkę. Patrzyłem na piękne oczy Payton i na jej rumieniące się policzki, nie potrafiąc nic powiedzieć. Zabrakło mi języka w gębie. Nic, co bym wymyślił, nawet w połowie nie brzmiałoby tak dobrze jak jej słowa.

Chrząknąłem głośno, próbując oczyścić gardło z niewidzialnej guli. Rozchyliłem usta, żeby w końcu coś z siebie wydusić, jednak nic spomiędzy nich nie wyleciało oprócz mojego drżącego oddechu. Pustka. Jedna wielka nicość. Serce jeszcze bardziej przyspieszyło, ponieważ w oczach Payton pojawiła się nagle troska, a na twarzy zmieszanie – jakby nie wiedziała, co robić. Sam nie wiedziałem, co uczynić. Straciłem możliwość logicznego myślenia.

A to tylko dlatego, że Payton miała zaraz zostać moją żoną i nie potrafiłem w to uwierzyć. Kurwa. Nie mogłem się na niczym skupić.

Ocknąłem się, dopiero gdy przesunęła kciukiem po moim policzku, ścierając coś z niego.

Łzę, kurwa.

Tak mnie ścisnęło w sercu i umyśle, że zapomniałem o mruganiu. Musiałem się ogarnąć. Chrząknąłem znowu, wyprostowałem się i chwyciłem dłonie Payton w swoje, splatając nasze palce.

– Payton... Na początku trzymałem cię na dystans, bo tak było łatwiej. Nie rozumiałem twojego irracjonalnego zaufania do mnie. To było dla mnie czystą abstrakcją. – Uśmiechnąłem się czule.

Odpowiedziała mi tym samym.

– Później wszystko wydarzyło się tak cholernie szybko... Ani się obejrzałem, a stałaś się całym moim światem. Pieprzoną ostoją. Moim schronieniem. Nie potrafię bez ciebie żyć. Na samą myśl o tym, że mógłbym cię stracić, mam ochotę przypiąć cię do siebie kajdankami, żeby móc cię zawsze chronić. Nigdy nikogo nie kochałem, aż... – Zamilkłem, czując ucisk w piersi. Chrząknąłem ponownie. – Aż cię nie spotkałem. Zatrzęśłaś moim światem. Nieświadomie nauczyłaś mnie kochać. Dlatego ślubuję ci miłość, dopóki śmierć nas nie rozłączy. Przysięgam ci wierność, szczerłość i to, że... – Wyplątałem nasze dłonie z uścisku i objąłem jej twarz. Przysunąłem usta do jej lekko rozchylonych warg. – Nigdy cię nie opuszczę. Będę kroczyć przy tobie do końca naszych dni.

Pocałowałem ją mocno, kompletnie nie przejmując się Fabriciem i Stephanem. Zatraciłem się w smaku Payton, chłonąc ten moment; był jedyny w swoim rodzaju. Pierwszy i ostatni ślub.

Dopiero gdy poczułem klepnięcie na plecach, oderwałem się od swojej kobiety.

– Na mocy uprawnień nadanych mi przez prawo stanu Nowy Jork, ogłaszam was mężem i żoną. Możesz...

Nie czekałem na kolejne jego słowa, tylko ponownie pocałowałem Payton, wlewając w tę pieszczotę całą swoją miłość.

Była moją żoną.

Byliśmy małżeństwem.

To było tak cholernie nieprawdopodobne, ale... jednocześnie czułem się w końcu spełniony. W końcu miałem wrażenie, że posiadam wszystko, czego od zawsze pragnąłem. Mając ją za żonę, mogłem umrzeć, bo zdobyłem to, czego mi tak brakowało.

Nie władzę, a miłość.

Bezwarunkową miłość.

Rozdział osiemnasty

Payton

Było mi... dziwnie? Tak, to chyba odpowiednie określenie tego, co czułam, gdy Silvio po raz pierwszy nazwał mnie żoną. To nie tak, że mi się to nie podobało, ale po prostu poczułam się dziwnie. Nigdy nie marzyłam o mężu i dzieciach. Odkąd sięgam pamięcią, myślałam, że zostanę starą panną ze stadem kotów. Życie mi jednak pokazało, że nie miałam racji, bo kiedy Silvio niespodziewanie zaproponował natychmiastowy ślub, zgodziłam się bez wahania. Nie było to podyktowane długimi analizami czy całonocnymi przemyśleniami – zgoda wypłynęła prosto z mojego serca. Serca, które było dla niego.

Silvio był tym właściwym. Tym, z którym chciałam spędzić resztę życia. W zdrowiu i w chorobie. Na dobre i na złe. W czasie pokoju i w czasie wojny.

– Jesteś gotowa? – zapytał, wchodząc do pokoju. Akurat zakładałam kamizelkę kuloodporną. – Na pewno pasuje? – Zmarszczył brwi, uważnie mi się przyglądając.

– Na pewno – potwierdziłam, uśmiechając się uspokajająco. Zgarnęłam z łóżka czarną bluzę z kapturem i wsunęłam ją na siebie. – A twoja? Masz ją już na sobie?

– Tak. – Uniósł skrawek koszulki, pokazując fragment kamizelki. – I też pasuje.

– To dobrze. – Uśmiechnęłam się, zapinając bluzę.

Silvio nie puściłby mnie bez kamizelki. I tak się zdziwiłam, że nie przypiął mnie do kaloryfera. Wiedziałam, że wiele go to kosztowało, jednak byłam mu wdzięczna, że nie próbował mnie zmusić do pozostania na miejscu. Że pozwolił mi zemścić się na Pennie za to, co zrobił z Karą. No i oczywiście za to, co próbował ugrać z Orsim, stając przeciwko rodzinie Silvia.

– Masz się...

– ...trzymać cały czas ciebie – dokończyłam za niego, całując go czule w usta. – Nie odstąpię cię nawet na krok, mężu.

– To dobrze, żono. – Przesunął powoli dłonią po moim ramieniu, na końcu splatając nasze palce.

– Razem?

– Razem – wyszeptałam, wychodząc z nim z sypialni. Odetchnęłam głęboko, gdy ruszyliśmy do garażu.

Pośród karabinów maszynowych i pistoletów leżała też moja broń – glock. Od razu go sprawdziłam, mimo że robiłam to już wcześniej. Wszystko działało tak, jak powinno. Żołnierze dokładnie go wyczyścili, co było widać po błyszczącym się metalu. Do uda przypięłam kaburę i wsunęłam do niej broń, a obok dołożyłam nóż motylkowy – tak na wszelki wypadek. Drugiego glocka wsunęłam do kabury na drugiej nodze.

Wyszliśmy z garażu, jak tylko wszyscy byli uzbrojeni. Fabricio załatwił kilka busów oklejonych nazwami jakichś firm. Zapakowaliśmy się do nich i odjechaliśmy w stronę magazynu. Silvio przez całą drogę trzymał mnie kurczowo za rękę. Nie mówił o tym, ale martwił się o nasze życie.

Sama się obawiałam, że nie wyjdziemy z tego żywi, jednak wmawiałam sobie, że byliśmy niezniszczalni, a Penna nie miał z nami żadnych szans. Tłumaczyłam sobie, że Alvaro nie wie o naszej akcji. Przypominałam sobie setki godzin obserwacji i analizowania zbieranych danych. Wierzyłam, że byliśmy o krok przed nim. Byłam niemal pewna, że nikt nie podejrzewał, że byliśmy w Ottawie. Zawsze się pilnowaliśmy, żeby żadne kamery nas nie złapały.

– Jesteśmy – oznajmił Silvio, dzięki czemu wyrwałam się z myśli.

Znajdowaliśmy się w niedalekiej odległości od ogrodzenia z siatki. Musieliśmy je przeciąć, żeby dostać się na teren magazynu. Po wyjściu z samochodu zaczęliśmy się rozglądać.

– Czysto – rzucił Fabricio, kiwając mnie i Silviowi. – Ruszamy?

– Ruszamy. – Silvio objął moją dłoń i musnął ją wargami, patrząc mi w oczy.

Fabricio poszedł przed siebie, a żołnierze podążyli za nim. My zostaliśmy w tyle. Silvio miał

poważne spojrzenie. Lustrował moją twarz, jakby chciał ją dokładnie zapamiętać.

– Jeśli...

– Przestań – zaprotestowałam ostro, zaciskając mocniej palce na jego ręce. – Pokonamy go dzisiaj. Wiem to.

Byłam pewna, że opuścimy magazyn jako zwycięzcy.

Westchnął cicho, ale nic nie powiedział, tylko pocałował mnie czule. Oddałam pocałunek, próbując pokazać nim wszystkie swoje uczucia. Strach, lekką niepewność, moją miłość do niego i nadzieję, że zniszczymy Camorrę w Ottawie. Chciałam, żeby wiedział, że w nas wierzę.

– Idziemy – oznajmił zdecydowanym tonem i pociągnął mnie w stronę siatki.

Przecisnęliśmy się przez nieznaczną dziurę wyciętą przez żołnierzy i zaczęliśmy się skradać do magazynu. Księżyc zasłaniały chmury, więc jedyne, na co musieliśmy uważać, to fotokomórka włączająca światło w momencie wykrycia ruchu. Na szczęście jeden z żołnierzy dostał się do skrzynki, z której wychodziły przewody do zewnętrznych lamp. Odłączył je i został na miejscu, żeby wyłączyć kamery od razu po tym, jak wpadniemy do budynku. Miał zapętlić nagrania.

Jak tylko udało mu się to zrobić, mrugnął nam latarką. Od razu zbliżyliśmy się do magazynu. Silvio szedł cały czas obok, co rusz na mnie spoglądając, jakby chciał się upewnić, że jestem. Z jednej strony było to całkiem urocze, z drugiej miałam nadzieję, że równie mocno skupia się na akcji.

– Przy wejściu stoi dwóch camorristów – oznajmił, wychylając się zza rogu. Oparł się o ścianę i wkręcił tłumik w broń, a ja natychmiast zrobiłam to samo. – Wychylę się od góry, a ty od dołu – mruknął. – Celuj w tego bliżej nas, ja zabiję drugiego.

– Okej – przytaknęłam i uklękłam na wilgotnej trawie.

Przesunęłam się bliżej rogu. Tętno mi przyspieszyło. Adrenalina rozlała się po całym ciele. Nie bałam się, o dziwo. Nie wiedziałam, czyja to zasługa – może szkolenia w akademii?

Wychyliliśmy się z Silviem, celując przed siebie. Dwóch mężczyzn stało przy drzwiach prowadzących do budynku. Patrzyli przed siebie, nie rozglądali się; i dobrze. Musiałam trafić – i to bezbłędnie – żeby Silvio mógł ściągnąć drugiego camorristę.

Oparłam prawy łokieć na ziemi, zaciskając mocniej palce na uchwycie pistoletu. Skupiłam się na odpowiednim wycelowaniu. Wypuściłam pomiędzy rozchylonych warg powietrze i nacisnęłam spust. Broń wydała z siebie cichy świst. Kula poszybowała prosto w czaszkę camorristy.

Trafiłam!

Kiedy ciało osunęło się na ziemię, Silvio zabił drugiego ochroniarza Penny. Trafił go w policzek. Uśmiechnęłam się triumfalnie. Mogliśmy wejść do magazynu.

– Idziemy.

Natychmiast ruszyłam za nim. Zaraz za mną podążył Fabricio i kilku naszych żołnierzy. Reszta miała wejść do budynku innymi drzwiami.

– Payton, otworzysz drzwi. – Silvio zatrzymał się po ich prawej stronie. – Potem wejdiesz.

– Ale... – Chciałam zaprotestować. Widząc jednak jego stanowcze spojrzenie, zamilkłam.

Skoro chciał być na pierwszej linii, nie mogłam mu tego zabronić. Nie mogliśmy się kłócić. Zresztą to on rządził, nie ja. Nie był teraz moim mężem, tylko dowódcą.

– Okej. – Objęłam palcami metalową klamkę. Jej chłód spowodował, że mimowolnie się wzdrygnęłam.

Gdy otworzyłam drzwi, do moich uszu dotarł świst kul i huk licznych wystrzałów.

Rozdział dziewiętnasty

Silvio

Strzelałem na oślep. Nie byłem w stanie zobaczyć, skąd wylatują w naszą stronę kule, więc celowałem tam, gdzie podpowiadała mi intuicja. W żyłach płynęła mi adrenalina, a oddech mocno przyspieszył. Na chwilę nawet zapomniałem o obecności Payton. W pełni skupiłem się na zlikwidowaniu camorristów. Dopiero gdy udało nam się odeprzeć atak, spojrzałem w jej stronę.

Stała grzecznie za drzwiami. Odetchnąłem z ogromną ulgą. W normalnej sytuacji powiedziałbym, że wszystko jest dobrze, ale nie mieliśmy na to czasu.

Weszliśmy do środka, stąpając pomiędzy martwymi ciałami camorristów. Kierowaliśmy się w głąb budynku. Zewsząd otaczała nas złowroga cisza. Nie docierały do mnie odgłosy wystrzałów. Z jednej strony było to pocieszające, natomiast z drugiej... Mogło to oznaczać, że bardzo dobrze nam wyszedł szturm na magazyn albo nasza grupa została sama na polu bitwy.

Minęliśmy po drodze kilka pustych pomieszczeń. Wyglądało na to, że wszystkich gdzieś wywiało. Zabiliśmy ośmiu z nich – w środku powinno być ich drugie tyle plus Penna. Uśmiechnąłem się, bo połowę mieliśmy za sobą. Kontynuowaliśmy wędrówkę po budynku, co rusz przystając przy mijanych drzwiach. Otwieraliśmy je, celując przed siebie, a potem zamykaliśmy. I tak w kółko. Nie podobało mi się to. Napisałem do naszych ludzi z pytaniem, jak im idzie. Okazało się, że czterech camorristów nie żyje. Byłem niemal pewny, że reszta pilnowała Penny.

Przywołałem do siebie Fabricia, pokazując mu na telefonie plan magazynu.

– Tu będą nasi – mruknął, wskazując kilka korytarzy po przeciwnych stronach budynku. – Te dwa pomieszczenia są dość spore. Tu może być Penna. – Postukał mniej więcej środek mapki. Byliśmy w korytarzu, który prowadził w tamtym kierunku.

Skinąłem mu i schowałem telefon. Kolejne minuty spędziliśmy na przeszukiwaniu pomieszczeń, zbliżając się do Penny – tak sądziłem.

W końcu przystanęliśmy we właściwym miejscu. Z luki pomiędzy metalowymi drzwiami a betonową posadzką wydobywało się światło. Do moich uszu dotarł rozgorączkowany głos Penny. Uśmiechnąłem się. Był zdenerwowany. Nie rozumiałem, co mówi, ale oprócz jego głosu usłyszałem jedynie dwa inne. Prawdopodobnie w środku znajdowało się wyłącznie trzech ludzi. Założyłem jednak, że było ich pięciu. Tak było bezpieczniej.

Potem zmieniłem zdanie. Dokładnie wtedy, kiedy dostałem wiadomość od jednej z grup, że zlikwidowali jeszcze dwóch gości.

– Widziałeś, żeby mieli przy sobie karabiny? – zapytałem szeptem Fabricia.

Pokręcił głową.

– Tylko beretty.

– Ktoś sprawdzał, jakie mieli magazynki?

– Te większe – odezwał się któryś z żołnierzy. – Z dwudziestoma nabojami.

– Okej – przytaknąłem. – Teoretycznie, jeśli nie mają zapasowych magazynków, po sześćdziesięciu wystrzałach będziemy mogli się wychylić. Uważajcie, żeby nie zabić Penny. – Przesunąłem uważnym spojrzeniem po każdym, na dłużej zatrzymując się na Payton. – A ty...

– Nie – zaprotestowała wzburzonym szeptem. – Nie ma opcji. Daj już spokój.

Miałem ochotę przetrzepać jej za to tyłek, jednak nie mieliśmy czasu. Westchnąłem ciężko, kiwając głową na znak, że się zgadzam. Odpuściłem.

– Dobra – mruknąłem. – Ty otwierasz drzwi, my wrzucamy granaty hukowe.

Chwilę później rozgrzmiał huk granatów. Penna i jego ludzie zaczęli strzelać na oślep przez otwarte drzwi. Kule wbijały się w betonową ścianę naprzeciwko. Starłem się policzyć w głowie wystrzały, dzięki czemu powstrzymałem jednego z żołnierzy przed wtargnięciem do środka, gdy wszystko ucichło. Przekazałem im niemo, że nie doliczyłem się sześćdziesięciu. Albo jeden z

camorristów miał mniejszy magazynek, albo czekali, aż tam wkroczymy.

Wyciągnąłem z kieszeni następane dwa granaty. Jeden hukowy, jeden dymny. Fabricio zrobił to samo. Wrzuciliśmy je do pomieszczenia. Zapiszczało mi w uszach, kiedy huknęło. Camorriści niemal natychmiast zaczęli strzelać. Tym razem liczba wystrzałów zdecydowanie wskazywała na to, że cała trójka miała większe magazynki.

Uniosłem granat dymny, naciągając na twarz maskę. To samo zrobiła reszta. Następnie wyciągnąłem zawleczkę i wrzuciłem granat do pokoju.

Camorriści popełnili błąd. Oddali ostatnie cztery strzały, krztusząc się dymem. Bezszelestnie weszliśmy do środka, gdy przestali strzelać. Zlokalizowaliśmy każdego z nich dzięki odgłosom kaszlu i upadających na podłogę magazynków. Jeden z nich był na wyciągnięcie mojej ręki.

Słyszałem, jak nerwowo szamocze się z bronią, zapewne próbując wsunąć do niej nowy magazynek. Podeszedłem do niego i bez wahania owinąłem ramię wokół jego szyi. To nie był Penna. Odciałem mu dopływ powietrza, przy okazji naciskając bardziej na krtań. Nie wydał z siebie nawet marnego pisku. Jak tylko przestał się szamotać, a ja usłyszałem chrupnięcie, odłożyłem go na posadzkę. Gęsty dym zaczął powoli opadać. Mogłem teraz zobaczyć, gdzie jest reszta...

Payton stała za Penną, mierząc w jego głowę glockiem. Drugi camorrista leżał z poderżniętym gardłem, a nad nim stał Fabricio z zadowolonym wyrazem twarzy. Penna nie miał pojęcia, że wszyscy na niego patrzyliśmy. Zaciskał mocno oczy, trąc je – zapewne podrażnił je dym. Próbował też załadować broń, ale nie szło mu to zbyt dobrze.

– Nie trudź się – odezwałem się, gdy Fabricio bezszelestnie odebrał Pennie broń. – To koniec.

– Mylisz się, Bellomo. – Uśmiechnął się szyderczo, rozchylając powieki. Miał zaczerwienione oczy. – To nawet nie jest połowa tego, co jest dla was przyszykowane – dodał pomiędzy spazmami kaszlu.

– Mówisz o Orsim? – Prychnąłem, uśmiechając się z pobłażaniem, kiedy na jego twarzy na moment pojawiło się zaskoczenie. – Oj, tak. Wiemy o Orsim.

Podeszedłem do niego bliżej; Payton przytknęła mu pistolet do potylicy, nie spuszczając go z oczu.

– I tak nie dacie mu rady – powiedział, patrząc na mnie ze zdeterminowaniem. – W porównaniu z nim jesteście nikim. Nie macie szans. – Splunął na ziemię i zaczął ponownie kaszleć.

– Alvaro, Alvaro. – Cmoknąłem. – Jeśli Orsi myśli, że uda mu się zniszczyć Cosa Nostrę i Pięć Rodzin wyłącznie dlatego, że Wetrow mu pomaga, to jest idiotą i naiwnym marzycielem w jednym.

Bingo, pomyślałem, dostrzegając jego zdziwienie.

– Zabierzcie go stąd – rozkazałem.

Musieliśmy się jak najszybciej zwijać. Zbyt wiele czasu spędziliśmy w magazynie. Dwóch żołnierzy zabrało Pennę, wcześniej uderzając go w skroń bronią, a ja zacząłem się rozglądać po pomieszczeniu. Podeszedłem do biurka stojącego pod jedną ze ścian. Odsunąłem szufladę i natychmiast się uśmiechnąłem. W środku leżały teczki, kartki i zeszyty. Bez wahania wszystko zabrałem i skierowałem się do wyjścia, gdzie czekała na mnie Payton.

– Czemu go nie zabiliśmy? – zapytała z wyrzutem, krocząc przede mną. Celowała przed siebie, gdy podążaliśmy w kierunku innego wyjścia niż to, którym weszliśmy.

– Zamierzam się nim jeszcze pobawić.

Co prawda to, co miałem na myśli, dla Penny miało nie być zabawą, ale dla mnie jak najbardziej. Jak inaczej mógłbym nazwać słuchanie jego krzyków, płaczu i błagania o litość, jeśli właśnie nie zabawą?

Nagi Penna siedział przywiązany do krzesła na środku salonu. Na podłodze rozłożona była gruba folia budowlana. Kiedy Fabricio zajmował się cuceniem jeńca, ja przygotowałem w kuchni swój mały zestaw kata. W jednej z toreb podróżnych miałem skórzany niezbędnik. Odłożyłem go na stół. Uśmiechnąłem się na widok narzędzi, od których odbijało się światło z sufitowej lampy. Od lewej strony znajdowały się obcęgi, pilniki różnej wielkości – zarówno do metalu, jak i drewna – oraz noże – małe i większe, z ząbkami i bez – a do tego skalpel, kombinerki i trzy wiertła różnej grubości.

– Kochanie, podaj mi, proszę, wykałaczki – zwróciłem się do Payton.

Posłała mi zaskoczone spojrzenie, jednak posłusznie odwróciła się do szafek. Po chwili postawiła plastikowy pojemnik na stoliku, nie odzywając się ani słowem. Uśmiechnąłem się, dostrzegając, że Penna się ocknęła, przeklinając siarczyście.

– Świetnie – mruknąłem, zabierając ze sobą mały niezbędnik. Payton ruszyła za mną. – O nie – zaprotestowałem, patrząc na nią stanowczo. – Ty idziesz do sypialni, wciskasz w uszy słuchawki i puszczasz sobie jakiś film. Nie schodzisz na dół, dopóki ci nie powiem.

– Ale...

– Nie, Payton. – Przyjrzałem jej się ostro. – Nie pozwolę ci na to. Nie ma pierdolonej opcji. Idź do sypialni.

Burknęła coś cicho pod nosem, aż w końcu skinęła głową i zniknęła na schodach. Odprowadziłem ją wzrokiem, a gdy trzasnęły drzwi do sypialni, skierowałem się do salonu. Penna wyzywał nas po włosku od skurwysynów.

– Nie obrażaj mojej matki, kutasie – warknąłem, odkładając wszystko na stoliku niedaleko krzesła, na którym siedział Penna. Oderwałem kawałek srebrnej taśmy. – Zabawimy się – oznajmiłem; spojrział na narzędzia.

– Będziesz żałować, jeśli... mmm...

Przerwałem mu, zaklejając jego usta taśmą. Uśmiechnąłem się, widząc w jego oczach błysk przerażenia. Napawało mnie to jeszcze większą chęcią do tortur. Pragnąłem widzieć jego płacz i strach. Chciałem słyszeć, jak błaga mnie o litość. Tym się zajmowałem. Taki byłem. Fakt, że teraz miałem Payton, niczego nie zmienił. Dalej żywiłem się strachem.

– Od czego by tu... – mruknąłem, przesuwając dłonią nad narzędziami.

W końcu wziąłem wykałaczki. Wyciągnąłem kilka sztuk z opakowania i podszedłem do Penny. Kucnąłem za krzesłem i szarpnąłem go za rękę. Penna zwinął ją w pięść, jednak na nic mu się to zdało. Fabricio mocno zacisnął palce na wewnętrznej stronie jego nadgarstka, przez co Alvaro rozluźnił rękę.

Wbiłem mu wykałaczkę pod paznokieć, jak tylko poruszył palcami. Do moich uszu natychmiast dotarł stłumiony krzyk Penny. Wbiłem drugą wykałaczkę w jego środkowy palec. Alvaro nie próbował nawet ruszać dłonią – zapewne przyniosłoby mu to jeszcze więcej bólu. Wbiłem ostatnie trzy wykałaczki, uśmiechając się nieco sadystycznie.

– Nie myśl sobie, że to już koniec – oznajmiłem, podchodząc do stolika.

Wziąłem z niego obcęgi i odwróciłem się w stronę Penny. Bawiłem się nimi, zastanawiając się, czy zacząć od odcinania palców u ręki, czy może u stopy.

– Powiedz, Alvaro – zwróciłem się do niego, machając mu przed twarzą obcęgami. – Obciąć ci palce u dłoni?

Potrząsnął głową, patrząc na mnie z paniką.

– Czyli wolisz stracić te u stóp? – upewniłem się. – Skoro tak... – Kucnąłem i przyłożyłem narzędzie do jego prawej stopy. – No to ciach! – Zacisnąłem obcęgi, aż nie usłyszałem charakterystycznego odgłosu miażdżonej kości.

Penna zawył głośno, a ja z zachwytem przekręciłem jego palec i szarpnąłem. Oderwałem go od stopy, po czym odrzuciłem na folię razem z obcęgami, uśmiechając się do bladego i przerażonego Penny.

– Może teraz sam wybierzesz? – zaproponowałem, zerkając na stolik. – Skalpel? Mógłbym ci trochę naprawić tę parszywą mordę.

Natychmiast zaczął kręcić głową, chociaż już nie tak żwawo jak wcześniej. Biedaczysko. Musiało go boleć.

– W takim razie dobrze...

Z niezbędnika zabrałem wiertło. Na początek zamierzałem się wwiercić w jego kolano cieńszym, a dopiero później tym grubszym. Jeden z żołnierzy podał mi wiertarkę. Wsunąłem wiertło do uchwytu, dokręciłem je i odwróciłem się w stronę bladego i spoconego Penny. Do moich nozdrzy dotarł smród uryny. Kto by się spodziewał, że wielki król Ottawy zeszczą się z bólu i ze strachu. Trochę się zawiodłem.

Uklęknąłem przed nim, przytykając wiertło do jego kolana. Fabricio parsknął śmiechem, kiedy Penna się szarpnęła, ale więzy były zbyt mocno zaciśnięte. Uśmiechnąłem się, widząc przerażenie na jego

twarzy. Ten widok miał zostać ze mną na długie, długie lata.

Uruchomiłem wiertarkę. Penna się wydarł, rzucając głową w przód i w tył. Poczulem swąd palonej skóry. Krew rozpryskiwała się na boki. Jak tylko przewierciłem się przez kość, sięgnąłem po drugie wiertło. Zmieniłem je i ponownie zacząłem się wwiercać w jego kolano. Do mojego nosa dotarł jeszcze mocniejszy odór palonej skóry, przewiercanej kości i nieprzyjemny, mdły zapach krwi. Byłem tak skupiony na wbijaniu się w jego ciało, że nawet nie zauważyłem, kiedy stracił przytomność. Jego głowa bezwiednie opadła na pierś.

Nie trwało to jednak długo. Fabricio podetknął mu pod nos sole trzeźwiące, akurat gdy zamieniłem wiertarkę na skalpel. Przesunąłem ostrzem po policzku Penny, na co spojrzał na mnie błagalnie oczami pełnymi łez. Uśmiechnąłem się, kręcąc głową. Nie ruszało mnie to. Skoro potrafił wywozić kobiety do burdeli, gdzie były gwałcone, bite i wykorzystywane, to potrafił też wytrzymać lekkie tortury. Powinienem go wrzucić żywego do kwasu, ale to byłoby zbyt proste.

– Silvio – odezwał się nagle Fabricio, patrząc na coś za moimi plecami.

Natychmiast się odwróciłem. Payton stała przy schodach.

– Kończysz już?

– Nie. Wracaj do sypialni.

– Nie mam ochoty ani słuchać muzyki, ani oglądać filmu – zaprotestowała, zbliżając się.

Popatrzyła beznamiętnie na zapłakanego, zasmarkanego i zakrwawionego Pennę. – Jak milutko. – Uśmiechnęła się kpiąco. – Co z kwasem?

Payton wiedziała, że ciała pozbędziemy się, rozpuszczając je w kwasie.

– Jeszcze nie teraz – odparłem z lekką irytacją w głosie. – Mogłabyś już pójść do sypialni?

Naprawdę nie chciałem, żeby mnie oglądała w tym stanie.

– Nie. – Sięgnęła za plecy i wyciągnęła zza paska pistolet. Wkręciła w lufę tłumik i wycelowała w Pennę, zanim zdołałem choćby się odezwać. – Ja też mam prawo się zemścić. Zamierzasz go przesłuchiwać?

Zaprzeciłem, na co się uśmiechnęła i zbliżyła do Alvara. Przytknęła lufę do jego barku i bez chwili zawahania oddała strzał. Penna znowu zawył, poruszając nerwowo głową. A Payton...

Uśmiechnęła się triumfalnie i oddała kolejny strzał – w drugi bark. Fabricio uniósł brew i posłał mi zaskoczone spojrzenie, na co przymknąłem na moment powieki. Nie chciałem, żeby Payton zajmowała się torturami, jednak nie zamierzałem się z nią kłócić przy żołnierzach.

– Payton, wystarczy – oznajmiłem, stając obok niej.

Zerknęła na mnie z nieznacznym uśmiechem na ustach.

– Masz rację, kochanie.

Odetchnąłem z ulgą.

– Wystarczająco długo pozwoliliśmy mu żyć – warknęła, po czym wycelowała bronią w głowę Penny.

Cichy świst przeciął powietrze, a kula trafiła więźnia prosto w oko. W salonie zapadła cisza przerwana tylko odgłosem zabezpieczanej broni i głośnym westchnieniem Payton.

To sobie wybrałem żonę.

– Od razu mi lepiej. – Uśmiechnęła się, wtykając pistolet za pasek spodni. – Spakowałam nas i ogarnęłam bilety do Moskwy – oznajmiła jakby nigdy nic, obrzucając mnie spojrzeniem. – Wykap się porządnie, jak już skończycie z tym skurwielem, co byś nim nie śmierdział – szepnęła, składając na moich ustach czuły pocałunek. Następnie opuściła salon, ani razu się nie odwracając.

Zamrugąłem kilka razy. Byłem zaskoczony, bo nie wyglądała, jakby ją ruszyło, że odebrała komuś życie. Zadziwiła mnie jej postawa, ale jednocześnie utwierdziła w przekonaniu, że naprawdę dobrze zrobiłem, wpuszczając ją do swojego serca.

Payton była dla mnie stworzona. Najwyraźniej oboje byliśmy równie popieprzeni.

Rozdział dwudziesty

Salvatore

To miał być kolejny nudny wieczór spędzony na obserwacji magazynu, w którym przebywał Siergiej. Kolejne nudne godziny, po których nabawiłbym się na dupie odcisków, jednak... Nie był taki.

Już po pierwszej godzinie zauważyliśmy, że na teren wjechała ciężarówka z naczepą typu chłodnia – to zaś wywołało w nas podejrzenie, że Siergiej może planować wywiezienie przetrzymywanych od ponad miesiąca kobiet. Spiałem się na samą myśl o tym, że następne niewinne dusze miały zostać przez niego zniszczone. Dlatego tak szybko podjąłem decyzję o konieczności przejścia transportu.

Po prostu musiałem przeszkodzić Wetrowowi.

Nakazałem Dinowi zwołanie ekipy. Posłał mi zaskoczone spojrzenie – podobnie jak Zoja.

– Jesteś pewny, Salvatore? – zapytał niepewnie. – Zdemaskujemy się. Wetrow będzie wiedzieć, że jesteśmy w Moskwie.

– Naprawdę martwisz się teraz swoim bezpieczeństwem, Dino? – zapytałem, unosząc brew. – Tam jest ponad dwadzieścia niewinnych kobiet i dziewczynek, które mają zostać sprzedane do burdeli, gdzie będą gwałcone i bite do nieprzytomności. Wiesz, że jak ich nie odbijemy teraz, nie uda nam się ich wszystkich uratować. Mam dość siedzenia bezczynnie i gapienia się przed siebie. – Westchnąłem ciężko i potarłem czoło, nie spuszczać z Dina wzroku.

Mięsień na szczęce mu drgnął, a w oczach pojawił się znajomy błysk determinacji.

– Naprawdę martwisz się tym, że Siergiej się o nas dowie, a nie tym, że nie uratujemy tych kobiet?

Skrzywił się, a Zoja załkała cicho, zaciskając palce na moim nadgarstku. Pogładziłem ją uspokajająco po dłoni. Spojrzała na mnie ze łzami w oczach. Miałem wrażenie, jakby próbowała mi niemo powiedzieć, że docenia moje chęci podjęcia ryzyka. Tak naprawdę nie widziałem innego wyjścia.

Uśmiechnąłem się nieznacznie, słysząc, jak Dino wystukiwał wiadomość na telefonie. Zgodził się na akcję. Ucieszyło mnie to. Musieliśmy spróbować przerwać ten cholerny proceder – nawet jeśli ceną miało być nasze bezpieczeństwo. Istniały sprawy ważne i ważniejsze; ta była ważniejsza niż walka o władzę. Jeśli chcieliśmy zmienić świat, musieliśmy zaryzykować. Nie mogłem odwrócić wzroku, nie mogłem pozwolić na cierpienie niewinnych osób. Nie po tym, co przeszła Zoja z Artamonowem i resztą. I tak zbyt długo czekaliśmy na odbicie kobiet.

Niedaleko naczepy zebrali się ludzie Siergieja, przed samym ciągnikiem ustawiły się dwa terenowe mercedesy, a następnie dwa po bokach ciężarówki. Mogło ich być dwudziestu. Powinniśmy mieć drugie tyle.

– Potrzebujemy czterdziestu – mruknąłem, wyciągając telefon z kieszeni; poczułem wibrację. Przebiegłem spojrzeniem po wiadomości, odczuwając ulgę. – Silvio leci do nas z Payton. Zlikwidowali Pennę.

Nagle poczułem się pewniej niż chwilę wcześniej. Wiedziałem, że walcząc ramię w ramię z Silviem, mieliśmy dużo większe szanse na pokonanie Siergieja i jego popleczników. Nie zależało mi już nawet na tym, żeby przejąć władzę nad Bracią. Szczerze powiedziawszy, miałem to gdzieś. Jedyne, na czym mi zależało, to zlikwidować Wetrowa i jego ludzi. Na dobre. A Silvio mógł mi w tym pomóc. Zresztą... Payton mogłaby wtedy siedzieć z Zoją i jej pilnować, żeby mojej żonie przypadkiem nie wpadł do głowy durny pomysł wzięcia udziału w akcji.

– Będzie czterdziestu – oznajmił Dino.

Skinąłem mu głową, myśląc o żołnierzach, którzy przylecieli tydzień temu, żeby zwiększyć nasze szeregi. Finalnie i tak mieliśmy potrzebować zdecydowanie większej liczby osób. Kilkudziesięciu naszych żołnierzów kontra tysiące wiernych Siergiejowi gnojów było jak porywanie się z motyką na słońce. Niemożliwe i głupie do wykonania.

– Po tej akcji Siergiej będzie o nas wiedzieć, więc reszta przyleci na dniach prywatnymi odrzutowcami – mruknął Dino, kiwając głową. – Może faktycznie całe to odbicie ciężarówki będzie miało pozytywne skutki.

– Może – wymamrotałem, skupiając wzrok na samochodzie.

Nie widziałem nigdzie kobiet, ale to było więcej niż pewne, że Wetrow zamierza je wywieźć i przemyścić statkami na inny kontynent – prawdopodobnie do Ameryki Północnej. Nie miał jednak zielonego pojęcia o tym, że byliśmy tuż obok. Byłem pewien, że nie spodziewa się naszego powrotu do Rosji – a już na pewno nie tak szybkiego. Zapewne myślał, że będziemy lizać jeszcze przez kilka tygodni rany. Przynajmniej miałem nadzieję, że tak właśnie było.

– Coś się zaczyna dziać – odezwała się nagle Zoja. – Wyprowadzają kobiety – szepnęła zdławionym głosem. Natychmiast pogładziłem ją po plecach.

Byłem pewien, że właśnie sobie przypomniała, co robił z nią Artamonow. Może po części to właśnie ze względu na jej przeżycia tak szybko podjąłem decyzję o odbiciu kobiet? Czasem wspomnienia molestowania zalewały jej głowę, a potem snuła się bez celu po domu, szukając miejsca do ukrycia się. Czasami patrzyła przed siebie beznamiętnie. Nienawidziłem, gdy była w takim stanie. Dlatego, widząc łzy w jej oczach, objąłem jej twarz dłońmi i pocałowałem ją mocno. Chciałem, żeby jej umysł skupił się na czymś zupełnie innym, a pocałunek wydawał się na to najlepszym sposobem.

Od razu oddała pieśczość. Kąsała delikatnie wargi, zaciskając mocniej palce na mojej koszuli. A ja gładziłem jej policzki, starając się przekazać, jak bardzo jest dla mnie ważna. Nie przejmowałem się nawet tym, że Dino najpierw chrząknęła, a potem wyszedł na zewnątrz. Chciałem tylko, żeby Zoja zapomniała na chwilę o tej cholernej ciężarówce i zniewolonych kobietach. Nie mogłem pozwolić na to, żeby ponownie się w sobie zamknęła. Nie chciałem, aby zaczęła wszystko rozpamiętywać.

Jasne, zdawałem sobie sprawę z tego, że ponowny wyjazd do Rosji wcale jej nie pomógł, ale to ona nie chciała zostać w Nowym Jorku, nie zmusiłem jej do powrotu do Moskwy. Uparła się.

Nasza dwójka przeciwko całemu światu. Nasza dwójka przeciwko wszystkim niesprawiedliwościom.

– Kocham cię – szepnąłem, odrywając się od niej. Musnąłem kącik jej ust, spoglądając w jej oczy. Dalej błyszczały od łez, jednak nie były już tak puste.

– Ja ciebie też. – Uśmiechnęła się czule i jeszcze raz mnie pocałowała. – Nad życie. – Chrząknęła i przełknęła ciężko ślinę. – Mam nadzieję, że wkrótce pokonamy Siergieja, a on nie skrzywdzi już żadnej kobiety...

– Jestem pewien, że nam się uda – powiedziałem pewnie. Chciałem coś jeszcze dodać, tyle że właśnie wtedy Dino zapukał ze zniecierpliwieniem w okno. – Chyba nie lubi, kiedy się całujemy.

– Dziwisz mu się? – Odsunęła się na bezpieczną odległość. – Pewnie jest zazdrosny. – Mrugnęła, na co odetchnąłem z ulgą.

Uspokoila się.

– Chłopaki dojeżdżają – oznajmił Dino, wskakując z powrotem do auta. – Przerzucimy się do nowych fur, jak tylko podjadą.

– Musimy się rozdzielić – oznajmiłem od razu, zaciskając palce na dłoni Zoi, gdy posłała mi niezrozumiałe spojrzenie. Skupiłem się jednak na tym, żeby patrzeć na Dina. – Musisz jechać innym autem na wypadek, gdyby któryś z nas został zlikwidowany.

– Salvatore... – W głosie Zoi wyczułem przerażenie.

– Nie martw się na zapas – dodałem stanowczo. – Musimy wziąć pod uwagę wszelkie ewentualności. Rozdzielimy się dla dobra sprawy i zwiększenia bezpieczeństwa akcji. To tylko racjonalny środek zapobiegawczy, rozumiesz?

Skinęła głową i zerknęła w stronę magazynu.

– Chyba skończyli.

Naczepa była już zamknięta, a ludzie Siergieja wsiadali akurat do samochodów. Jego samego nie było nigdzie widać, ale to wcale nie oznaczało, że nie było go na miejscu.

– Chłopcy zaczną ich śledzić – poinformował Dino. – My pojedziemy dwa skrzyżowania dalej

i przesiądziemy się.

Jak tylko ciężarówka opuściła teren magazynu, Dino uruchomił silnik. Wyjechał z ukrycia i skierował się w przeciwną stronę niż ta, w którą pojechali ludzie Siergieja. Zgodnie z planem dwa skrzyżowania dalej przesiadliśmy się do nowych aut. Mercedesy, które ściągnęliśmy do Rosji, bardziej przypominały małe ciężarówki niż zwykłe terenówki. Marzenie każdego, kto lubił taranować inne pojazdy.

Dino wsiadł do jednego z wozów, a my do drugiego. Od razu ruszyliśmy w stronę, z której przyjechaliśmy. Na wyświetlaczu zamontowanym na kokpicie uruchomiona była nawigacja – czerwone kropki wskazywały lokalizacje naszych ludzi. Doskonale wiedziałem, gdzie się kierować, żeby dogonić ciężarówkę. Minęliśmy magazyn i jechaliśmy dalej. Starłem się za bardzo nie przekraczać prędkości. Nie chciałem wzbudzać podejrzeń patroli; ucieczka przed policją jedynie skomplikowałaby sprawę.

– Tam są – rzuciła Zoja, wskazując palcem samochody przed nami. – Jak to zrobimy?

– My nic nie robimy – odparłem. – Chłopcy staranują terenówki.

Jechaliśmy na końcu konwoju, przed nami podążał Dino. Widziałem na nawigacji, jak cztery nasze samochody zjechały z głównej drogi, skręcając w najbliższym możliwym miejscu. Jakiś czas później znalazły się na skrzyżowaniu dokładnie w tym samym czasie, w którym przejeżdżały przez niego ostatnie terenówki Wetrowa. Mimo sporej odległości do moich uszu dotarł huk i zgrzyt metalu, a następnie ciągły odgłos klaksonów. Dwie kropki zniknęły z mapki, jednak ani trochę mnie to nie zdziwiło – nadajnik był pod maską i najwyraźniej został uszkodzony.

Mijając rozbite samochody, widziałem, jak nasi żołnierze celowali do ludzi Siergieja.

– Dwóch zdjętych – oznajmił Dino przez zestaw głośnomówiący. – Pozostały jeszcze dwa i ciężarówka.

– To będzie trudne – mruknąłem, po czym zwróciłem się do żołnierzy: – Zróbcie wszystko, żeby ciężarówka nie wpadła w poślizg. – Obawiałem się, że wtedy kobiety mogłyby nie przeżyć.

Samego momentu uderzenia w terenówki jadącej przed ciężarówką nie byliśmy w stanie zobaczyć, bo naczepa zasłoniła nam widok, ale przejeżdżając chwilę później przez skrzyżowanie, zauważyliśmy rozwalone auta. Sytuacja sprzed kilku minut znów się powtórzyła – nasi ludzie wyczołgali się z aut i zaczęli strzelać do przydupasów Siergieja.

Wypuściłem pomiędzy warg drżące powietrze. Pozostało nam jedynie zatrzymać ciężarówkę, co nie powinno być zbyt trudne, zważywszy na fakt, że mieliśmy napęd na sześć kół i masywne auta.

– Dwóch na przód i hamujcie! – rozkazał Dino. – I po dwa na boki!

Samochód Dina wyrwał się do przodu. Ja też docisnąłem mocno pedał gazu, jednocześnie upewniając się, że Zoja miała zapięty pas. Ustawiłem się przy tylnym kole naczepy, mocniej zaciskając palce na kierownicy. Kątem oka zerknąłem na żonę. Zaciskała usta w wąską kreskę. Poglądziłem ją po dłoni, lecz bardzo szybko w pełni skupiłem się na zadaniu do wykonania.

– Hamujemy!

Ciężarówka wykonała manewr wymijania. Zanim jednak zdołała to zrobić, szarpnąłem kierownicą w lewo i przycisnąłem bok auta do naczepy. Zablokowałem jej ruchy. Podobnie uczyniła reszta. Kierowca nie miał żadnych szans na wydostanie się z pułapki – co najwyżej mógł strzelić sobie w łeb albo zeżreć cyjanek.

Ciężarówka zaczęła zwalniać. W uszach mi pischczało od nieprzyjemnego odgłosu metalu ocierającego się o metal. Co jakiś czas pomiędzy pojazdów wylatywały iskry. Zatrzymaliśmy się tuż przed następnym skrzyżowaniem.

A potem dotarł do nas huk wystrzału.

– Kierowca nie żyje – oświadczył jeden z żołnierzy. – Przejmujemy ją?

– Tak – przytaknąłem, zastanawiając się, co dalej.

W końcu mnie olśniło.

– Gdzie...?

– Komisariat, Dino – przerwałem mu. – Zawieziemy je prosto na komisariat, a chłopcy dopilnują, żeby policja się nimi odpowiednio zajęła.

Rozdział dwudziesty pierwszy

Zoja

Odeskortowaliśmy ciężarówkę pod sam komisariat policji w Moskwie. Później z oddali oglądaliśmy, jak kobiety i dziewczynki zostały wyciągnięte z naczepy przez funkcjonariuszy. Policjanci mieli zaskoczone i zdezorientowane miny. Chyba nie bardzo ogarniali, co się stało. Nie zamierzaliśmy się jednak do niczego przyznawać. Kilku żołnierzy miało tylko dopilnować, żeby sprawa nie została zamieciona pod dywan, a kobiety nie trafiły z powrotem do Wetrowa.

– Uśmiechasz się – zauważył Salvatore, obejmując mój podbródek palcami. Nakierował moją twarz w swoją stronę.

– Aha – przytaknęłam szeptem; po policzku spłynęła mi łza. – Cieszę się, że udało nam się je uratować. Cieszę się, że nie będą musiały przechodzić przez to piekło. Mam jedynie nadzieję, że nie skrzywdzili ich za bardzo...

– Też mam taką nadzieję – powiedział, gładząc mój policzek kciukiem. – I też się cieszę, że to zrobiliśmy. Będę teraz spać spokojniej, mając świadomość, że pomogliśmy niewinnym osobom i utarliśmy nosa Siergiejowi.

– Ja też. – Złożyłam na jego ustach czuły, powolny pocałunek. – Co teraz?

– Wracamy do domu – oznajmił, uruchamiając silnik. Następnie wyjechał na pograżoną w ciemności ulicę, dając znać Dinowi, że spadamy.

Gdy tak kierowaliśmy się do domu, czułam się jak jakaś superbohaterka. To było dziecinne, ale i tak powodowało na moich ustach uśmiech. Salvatore zresztą też się uśmiechał. Byliśmy zadowoleni z przebiegu akcji ratunkowej. Czułam coraz większą radość, ściskając dłoń męża. Może nie znajdowaliśmy się na idealnej pozycji, bo przecież musieliśmy jeszcze dokładnie rozplanować pozbycie się Siergieja, jednak ta akcja... dała nam ogromną przewagę.

Oczami wyobraźni widziałam już naszą dwójkę po zakończonej wojnie. Widziałam, jak spacerujemy ramię w ramię – czy to w Nowym Jorku, czy w Moskwie – ciesząc się, że udało nam się wygrać i pokonać wrogów. Byłam szczęśliwa, mając Salvatore'a za męża. Był najlepszym mężczyzną, jakiego przyszło mi poznać w moim niezbyt długim życiu. Nie mogłabym wziąć ślubu z kimkolwiek innym. Cieszyłam się, że ojciec tak uparcie chciał mnie wydać za mąż. Dzięki temu trafiłam na Salvatore'a. Na miłość mojego życia. Nie miało już znaczenia, że mnie na początku oszukał. Kochaliśmy się. Byliśmy dla siebie całym światem.

Uśmiech jednak spełzył mi z twarzy, a pozytywne myśli wyparowały, jak tylko zerknęłam w boczne lusterko. Oddech ugrzązł mi w gardle, ręce się zatrzęsły. Zobaczyłam coś, czego naprawdę nie chciałam widzieć. Coś, czego się nie spodziewałam.

– Salvatore – odezwałam się, nie próbując nawet ukryć paniki w głosie. – Ktoś nas śledzi – wyszeptałam, skupiając spojrzenie na ciemnym terenowym mercedesie za nami.

– Kurwa, wiem – wymamrotał spiętym głosem, przyspieszając. – Gdzie mam jechać? – zapytał, nawet na mnie nie patrząc. W międzyczasie próbował się połączyć z Dinem, niestety coś było nie tak. Nie usłyszeliśmy nawet jednego sygnału.

Zaczęłam się gorączkowo zastanawiać nad odpowiedzią. Próbowałam sobie przypomnieć, w którą ulicę powinniśmy wjechać, żeby łatwiej nam było zgubić śledzący nas pojazd. Jednak nasza terenówka była sporej wielkości – nie mogliśmy się przedrzeć przez niektóre uliczki, co utrudniało sprawę.

– Na trzecim skrzyżowaniu skręć w prawo, a potem na drugim w lewo – postanowiłam w końcu, przypominając sobie, że w okolicy znajdował się sporej wielkości podziemny parking. – Pod nami jest parking. Jeśli odpowiednio szybko do niego trafimy, powinno nam się udać go zgubić. Jest kilka wyjazdów.

Salvatore skinął mi głową, po czym skręcił na skrzyżowaniu zgodnie z moimi wskazówkami.

Zanim to zrobił, zajrzałam w boczne lusterko. Terenówka zniknęła. Serce boleśnie mocno zabiło mi w piersi. Żołądek zwinął się w supeł. Znikąd pojawiło się we mnie dziwne uczucie. Nieprawdopodobny strach zawładnął moim ciałem.

– *Ti amo, tesoro*³ – odezwał się nagle Salvatore, nie spuszczać wzroku z drogi. Pogłębił moje złe przecucie. Nie wiem, skąd mi się wzięło. – Kocham cię nad życie – dodał jeszcze, wjeżdżając na kolejne skrzyżowanie, na którym miał skręcić w lewo.

Nie zdążyłam mu odpowiedzieć. Najpierw w jego oczach błysnął strach, a chwilę później szarpnął kierownicą mocno w lewo. Opony zapisały złowieszczo. Salvatore coś krzyknął, ale nie rozumiałam, co dokładnie. Poczulałam silne uderzenie z mojej strony. Krzyknęłam, gdy nami szarpnęło. Głośny huk towarzyszył temu, jak nasze auto przekoziółkowało najpierw na jeden bok, a potem wylądowało na dachu. Sunęliśmy kilkanaście metrów po drodze, rozsyłając po asfalcie iskry.

Głowa mi pulsowała, a światła jakiegoś samochodu – chyba tego, co w nas wjechał – drażniły oczy. Do moich nozdrzy dotarł zapach benzyny. W ustach czułam metaliczny posmak krwi. Wisiałam do góry nogami. Od upadku na dach pojazdu ratowały mnie wyłącznie pasy.

– Salvatore? – wyszeptałam drżącym głosem, spoglądając na niego.

Dlaczego się nie odzywa?

– Nie... nie... nie... – załkałam, widząc jego zakrwawioną twarz.

Dotknęłam drżącymi i poszarpanymi od odłamków szkła dłońmi jego policzków. Były ciepłe, jednak klatka piersiowa się nie unosiła. Miałam wrażenie, jakby czas stanął w miejscu, jakby ktoś brutalnie wbił mi w serce nóż i przekręcił go kilka razy, powodując ogromny ból w całym ciele. W głowie kręciło mi się od zapachu benzyny i krwi, ale wiedziałam, że musieliśmy się za wszelką cenę wydostać na zewnątrz.

Byłam naszą ostatnią deską ratunku.

Odpięłam pas bezpieczeństwa. Jęknęłam, kiedy łupnęłam o dach samochodu. Zmusiłam się do olania bólu i podczołgałam się do Salvatore'a. Głowa zwiślała mu bezwiednie. Oczy miał otwarte i nieruchome. Stłumiłam jęk. Zaczęłam się szarpać z jego pasem, próbując go rozpiąć i jednocześnie połykając wielkie jak groch łzy. Chciałam go uratować. Musiałam. Nie mogłam się poddać. Nie mogłam go zawieść.

Mimo to podświadomie już wiedziałam.

W końcu udało mi się odpiąć pas. Salvatore upadł z głuchym łoskotem. Poklepałam go po policzku, błagając i łkając, żeby mrugnął. Jego oczy nie błyszczały tak jak zawsze. Byłam bliska wycia jak wariatka. Trzęsącymi się palcami dotknęłam jego szyi, próbując wyczuć puls.

Nic.

Przygryzłam wargę aż do krwi, zaciskając mocno dłonie w pięści. Wzięłam kilka głębszych wdechów powietrza, próbując się uspokoić. Musiałam go uratować. Musiałam!

Nie leżał w idealnej pozycji do masażu serca, a moje ręce były coraz słabsze, lecz adrenalina płynąca mi w żyłach blokowała odczuwanie bólu. Chyba miałam przemieszczony bark, ale to nie miało znaczenia. Liczył się jedynie Salvatore. Położyłam obie dłonie na jego mostku i zaczęłam uciskać, naiwnie próbując zmusić jego serce do bicia.

– Dwadzieścia... Dwadzieścia jeden... – mamrotałam do siebie przez zaciśnięte zęby.

Salvatore dalej wyglądał, jakby uszło z niego całe życie.

– Trzydzieści! – krzyknęłam, po czym przytknęłam usta do jego nieruchomych warg. Wtłoczyłam tlen w jego płuca, błagając w myślach, żeby się ocknął.

Zanim zdołałam drugi raz zaczerpnąć powietrza, usłyszałam za sobą głośne cmoknięcie. Docierało zza rozwalonej szyby. Potem dobiegł do mnie odgłos odbezpieczanej broni i triumfalny śmiech.

W pierwszym odruchu chciałam się odwrócić, jednak zmieniłam zdanie. Po policzku popłynęły mi łzy, a usta na powrót znalazły się na jeszcze ciepłych, choć cały czas nieruchomych wargach Salvatore'a. Pocałowałam go delikatnie, gładząc kciukiem poharatany policzek.

– Ja ciebie też kocham – wyszeptałam drżącym głosem, roniąc kolejne łzy. Szloch wzbierał na

sile, ale uparcie go od siebie odsuwałam. – Na zawsze razem – dodałam jeszcze i zacisnęłam mocno powieki, gdy dotarł do mnie huk wystrzału.

W nocy na obrzeżach Moskwy doszło do śmiertelnego wypadku z udziałem młodego małżeństwa. Personalia zmarłych nie zostały jeszcze potwierdzone, a policja nie komentuje na ten moment sprawy. Udało nam się jednak dotrzeć do świadka zdarzenia.

– Usłyszałam huk, więc podbiegłam do okna, żeby sprawdzić, co się stało. Zobaczyłam samochód przewrócony na dach, a raczej to, co z niego zostało. Niedaleko stała druga, dość podobna terenówka. Miała zniszczony przedni zderzak. Już miałam się ubierać, żeby pomóc tym biednym ludziom, ale wtedy... Boże... To było straszne... Z auta wysiadł jakiś facet, wyciągnął broń i tak po prostu strzelił. Nawet się nie wzdrygnął... Po wszystkim wrócił do samochodu i ruszył. Nim odjechał, oddał jeszcze jeden strzał. Wtedy zniszczona terenówka eksplodowała. To było straszne! Biedni ludzie. Mam nadzieję, że nie cierpieli...

Od kilkunastu miesięcy na terenie Moskwy dochodzi do wzmożonej liczby zaginięć młodych kobiet, a przedstawiciele służb nie zwracają na to uwagi.

Z nieoficjalnych informacji wynika, że ofiarami tego tragicznego w skutkach wypadku byli: Zoja Letowa-Bellomo – córka zmarłego w tym roku biznesmena Bolesława Letowa – oraz jej mąż, Salvatore Bellomo, znany w Stanach Zjednoczonych jako honorowy członek jednej z fundacji działających na rzecz pomocy ofiarom handlu żywym towarem.

Na usta ciśnie się nam pytanie, czy ich śmierć związana była z porwanymi kobietami, które zostały odnalezione tej samej nocy pod komisariatem w naczepie-chłodni? Czy zabójstwo młodego małżeństwa – bo bez wątplenia właśnie tym było – to odwet za przeszkodzenie w handlu kobietami? I na koniec... Czy rosyjska władza zacznie w końcu walczyć z okrucieństwem dziejącym się w XXI wieku na ulicach Moskwy? Czy kobiety będą mogły wreszcie bezpiecznie wychodzić z domów? Czy może po raz kolejny Rosja stanie się krajem dającym nieme przyzwolenie na nielegalne, obrzydliwe praktyki?

Cała redakcja składa wyrazy najszczerzego współczucia bliskim zmarłych.

Rozdział dwudziesty drugi

Roberto

Jak ja, kurwa, dziękowałem opatrności, że to ja stałem rano w kuchni i robiłem śniadanie, a Gio brała poranny prysznic. Kurwa. Jak tylko zaczęły się wiadomości, z twarzy odpłynęła mi krew, a kubek wyleciał spomiędzy palców i upadł z hukiem na kafelki. Zadrżałem. Nie, drobna pomyłka. Zadrżało całe moje ciało, serce i dusza.

– Wiadomości z ostatniej chwili – odezwała się radiowa prezenterka. – Dzisiejszej nocy w Moskwie doszło do śmiertelnego w skutkach wypadku, w którym zginęło młode małżeństwo, Zoja Letowa-Bellomo i Salvatore Bellomo. Według świadka samochód został staranowany na skrzyżowaniu, a następnie sprawca oddał dwa strzały w kierunku wraku. W świetle ostatnich miesięcy wypełnionych nagłymi zniknięciami młodych kobiet mieszkańcy Moskwy podejrzewają, że państwo Bellomo próbowali się sprzeciwić procederowi handlu żywym towarem. Według dostępnych nam informacji tej samej nocy pod komisariatem policji w Moskwie pojawiła się naczepa, w której znajdowały się porwane w ostatnim czasie kobiety i dziewczynki...

Nie słuchałem dalej. Wyłączyłem radio, kiedy usłyszałem, że Gio schodzi po schodach. Usilnie próbowałem wymyślić, jak jej przekazać, co się wydarzyło. W głębi duszy czułem, że to prawda. Salvatore nie sfingowałby śmierci bez poinformowania o tym siostry. Kurwa. Miałem pustkę w głowie. Jedyne, co byłem w stanie zrobić, to zawiadomić lekarza, żeby do nas jak najszybciej przyjechał. Giovanna mogła potrzebować leków na uspokojenie.

– Hej, a ten kubek na podłodze to co ma niby znaczyć? – rzuciła, wchodząc do kuchni. Zatrzymała się jednak, widząc moje spojrzenie. – Co się stało? – Zmarszczyła brwi. – Roberto? – ponagliła mnie, przetykając ślinę.

Kurwa! Jak mam niby powiedzieć, że jej brat i bratowa prawdopodobnie nie żyją?!

– Poczekaj – rzuciła, gdy otworzyłem usta. Wyciągnęła telefon z kieszeni spodni i ściągnęła brwi. – Dino do mnie dzwoni.

Niewiele myśląc, doskoczyłem do niej i wyrwałem jej komórkę z ręki, nie patrząc nawet na potłuczone, ostre kawałki kubka na podłodze. Zaakceptowałem połączenie i przycisnąłem telefon do ucha, odwracając spojrzenie od Gio.

– To prawda? – zapytałem bez przywitania. Musiałem wiedzieć.

– Tak – odparł po chwili ciszy, po czym chrząknął. – Wetrow.

– Kurwa... – wyszeptalem, zaciskając palce na nasadzie nosa. Zakręciło mi się w głowie. – Zemsta?

– Prawdopodobnie tak. – Przełknął ślinę. – Czekamy na Silvia na lotnisku, ma zaraz lądować. Jeszcze nie wie. Nie mam pojęcia, jak go powstrzymam przed natychmiastowym odwetem.

– Payton ci pomoże – oświadczyłem pewnie, unosząc wzrok na Gio.

Opierała się pośladkami o szafki kuchenne, krzyżując ramiona na piersi. Obserwowała mnie ze zmarszczonymi brwiami. Jej twarz i oczy wyrażały czyste zmartwienie.

Kurwa.

– Muszę kończyć. Informujcie nas.

– Jasne.

Schowałem komórkę do kieszeni i ruszyłem w stronę Giovanny, tłumiąc mdłości. Zacisnąłem palce na jej dłoni i pociągnąłem ją w stronę kanapy. Usiadłem, a zaraz po tym wciągnąłem żonę na kolana, zanim zdołałaby zaprotestować. Przyglądała mi się uważnie, jeszcze bardziej marszcząc brwi. Była zaskoczona, ale nie wyrwała się. Chociaż obawiałem się, że zaraz może zacząć – przez większość czasu trzymała mnie na dystans, robiąc mi na złość.

– Dziwnie się zachowujesz – wyszeptala, patrząc na mnie niepewnie. – Co chciał Dino?

– Kochanie... – Chwyciłem jej twarz w dłonie i pogładziłem uspokajająco po policzkach, wydychając powoli powietrze spomiędzy warg. – W nocy w Moskwie...

– Co z Salvatore'em? – przerwała mi szybko, zadając to jedno pytanie, którego chciałem na początku, kurwa, uniknąć.

– Kochanie... – wyszeptalem, oddychając głęboko. – Samochód, którym jechał Salvatore z Zoją, został w nocy staranowany. Oboje zginęli na miejscu – wykrztusiłem w końcu z siebie.

Gio zamrugała gwałtownie. W jej oczach błysnęły łzy i niedowierzanie. Wargi jej zadrżały, ciało stężało. Oddech jej przyspieszył. Zaczęła potrząsać szybko głową.

– Nie, nie, nie... To nie może być prawda. Dino kłamie. Mój brat żyje. To na pewno nie on zginął. Zoja też żyje... – mamrotała cicho, bardziej do siebie niż do mnie. Im dłużej to robiła, tym jej zdania były bardziej nieskładne i pomieszane.

Kłuło mnie serce, bo na jej twarzy pojawiły się przerażenie i smutek. Kiedy po jej policzku popłynęła pierwsza łza, natychmiast ją scałowałem. Przyciągnąłem Gio bliżej, a ona od razu wtuliła twarz w mój tors, mocząc mi koszulę. Gładziłem ją delikatnie po plecach, mamrocząc do ucha słowa pocieszenia, chociaż wiedziałem, że nic nie było w stanie ukoić teraz jej bólu.

– Jak to się stało? – zapytała drżącym głosem. – Kto?

– Wetrow – odparłem. – Jednak nic więcej nie wiem.

Nie chciałem powtarzać słów reporterki. Gio nie musiała znać od razu całej prawdy. Musiałem jej dawkować informacje. Bałem się o nią i o nasze dziecko. Bałem się, że wpadnie w szal. Tak cholernie się bałem, że się odetnie, żeby w samotności przeżywać żałobę. Nie mogłem na to pozwolić.

Wiedziałem też, co musiałem zrobić. Salvatore i Zoja byli dla mnie jak rodzina, a ja zawsze brałem odwet za rodzinę.

– Jak tylko skończymy z Orsim – powiedziałem, gładząc ją po włosach – wyjedziesz do Nowego Jorku.

– Co? Ale... Co ty... – zaczęła się plątać, jeszcze bardziej trzęsąc się jak osika.

– Hej, cichutko, mój skarbie – wyszeptalem, głaszcząc ją po policzku. – Nie martw się, kochanie. Wszystko się ułoży.

– Ale czemu...

– Gdy skończymy z Orsim, wyjedziesz do Nowego Jorku, tam będziesz bezpieczna. Ja zbiorę swoich ludzi i pojadę do Moskwy. Zapierdolę Wetrowa, choćbym miał to zrobić gołymi rękami.

Rozdział dwudziesty trzeci

Giovanna

Salvatore nie żyje. Salvatore nie żyje. Salvatore nie żyje...

Te trzy słowa tłukły się w moim umyśle przez cały dzień. Obijały się o czaszkę, uciążliwie hałasując. Bolała mnie już od tego głowa, a mdłości wcale nie były spowodowane hormonami ciążowymi, tylko... utratą brata.

Śmierć mamy przeżyłam okropnie, ale śmierć brata... zaledwie kilka lat starszego ode mnie... zatrzęsła całym moim światem. To było ponad moje siły, dlatego z uciechą łyknęłam tabletki uspokajające podane przez Roberta. Nie były to mocne leki, jednak zadziałały – większość dnia przespalam.

Dopiero jak się obudziłam, w pełni do mnie dotarło, co tak właściwie Roberto mi sugerował. Na samą myśl o tym, że miałby wyjechać do Moskwy rozliczyć się z Siergiejem, a ja miałabym na niego czekać w Nowym Jorku jak jakaś cholerna księżniczka, zadrżałam ze złości. Nie mogłam się na to zgodzić. Zresztą to nie on teraz podejmował decyzje. Poza tym oficjalnie był martwy.

Skrzywiłam się, wstając z łóżka – nagła zmiana pozycji spowodowała pulsujący ból w skroniach. Przysiadłam na skraju materaca i potarłam palcami czoło, próbując zażegnać chwilowy kryzys. Po kilku głębszych wdechach w końcu poczułam, że mogę normalnie funkcjonować. Wstałam i natychmiast ruszyłam do wyjścia z sypialni. Kiedy otworzyłam drzwi, usłyszałam podniesiony głos Roberta. Chyba się z kimś kłócił. Zmarszczyłam brwi, zastanawiając się...

– Silvio, do kurwy! Nie bądź narwany!

W połowie schodów zamarłam, przymykając na moment powieki. Cholera. Silvio powinien być już w Moskwie, a to oznaczało, że dowiedział się o śmierci Salvatore'a, co zaś mogło za sobą pociągnąć poważne konsekwencje. Silvio nie myślał, gdy wpadał w szał.

Zmusiłam się do ruchu. Zeszłam szybko po stopniach, po czym podeszłam do zdenerwowanego Roberta – tak mocno przyciskał telefon do ucha, że aż pobielały mu kostki. Zanim zdążył zareagować, zabrałam mu komórkę. Nie zaprotestował, co mnie zaskoczyło. Może uznał, że będę miała lepszy wpływ na Silvia.

Jak tylko przysunęłam urządzenie do ucha, bardzo szybko je odsunęłam. Silvio się wydierał.

– Silvio – odezwałam się.

– Gi? Daj mi Roberta.

– Nie – zaprotestowałam, kierując się w stronę kanapy. Usiadłam na brzegu i westchnęłam, zbierając myśli. Musiałam jakoś wpłynąć na Silvia. – Co ty chcesz zrobić?

– Chcę go zabić! – wrzasnął. – Ten skurwiel zamordował Salvatore'a, rozumiesz?! Zabił nam brata! Naprawdę myślisz, że będę siedzieć grzecznie na dupie i czekać nie wiadomo na co?! – warknął, dysząc ciężko.

Ścisnęło mnie w dołku.

Oczami wyobraźni widziałam rozszerzone źrenice Silvia, mocno zaciśnięte szczęki i pięści, no i ten jego nerwowy chód, który skuteczniał za każdym razem, kiedy ktoś go wyprowadził z równowagi.

Westchnęłam ciężko, kręcąc głową; do oczu napłynęły mi łzy. Nie chciałam, żeby Roberto wyjeżdżał do Moskwy, a jednocześnie nie mogłam pozwolić na to, żeby Silvio nie miał naszego wsparcia podczas zemsty, a wiedziałam, że nie odwidzę go od tego pomysłu na długo.

– Wstrzymaj się chociaż trochę – poprosiłam szeptem. – Proszę cię. Nie chcę i ciebie stracić. Dość już straciliśmy, braciszku – dodałam łamiącym się głosem; po policzkach pociekły mi łzy.

Roberto natychmiast stał je kciukami, posyłając mi zmartwione spojrzenie. Rozumiał, co czułam. Na pewno czuł się podobnie, gdy stracił Elenę.

– Na co mam czekać? – zapytał już nieco spokojniej, na co odetchnęłam.

– Na Roberta – wykrztusiłam z ledwością. Roberto zacisnął dłoń na moim udzie, udzielając mi

niemego wsparcia. – Daj nam po prostu czas, proszę – wyszeptałam; Silvio się nie odezwał. – Daj nam czas na zniszczenie Orsiego.

– Giovanna... – Westchnął ciężko. – Mam tu siedzieć na dupie jak cieć i czekać?

– Tak – warknęłam ostro, zaciskając palce na nadgarstku Roberta. – Jestem w ciąży, do cholery. Nie możesz mnie denerwować i stresować. Skoro nie chcesz się mnie posłuchać, to zadzwonię do Vita i on przemówi ci do rozsądku. Dalej jest twoim szefem.

Roberto uniósł brew. Chyba się nie spodziewał, że nastraszę Silvia Vitem. Normalnie pewnie bym tego nie zrobiła, ale teraz czułam, że nie miałam innego wyjścia.

– Nie wyciągaj mi tu ciąży, Gi – mruknął z irytacją. – Ile potrzebujecie czasu? – zapytał po chwili ciszy, dzięki czemu poczułam jeszcze większy przypływ ulgi.

Odpuścił. Na chwilę, jednak odpuścił.

– Jeszcze dokładnie nie wiem. Miesiąc?

Przeklął siarczyście.

– Silvio, wytrzymasz...

– Kurwa, co ja mam robić w tej pierdolonej, zapchlonej Moskwie przez cały pierdolony miesiąc? – zapytał ze złością. Dawno nie słyszałam, żeby aż tyle przeklinał. – Dobra. Niech ci będzie. Daję wam miesiąc, Giovanna, ani dnia dłużej. Po tym czasie nie będę patrzeć, czy mnie pociągnie za sobą do piekła, jak go zabiję. – Rozłączył się.

Odrzuciłam telefon na bok i wtuliłam się w Roberta, łapiąc go za koszulę. Westchnęłam głośno, znowu płacząc. Mimo że część mnie była w żalobie, to druga część odczuwała ulgę, że Silvio się powstrzymał. Sam nie dałby sobie rady.

– Mamy miesiąc na zlikwidowanie Orsiego?

– Tak – przytaknęłam, odsuwając się od męża. – Na nic więcej Silvio się nie zgodził. Dalej mi się nie podoba, że tam pojedziesz – burknęłam, krzywiąc się – ale we dwójkę będziecie bezpieczniejsi, silniejsi.

Skinął głową.

– Zadzwonię do Vita.

Musnął wargami moje czoło i wybrał numer mojego brata. Nerwowo zaciskał przy tym szczękę. Vito na pewno był już świadom śmierci Salvatore'a... i to o niego chyba najbardziej się martwiłam. O ile Silvia dało się przekonać do wstrzymania żądzy mordy, o tyle z Vitem mógł być znacznie większy problem.

Wkurwiony Vito to cholernie zły Vito.

Vito w żalobie to...

Jedynie bliskość Vi i jej zbawienny wpływ na mojego brata mogły go odciągnąć od zmieniania się w szaleńca z bronią w dłoni.

Rozdział dwudziesty czwarty

Vito

– Zapiardolę go gołymi rękami! Uduszę go! Kurwa! – ryknąłem na całe gardło, ciskając pilotem w telewizor. Na matrycy pojawiły się migoczące paski.

O morderstwie Salvatore’a i Zoi dowiedziałem się kilka godzin wcześniej od Dina. Próbowałem to jakoś przetrwać, starając się przy tym nie oszaleć, ale dość marnie mi to szło. Właściwie... szło mi chujowo; jak krew z nosa. Póki nie zobaczyłem nagrania z miejsca zdarzenia – pokazywali je chyba na każdej możliwej stacji z opisami typu: „porachunki mafijne”, „zemsta”, „handel kobietami”, „brak reakcji władzy” – szło mi całkiem nieźle, oczywiście jak na to, że straciłem brata. Byłem pierdoloną oazą spokoju, cholernym kwiatem lotosu na środku jeziora – jak mawiała *mamma* – dopóki nie zobaczyłem, co zostało z samochodu, w którym zginęła moja rodzina. Kurwa, to już nawet nie był samochód, tylko... pomięta blacha.

– Vito, telefon. – Vivienne ścisnęła mnie lekko za ramię.

Zerknąłem na nią z wdzięcznością, gdy podała mi urządzenie. Westchnąłem ciężko, widząc imię „Roberto”. Zdawałem sobie sprawę z tego, że zapewne chciał porozmawiać na temat ewentualnej zemsty. Ba, byłem prawie pewny, że chciał mnie odwieść od szybkiego działania. I to nie dlatego, że on nie chciał tego robić, a dlatego, że Giovanna go o to poprosiła. Chociaż, znając Gi, powinienem to raczej nazwać grożeniem.

– Tak? – rzuciłem, akceptując połączenie.

– Wyrazy współczucia, bracie.

– Dzięki – mruknąłem, kątem oka rejestrując niezrozumiałe spojrzenie Brada, brata Vi. Patrzył to na mnie, to na rozwalony telewizor.

Jeszcze jego mi tu brakowało. Zaraz zaczniesz rzucać niewybrednymi komentarzami, że nie potrafisz zachować zimnej krwi i w końcu zaatakuję Vi. Kurwa. Czasem miałem ochotę wyrzucić go z domu i olać pilnowanie jego bezpieczeństwa. Działał mi na nerwy.

– Jak się czuje Giovanna? – zapytałem, zwijając wolną dłoń w pięść. Byłem niemal pewny, że to ona najbardziej przeżywała śmierć Salvatore’a.

– Nie jest najgorzej, jeśli mam być szczerzy. – Chrząknął. – Słuchaj... Rozmawiałem z Silviem.

– I?

Nie spodobał mi się nerwowy ton jego głosu.

– Przez miesiąc wstrzyma się od...

– Kurwa, Roberto – przerwałem mu warknięciem, aż Vi się wzdrygnęła. – Nie wpierdalaj się w to, kiedy i jak dokonamy odwetu. To jest nasza sprawa, nie twoja. To, że jesteś mężem...

– Giovanna go namówiła.

Przekląłem siarczyście pod nosem. Opuściłem szybkim krokiem salon, bo miałem dość krzywego spojrzenia, które posyłał mi Brad. Stałem przy balustradzie, zaciskając na niej dłoń tak bardzo, że pobieleły mi kostki.

– Po chuj jej pozwalasz, żeby się wtrącała?

– Słuchaj, Vito, nie zrozum mnie źle, ale... – Zamilkł na moment i chrząknął. – Myślę, że żebyśmy się mogli na dobre pozbyć Siergieja, musimy to zrobić we trójkę, a ja nie opuszczę Werony, dopóki nie zlikwiduję Orsiego.

– Zawsze możesz dojechać w późniejszym czasie.

– Vito, proszę cię. Nie zmuszaj mnie do wyciągnięcia cięższego kalibru.

Zazgrzytałem zębami. Wcale nie musiał mówić, co miał na myśli, jednak i tak to zrobił.

– Nie każ mi podważać twojej decyzji na Komisji.

Prychnąłem.

– Nie jesteś już donem, Roberto. Przynajmniej na ten moment – powiedziałem, siłąc się na

spokojny ton. – Moja siostra nim jest i...

– Ona tym bardziej podważy twoją decyzję, doskonale o tym wiesz. – Westchnął. – To tylko miesiąc, Vito. Skończymy z Orsim, odeślemy kobiety do Nowego Jorku, a my dokończymy to, co zaczął Salvatore. Choćbym miał własnoręcznie wepchnąć Siergieja do piekła, zrobię to.

– Kurwa, musisz być taki wyszczekany, a do tego zasłaniać się Giovanną? – warknąłem, zaciskając zęby, przez co nieprzyjemnie zgrzytnęły. – Miesiąc wam wystarczy?

– W zupełności – potwierdził; coś zaszeleściło. – Hmm... wychodzi na to, że nawet krócej. Silvio właśnie wysłał mi zdjęcia dokumentów z magazynów Penny. Mam przed oczami listę wszystkich lokalizacji powiązanych z Orsim. – Przeklął siarczyście.

– Co?

– Cholerny Orsi ma pierdolony pakt z Wetrowem, czego się w sumie można było spodziewać, ale... Wyobraź sobie – wycedził – że w dokumentach przewija się nazwisko Iwanki Sajanowej, a do tego znajduje się jeszcze dokumentacja dotycząca LaScali i Catellazo.

– Zajebię ich – warknąłem, odpychając się od balustrady.

Wszedłem żwawym krokiem do domu i skierowałem się do biura, mijając po drodze zmartwioną Vivienne.

– Jak chcesz to zrobić?

– Bardzo prosto – oświadczyłem. Szykowałem się na to od jakiegoś czasu, jednak Penna i Wetrow byli ważniejsi. Uruchomiłem skrzynkę pocztową naszego serwera. – Załatwię skurwielowi przeniesienie do innego więzienia. Ich transport zgubi się przypadkiem gdzieś w połowie drogi – wyjaśniłem, odszukując odpowiedni numer.

Musiałem porozmawiać z człowiekiem, który załatwił mojemu ojcu dostęp do zmarłego męża Vivienne.

– Widzimy się za miesiąc, Roberto. Dzwon w razie czego.

– Tak, jasne.

– Pilnuj mojej siostry, Favale. Nie chciałbym być zmuszony do obicia ci mordy, gdyby coś jej się stało.

– Sam bym sobie wtedy obił mordę.

Odłożyłem telefon, jak tylko się rozłączył, po czym skupiłem się na ekranie monitora.

Lucas Reecon – odpowiedni człowiek do odpowiedniej roboty.

Nie zamierzałem nawet wspominać Vivienne o tym, że planowałem współpracę z facetem, który wystawił jej męża na pewną śmierć. Miałem w sobie jeszcze na tyle instynktu samozachowawczego.

Rozdział dwudziesty piąty

Vivienne

– Vito? – Zapukałam do jego biura.

Zniknął za drzwiami kilkanaście minut wcześniej, rozmawiając z Robertem. Zastanawiałam się, czego takiego się dowiedział, że od razu pognał do swojego „królestwa”.

– Vito? – zapytałam raz jeszcze, naciskając na klamkę.

Nie otworzyłam jednak szeroko drzwi, tylko lekko je uchyliłam, bo dotarł do mnie ten jego służbowy, beznamiętny ton. Już nie rozmawiał z Robertem.

– LaScala i Catellazo, więzienie stanowe o zaostrozonym rygorze na Florydzie... Ile wtedy sobie policzyłeś? Dwieście patyków?! Oszalałeś, Reecon! Kurwa... Dobra, ale... Zrozum, że to tylko... W dupie mam, że z wystawieniem klawisza poszło ci łatwiej, niż pójdzie ci teraz z transportem.

Zamrugałam gwałtownie. Zabrakło mi tchu w piersi. Przesłyszałam się, prawda? Vito wcale nie miał na myśli mojego zmarłego męża, prawda? Na pewno coś źle zrozumiałam. Vito nie mógłby... Nie zrobiłby mi tego.

– Za Hacketta wzięłeś dwieście kafli, a za tych skurwysynów chcesz dwa razy tyle?!

Nie...

– Do kurwy, Reecon... Dobra! Czekaj! Na kiedy to ogarniesz? Dobra. Połowę kasy dostaniesz teraz, a resztę po wykonanej robocie.

Po krótkiej ciszy nastął trzask, jakby Vito uderzył czymś o biurko.

– Kurwa! Pierdolony wyzyskiwacz!

Przełknęłam głośno ślinę, wzdrygając się na chłód i wściekłość w jego głosie. Wypuściłam spomiędzy warg drżące powietrze i popchnęłam drzwi. Stałam w progu i spojrzałam bez słowa na Vita. Miał mocno zaciśniętą szczękę; wyglądał na rozjuszonego. Zamrugał, marszcząc brwi.

– Mówiłem ci już, żebyś nie wchodziła do biura, gdy...

– Z kim rozmawiałeś? – przerwałam mu, wchodząc głębiej. Zamknęłam za sobą drzwi i zbliżyłam się do niego, krzyżując ramiona na piersi.

– Nie musisz się...

– Z kim? – powtórzyłam, stając tuż przed nim. Wzrok miałam wbity w jego oczy. Nie zamierzałam ani razu mrugnąć. Musiałam wiedzieć, z kim rozmawiał. Musiałam wiedzieć, czy dobrze rozumiałam.

– Zrozum, *bella*...

– Z kim?

Nie zamierzałam dać za wygraną. Chciałam usłyszeć od niego słowa prawdy, a nie marne próby wykręcenia się od odpowiedzi. Nie obchodziło mnie nawet, czy jego rozmówcą faktycznie był mężczyzna mający coś wspólnego ze śmiercią Nicka, czy nie. Chciałam jedynie wiedzieć, czy Vito potrafił być ze mną szczery.

– *Bella*...

– Z kim? – wycedziłam przez zaciśnięte zęby. Zaczęło mnie denerwować, że nie potrafił mi podać prostej odpowiedzi.

Popatrzył na mnie ze zbolałą miną, nerwowo przeczesując palcami włosy. Westchnął ciężko i pokręcił głową, po czym zrobił krok w moją stronę. Objął moją twarz dłońmi i pogładził po policzkach, wbijając we mnie skupione spojrzenie, jakby próbował mi pokazać, że targają nim sprzeczne emocje. W jego oczach widziałam strach i zmieszanie, ale też miłość do mnie – cały wachlarz uczuć. Rozumiałam jego obawy; bał się mojej reakcji. To tylko utwierdziło mnie w przekonaniu, że dobrze rozumiałam.

Zamierzał współpracować z kimś, kto przyczynił się do śmierci Nicholas.

– Rozmawiałem z człowiekiem, który zajmuje się między innymi załatwianiem przeniesień

więźniów pomiędzy zakładami karnymi – powiedział cicho na jednym wydechu, nawet na chwilę nie odwracając wzrok.

– Współpracowałeś z nim już wcześniej?

Siliłam się na spokojny ton, choć to nie było łatwe.

– Nie.

Zmarszczyłam brwi. Serce zabiło mi mocniej pod wpływem ulgi, a potem... coś sobie przypominałam.

– A twój ojciec?

Mięsień na szczęce mu drgnął.

– To, co mój ojciec...

– Współpracował z nim? – przerwałam mu. – Czy ten człowiek pomógł twojemu ojcu zabić mojego męża?

To jedno pytanie zawisło między nami jak topór wojenny.

Vito się skrzywił. W jego oczach błysnęło coś złowrogiego. Puścił moją twarz i odsunął się, przeczesując znowu włosy. Przybrał chłodny i obojętny wyraz twarzy. Przeraził mnie, bo... już dawno nie widziałam go w takim wydaniu. Wyglądał, jakby... jakby wyłączył swoje uczucia, co było przecież fizycznie niemożliwe. Znowu był tym, który się chował, krył z emocjami. Obojętny, poważny, stanowczy, jednak przede wszystkim po prostu... chłodny.

– To ja jestem twoim mężem, Vivienne – syknął, wpatrując się we mnie ze złością. Dał spory nacisk na słowo „mąż”. – Ale tak, Reecon pomógł mojemu ojcu wystawić Hacketta, a teraz wystawi dla mnie LaScalę i Catellazo. Pogódź się z tym. Im szybciej to zrobisz, tym lepiej.

Jego głos ociekał lodem do tego stopnia, że na moim ciele pojawiła się gęsia skórka. Miałam ochotę uciec z biura i ukryć się w sypialni, do końca dnia unikając kontaktu z Vitem. Przerazał mnie. Przerazał mnie tak jak wtedy, kiedy się dowiedziałam, kim jest. Nie miałam pojęcia, co zrobić, żeby przywrócić go do poprzedniego stanu...

Domyślałam się, że w sporej mierze się wycofał ze względu na żalobę po Salvatorze. Nie chciał czuć smutku. Dlatego – z trudem, bo z trudem, ale to zrobiłam – po prostu do niego podeszłam i pocałowałam go czule w usta, stając na palcach. W pierwszej chwili się nie poruszył, jakby spodziewał się po mnie czegoś innego, lecz nie minęło nawet kilka sekund, a już oddawał żarliwie pocałunek.

– Chciałam po prostu wiedzieć, z kim rozmawiałeś – wyszeptałam, gładząc go po policzku i patrząc mu w oczy. – Chciałam tylko się dowiedzieć, kim jest Reecon. Nie pytałam o to, żeby cię zdenerwować czy wyciągnąć znowu naszą przeszłość.

Nie odpowiedział, jedynie przyciągnął mnie do siebie i oplótł ciasno ramionami. Zatrząsł się, przyciskając twarz do mojej szyi. Coś wilgotnego spłynęło mi po skórze, zatrzymując się nad obojczykiem.

Vito płakał.

A mnie nieomal pękło serce, gdy wyszeptał drżącym głosem:

– Zawiodłem go, *bella*. Zawiodłem Salvatore’a.

Rozdział dwudziesty szósty

Silvio

Byłem zbyt dobry dla Giovanny. Zdecydowanie, cholera, za dobry.

W głowie mi się nie mieściło, że zgodziłem się poczekać. Matka pewnie by się ucieszyła, bo Giovanna coraz bardziej ją przypominała. Potrafiła użyć takich słów, żeby człowieka przekonać do swoich racji.

Payton chyba włączyła instynkt samozachowawczy, ponieważ chodziła wokół mnie niemalże na palcach – co jeszcze bardziej wyprowadzało mnie z równowagi. Dino w ogóle się zmył – siedział w domu naprzeciwko. Na odchodne tylko rzucił, że ma nadzieję, że nie znajdzie po powrocie trupów.

Cóż, nie mogłem mu tego obiecać, skoro dorwałem się do barku. Na moje nieszczęście jedynym alkoholem była wódka. Cholernie mocna, ruska wódka.

I to było właśnie to, czego potrzebowałem. Skoro nie mogłem pojechać do Siergieja i wpierdolić w niego tony ołowiu, musiałem zająć ciało i umysł czymś zupełnie innym. Pałaca w przetyk wódka i towarzysząca mi żona były idealnym pomysłem. Cholernie idealnym pomysłem.

Tak sądziłem.

– Kurwa – wybełkotałem po wypiciu któregoś z kolei kieliszka. – Salvatore, ty gnojku, chciałeś nas zostawić w Nowym Jorku dla tego ohydztwa?! – Kaszlnąłem; nieprzyjemny posmak alkoholu zdecydowanie zbyt długo utrzymywał się w gardle.

– Popij – wybełkotała równie pijana Payton, podając mi szklankę soku. Nie chwyciłem jej. Szło upadło na dywan.

Wybuchnąłem głośnym śmiechem. Moja żona – cudowna kobieta, naprawdę – zerknęła na mnie z niezrozumieniem. Po chwili sama zaczęła chichotać jak głupia. Musiałem ją zarazić atakiem śmiechu. Nie sądziłem, że były aż tak zaraźliwe.

Payton dostała czkawki. Czkała głośno, a ja rechotałem jeszcze głośniej.

– Jesteś jak Salvatore – wybełkotałem, gdy w końcu w miarę się uspokoiłem. Otarłem łzy z policzków, obserwując zaczerwienioną twarz Payton.

– Wyglądam... jak... mężczyzna...? – zapytała, czkając.

Ponownie wybuchnąłem śmiechem, kręcąc głową.

To nie był dobry pomysł. Zrozumiałem to, kiedy nagle pokój zaczął wirować.

Opadłem ociężale na kanapę, przytykając palce do nasady nosa. Zaciśnąłem mocno powieki, próbując uspokoić karuzelę, na której zdecydowanie się nie znajdowałem.

– Nie – odparłem, siłąc się na poważny ton. Dałbym jednak sobie rękę uciąć, że i tak dało się słyszeć rozbawienie. – Ale on też kiedyś wylał popitkę, a potem zaczął czkać – wybełkotałem, schylając się po szklankę. Poturlała się pod stolik. Chyba.

– Pomogę ci! – wykrzyknęła, odpychając się od kanapy.

Spadła z niej, upadając na dywan. Parsknąłem głośnym śmiechem, a po sekundzie, widząc krew na jej dłoni, wytrzeszczyłem oczy.

– Krwawisz!

Payton popatrzyła na mnie zamglonym wzrokiem, po czym przeniosła spojrzenie na dłoń. Przechyliła głowę i podetknęła rękę niemal pod nos. Zmarszczyła brwi, przyglądając jej się z zaciekawieniem, a na koniec uśmiechnęła się.

– To tylko draśnięcie.

Warknąłem pod nosem kilka niecenzuralnych słów i chwyciłem jej nadgarstek. Próbowałem wstać, lecz w chwili, w której stanąłem na nogi, od razu opadłem z powrotem na kanapę. Payton wylądowała z głową między moimi udami. Sapnąłem głośno, czując jej ciepły oddech przez materiał spodni. Wzrok jednak miałem utkwiony w jej krwawiącej dłoni. Dalej byłem pijany jak cholera, ale myśl, że moja żona jest ranna, ocuciła mnie na tyle, żeby odsunąć od siebie zboczzone myśli.

– Musimy to opatrzyć – zarządziłem, łapiąc ją pod ramię. – Wstań, proszę.
– Myślę, że potrzebujesz buzi – wymamrotała, nie ruszając głowy. – O tu – mruknęła, przyciskając wargi do rozporoka.

Kurwa, pomyślałem, usilnie odpychając od siebie zbereżne wizje.

– Payton – warknąłem, mocniej zaciskając palce na jej ramieniu.

Pisnęła cicho i uniosła głowę. Z ledwością zdołałem odsunąć swoją. Inaczej mogłaby mi złamać nos.

W końcu, cholera, po kilku minutach szarpania się z nią, dotarliśmy jakoś do łazienki. Pomogłem Payton usiąść na ziemi tuż obok wanny i zabrałem się za szukanie apteczki. Wyrzucałem z szafek artykuły higieniczne i jakieś płyny, przeklinając pod nosem. Nigdzie nie było tej cholernej apteczki, a przecież, kurwa, gdzieś musiała...

– To nie to, kotku? – zapytała niewyraźnie Payton.

Odrzuciłem się w jej stronę. W dłoni – tej zdrowej oczywiście – znajdowało się czerwone pudełko. Najwyraźniej musiałem je przez przypadek wyrzucić z szafek.

Skinąłem głową i zabrałem się za opatrywanie żony. Usiadłem obok niej, kompletnie nie przejmując się tym, że kafelki były ubrudzone. Miałem misję – musiałem uratować Payton, która właśnie przesunęła dłonią po twarzy, rozmazując krew.

Jakimś cudem udało mi się pęsetą wygrzebać odłamek szkła z jej ręki. Potem odkaziłem ranę, przykleiłem plaster i owinąłem bandażem – tak na wszelki wypadek, żeby się nie wykrwawiła.

Oparłem się z głośnym westchnieniem o wannę i objąłem Payton ramieniem. Spojrzałem z zadowoleniem na bandaż. Uratowałem żonę ze szpon śmierci!

Tak, byłem z siebie dumny.

I kompletnie zalany.

I tęskniłem za bratem.

Byłem bliski płaczu.

Kurwa.

Cholerni Rosjanie i ich wódka.

Ocknęliśmy się rano z bolącymi głowami w zakrwawionej łazience. Wnerwiałem się na siebie, że puściły mi hamulce. Kurwa. Dino też był średnio zadowolony, gdy wpadł z bronią do pomieszczenia, myśląc, że się pomordowaliśmy. Widziałem jednak w jego oczach czające się zrozumienie. Cóż – przynajmniej choć na chwilę się znieczuliłem.

Jak tylko się wykąpaliliśmy i w miarę ogarnęliśmy, poszliśmy do kuchni. Na blacie leżały papiery wyciągnięte z magazynu Penny, ale też jakieś foldery ściągnięte przez Dina z rosyjskich serwerów. Udało mu się jakimś cudem do nich włamać.

Payton, im dłużej wczytywała się w tekst, tym bardziej przygryzała dolną wargę, marszcząc przy tym nos – wyglądała całkiem słodko jak na nią. Dino za to co rusz unosił głowę znad papierzysk, jakby sprawdzał moją reakcję na to, co czytałem.

Śmierć Salvatore’a mąciła moje trzeźwe myślenie i nie bardzo potrafiłem się skupić na czytanych słowach. Udawałem. No... udawałem do momentu, aż nie zobaczyłem dokumentu, który przyczynił się do wyrzutu adrenaliny. Byłem niemal pewny, że to właśnie o to chodziło Dinowi.

– Nie wierzę – mruknąłem.

Ilekoć bym nie czytał tekstu, słowa cały czas układały się w te same zdania i tę samą informację zwrotną. Namacalny dowód na to, że wszystko, co się teraz działo, ukartowane było od lat, a my nie mieliśmy o tym pojęcia. Czułem narastającą wściekłość, że żadne z nas tego nie przewidziało, tyle że... Jak niby mieliśmy to zrobić? Od zawsze skupialiśmy się na Nowym Jorku i okolicy – nawet za czasów mojego ojca. To był błąd. Okropny błąd, za który Salvatore i Zoja zapłacili życiem.

Kurwa.

– Co znalazłeś?

Uniosłem głowę i wlepiłem spojrzenie w Payton, zaciskając mocno palce na kartce – niemal ją

zgniotłem.

– Iwanka Sajanowa tak naprawdę nazywa się Wetrowa. Wyszła za Siergieja – oznajmiłem, podając Payton dokument, zanim bym go rozniósł w pył. – Cztery lata temu.

– Co? – Zamrugła gwałtownie. – Cztery? To znaczy, że...

– Że to wszystko – machnąłem ręką – trwa znacznie dłużej, niż do tej pory sądziliśmy – dokończyłem za nią, upijając łyk kawy. Już nie potrzebowałem kofeiny, żeby się rozbudzić, ale mimo to się napiłem. Chyba głównie po to, żeby coś zrobić, cokolwiek.

– Zoja mówiła, że się przyjaźniły – mruknęła. – Dlaczego więc wzięła ślub z kimś, kto chciał jej śmierci i wywiózł ją do burdelu?

Wzruszyłem ramionami. Nie miałem bladego pojęcia. Coś nam umykało. Coś, co było kurewsko ważne, a my tego wcześniej nie zauważyliśmy. Ktoś zawalił na całej linii, kiedy przeprowadzał wywiad w Rosji. Ktoś kurewsko namieszał nam w życiu, teraz zapewne śmiejąc się z naszej dezorientacji i głupoty.

– Sprawdziłem co nieco. Teraz, gdy tu jestem, znacznie łatwiej zdobyć informacje – odezwał się Dino. Wziął do dłoni telefon i przejechał palcem po ekranie. – W latach trzydziestych, zanim powstała Brać taka, jaką widzimy teraz, Moskwę rządziła rodzina Zubkowów. Rodzina Letowów posiadała wtedy tylko kilka drobnych interesów, byli płótkami.

Zmarszczyłem brwi.

– Domyślam się, że to się w pewnym momencie zmieniło. Letowowie przejęli władzę. Dlaczego?

Dino się skrzywił.

– To jest już pytanie do waszego pradziadka. – Podał mi komórkę.

– Do Berarda? A co on ma z tym... – Zamilkłem, jak tylko zobaczyłem raport. – Dziadeczek ubijał interesy z Zubkowem?

Nie miałem o tym pojęcia. Nie sądziłem nawet, żeby Vito wiedział.

– Według tego, co znalazłem, to tak. – Pokiwał głową. – Mam ci to skrócić? – Machnął ręką w stronę telefonu.

– Tak. – Odrzuciłem urządzenie na stolik. W głowie mi się nie mieściło, że nie wiedzieliśmy o starych interesach.

Kurwa, w jak wiele spraw nie zostaliśmy wtajemniczeni?

Dino skinął głową, rozłożył się wygodnie na krześle i zaczął mówić:

– Kiedy na czele jednej z Rodzin stał Berardo Bellomo, w Moskwie rządził Gaspar Zubkow. Prowadzili sporo wspólnych interesów, jednak po kilku lat zaczęło się między nimi sypać. Wtedy do akcji wkroczył Maksim Letow, pradziadek Zoi. Zaczął spiskować z Berardem, żeby jak najszybciej obalić rządy Zubkowa. Podejrzewam, że to dlatego Letow tak naciskał na ślub Zoi z którymś z was. Chciał zacieśnić stosunki. Na pewno wiedział o Zubkowie i przeszłości. – Chrząknął. – W każdym razie Maksim chciał przejąć władzę w Rosji, a Berardo zażądał procentu od przyszłych interesów Letowa.

Gdy Dino zamilkł, żeby się napić kawy, ja zerknąłem na Payton. Siedziała ze zmarszczonymi brwiami, stukając palcami o blat. Sam nie wyglądałem lepiej.

– Zubkow to pradziadek Iwanki... – wymamrotał Dino.

Co, kurwa?

– Przejęcie władzy było dość krwawe – kontynuował. – Zubkow zginął, ale pozostawił po sobie ciężarną żonę. O tym mało kto wiedział. Urodziła dziadka Iwanki, a jemu później urodziła się córka, Naszka Zykowa. Naszka zaś wyszła za Sajanowa i urodziła im się Iwanka.

– Jej matka nazywała się Zykowa? Nie Zubkova? – zapytała Payton, zanim ja zdążyłem to zrobić.

– Prababka Iwanki podała w akcie urodzenia syna swoje panięskie nazwisko, Zykowa.

Po tych słowach zapadła cisza. Moje serce pompowało krew coraz szybciej i szybciej. Z coraz większym trudem przychodziło mi opanowanie wściekłości.

– Chcieli się na nas zemścić za czyny Berarda – podsumowałem. – Wytłumacz mi tylko, Dino,

czemu my o tym, do chuja, nie wiemy? Czemu ojciec nigdy nam o tym nie powiedział? Wiedziałem, że kiedyś w Moskwie rządził Zubkow, ale nie miałem pojęcia, że to stary Bellomo przyczynił się do jego upadku i śmierci! Czemu, do kurwy, o tym nie wiedzieliśmy?! Przecież... – Chrząknąłem, kiedy głos mi się załamał. Payton zacisnęła dłoń na moim ramieniu, jakby chciała dodać mi otuchy. – Gdybyśmy wiedzieli, Salvatore i Zoja dalej by żyli. *Mamma* dalej by żyła, do kurwy nędzy.

Oczy zaszyły mi mgłą. Miałem ochotę coś roztrzaskać. Naprawdę byłem bliski wypadnięcia z domu, a potem rozwalenia wszystkiego po drodze do posiadłości Wetrowa. Chciałem włączyć w niego całą amunicję, a potem to samo zrobić z Sajanowami.

– Praktycznie wszyscy, którzy o tym wiedzieli, już nie żyją – wtrącił Dino.

– To skąd o tym wiesz? – Wlepiłem w niego wściekłe spojrzenie. – Lepiej, żebyś nie wiedział o tym, zanim mój brat...

– W nocy dotarłem do człowieka, który... powiedzmy, że zajmuje się kolekcjonowaniem trudnych do zdobycia informacji. Właściwie jego rodzina zajmuje się tym od pokoleń – wyjaśnił. – Tomas Burkow wiedział o krwawym przejściu władzy od swojego ojca, a jemu zaś przekazał to jego ojciec. To wszystko – machnął dłonią – kosztowało mnie prawie pięć baniek.

Otworzyłem usta, ale Payton była szybsza.

– Skąd w ogóle pewność, że to prawda? Skąd wiesz, że cię nie...

– Bo to, kurwa, ma sens. W końcu coś ma sens. – Westchnął, pocierając twarz dłońmi. – Wetrow chce zemsty dla rodziny swojej żony. To zrozumiałe. Zresztą... To po prostu ma sens! – krzyknął, opierając się o stół. – Widzieliście, kto był świadkiem na ich ślubie, prawda?

– Adamo Orsi – wyplułem; kolejny kutas, którego pragnąłem odstrzelić.

Doprowadził do stanów przedzawałowych moją siostrzyczkę, za co powinien już dawno zawisnąć na stryczku. Kolejny skurwysyn powiązany z pierdoloną Rosją.

– W latach trzydziestych w Moskwie było kilka rodzin, które wydały córki za Włochów.

Skinąłem Dinowi, bo o tym akurat wiedziałem. Pamiętałem to z „lekcji” prowadzonych przez ojca.

– Rodzina prababki Orsiego pochodziła z...

– ...Rosji – dokończyłem za niego, rozszerzając oczy. Wszystkie kawałki układanki wskoczyły na swoje miejsca.

Byliśmy lata świetlne za Orsim i Wetrowem w swojej wiedzy. Kurwa, że też wcześniej nie próbowałem bardziej grzebać w pochodzeniu Orsiego. Wiedziałem, że miał rosyjskie korzenie, jednak widocznie jego pradiadkowie i pewnie pradiadkowie Iwanki doskonale się znali. Jak mogło mi to nie wpaść do głowy? No jak?! Ojciec co prawda tylko raz wspomniał, że kilka rodzin należących do Camorry nie było czystej włoskiej krwi, ale... Kurwa!

Oni to planowali od lat. Od lat! Wiedzieli wszystko na temat przeszłości naszych rodzin, a my byliśmy w czarnej dupie. Gdyby nie fakt, że Papini znalazł kogoś, kto wiedział od nas więcej, to dalej błądzilibyśmy we mgle. Tak właśnie się kończyło ukrywanie niewygodnej prawdy, byleby nie zostać zdyskredytowanym w oczach innych Rodzin. Berardo w ogóle nie powinien był się wtrącać w to, kto rządził Moskwą. A on się wtrącił i wszystko zataił. Postawił ponad wszystko interesy i własny zarobek, nie myśląc nawet o tym, z jakim burdelem zostawił swoją rodzinę na przyszłość. Zmarł, zanim go poznałem, ale jeśli dziadek Furio miał coś po ojcu, to na pewno bycie czystym skurwysynem, który nie liczył się z niczym oprócz pieniędzy. Obaj byli siebie, kurwa, wari. Jeden gorszy od drugiego.

– Czyli co? – zapytała Payton, spoglądając na mnie.

– Czyli czekamy, aż Roberto rozprawi się z Orsim, a później wyjedziesz do Nowego Jorku, z kolei my rozprawimy się z Moskiewską Bracią raz a dobrze. – Zwinąłem dłonie w pięści, bo mnie kurwica brała, że tyle lat żyliśmy w niewiedzy.

Do chuja! Mogliśmy to wszystko zatrzymać lata temu albo chociaż jakoś się przygotować na wojnę z Wetrowem i Sajanowem. Nie miałem żadnych wątpliwości, że to właśnie rodzice Iwanki stali za wszystkim, wykorzystując do zemsty Siergieja. To oni rządzili, nie on. W głowie mi się nie mieściło, że Berardowi udało się to wszystko zataić!

– Silvio? – odezwała się Payton nieco zdenerwowanym tonem, więc od razu na nią popatrzyłem.

Trzymała w dłoni jakąś kartkę i bez wątpienia to nie był akt ślubu Siergieja i Iwanki.

– A to jest kolejna sprawa – mruknał Dino.

– Co to jest? – Wyrwałem papierzysko.

Spodziewałem się jakichś informacji, ale mój wzrok napotkał zdjęcie zakneblowanej dziewczyny.

– Kto to jest?

– To... – Dino nachylił się, opierając łokcie o stół – ...jest córka Bucci.

Zamrugalem kilka razy, przyglądając się młodej, wystraszonej dziewczynie. Wyraźnie widziałem przerażenie w jej oczach i ogromnego sińca na policzku.

– Orsi ją porwał, żeby mieć haka na Buccę – syknąłem, wybierając numer Roberta.

Miał szansę oczyścić się z zarzutów.

Rozdział dwudziesty siódmy

Giovanna

– Czy ja mogę wiedzieć, co ty tak właściwie robisz? – zapytałam, gdy weszłam do kuchni.

Roberto stał nad rozłożonymi na stole mapami jakiegoś budynku i wpatrywał się w nie ze skupieniem.

– Planuję – odparł, nawet na mnie nie spoglądając. Zapisał coś na kartce i ponownie nachylił się nad dokumentami.

– Co planujesz? – Podeszłam bliżej, na co od razu zareagował.

Schował kartkę do kieszeni spodni.

– Pokaż mi to.

– Nie.

Rozdziawiłam usta w niemym zaskoczeniu, kiedy tak po prostu wrócił do gapienia się na papiery. Co to miało, do cholery, znaczyć?

– Pokaż! – warknęłam, szarpiąc go za rękaw.

Zerknął na mnie z politowaniem – a to mnie jeszcze bardziej wkurzyło.

– Roberto, do cholery! Jako głowa Cosa...

– Nie jesteś głową Cosa Nostry, Giovanna – przerwał mi iście spokojnym tonem, nie przestając na mnie patrzeć. – Już ci to tłumaczyłem i to nie raz, ale powtórzę znowu. Żyję, więc jestem donem. Nie możesz mi rozkazywać.

Zamrugłam, zapowietrzając się. Następnie posłałam w jego stronę rozłoszczone spojrzenie, opierając pięści po bokach ciała. Już któryś raz to słyszałam; doprowadzał mnie tym do szału.

– Oficjalnie nie żyjesz, więc nie jesteś...

– Jestem – przerwał mi nonszalanckim tonem i się uśmiechnął.

Miałam ochotę zetrzeć mu ten uśmieszek z twarzy.

– Nie! – zaprotestowałam głośno, wyciągając telefon. Wybrałam numer do jednego z żołnierzy w Obitorium. – Będą się mnie słuchać – warknęłam.

Uśmiechnął się z pobłażaniem, gdy minął któryś z kolei sygnał, a nikt nie odebrał. Wściekła odłożyłam z hukiem urządzenie na blat i wbiłam zirytowane spojrzenie w męża.

– Co to ma, do cholery, znaczyć?

Wzruszył ramionami, nie przestając się szczerzyć.

– Nasi ludzie są wierni, Giovanna – odparł, podchodząc bliżej. Objął dłońmi moją twarz, a ja mimowolnie przymknęłam oczy. Już tyle czasu minęło, odkąd pozwoliłam mu na jakiegokolwiek zbliżenie. Dalej ciągnęłam karę za bycie wredną szują ukrywającą się pod pretekstem śmierci.

– Kilka dni temu zostali poinformowani o tym, że żyję – szepnął, nieznacznie muskając wargami moje usta.

Zadrzałam. Po części dlatego, że to było przyjemne i dreszcz przebiegł mi po plecach, jednak głównie dlatego, że zrobił coś za moimi plecami. Cholerny don z ego tak wielkim, że sięgało chmur!

– Ty naprawdę chcesz mnie wyprowadzić z równowagi – powiedziałam, ponownie patrząc mu w oczy i nie kryjąc złości.

Chciałam się odsunąć, ale przewidział to – objął mnie ramionami i przyciągnął bliżej. Tak blisko, że czułam na sobie ciepło jego ciała. Do nozdrzy dotarł jego zapach, przez co ponownie zadrzałam. Tym razem z czystej przyjemności. *Cholera! Nie daj się! Miałaś się nie dać!* – darłam się na siebie w myślach, lecz na nic się to zdało. Kilka sekund później przycisnęła ciepłe wargi do mojej odsłoniętej szyi.

Muskał moją skórę, kierując się w stronę zuchwy, a ja mu na to pozwoliłam. Rozpływałam się w jego ramionach, kiedy dotarł do mojego policzka i na nim skupił się na dłużej. Dłonie mocno zaciskał na moich biodrach. Na brzuchu wyraźnie czułam, że był podniecony i więcej niż gotowy. Zrobiło mi się ciepło. Nie, chwila, to niedopowiedzenie. Mnie było cholernie gorąco! Oddech mi przyspieszył, a serce

rzuciło się w szaleńczy galop, próbując się wydostać spod żeber. *Pieprzone hormony!* – wrzasnęłam na siebie. Zamiast odepchnąć od siebie Roberta, objęłam jego kark i wbiłam w niego paznokcie.

Nawet nie syknął, za to zamruczał z zadowoleniem, jeszcze mocniej do mnie przywierając. Dłońmi zaczął błdzić po moim ciele, przesuwając usta coraz bliżej moich. Westchnęłam cicho. Z całych sił się powstrzymywałam, żeby się na niego nie rzucić. Tak naprawdę już dawno nie byłam na niego zła – rozumiałam jego powody – ale nie mogłam mu przecież tak po prostu odpuścić. Nie zamierzałam pokazywać mu, że miał nade mną władzę, bo nie miał. Nie byłam już tą samą słodką idiotką co kiedyś.

– Nawet nie wiesz, jak za tym tęskniłem – mruknął. Na twarzy poczułam jego ciepły oddech. Zadrżałam. – Tak cholernie brakowało mi twojego ciepła, twojej bliskości... Tak bardzo chciałem się do ciebie przytulić, a ty za każdym razem mnie odtrącałaś. Nie uważasz, że już swoje wycierpiałem? Przestań się nade mną znęcać, kochanie – wyszeptał, muskając kącik moich ust.

Z całych sił powstrzymywałam się przed tym, żeby go nie pocałować. *Opanuj się, Gi!*, ryknęłam na siebie w myślach. *Tylko spokój może cię uratować!*

– Lwico moja... – szepnął mi w usta, zaciskając dłoń na pośladku.

Kurwa!

Spomiędzy moich warg wydostał się wygłodniały jęk.

Zdradzieckie hormony!

Roberto to wykorzystał; jakżeby inaczej. Wślizgnął się językiem pomiędzy moje rozchylone wargi, napierając na mnie. Drażnił mój język, wzdychając i jęcząc, a ja uparcie się nie ruszałam. Stałam jak kłoda, próbując się kontrolować. Ani trochę nie pomagała mi w tym jego dłoń wędrująca po moim ciele. Jedną dalej miętosił mój pośladek, poruszając biodrami tak, że się o mnie ocierał. Druga zaś znalazła się na mojej piersi. Nie powstrzymałam jęku. Roberto drażnił i męczył moje usta, co rusz zasysając dolną wargę między zęby. Byłam bliska upadku. W podbrzuszu przyjemność urosła do rangi „zaraz eksploduję”, a mózg zaczął podsyłać obrazy, jak kochamy się na blacie i...

Otrzeźwiałam.

– Nie! – Odepchnęłam go od siebie stanowczym ruchem. Tak stanowczym, że zachwiał się, gdy zrobił krok w tył. Posłał mi niezrozumiałe spojrzenie spod na wpół przymkniętych powiek. Miał zamglone oczy i spore wybrzuszenie w spodniach. – Co to za plany?! I nawet nie waż się zmieniać tematu!

Westchnął ciężko, przewracając oczami.

– Jeden z magazynów Orsiego – odparł zachrypniętym głosem, prostując się. – Planuję akcję.

– Jaką niby akcję? – Głos mi niekontrolowanie zadrżał; nagle ścisnęło mnie w dołku, a do oczu napłynęły łzy.

Mówiłam? Cholerne hormony!

– Gio... Ty płaczesz? – zapytał z przejęciem, podchodząc bliżej, na co natychmiast wystawiłam dłoń przed siebie. – Giovanna, do cholery! – podniósł głos, po czym przymknął powieki i odetchnął głośno, rozluźniając ramiona. Kiedy się odezwał, brzmiał już nieco spokojniej: – Co się dzieje? Kochanie? Nie płacz, proszę...

Zanim zdołałam zareagować i go odepchnąć, on już mnie do siebie tulił i gładził po plecach. Wybuchłam niekontrolowanym płaczem. Nie wiedziałam nawet, skąd się pojawił.

– Już, kochanie, cichutko. Nie płacz, mój skarbie.

Nie wiedziałam, skąd mi się to wzięło, ale na samą myśl o akcji wpadłam w panikę. Szok po śmierci Salvatore'a już dawno minął. Teraz przyszedł czas żałoby i chyba przez to na samo brzmienie słowa „akcja” dostawałam ataku płaczu. Bałam się. Tak cholernie się bałam, że Roberto mógłby wpaść na pomysł wzięcia w niej udziału... Bałam się, że go stracę – ten strach znów do mnie wrócił i tym razem był gorszy, bo już wiedziałam, co mogę czuć po jego śmierci.

I tak po prostu przestało mieć dla mnie znaczenie, że nie wiedziałam o sfigowaniu śmierci; że pozwolił mi myśleć o sobie jak o wdowie. Miałam gdzieś to, że ujawnił się przed swoimi ludźmi, nie

konsultując tego ze mną. Nie przejmowałam się już nawet tym, że chciałam mu utrzyć nosa. Ja po prostu cholernie mocno chciałam się z nim zestarzeć i mieć trójkę dzieci! Chciałam, żeby żył obok mnie. Zebyśmy przeszli razem przez życie – ramię w ramię!

– Nie zostawiaj mnie, proszę. Nie każ mi znowu przez to przechodzić. Nie idź na akcję. Zostań tu ze mną – wyrzucałam z siebie słowa z prędkością wiatru, coraz głośniej łkając. – Nie wyjeżdżaj do Rosji. Błagam, Roberto. Nie dam rady bez ciebie. Nie przeżyję tego. Już straciłam brata, nie chcę i ciebie. Bez ciebie umrę...

Zanosilałam się spazmami płaczu, mocząc mu koszulę. On zaś głaskał mnie po plecach, składając pocałunki na mojej twarzy i szepcząc, że nigdzie się nie wybiera. Nie wierzyłam mu. Znałam go. Wiedziałam, że nie był w stanie siedzieć na dupie w domu, kiedy jego ludzie brali udział w akcji. Wiedziałam, że nie mógł tak po prostu nie pilnować zaplanowanego przez siebie nalotu. Przeczuałam, że zamierzał własnoręcznie pozbawić życia Orsiego, tym razem po tysiącokroć upewniając się, że jego serce przestało bić.

Czułam to. Wiedziałam to. I cholernie mnie to przerażało.

– Nie wezmę udziału w akcji, słyszysz? Giovanna, do cholery, uspokój się! – krzyknął, odchylając się do tyłu. Chwycił moją twarz w dłonie i wbił we mnie stanowcze spojrzenie. – Rozumiesz? Nie wezmę udziału w nalocie. Nie pojedę do tego magazynu ani do żadnego innego należącego do Orsiego, rozumiesz?

Chciałam pokiwać głową, ale nie byłam w stanie się ruszyć. Nie wierzyłam mu, chociaż bardzo chciałam. Widziałam w jego oczach stanowczość, jednak – nie wiedzieć czemu – nie wierzyłam mu.

– Wierzysz mi? – zapytał, gładząc powolnymi ruchami moje policzki.

Przymknęłam powieki i pokręciłam głową. Nie potrafiłam uwierzyć. Roberto nie umiał tak po prostu odpuścić...

– Przysięgam na Boga, na ciebie i na nasze nienarodzone dziecko, Giovanna. – Unieruchomił mi głowę, gdy chciałam ją odsunąć. – Spójrz na mnie, kochanie.

Z trudem, bo z trudem, ale otworzyłam oczy i na niego spojrzałam. Miał poważny wyraz twarzy, w którym nie dostrzegłam ani grama zawahania.

– Przysięgam na to, jak bardzo cię kocham. Przysięgam na to, jak bardzo kocham nasze dziecko. Przysięgam na to, jak bardzo pragnę zemsty na wszystkich, którzy nam w jakikolwiek sposób zagrozili. Przysięgam, skarbie, że nie pojedę na tę akcję.

– A Rosja? – wymusnęło mi się; czułam nieprzyjemny uścisk w żołądku. Już zanim się odezwał, znałam odpowiedź.

– Tego ci nie przysięgnę, kochanie, chociaż bardzo bym chciał. Nie zostawię twoich braci na lodzie.

Znowu zaszlochałam, przytulając się do niego mocno. Od razu objął mnie ramionami, przyciągając do siebie. Kołysał mnie powoli, gładząc po plecach, a ja wypłakiwałam rzewne łzy w jego koszulę.

– Jeśli coś ci się...

– Nic mi nie będzie – przerwał, szepcząc do ucha.

– Nie wiesz tego. Nie możesz być tego pewien, Roberto – zaprotestowałam, mocniej zaciskając palce na jego koszuli. – Nie możesz mi mówić, że...

– Nic mi nie będzie. – Stanowczy ton jego głosu spowodował, że zamilkłam. – Wrócę, ponieważ mam do kogo. Wrócę do ciebie i do naszego dziecka. Nic nie będzie w stanie mnie zatrzymać. Nic, rozumiesz? Bo nic nie jest na tyle silne, żeby nawet w maleńkim stopniu zagrażało naszej wspólnej przyszłości. Nic, Giovanna. Nie po to przez tyle lat robiłem wszystko, by cię odzyskać, żeby teraz dać się zabić jakiemuś pierdolonemu Rosjaninowi.

Wykorzystałam chwilę ciszy, która zapadła po jego słowach, na uspokojenie własnych łez. Spojrzałam mu w oczy. Widziałam w nich miłość i obietnicę. On zapewne w moich widział furję – po raz kolejny hormony postanowiły dodać trochę pikanterii do naszego związku.

– Nie chciałabym być w twojej skórze, gdybyś złamał tę obietnicę – warknęłam, zaciskając palce na jego ramionach. – Jeśli zostawisz mnie samą z dzieckiem, to wierz mi, że znajdę cię nawet w

cholernym piekle i zrobię ci z dupy jesień średniowiecza.

Zacisnął mocno usta, czerwieniejąc na twarzy. Nie minęła jednak minuta, a już się otwarcie śmiał, kręcąc przy tym głową. Miałam ochotę zdzielić go w łeb. To wcale, cholera jasna, nie było śmieszne!

– Ty moja lwico... – mruknął, uśmiechając się promiennie. Pogłaskał mój policzek, na co westchnęłam cicho i przymknęłam powieki. Uspokoiliam się nieco. – Kocham cię, wariatko.

– Ja ciebie też, dupku – odezwałam się, zanim poczułam jego ciepłe wargi na swoich.

Ciało, umysł i serce ponownie się do niego wyrwało. Już zapomniałam, że byłam na niego zła. W mojej duszy pojawił się upragniony spokój, chociaż wiedziałam, że nie mógł trwać długo.

Kilka sekund po tym, jak zapomniałam o bożym świecie, poczułam nieprzyjemny ucisk w żołądku. Oderwałam się od Roberta i pobiegłam do łazienki, przykładając dłoń do ust.

Huśtawka emocji zmieniła się w wymioty. Po prostu świetnie!

Rozdział dwudziesty ósmy

Roberto

Trzymałem ją za włosy, delikatnie gładząc po plecach, gdy jej ciałem wstrząsały torsje spowodowane wymiotami. Kochałem ją i nasze dziecko, ale nienawidziłem tych chwil, kiedy męczyły ją nudności. Gdybym tylko mógł, zamieniłbym się z nią miejscami. Była dla mnie wszystkim. Ściągnąłbym dla niej cholerną gwiazdkę z nieba, jeśli byłbym w stanie.

– Chcesz się położyć? – zapytałem. Przestała wymiotować i otarła usta wierzchem trzęsącej się dłoni.

– Tak – wyszeptała, kiwając powoli głową.

Natychmiast objąłem ją za ramię i pociągnąłem do góry, przytrzymując w pasie, żeby się nie przewróciła. Zgarnąłem jej z czoła wilgotne włosy i uśmiechnąłem się czule. Zamrugęła kilka razy, krzywiąc się – zupełnie jakby ją na chwilę zamroczyło.

– Weźmiesz ze mną prysznic? – poprosiła, po czym przytknęła palce do ust, mamrocząc ciche przeprosiny. – Najpierw zęby – wymamrotała niewyraźnie, kierując się w stronę umywalki.

Dłonie dalej jej się trzęsły, więc zabrałem jej szczoteczkę. Nałożyłem na nią pastę, zamoczyłem i podałem, uśmiechając się. Zaczęła myć zęby, a ja – jak tylko się upewniłem, że stoi stabilnie – włączyłem wodę pod prysznicem. Ustawiłem odpowiednią temperaturę i odwróciłem się do... rozbierającej się Gio. Gdyby nie fakt, że bałem się ją tknąć, bo nie chciałem przyczynić się do problemów z ciążą, już dawno bym się w niej zagłębiał. Kurwa. Na samą myśl o jej słodkiej cipce zrobiło mi się ciepło i cholernie niewygodnie w bokserkach. Zacisnąłem pięści, wypuściłem drżący oddech spomiędzy warg i pomogłem Gio wejść pod prysznic.

– Jesteś niewyżyty. – Zaśmiała się, gdy wślizgnąłem się pod natrysk chwilę po niej i przycisnąłem wzwiedzionym penisem do jej pośladków.

– Sama jesteś temu winna – mruknąłem, składając czuły pocałunek na jej karku. Wylałem żel na dłoń i zacząłem go wmasowywać w jej piękne ciało. Umyłem ją, skupiając się najbardziej na brzuchu, ponieważ to właśnie tam, pod delikatną skórą, rosło nasze dziecko. Owoc naszej miłości. Istotka, której zamierzałem strzec jak oka w głowie.

Gio ocierała się o mnie, mrużąc uwodzicielsko pod nosem, a ja naprawdę starałem się na nią nie rzucić. Bałem się, że mógłbym skrzywdzić ją lub dziecko.

– Długo jeszcze będziesz tak jęczeć mi do ucha, czy w końcu we mnie wejdiesz? – sapnęła, stając na palcach i ocierając się o mnie. Członek znalazł się idealnie między jej pośladkami, na co jęknąłem głośno z przyjemności.

– Nawet nie wiesz, jakbym chciał – wycedziłem z trudem przez zaciśnięte zęby. Docisnąłem do niej biodra i poruszyłem nimi. Chwilę później odwróciłem ją przodem do siebie i pocałowałem czule w usta, upajając się jej smakiem i zapachem. – Ale po pierwsze jesteś wymęczona wymiotami, a po drugie nie chcę ci zrobić krzywdy.

Odsunąłem się od niej i sięgnąłem do drzwi, żeby wyjść spod prysznica. Chciałem wyjść. Naprawdę. Zamierzałem uciec. Tyle że Gio zrobiła coś, co ostatecznie spowodowało, że odwróciłem się do niej z łobuzerskim uśmiechem.

Zacisnęła palce na sztywnym penisie i natychmiast zaczęła nimi poruszać, patrząc mi w oczy. Jęknąłem głośno i przycisnąłem usta do jej rozchylnych warg, od razu wkradając się do środka językiem. Objąłem ją w pasie ramieniem, uniosłem i przyparłem do ściany, kiedy opłotła mnie udami.

– Nie chcę ci zrobić krzywdy – powtórzyłem, ocierając się o jej ciepłe i wilgotne wejście. Byłem na skraju. Całe ciało mrowiło mnie od oczekiwania. Pragnąłem, żeby otuliła mnie swoim ciepłem.

– Nie zrobisz... – Jęknęła niecierpliwie, wbijając mi paznokcie w ramiona. – Zrobisz mi krzywdę, gdy zostawisz mnie niezaspokojoną, Roberto.

– Może lepiej zrobię ci dobrze ustami? – zapytałem, spoglądając jej w oczy. Zobaczyłem w nich

niebezpieczny błysk.

Zanim zdążyłem zareagować, wsunęła między nas dłonie i opuściła się niżej, tym samym nabijając się na członka. Jęknąłem głośno, odchylając głowę. To było... Kurwa. Tak cholernie tęskniłem za jej ciasną cipką.

– Nie – zaprotestowała i pocałowała mnie lekko. – Nic mi nie będzie. Zrób z siebie w końcu jakiś pożytek. Tyle czasu się nie kochaliśmy, Roberto – wyszeptała, zaciskając mięśnie na moim penisie.

No i przepadłem.

Zacząłem się w niej poruszać. Najpierw powoli, nie wchodząc w nią nawet do połowy długości, ale jak tylko zaczęła głośniej jęczeć i wbiła mi paznokcie w ramiona, wypchnąłem biodra do przodu i zatopiłem się w niej po same jaja. Jęknęła przeciągle, przymykając powieki. Jej twarz zastygła w wyrazie czystej przyjemności. Przyspieszyłem ruch bioder. Tak cudownie było w końcu znaleźć się w jej ciepłym wnętrzu, trzymać ją w ramionach, słyszeć jej płytki, urywany oddech. Byłem w pieprzonym niebie, mimo że na to nie zasługiwałem. Ponownie sięgnąłem z nią gwiazd.

– Zaraz dojdę – wychrypiałem z trudem, czując nadchodzące spełnienie. Ucisk i napięcie kumulowały się w lędźwiach.

– Ja też... – Jęknęła, przeciągając paznokciami po mojej skórze. – Nie przestawaj. Proszę.

– Jak sobie królowa życzy.

Wchodziłem w nią, wychodziłem i kręciłem biodrami. Każde pchnięcie było coraz głębsze. Czułem, jak się na mnie zaciskała. Czułem, jak zaczynała drżeć. Jej jęki zmieniały się w krzyki, aż w końcu zamarła i zamknęła się na mnie mocno jak imadło. Pociągnęła mnie za sobą. Wybuchłem w jej wnętrzu, mocno wbijając palce w jej biodra. Oboje drżeliśmy, uspokajając oddechy. Przyciskałem wilgotne czoło do jej, wpatrując się z uwielbieniem w jej zaczerwienioną twarz. Uśmiechałem się do siebie jak wariat, bo w końcu wróciliśmy na poprawny tor. Czułem to. W końcu odpuściła mi wszystko, co miała mi za złe. Byłem szczęśliwy. Tak po prostu szczęśliwy.

Leżałem na boku na łóżku i muskałem palcami nagie ramię Giovanny, nie przestając się jej przyglądać. Była wyraźnie rozluźniona. Na ustach błąkał jej się delikatny uśmiech. Zsunąłem dłoń po jej ciele, aż dotarłem do brzucha. Uśmiechnąłem się, czując ścisk w gardle.

Będę ojcem. Cholera, czy mogę chcieć od życia czegoś więcej?

– Jak myślisz? – zapytała nagle, układając dłoń na mojej i lekko zaciskając na niej palce. Przeniosłem spojrzenie z brzucha na jej oczy. – Dziewczynka czy chłopczyk?

– Lepiej chłopak – odpowiedziałem od razu, oczami wyobraźni widząc, jak z nim jeżdżę na strzelnicę.

– A co, jeśli będzie dziewczynka? – zapytała cicho; zupełnie jakby bała się mojej reakcji, co przecież było irracjonalne.

Nieważna była płeć. Ważne, żeby było zdrowe.

– To w każdym kącie domu będzie broń – odparłem poważnie. – A każdemu, kto będzie chciał jej dotknąć, upierdole łapy przy samej szyi. – Aż mi ciarki przeszły po ciele. – Dlatego lepiej, żeby był chłopak.

– Nie będziesz jej trzymać pod kloszem, Roberto – zaprotestowała z zapalem, wbijając we mnie zirytowane spojrzenie.

Normalnie bym się zaśmiał, ale zdołałem się przed tym powstrzymać. Nie mogłem jej denerwować, poza tym miała złowieszczy błysk w oku. Tak, proszę państwa, obawiałem się o siebie. Vito pieprzył trzy po trzy, że mafioso bez kobiety jest jak żołnierz bez karabinu, a ja na to: mafioso bez kobiety nie obawia się o swoje jaja.

– Masz rację – przytaknąłem. – Nauczę ją strzelać, zapiszę na kurs samoobrony i wschodnich sztuk walki, a jak będzie wystarczająco dojrzała, będę jej wpajać, że faceci to zło i powinna zostać lesbijką.

– O Boże! – Zaśmiała się, kręcąc z niedowierzaniem głową. – Gdyby mnie tak ojciec wychował,

nigdy byś mnie nie poznał.

– I tak bym cię poznał, skarbie. Jesteśmy dla siebie stworzeni. – Mrugnąłem. – Jak tylko bym cię gdzieś zobaczył, nie wziąłbym ślubu z nikim innym. Ba, porwałbym cię, gdybyś nie chciała za mnie wyjść. – Wzruszyłem ramionami.

– Jesteś głupi. – Pocałowała mnie lekko, chichocząc. Odsunęła się jednak, kiedy chciałem pogłębić pocałunek. – Jeśli to dziewczynka...

– ...to będzie miała przejebane – dokończyłem za nią, szczerząc się.

Przewróciła oczami i westchnęła, szybko poważniejąc.

– To będzie się nazywała Elena Rosalie.

Uśmiech zamarł mi na ustach. Zmarszczyłem brwi, wpatrując się w nią z niedowierzaniem. Cholera. Chciała nazwać naszą córkę imieniem mojej siostry. Czy mógłbym znaleźć sobie lepszą kobietę od Giovanni Bellomo? Odpowiedź była prosta – zdecydowanie nie.

Uśmiechnąłem się czule i pocałowałem ją lekko w usta, szepcząc:

– Jeśli będziemy mieli syna, nazwiemy go Salvatore.

W jej oczach błysnęły łzy. Po chwili piersi jej zafalowały, gdy odetchnęła głęboko kilka razy; zapewne chciała się powstrzymać od płaczu. Ani trochę jej się nie dziwiłem. Wylała już hektolitry łez, a tak piękna kobieta powinna być cały czas szczęśliwa, nie utrapiona i pogrążona w smutku.

– A drugie? – zapytała drżącym głosem.

– Nie potrzebuje drugiego imienia – odpowiedziałem, gładząc ją po policzku. – Będzie tak zajebisty z jednym, że mając dwa, mógłby przyćmić naszą zajebistość.

Parsknęła śmiechem i przewróciła oczami, mamrocząc coś o tym, że jestem nienormalny. Może trochę byłem.

– Jesteś pewny, że to tu? – zapytała mnie, gdy wieczorem nachylaliśmy się nad planem jednego z magazynów Orsiego. To w nim przebywała Sandra Bucca.

– Tak – potwierdził Mauro, kiwając głową. Następnie stuknął palcem w jedno z pomieszczeń na planie. – Prawdopodobnie tutaj. Jako jedyne nie ma okien.

– Jaka ochrona? – zapytałem.

– Niezbyt wielka. Zaledwie dziesięciu ochroniarzy – odpowiedział, wyciągając kilka odbitek spod planu. Przedstawiały magazyn z zewnątrz i jego okolicę. – Zmieniają się o tej samej godzinie. Punktualnie o dziesiątej wieczorem. Jeśli zaatakujemy w okolicach jedenastej, poprzednia zmiana będzie za daleko, żeby dojechać na czas. Wejdziemy, wybijemy ich i zabierzemy dziewczynę.

– A potem załatwimy ci niewinność – dodała Gio, zaciskając palce na moim przedramieniu. – I wysadzimy w powietrze magazyn.

– Spodobały ci się fajerwerki? – zapytałem z rozbawieniem i upiłem łyk alkoholu. – Nic tylko byś kogoś wysadzała.

Prychnęła.

– Należy im się – warknęła, zaciskając pięści.

Objąłem jedną z nich i złożyłem kilka pocałunków na knykciach, uśmiechając się do niej diabelsko. Na samą myśl o zemście rozpląwała się po moim ciele adrenalina. Ręce mnie świerzbiły. Pragnąłem śmierci wszystkich, którzy mi się postawili; którzy chcieli zranić moją rodzinę. Zapomnieli, że z Bellomo i Favalami się nie zadziera.

– Masz rację – przytaknąłem. – Zmieciemy ich z powierzchni ziemi, kochanie.

Zamierzałem dotrzymać tej obietnicy.

Rozdział dwudziesty dziewiąty

Vivienne

Amy przepadła z Remem. To znaczy to nie do końca tak, że zniknęli i słuch po nich zaginął, ale Vito dał jakieś zadanie Remowi, a Amy się uparła, że nie zostanie bez niego w Nowym Jorku. Wyjechali. Oboje. Martwiłam się o nią, choć jednocześnie ufałam osądowi Vita, że Remo nie miał w planach zranienia mojej siostry. Oczywiście, że chciałam wiedzieć, gdzie pojechali, jednak Vito za każdym razem mówił to samo:

– Nie mogę ci na razie powiedzieć.

Wkurzało mnie to okrutnie i miałam ochotę krzyknąć, mimo to w odpowiedzi tylko zgrzytałam zębami, ciskając w niego gromami z oczu. W końcu to ja mu zawsze powtarzałam, że nie chcę nic słyszeć o nielegalnych interesach, więc sama byłam sobie winna. Szkoda jedynie, że zaczął mnie słuchać, dopiero gdy mu to odpowiadało. Cały Vito – wszystko musiało iść po jego myśli. Jak on mnie czasem denerwował!

– O czym myślisz?

Pytanie Brada wyciągnęło mnie z zamyślenia. Zamrugałam kilka razy i spojrzałam na niego znad kubka. Siedziałam na tarasie w grubym swetrze i napawałam się chylącą się ku końcowi jesienią.

– O niczym szczególnym. – Wzruszyłam ramionami i upiłam łyk herbaty. Vito mi ją przyniósł jakiś czas wcześniej, marudząc, że skoro siedzę na zimnicy, to mogę się chociaż rozgrzać.

Byłam niemal pewna, że nie chodziło mu wcale o rozgrzewanie herbatą.

– Jak cię znam, to zastanawiasz się, gdzie tak właściwie jest Amy – mruknął, uśmiechając się nieznacznie.

Westchnęłam cicho i mu przytaknęłam.

– Jakbyś zaglądał do mojej głowy...

Im dłużej Brad przebywał w Nowym Jorku, tym lepiej się dogadywaliśmy – szczególnie że na początku naprawdę był wściekły. Nie dość, że się ukrywałam i wcale nie zginęłam, to jeszcze wzięłam ślub z kryminalistą i mordercą – o czym lubił Vitowi przypominać. Na szczęście ostatnimi czasy przestali sobie skakać do gardeł.

– Skoro Vito nie miał nic przeciwko, żeby z nim jechała, to znaczy, że wierzy, że nic jej nie będzie. – Upił łyk alkoholu ze szklanki, spoglądając nieobecny wzrokiem przed siebie.

– Tak właściwie... Od kiedy zrobili się z was tacy kumple, co? – zapytałam, wpatrując się w niego bardziej niedowierzającym niż zaciekawionym spojrzeniem. Po raz pierwszy usłyszałam, że nie psioczył na mojego męża.

– Od momentu, jak się prawie pobiliśmy – wymamrotał, przymykając powieki. Dopiero po chwili popatrzył na mnie z żalem. – Teraz już wiem, że jesteś jego oczkiem w głowie. Jakoś już przetrwałem to, kim jest. – Wzruszył ramionami. – Chyba nie mogłaś trafić lepiej.

Gdybym piła w tym momencie herbatę, chyba bym się w niej utopiła. Zamrugałam kilka razy, nie wiedząc, co powiedzieć, na co Brad zaczął się głośno śmiać.

– Gdybyś tylko widziała swoją minę! – Zaśmiał się szczerze, potrząsając głową. Nie trwało to jednak długo; dość szybko spoważniał. – Jesteś z nim szczęśliwa?

– Oczywiście, że tak – zapewniłam bez chwili zawahania. – Dawno nie byłam tak szczęśliwa jak przy nim. Nie wiem, czy kiedykolwiek czułam się tak dobrze – wyznałam szczerze.

– To mi wystarczy.

– Powiedz mi... – Chrząknęłam i odstawiłam kubek, po czym uniosłam brew, krzyżując ramiona na piersi. – Jak to się stało, że prawie się o mnie pobiliście, co?

Brad parsknął śmiechem i odstawił szklankę na stolik. Kiedy się wyprostował, skinął komuś głową. Zanim zdołałam się odwrócić, na moim policzku wylądowały miękkie wargi, a do nozdrzy dotarł doskonale znany mi zapach. Vito do nas dołączył.

– Twój brat przyszedł do mnie i powiedział... – odezwał się, siadając obok mnie. Zaskoczył mnie trochę; myślałam, że skoro przyszedł, to się już niczego nie dowiem. – Jak to było, Brad?

– „Jeśli moja siostra choć raz przez ciebie zapłacze, zabiję cię bez mrugnięcia okiem”.

– A tak, tak, właśnie – mruknął Vito, łącząc nasze dłonie. Poglądził kciukiem wierzch mojej, na co się mimowolnie uśmiechnęłam. – Stwierdziłam, że jest naiwnym idiotą, jeśli myśli, że się go wystraszę. Twój brat się oburzył i rzucił na mnie z pięściami, wyzywając od morderców i innych skurwysynów.

– A potem, gdy uderzyłam cię z łokcia w plecy, wyburczałeś, że prędzej piekło zamarznie, niż pozwolisz jej cierpieć. Później coś rzuciłeś o tym, że jestem chujowym bratem i powinienem się cieszyć jej szczęściem.

– Aha – przytaknął Vito. – A na koniec dodałam, że twoja żona na ciebie nie zasługuje.

Zerknęłam z zaskoczeniem na brata. Nie sądziłam, że przyjmie takie słowa ze stoickim spokojem, a jednak.

– Ta... – wymamrotał Brad, na co wytrzeszczyłam oczy. Przecież on od zawsze był wpatrzony w tę swoją pożął się Boże żonkę. Nie dawał o niej powiedzieć złego słowa. – Nie zauważyłaś, że praktycznie z nią nie przebywam?

Ściągnęłam brwi, zamyślając się. Faktycznie Brad spędzał czas albo ze mną, albo ze swoimi dziećmi, jednak nie widziałam go nigdy z Clarissą.

– Rozwodzimy się. – Chrząknął. – Jak tylko będziemy mogli wrócić do Gainesville, sfinalizujemy rozwód.

Zamrugalam gwałtownie, wciągając z sykiem powietrze do płuca.

– Ale... – Zmarszczyłam brwi. – Dlaczego?

To nie tak, że lubiłam Clarissę, po prostu kiedyś wydawali się ze sobą szczęśliwi.

– Zdradziła mnie, Vi. – Skrzywił się, wzruszając ramionami, a mnie zabolalo serce. – A bliźniaki nie są moje...

Niemal udławiłam się własną śliną. Zacisnęłam mocniej palce, jednak rozluźniłam je, gdy Vito syknął pod nosem. Brad wyglądał na niewzruszonego, ale wiedziałam, że tak naprawdę w środku był rozwalony. W jego wnętrzu szalała burza.

– Jak to? – wyszeptałam.

Prychnął, kręcąc nosem.

– Normalnie. – Popatrzył na mnie ponuro. – Okazało się, że doprawiała mi rogi za każdym razem, kiedy wyjeżdżałam z miasta.

W jego oczach coś rozbłysło – to już nie był wyłącznie ból. Dołączyła do niego wściekłość.

– Tak mi przykro... – wydukałam, zrywając się z krzesła. Podeszłam do brata i mocno go przytuliłam. – Mogę ją uderzyć?

Vito parsknął śmiechem.

– Co? – zapytałam ostrzej, niż zamierzałam, gdy zauważyłam jego wzrok pełen pobłażania.

– Nic, *bella* – odparł z rozbawieniem. – Po prostu ty byś muchy nie skrzywdziła.

– Za to karalucha już tak – odparłam. – A ta suka bez wątplenia jest obrzydliwym karaluchem.

Wieczorem, kiedy leżeliśmy z Vitem w łóżku, do głowy napłynęło mi milion pytań. Wiedziałam, że wielkimi krokami zbliżał się dzień, w którym zamierzał raz na zawsze zażegnać naszą przeszłość. Wiedziałam, że miał zamiar zlikwidować LaScalę i Catellazo... Tak naprawdę przyzwyczałam się do tej myśli i gdzieś tam, bardzo głęboko w sobie, chciałam już mieć to za sobą. Czasami odnosiłam wrażenie, że tamta dwójka ciążyła nade mną jak kat. W każdej chwili mogli zaatakować, nawet jeśli Vito mnie chronił.

– Jak to będzie wyglądać z LaScalą i Catellazo? – zapytałam, spoglądając na niego.

Spokój na jego twarzy zmienił się w grymas niezadowolenia.

– *Bella*... – wyszeptał, posyłając mi niepewne spojrzenie.

– Powiedz mi – poprosiłam, muskając palcami jego policzek. – Krok po kroku. Chcę wiedzieć,

jak zniszczysz tych, którzy chcieli zniszczyć mnie.

Zmarszczył brwi, ale po chwili westchnął cicho i pokiwał głową. Przyciągnął mnie mocniej do siebie – tak że ułożyłam policzek na jego nagim torsie. Zaczęłam wodzić palcami po jego umięśnionym brzuchu. Spiał się nieznacznie, jednak już po chwili na powrót się rozluźnił. Złożył na czubku mojej głowy pocałunek i zaczął mówić:

– Lucas Reecon załatwia przeniesienie LaScali i Catellazo do innego więzienia. Urabia też strażników więziennych i kierownictwo, żeby dopuścili do przejęcia transportu. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, to w umówionym miejscu konwój zjedzie na pobocze, skąd LaScala i Catellazo zostaną zabrani i dostarczeni do mnie.

– Jak wszystko pójdzie dobrze? – Nie spodobały mi się te słowa.

Westchnął cicho i pogłaskał mnie po ramieniu, a następnie objął mocniej. Miałam wrażenie, że nie chciał mi odpowiadać – jakby doskonale wiedział, że nie będę zachwycona.

– Liczymy na to, że uda się przejęcie załatwić tak, żeby żaden ze strażników nie został poważnie ranny. Jeśli nie będą chcieli współpracować, będziemy zmuszeni wyciągnąć LaScalę i Catellazo siłą.

– Siłą? – wyszeptałam zdławionym głosem; po plecach przebiegł mi nieprzyjemny dreszcz.

Nie chciałam, żeby niewinni ludzie ucierpieli.

– Moi ludzie zaatakują konwój. Mam nadzieję, że uda się to zrobić na tyle szybko, że nie będą musieli używać broni palnej – wyjaśnił po chwili ciszy, po czym przewrócił mnie na plecy i wlepił we mnie stanowcze spojrzenie. – Zrobię wszystko, żeby nikt nie został za bardzo skrzywdzony – wyszeptał, zgarniając niesforne kosmyki z mojego czoła. – Wierzysz mi, *bella*?

– Wierzę – odparłam od razu, muskając palcami jego policzek. Objęłam go za kark i przyciągnęłam do siebie. – Wierzę ci. Oczywiście, że ci wierzę – wyszeptałam, muskając jego usta swoimi. – Jesteś dobrym człowiekiem, Vito.

Naprawdę był. Nie widziałam w nim już tego zła co wtedy, gdy dowiedziałam się, kim tak naprawdę jest.

– Nie jestem – zaprzeczył, uśmiechając się krzywo. – Ale dla ciebie chcę nim być. Zaslugujesz na dobrego człowieka.

Rozdział trzydziesty

Vito

Musiałem wyjść do biura, gdy zadzwonił do mnie Reecon, bo Vi spała – nic dziwnego, skoro był środek nocy. Miałem złe przeczucia i wcale się nie pomyliłem. Sprawa z przeniesieniem była załatwiona, ale gorzej z dogadaniem się ze strażnikami. Uparcie nie chcieli dać się namówić na łapówkę i łagodne przeprowadzenie odbicia.

– Próbowałem.

Miałem ochotę uderzyć pięścią w ścianę, jednak nie zrobiłem tego; nie chciałem zbudzić Vi. Jakoś niespecjalnie chciało mi się wierzyć, że Reecon bardzo się starał, aby ich przekonać. Kurwa, jak zwykle musiałem wszystko załatwiać sam.

Usiadłem w fotelu i zacząłem się zastanawiać, co robić. Naprawdę wolałem uniknąć rozlewu krwi. Chciałem dotrzymać danego żonie słowa i nie narażać niewinnych ludzi bardziej, niż to było konieczne.

– Dwóch z czterech funkcjonariuszy chce się dogadać. Pozostała dwójka nie miała ochoty nawet o tym słyszeć.

– Rozmawiałeś z kierownictwem?

– Tak. Dali mi namiar na klawiszy, zaznaczając, że mam to sam ogarnąć. Nie chcą sobie bardziej brudzić rączek.

To było do przewidzenia.

– Dobra – mruknąłem. Gdybym był w cholernej kreskówce, nad głową pojawiłaby mi się ogromna świecąca żarówka. – Wyślij mi ich dane.

– Co zamierzasz?

W jego głosie wyczułem niepokój. Reecon nienawidził, kiedy ktoś wtrącał mu się w działania, ale skoro on nie potrafił tego dopilnować, musiałem zrobić to na własną rękę.

– Nie martw się tym – odparłem, kierując się do wyjścia. – Wyślij mi ich adresy, Reecon.

– Kurwa. Wiesz, że nie spuszczę ci ani centa z...

– Nie obchodzi mnie to – przerwałem mu ostro. – Wyślij mi te cholerne dane. – Rozłączyłem się i napisałem wiadomość do jednego z żołnierzy, żeby przygotował samolot do lotu. Musiałem udać się na południe kraju i zrobić wszystko, żeby klawisze zmienili zdanie. Nie chciałem zawieść żony.

Wyszedłem z biura i udałem się do sypialni. Uśmiechnąłem się na widok rozkopanej pościeli i śpiącej w niej Vi. Jej nos był zabawnie zmarszczony, a na twarzy widniał spokój. Z cichym westchnieniem wyciągnąłem z szuflady kartkę, żeby poinformować kobietę o moim nagłym wyjeździe. Zamierzałem wrócić najpóźniej wieczorem. Nie chciałem jej budzić, żeby wszystko wytłumaczyć. Pocałowałem ją w czoło, położyłem liścik na stoliku nocnym i opuściłem pokój.

W salonie minąłem się z Bradem; obrzucił mnie niespokojnym spojrzeniem. Poinformowałem go, że mam pilny wyjazd. W jakiś dziwny sposób poznałem go na tyle, że wyszedłem z domu ze spokojną głową – Vi zostawała w dobrych rękach. Życie jest przewrotne, prawda? Wcześniej nie potrafiłem patrzeć na jej brata, a teraz po prostu mu ufałem.

W Jacksonville wylądowałem po dwóch godzinach od startu. Było grubo po drugiej w nocy, jednak nie przejmowałem się tym. Od razu po opuszczeniu samolotu wsiadłem do podstawionego auta i ruszyliśmy pod pierwszy ze wskazanych przez Reecona adresów. Klawisz mieszkał zaraz za Jacksonville, więc podróż nie trwała długo. Za nami jechało jeszcze jedno auto z czwórką moich ludzi – na wypadek, gdyby coś poszło nie tak.

Dom wyglądał na zadbane, choć był mały i taki... zwykły. Zresztą jak każdy na tym osiedlu. Przed wejściem stały dwa rowery oparte o balustradę, a w oknach było ciemno. Nie zdziwiło mnie to – w końcu była, kurwa, noc.

Stałem z dwójką żołnierzy pod drzwiami i zadzwoniłem dzwonkiem, a potem ponowiłem ruch,

bo nikt się nie pojawił. Dopiero gdy zamierzałem zadzwonić po raz trzeci, na piętrze zaświeciło się światło. Usłyszałem czyjeś ciężkie kroki na schodach. W tej okolicy ludzie chyba sobie aż za bardzo ufali, bo drzwi się praktycznie od razu otworzyły. Facet wytrzeszczył oczy i próbował zamknąć się z powrotem w środku, jak tylko mnie zobaczył, ale powstrzymałem go przed tym, wciskając but między drzwi a framugę. Przeszedłem przez próg, odpychając kolesia od siebie, przez co się zachwiał. Uchroniłem go przed upadkiem, chwytając za ramię.

– Kim jesteś? – zapytał; o dziwo nie usłyszałem w jego głosie strachu.

– Porozmawiamy sobie – warknąłem, popychając go w głąb domu. – Ktoś tu jeszcze jest? – Doskonale wiedziałem, że miał rodzinę; po drodze go sprawdziłem. – Nie kłam – warknąłem.

Jego spojrzenie skierowało się na moich żołnierzy, którzy podnieśli marynarki, ukazując broń. Facet przełknął ślinę i skinął głową.

– Żona i córka – odpowiedział. – Czego ode mnie chcecie?

– Porozmawiać. – Wskazałem głową kanapę.

Usiadł na niej, prostując się jak struna, i wbił we mnie wzrok. Był młody. Na pewno młodszy ode mnie, do tego wyglądał jak chucherko. Zero mięśni. Zadziwiające jednak było to, że w ogóle się nie bał – tak jakby był przyzwyczajony do takich sytuacji, co przecież było irracjonalne.

– Będziesz brać udział w konwoju dwóch więźniów... – Zamilkłem, kiedy parsknął śmiechem.

– Milion i się podłożę – oświadczył, unosząc podbródek. Patrzył na mnie z miną mówiącą: „wiem, po co przyszedłeś, ale mam swoją cenę”.

Prychnąłem głośno, sięgając po broń. Usiadłem na stoliku naprzeciwko Reeda i spojrzałem mu w oczy, celując w niego lufą. Nawet się nie wzdrygnął.

Kurwa, zaimponował mi.

Rzadko spotykałem ludzi, którzy nie podskakiwali na widok wycelowanej w ich stronę broni.

– Troy Morrow też chce milion – dodał, opierając się plecami o kanapę; unióś przy tym wyzywająco brew.

– Dwieście tysięcy.

Chociaż dwa miliony by mnie nie zabolaly, nie zamierzałam grać z Reedem w jego gierki.

– Dwa miliony, po jednym na głowę, i podłożymy się obaj.

Westchnąłem ciężko, odbezpieczyłem broń i przytknąłem lufę do jego kolana.

Nie wzdrygnął się. Nawet nie mrugnął.

– Ciekawe, czy teraz będziesz taki cwany – skomentowałem i zerknąłem na jednego z moich ludzi. – Przeprowadźcie mi jego córkę.

– Nie! – Reed wytrzeszczył na mnie oczy. – Pięćset tysięcy.

– Nie będę się z tobą targować. – Uśmiechnąłem się przebiegle i skinąłem głową do żołnierza, gdy zaczął wchodzić po schodach.

– Dobra! Czteryście! Tylko proszę, zostawcie moją rodzinę w spokoju – wymamrotał z jawną paniką w głosie.

– A prawie cię polubiłem, Reed – skomentowałem, kręcąc głową.

Żołnierz pokonał już połowę stopni.

– Dobra, dwieście! – Reed skapitulował.

Kroki ucichły. Mój człowiek czekał na decyzję.

Uśmiechnąłem się i przejechałem lufą po kolanie strażnika, mrużąc z niezadowoleniem.

– Chciwość to grzech, Reed. – Cmoknąłem. – Zabiorę sobie twoją żonę i córkę jako zabezpieczenie. Po wszystkim wrócą do ciebie całe i zdrowe z gotówką.

Zaczął kręcić głową. Miałem wrażenie, że był bliski płaczu – oczy mu błyszczały.

– Nie, błagam... – wyszeptał drżącym głosem. – Znienawidzą mnie za to. – Zaciśnął mocno powieki. – Zrobię to za darmo, tylko nie wciągaj ich w to, proszę.

Uśmiechnąłem się triumfalnie. Zabezpieczyłem broń, wstając ze stolika. Nakazałem żołnierzowi wycofanie się ze schodów, a kiedy stanął obok mnie, raz jeszcze spojrzałem na strażnika.

– Ktoś będzie pilnować twojego domu, gdy pojedziesz do pracy. Pamiętaj, że jeśli mnie

wykiwasz, to będziesz umierać z myślą, że los twojej żony i córki leży w moich rękach.

Po tych słowach wyszedłem z domu i skierowałem się do auta. Zanim zniknąłem w pojeździe, usłyszałem odgłos przekręcanego klucza w zamku. Uśmiechnąłem się do siebie.

Nie zamierzałem krzywdzić kobiety i dziecka, ale... Reed musi mieć motywację, a nie ma lepszej od strachu o najbliższych.

– Reed do mnie dzwonił.

Dokładnie tymi słowami przywitał mnie umięśniony koleś – Troy Morrow, drugi klawisz, który nie chciał z nami współpracować.

Teoretycznie.

– I? – zapytałem, spoglądając na niego obojętnie.

Staliśmy przed wejściem. Czekał tu na mnie. Nie byłem głupi. Wiedziałem, że Reed go poinformował o mojej wizycie. Spodziewałem się jednak, że się przede mną ukryje, a nie wyjdzie mi na spotkanie.

– Wiem, że go zastraszyłeś – syknął. – Ja nie mam nic do stracenia. Nie mam już żony, nie mam też dziecka. Możesz mnie zastrzelić. Mam to w dupie.

– Nie chcę cię zabijać – odparłem ze stoickim spokojem. – Chcę jedynie, żebyś nie udawał bohatera. Nic więcej.

– Nie zrobię tego za darmo.

Parsknąłem śmiechem, przewracając oczami. Oczywiście, że nie chciałem robić tego za darmo. Uśmiech mimo to zamarł mi na ustach, gdy Morrow dodał:

– Znajdź zabójcę mojej żony i syna.

W jego oczach błyszczała wściekłość, a poczucie straty i chęci zemsty niemal się z niego wylewało. Poczulem nieziemskie wkurwienie na samą myśl o tym, że mógłbym być na jego miejscu i szukać zabójcy Vi. Kurwa. Miłość mnie osłabiała.

– Umowa stoi – oznajmiłem bez wahania; na twarzy Morrowa pojawiło się zaskoczenie. Musiał się zdziwić, że poszło tak szybko. – Po wszystkim dostaniesz namiar na człowieka, który ci pomoże.

– Skąd wiem, że mnie nie wykiwasz? – zapytał, gdy zamierzałem odejść. Wyczułem w jego głosie nadzieję. Nie był w stanie jej ukryć. Musiała go przytłoczyć.

– Nie wiesz. – Wzruszyłem ramionami. – Ale coś mi mówi, że nie masz innego wyjścia, bo jestem twoją ostatnią szansą. – Nie czekając na odpowiedź, odwróciłem się na pięcie i zerknąłem na zegarek.

Czwarta czterdzieści. Miałem szansę wrócić do domu, zanim Vi się obudzi.

Rozdział trzydziesty pierwszy

Roberto

W końcu nadszedł ten dzień, dzień zniszczenia planu Orsiego – tego samego, przez którego wylądowałem w pierdlu. Dzień powolnej zemsty, która miała rozlać się po jego ciele jak lawa, niszcząc na swojej drodze wszystko – jego ciało, umysł i uczucia; jego plany, zamiary, przyszłość i chęć władzy.

Oczywiście nie obeszło się bez wojny z Giovanną. Obiecałem jej w końcu, że nie zamierzam brać udziału w akcji, ale na samą myśl o siedzeniu w domu i potulnym czekaniu dostawałem furii. Dlatego też kilka godzin temu zacząłem urabiać żonę.

Kurwa, do czego to doszło, że muszę jej się podlizywać, żeby się nie obraziła?

– Kochanie... – mruknąłem, przytulając się do jej pleców, podczas gdy robiła kanapki.

– Nie jedziesz – burknęła pod nosem, odpychając mnie od siebie tyłkiem.

Wydałem z siebie ciche warknięcie.

– Nie wejdę do magazynu – wyszeptalem, układając dłonie na jej brzuchu. Zacząłem po nim wodzić palcami, usta przyciskając do jej szyi. – Będę na zewnątrz.

– Nie... – Westchnęła, kiedy zacisnąłem lekko zęby na jej ramieniu. – Nie próbuj mnie przekonywać, bo nie zmienię zdania.

– Żono moja... – szepnąłem, wodząc nosem po jej skórze. – Matko mojego dziecka. – Uśmiechnąłem się pod nosem i zacisnąłem palce na jej biodrach, przysuwając się bliżej.

– Nie.

– Lwico moja...

Kontynuowałem wędrówkę wargami po jej szyi, gdy cicho jęknęła. W końcu odwróciła się przodem do mnie i posłała mi zirytowane spojrzenie, odpychając od siebie.

Oho, zaraz się zacnie, pomyślałem, uśmiechając się czule. Prychnęła pod nosem.

– Jadę z tobą.

Uśmiech natychmiast zszedł mi z ust. Gio zaś triumfalnie uniosła głowę. Hmm... Chciała zagrać w moją grę? Świetnie.

– Okej – przytaknąłem i musnąłem ustami jej nos.

Udałem, że nie zauważyłem dezorientacji na jej twarzy. Wyminąłem ją i podszedłem do szafek, żeby dokończyć kanapki. Gio wypuściła głośno powietrze spomiędzy warg, a sekundę później poczułem stanowczy uścisk na ręce. Odwróciła mnie do siebie i zmrużyła oczy. Błyskały w nich niebezpieczne ogniki złości.

– Okej?! – Podniosła głos. – Okej?!

– Okej. – Wzruszyłem ramionami.

Doskonale zdawałem sobie sprawę z tego, jak bardzo ją doprowadzałem do szału. Wiedziałem, że w głównej mierze wkurwiałem jej hormony, a nie ją samą. Chciała być pod magazynem podczas akcji równie mocno co ja.

Cóż.

Kiedy się irytowała, była jeszcze seksowniejsza.

– Nie obchodzi cię, że coś może się stać mnie albo dziecku? – Wpatrywała się we mnie z niedowierzaniem.

– Nic wam nie będzie. Przecież nie naraziłbym was na niebezpieczeństwo, kochanie.

– Siedzenie przed magazynem w trakcie nalotu nie jest niebezpieczne?! – Niemal pisnęła.

– Nic się nie stanie. – Objąłem ją w pasie i przyciągnąłem bliżej. Po kręgosłupie przebiegły mi ciarki, gdy przycisnęła piersi do mojego torsu. – Orsi nie spodziewa się ataku, a po drugie... – Musnąłem czule opuszkami palców jej policzków. – Po drugie nasz samochód to pieprzona twierdza, lwico. Kuloodporne szyby i stal militarna zatrzymają wszystkich, którzy będą chcieli nas zlikwidować.

Uniosła brwi, patrząc na mnie sceptycznie.

– Wystarczy, że użyją czegoś mocniejszego niż karabin maszynowy.

– Nie użyją – odparłem, całując ją w policzek.

– Ale...

– Kochanie... Gdybym uważał, że to niebezpieczne, nie proponowałbym ci wyjazdu. – Wbiłem w nią stanowczy wzrok. – Nie będę uczestniczył w ataku na dom Orsiego tak jak obiecałem, jednak przy tym chcę być. – Przyciągnąłem ją za kark i wyszeptalem wprost w jej usta: – Poza tym nie chcę, żeby ominęły cię fajerwerki.

Tym ostatnim chyba ją przekonałem.

Podjechaliśmy pod magazyn, trzymając się na końcu. Jechaliśmy z wyłączonymi światłami po zwirowanej drodze – wszystko w imieniu większego bezpieczeństwa. Chłopcy ustawili samochody w miejscach, do których nie docierało światło księżyca ani też te pochodzące z lamp oświetlających magazyn. Wsiedli z pojazdów i rozproszyli się po okolicy, zanim w ogóle zdążyłem pomyśleć: „Sam chciałeś wojny, Orsi”.

Obserwowałem ich, gdy znikali w otchłani nocy z pistoletami w dłoniach i karabinami na plecach. Było nas dwa razy tylu co ludzi Orsiego. Nie mieli z nami najmniejszych szans. Czułem w cholernych kościach, że wszystko pójdzie jak z płatka.

Obserwowaliśmy magazyn, a przez minimalnie uchylone szyby auta docierały do nas przytłumione odgłosy wystrzałów. Ścisnąłem lekko dłoń mojej żony, gładząc jej skórę kciukiem i co rusz spoglądając na zegarek. W planie mieliśmy zakończyć wszystko w ciągu góra trzydziestu minut, a minęło dopiero jedenaście. Chłopcy mieli jeszcze czas, choć wolałbym, żeby wrócili już do wozów z moją przepustką na wolność, zanim budynek wyleci w powietrze.

Taa... Kilkoro żołnierzy podkładało w tym czasie ładunki wybuchowe, podkopując fundamenty. Dokładnie czterdzieści minut po rozpoczęciu nalotu cały magazyn miał efektownie wylecieć w powietrze. Na szczęście był na tyle oddalony od ulicy, że znajdowaliśmy się w bezpiecznej odległości. Odłamki nie miały jak nas dosięgnąć.

– Jak myślisz, co teraz robią? – zapytała nagle Gio, zerkając na mnie kątem oka. Bardzo szybko jednak przeniosła wyczekujące spojrzenie na magazyn.

– Teraz Mauro zabija z zimną krwią fiuta, który postawił na złego zawodnika w grze – oznajmiłem, oczami wyobraźni widząc, jak gnój krztusi się własną krwią. – A teraz wyciera zakrwawiony nóż o jego ubrania. Zaraz go schowa i wyciągnie broń, celując do kolejnego skurwiela.

Rozparłem się wygodniej w fotelu i spojrzałem na zegarek. Do wybuchu zostało zaledwie osiemnaście minut. Powinniśmy już widzieć pierwszych ludzi opuszczających magazyn, ale jak na złość nikogo nie dostrzegałem. Dalej słyszałem przytłumione odgłosy wystrzałów, lecz nic poza tym. Zwinąłem wolną dłoń w pięść. Nie podobało mi się to. Ani trochę. Za długo to wszystko trwało.

– Ładunki podłożone. Piętnaście minut, don.

– Dobra robota – mruknąłem, napinając mięśnie ramion.

Gdzie jesteś, Mauro?

Skłamałbym, gdybym powiedział, że nie odliczałem. Czy się martwiłem? A kto, cholera, by się nie martwił na moim miejscu? W środku było ponad piętnastu moich ludzi plus Mauro i Sandra Bucca – moja karta przetargowa. Oddanie jej ojcu było moją jedyną opcją na szybkie oczyszczenie z zarzutów. Niemniej i tak nie zamierzałem ujawniać wszem wobec, że żyję. To nie był odpowiedni moment. O moim powrocie z zaświatów wiedzieli tylko moi ludzie i rodzina – i tak miało jeszcze zostać.

– Coś się dzieje – szepnęła Gio, zaciskając mocniej palce na mojej ręce.

Z budynku zaczęli wychodzić ludzie. Zostało pięć minut do wybuchu. Zgrzytałem zębami. Nigdzie nie widziałem człowieka, który posturą przypominałby kobietę. Cholera jasna. Odgłosy wystrzałów ucichły, więc odezwałem się do Maura:

– Masz ją?

– Tak – odpowiedział od razu, na co wyraźnie odetchnąłem z ulgą. – Wychodzimy.

Sekundy mijały, ale nikt nie pojawił się przy wyjściu. Coraz głośniejszym zacząłem zgrzytać zębami, jednak przestałem, jak tylko poczułem delikatny dotyk na policzku.

– Uspokój się, Roberto. Zdążą.

Dłoń jej zdrząła, zdradzając, że Gio się bała. Ani trochę jej się nie dziwiłem. Nie mogliśmy sobie pozwolić na niepowodzenie.

Odetchnąłem chwilę później z ulgą. Zobaczyłem wybiegającego mężczyznę – przez ramię miał przewieszoną kobietę. Kierował się w stronę ulicy.

Zostało mniej niż trzydzieści sekund do wybuchu.

Przekręciłem kluczyk w stacyjce, uruchamiając silnik. Reszta kierowców zrobiła to samo. Powoli zaczęliśmy się wycofywać, a Mauro dalej biegł w stronę samochodu, którym miał odjechać. Giovanna zaczęła cicho odliczać, wbijając mi paznokcie w dłoń.

Mauro wrzucił do auta córkę Bucci i wskoczył za nią.

Zatrzasnął za sobą drzwi.

Odjechał w stronę miasta.

– Jeden – mruknąłem w tym samym czasie, w którym Gio pisnęła:

– Fajerwerki!

Ogromny wybuch zatrząsł autem. Huk był tak potężny, że zaczęło mi pisać w uszach. Dookoła budynku wzniosły się tumany kurzu, a chwilę później pojawił się ogień – sięgał ponad linię drzew rosnących dookoła magazynu. Uśmiechałem się jak szaleniec, kiedy pocałowałem Gio, zanim odjechaliśmy. Mieszanka adrenaliny, chęci zemsty i podniecenia była moim końcem. To, co czułem, było nie do opisania.

Jeden zero, Orsi. Grasz dalej?

Rozdział trzydziesty drugi

Giovanna

Do domu wróciliśmy sporo po północy. Mauro już na nas czekał w środku – razem z Sandrą Buccą. Roberto zaparkował pod samymi schodami i wyskoczył szybko na zewnątrz; na ustach błąkał mu się delikatny uśmiech. Zanim zdążyłam odpiąć pas, mój mąż był już obok mnie i podawał mi dłoń, więc od razu ją ujęłam. Jedno spojrzenie na jego rozluźnioną twarz mi wystarczyło na dowód tego, że był zadowolony.

– Aż tak cię ucieszyła akcja? – zapytałam, przytulając się do jego boku.

Odsunął mi z twarzy niesforne kosmyki włosów i pocałował w czubek nosa.

– Ucieszyło mnie to, że coś w końcu poszło po naszej myśli.

Pociągnął mnie w stronę wejścia. Zanim jednak weszliśmy do środka, zatrzymał się przed drzwiami i zerknął na mnie z błyskiem w oku.

– Jedźmy teraz do Bucci.

W pierwszym odruchu się uśmiechnęłam, ale szybko spoważniałam. Mogliśmy wpaść w pułapkę.

– No nie wiem... Może być obserwowany.

– Nie jest. Chłopcy mają go na oku od kilku dni. Bucca nie jest przez nikogo pilnowany.

Skinęłam głową.

– Okej. Dalej chcesz mu oddać córkę i zaoferować ochronę?

– Tak – przytaknął i popchnął drzwi. – A potem zajmujemy się Orsim.

Mogłam na to przystać. Bucca musiał mieć ochronę, bo inaczej Orsi mógłby znowu porwać mu córkę albo – co gorsza – po prostu ich zabić. Wtedy niewinnienie Roberta byłoby o wiele trudniejsze.

Jak tylko wkroczyłam do salonu, do oczu napłynęły mi łzy na widok Sandry. To, w jakim była stanie, spowodowało bolesny ucisk w żołądku. Miała opuchniętą i posiniaczoną twarz, splątane i zakrwawione włosy, a do tego potargane ubrania. Kuliła się w kącie kanapy, łypiąc na Maura spod byka. On zaś siedział obok niej i próbował oczyścić jej twarz, tyle że ona się za każdym razem odsuwała.

– Mauro, zostaw – odezwałam się i ruszyłam w ich stronę.

Mężczyzna natychmiast wstał i odłożył wacik oraz płyn dezynfekujący na stół. Kiedy mnie minął, podeszłam do dziewczyny. Boże. Wyglądała, jakby przeżyła piekło. Miałam nadzieję, że skrzywdzili ją wyłącznie biciem, a nie... Na samą myśl o tym, że mogła paść ofiarą gwałtu, poczułam w sobie wściekłość. Zwinęłam dłonie w pięści i przeniosłam wzrok na Roberta i Maura.

– Zróbcie nam herbaty.

Może i użyłam miłego, proszącego tonu, jednak mój wzrok mówił coś innego: „Wyjdźcie stąd, i to już”. Ani trochę nie miałam ochoty na herbatę. Na szczęście mnie posłuchali. Gdy usłyszałam odgłos stawiania czajnika w kuchni, zbliżyłam się do Sandry. Patrzyła na mnie rozszerzonymi oczami, jakbym była cholernym jednorożcem.

– Cześć. – Sięgnęłam po świeży wacik. Wylałam na niego płyn i zwróciłam się do dziewczyny.

– Jestem Giovanna Favale. Jesteś tu bezpieczna, skarbie. Sandra, prawda?

Chciałam jej dotknąć, ale się przed tym powstrzymałam. Nie mogłam jej wystraszyć. Bóg raczył wiedzieć, co tak naprawdę przeżyła w magazynie Orsiego.

– Tak – odpowiedziała zachrypniętym głosem.

Uśmiechnęłam się nieznacznie.

– Masz sporo ran na twarzy. Nie chciałabym, żeby się brzydko zagoiły – szepnęłam, przysuwając się bliżej. – Nie zrobię ci krzywdy, skarbie, po prostu muszę je zdezynfekować, żeby nie wdało się zakażenie. Pozwolisz mi?

Przełknęła głośno ślinę, spoglądając na mnie niepewnie. W jej oczach błyszczał strach, lecz widocznie zobaczyła w moich coś, co spowodowało, że skinęła nieznacznie głową. Przyjęłam to za dobry znak. Zbliżyłam wacik do jej twarzy, a kiedy się nie odsunęła, przyłożyłam go delikatnie do rozwalonej

wargi. Posłałam jej pokrzepiający uśmiech, gdy syknęła.

Oczyściłam jej twarz, najbardziej skupiając się na tych najgłębszych ranach. Odłożyłam waciki na stolik i popatrzyłam przeproszająco na Sandrę.

– Podniosę teraz głos, żeby mąż mnie usłyszał, nie wystraszyć się – uprzedziłam ją i spojrzałam w stronę kuchni. – Roberto, przynieś ścierkę i kostki lodu!

Sandra się wzdygnęła, ale oprócz tego nie zrobiła nic – nawet się nie odsunęła. Najwidoczniej nie bała się kobiet albo rozumiała, że nie chciałam jej skrzywdzić. Jak tylko Roberto przyniósł ścierkę z lodem, wyciągnęłam ją w stronę dziewczyny.

– Przyłóż do twarzy. – Uśmiechnęłam się zachęcająco. – Uśmierzy ból i pomoże na opuchliznę.

Pokiwała głową i natychmiast zrobiła to, o co ją poprosiłam. Na jej twarzy pojawiła się ulga od razu po tym, jak przycisnęła materiał do skóry. Uśmiechnęłam się łagodnie. Nie bardzo wiedziałam, jak delikatnie ją nakłonić, by opowiedziała, co jej się przydarzyło.

– Kim jesteście? – odezwała się pierwsza.

Przełknęłam ślinę. Nie byłam pewna, jak zareagować. Nie wiedziałam, ile mogliśmy jej wyjawiać. Na szczęście Roberto najwyraźniej wiedział. Kucnął przy kanapie – tuż obok mnie – i położył mi dłoń na udzie.

– Wiesz, że we Włoszech istnieją pewne... – Zamilkł, marszcząc brwi. Wyglądał, jakby szukał odpowiednich słów. – Dobra, inaczej to załatwimy. Ojciec i tak ci pewnie o wszystkim powie.

– Ojciec? – sapnęła, posyłając mi niepewne i wystraszone spojrzenie. – Gdzie on jest? – W jej głosie wyczułam zmartwienie i tęsknotę.

– Spokojnie – wyszeptałam, uśmiechając się pokrzepiająco. – Jeszcze dzisiaj znajdziesz się w jego objęciach.

Zmarszczyła brwi, jednak w końcu kiwnęła głową. Przytknęła ścierkę do drugiego policzka i popatrzyła na nas niepewnie.

– To... kim jesteście?

– Jesteśmy z Cosa Nostry.

Posłałam Robertowi niedowierzające spojrzenie. Przecież mieliśmy jej nic nie mówić!

– Z Cosa Nostry? – Wytrzeszczyła oczy, przeskakując wzrokiem między nami. Następnie przełknęła ślinę i rozejrzała się po salonie. Jej wzrok padł na zdjęcia ustawione na regale. Uśmiechnęła się kącikiem ust i zerknęła na Roberta, wyraźnie rozluźniając ramiona. – Tak myślałam, że mi kogoś przypominasz. Znałam Elenę.

Roberto zamrugał gwałtownie, marszcząc brwi.

– Elenę? – powtórzył z niedowierzaniem.

Przytaknęła.

– Tak. – Odłożyła ścierkę na stolik i przyjrzała nam się z wdzięcznością. – Nie byliśmy ze sobą blisko, ale znałam ją i lubiłam. Była dobrą znajomą. Przez długi czas nie wiedziałam, do jakiej rodziny należy, choć znajomy ojca kiedyś wspomniał wasze nazwisko i połączyłam fakty.

Roberto przez chwilę wyglądał, jakby miał zejść na zawał. Zrobił się przeraźliwie błydy. Kiedy jednak uściśnęłam jego ramię, zrelaksował się i uśmiechnął. Wstał, spoglądając na zegarek, po czym skupił wzrok na Sandrze.

– Dasz radę iść?

– Tak.

Pomogłam jej wstać, gdy się zachwiała. Oparła się o mnie, idąc w stronę wyjścia. Cieszyłam się, że nie panikowała po rewelacjach, jakie usłyszała od Roberta. Co nie zmieniało faktu, że nieźle popłynął. Nie miałam pojęcia, co planował, ale... ufałam, że wiedział, co robi.

Kilkanaście minut później zaparkowaliśmy pod małym domem Bucci. Wysiedliśmy i od razu skierowaliśmy się do drzwi. Sandra szła powoli, trzymając się mojego ramienia. Ścisnęła mnie mocno, kiedy Roberto nacisnął dzwonek.

Nie minęły nawet trzy minuty, a Bucca stanął w przejściu.

– Sandra? Boże, dziecko! Wypuścili cię?! – wyrzucił z siebie, jakby w ogóle nie zarejestrował naszej obecności.

– Nie – wymamrotała drżącym głosem; w jej oczach błyszczały łzy. – Cosa...

– Dobry wieczór – przerwał jej Roberto, na co Bucca wytrzeszczył oczy.

Nic dziwnego. Jego córka stała pomiędzy mną a człowiekiem, który powinien być martwy. Przez twarz Bucca przemknęło kilka emocji – zdziwienie, przerażenie i wdzięczność.

– Favale? – wykrztusił z trudem i cofnął się o krok, kiedy Roberto skinął w stronę domu.

– Porozmawiajmy, Bucca – odezwał się Roberto, kierując się w stronę salonu po prawej stronie.

Ja zaś poklepałam Sandrę po ramieniu i mruknęłam cicho, że może podejść do ojca. Natychmiast znalazła się w jego ramionach. Dałam im chwilę prywatności i ruszyłam za mężem.

– Czego chcecie? – zapytał Bucca chwilę później, przyciskając kurczowo córkę do boku. Chyba już przetrwał fakt, że Roberto żyje.

– Odwołania zarzutów – oznajmiłam stanowczo. – Doskonale wiemy, że Orsi porwał Sandrę tylko po to, żebyś obwiniał o ataki Roberta.

Bucca westchnął i skupił się na córce.

– Kochanie, czy to oni ci to zrobili?

Sandra posłała mu niedowierzające spojrzenie.

– Co?! – pisnęła, potrząsając głową. – Nie! Oni mnie uratowali, tato!

Zmarszczył brwi, patrząc na nas.

– Jak? Dlaczego?

– Normalnie. – Roberto prychnął, patrząc chłodno na Buccę. – Przypadkiem się dowiedziałem, że Orsi przetrzymuje twoją córkę. Domyśliłem się, że cię szantażuje. Dodałem jeden do jednego. – Wzruszył ramionami. – Orsi pragnie zemsty na mnie i upozorował ataki tak, żeby wyglądały, jakby były moją winą. Owszem, broń należała do mnie, jednak nic więcej nie mam sobie do zarzucenia i doskonale o tym wiesz.

– Ani przez chwilę nie wierzyłem w twoją śmierć. Twoje ciało zniknęło – mruknął. – Mam umorzyć sprawę?

– Tak.

– W porządku – przytaknął, kiwając głową.

Uniosłam brew. Nie sądziłam, że tak szybko się zgodzi.

– Nie bądź taka zaskoczona. Nie żyję w bunkrze. Cosa Nostra i atak terrorystyczny we Włoszech?

– Skrzywił się. – Po prostu nie mogłem się sprzeciwić. Mieli moją jedyną córkę.

Skinęłam głową. Rozumiałam go. Na jego miejscu najpewniej zrobiłabym to samo. Chroniłabym rodzinę za wszelką cenę.

– Wstrzymaj się z umorzeniem sprawy, dopóki nie damy ci znać – dodał Roberto, podchodząc do mnie. – Dostaniecie naszą ochronę. Zaraz też powinien pojawić się u was lekarz. Nie martw się kosztami, wszystko pokryję.

– Lekarz? – zapytał cicho Bucca, napinając ramiona, gdy Sandra opuściła głowę. Przez jego twarz przetoczyły się złość i zrozumienie. Nie musieliśmy mu nic więcej tłumaczyć.

– Czegokolwiek ci nie zrobili, skarbie – odezwałam się, stając naprzeciwko niej – to wiedz, że za to zapłacę.

Nie odpowiedziała, za to wybuchła głośnym i łamiącym serce płaczem. Wtuliła się w bok ojca, a ten posłał nam zbolące spojrzenie.

– Zaraz po nas wejdzie tu mój człowiek. Wyciągnął Sandrę z magazynu. Od teraz będzie naszym łącznikiem – poinformował Buccę Roberto i ruszył do wyjścia.

Zanim jednak opuściliśmy dom, odwrócił się raz jeszcze w stronę... Sandry.

– Pamiętaj, co nas nie zabije, to nas wzmocni. Przekuj wściekłość i ból w coś dobrego.

Jak tylko zniknęliśmy we wnętrzu auta, rozplakałam się. Roberto natychmiast mnie do siebie przyciągnął. Gładził mnie czule po plecach, a ja łkałam w jego koszulę. Cholerne hormony robiły ze mnie fontannę łez, ale... to przecież nie była jedyna przyczyna.

Tak naprawdę cholernie mocno współczułam Sandrze. Miałam nadzieję, że wyjdzie z tego bagna z uniesioną głową.

Rozdział trzydziesty trzeci

Roberto

– Czyli co, Orsi mieszka sobie w domu za Weroną? – Głos Giovanny ociekał sarkazmem i niedowierzaniem. – Tak sobie tam mieszka, tak? – prychnęła, kręcąc głową.

Miałem ochotę przełożyć ją przez kolano i sprać jej tyłek, bo minęła już prawie godzina, odkąd zaczęła rzucać przytyki, że mój plan jest idiotyczny.

– Mogłabyś już przestać? – warknąłem, nie kryjąc irytacji. – Nic tylko marudzisz, że nie mam racji i jestem naiwny.

– Bo jesteś! To jest jawna pułapka, Roberto! – Wyrzuciła ręce do góry, patrząc na mnie kpiąco. – Nie potrafiliśmy go zlokalizować w żadnym z magazynów i nagle, tuż po oddaniu córki Buccie, okazuje się, że Orsi cały czas siedzi pod naszymi nosami? To jest nielogiczne!

Warknąłem ostrzegawczo, spoglądając na jej wkurzoną twarz spod przymrużonych powiek. Doprowadzała mnie do szału. Jej ciężowe hormony wyprowadzały mnie z równowagi. Nie potrafiła zrozumieć, że naprawdę byłem na milion procent pewien, że ten kutas jest w tym konkretnym domku na obrzeżach miasta. Kurwa mać!

– Przestań, do cholery! – podniosłem głos. – Nie możesz mi zaufać, Gio? Po prostu, chociaż raz w życiu, zaufaj mi, że wiem, co mówię i robię. Chociaż, kurwa, raz. – Zaczęły mi pulsować skronie. Czasami miałem dość.

– Zwyczajnie się martwię, że władujesz się w zasadzkę – bąknęła, krzywiąc się. – Nie chcę, żeby coś ci się stało. Oślepieś od żądz zemsty.

Boże, daj mi siłę, poprosiłem w myślach, odkładając kubek z kawą na stolik. Popatrzyłem w załzawione oczy Gio i westchnąłem cicho, próbując uspokoić zszargane nerwy.

– Kochanie... – Wziąłem jej dłoń w swoją i pogładziłem kciukiem delikatną skórę. – Jestem pewny, że Orsi tam się skrywa. Nasi ludzie cały czas obserwują ten dom. Wiesz, że najciemniej jest pod latarnią, skarbie. To właśnie robi Orsi.

– Mhm... – mruknęła cicho; kącik jej ust drgnął.

Pokręciłem głową i przewróciłem oczami, muskając wargami jej skroń. Przyciągnąłem ją do siebie i pozwoliłem jej się we mnie wtulić.

– Nie przechytz nas, zobaczysz – obiecałem. – Uwierz we mnie, kochanie.

– Wierzę – wyszeptała. – Oczywiście, że w ciebie wierzę, Roberto. Po prostu się martwię, że tym atakiem wejdziemy na minę i znowu będziemy dwa kroki za nim, a nie przed nim...

– Jesteśmy kilometry przed nim, Gio. – Złączyłem nasze dłonie. – Jestem już praktycznie oczyszczony z zarzutów, a Bucca wystosuje odpowiednie oświadczenie. Wszyscy w kraju będą wiedzieć, że moje aresztowanie miało tylko zamydlić oczy prawdziwym terrorystom. Wszystko, kochanie, będzie dobrze. Zobaczysz.

Wierzyłem w to. Miałem dobre przecucia.

– Mam nadzieję.

Westchnęła, upijając łyk herbaty owocowej. Nie była w stanie przełknąć niczego innego, ponieważ wszystko lądowało w toalecie. Chciałbym zabrać od niej mdłości.

– Jak się czujesz? – zapytałem, spoglądając na nią z czułością i mocniej ściskając jej rękę.

– Czy jak powiem, że częściowo bardzo szczęśliwa, a częściowo cholernie przerażona, to będzie źle?

Widząc jej niepewne spojrzenie, pokręciłem głową.

– Nie, kochanie – odparłem, muskając wargami jej policzek. – To normalne, że boisz się wojny, ale...

– Nie wojnę miałam na myśli – wymamrotała, chowając twarz w mojej koszuli.

Zamarłem w bezruchu. Czekałem, aż dokończy, jednak kiedy dalej milczała, uniosłem jej głowę za podbródek. W oczach miała łzy. Ten widok przeszył moje serce i duszę na wskroś. Nienawidziłem, gdy płakała.

– Gio... – wyszeptałem; nie byłem w stanie ukryć bólu w głosie. – Co się dzieje, skarbie? Czego

się boisz?

Westchnęła, krzywiąc się. Następnie delikatnie musnęła wargami moje i znowu westchnęła. Niewidzialna pięść zacisnęła mi się na żołądku. Serce pompowało w zastraszającym tempie krew, a w gardle urosła przeraźliwa gula: utrudniała mi oddychanie i mówienie. W oczach Gio widziałem potężny mętlik, mieszaninę emocji, których nie potrafiłem zrozumieć. Cisza z jej strony mnie przerażała.

Na szczęście nie trwała za długo.

– Jestem szczęśliwa, że noszę pod sercem nasze dziecko. Owoc naszej miłości – wydukała, układając nasze dłonie na swoim brzuchu. – Ale boję się, że znowu je stracę...

– Nie stracisz – powiedziałem stanowczo. – Nie stracisz, rozumiesz? – Objąłem jej twarz i musnąłem kciukami wilgotne od łez policzki. – Urodzisz to dziecko zdrowe, a potem będziemy się nim cieszyć. Jak trochę podrośnie i będziesz chciała, postaramy się o drugie. A potem trzecie. I czwarte – dodałem z rozbawieniem, kiedy w jej oczach błysnął strach. – I piąte.

– Oszalałeś – wykrztusiła z jawną paniką w głosie, na co się zaśmiałem i pocałowałem ją w czubek nosa. – Żartujesz, prawda? Nie chcesz piątki dzieci. Powiedz, że żartujesz!

– Twoje pytania doprowadzają moje serce do zawału – stwierdziłem, starając się brzmieć na zajębiście poważnego. – Nie chcesz ze mną piątki dzieci? To boli, Gio... – Zwiesiłem głowę, udając załamanego.

Przekląła siarczyście pod nosem i przytknęła dłoń do mojego policzka.

– Jeśli będziesz chciała, możemy kolejne adoptować, Roberto, po prostu nie chcę rodzić piątki dzieci – szepnęła z rozbijającą szczerością.

Spojrzałem na nią ze zdziwieniem.

– Nie zrozum mnie, proszę, źle. – W jej oczach błysnęła niepewność. – Nie to, że nie chcę mieć z tobą więcej dzieci, jednak zwyczajnie się boję. Boję się, że mogłabym któreś znowu stracić, że to – machnęła w stronę brzucha – mogłabym stracić, a wtedy się nie podniosę...

– Zawsze się podniesiesz – warknąłem, mocniej ściskając jej policzki. Plułem sobie w brodę za swój „genialny” pomysł wspomnienia o piątce dzieci.

Czasami jesteś idiotą, Roberto! Pieprzonym, niedorozwiniętym i nieczułym kretynek do kwadratu!

– Zawsze się podniesiesz, cokolwiek by się nie działo. Jeśli nie dasz rady sama, to zawsze będę obok, żeby ci pomóc, kochanie. Jesteś moją waleczną lwicą. Moją jedyną i prawdziwą miłością, obok której będę stąpać, póki śmierć nas nie rozłączy. To, co ci obiecałem podczas składania przysięgi, było najszczerzą prawdą. Będę cię chronić i wielbić. Będę twoją podporą, twoim kochankiem i przyjacielem. Będę tym, czego będziesz w danym momencie potrzebować. Będę cię wkurwiać, żeby zobaczyć twoje czerwone policzki i wściekłe spojrzenie. Będę cię całować aż do utraty tchu, dopóki nie zaczniesz mnie błagać, żebym w ciebie w końcu wszedł. – Oczywiście, że musiałem wspomnieć o seksie. – Będę ramieniem, na którym będziesz mogła wypłakać łzy, a moje koszule będą twoimi chusteczkami. Będę filarem, na którym zawsze będziesz mogła się wesprzeć, gdy coś cię przytłoczy. Będę twoim aniołem stróżem. Będę wszystkim, czego będziesz potrzebować, bo ty jesteś moim wszystkim. Ty i nasze dziecko.

Gio wpatrywała się we mnie rozszerzonymi oczami, zaciskając palce na mojej koszuli tak mocno, że mogła zaraz rozerwać materiał. Dolna warga jej drżała, a po policzkach płynęły łzy. Jakimś cudem wiedziałem, że to były łzy szczęścia i wzruszenia. Kurwa, była tak nieidealna w tym momencie... Nieco rozczochrane włosy, opuchnięte oczy i zaczerwienione policzki. Do tego rozchylone usta, przez które wciągała i wypuszczała powietrze. Pewnie nie mogła normalnie oddychać przez zatkany nos. To wszystko było tak nieidealne, a jednocześnie dla mnie aż nadto perfekcyjne.

W końcu nie wytrzymałem. Pocałowałem ją mocno, a jak tylko poczułem jej język na swoim, jęknąłem głośno. Usiadłem na krześle i przysunąłem ją do siebie, wciągając na kolana. Nie całowałem jej po to, żeby zrzucić z niej zaraz ubrania. Nie zamierzałem się z nią teraz ani kochać, ani pieprzyć. Pocałunkami przelewałem swoją miłość do niej. Rozmawialiśmy bez słów. Czytaliśmy swoje myśli, nawet na siebie nie patrząc. Jej palce dalej były zaciśnięte na mojej koszuli, za to ja wciąż gładziłem jej

policzki. Gio nadal płakała, a jej smak mieszał mi się ze słonymi łzami. Pieszczota była chaotyczna, nierówna; stukaliśmy się zębami, ale kompletnie mi to nie przeszkadzało, bo... ten pocałunek był równie nieidealny co my. Przeszliśmy przez piekło, jednak odnaleźliśmy siebie i istnieliśmy dla siebie, a to było najważniejsze. Ona. Ja. My razem. I nasze dziecko.

– Roberto... – szepnęła, odrywając się ode mnie. Posłała mi spojrzenie pełne miłości, pasji i zrozumienia. – To, co mówiłam na naszym ślubie, było nieszczerze.

Chwila, co?

Oddech ugrzązł mi w gardle.

– Nie chciałam cię kochać. Nie chciałam cię chronić. Nie chciałam być z tobą, póki śmierć nas nie rozłączy. Nie chciałam być ani twoją przyjaciółką, ani tym bardziej podporą. Ciebie nie było obok mnie, gdy cię potrzebowałam. Nienawidziłam cię... – Zamilkła i westchnęła cicho, obejmując dłońmi moją twarz. Pocałowała mnie lekko, mruczając: – Tak mi się wtedy wydawało. – Uśmiechnęła się nieznacznie. – Chciałam cię nienawidzić i to sobie wmawiałam, tyle że... Tak naprawdę nigdy nie przestałam cię kochać. Wmawiałam sobie, że moja przysięga była nieszczerza, że to były okropne kłamstwa. Wpadałam w furię, obrażając wszystkich dookoła za to, że Vito zgodził się na nasz ślub. Nie chciałam tego. Tak cholernie nie chciałam... Nie chciałam ciebie... – Zamilkła, a jej wzrok zmienił się na taki, od którego zaschło mi w gardle.

Patrzyła na mnie tak, jak ja zawsze na nią patrzyłem, jakbym był jedynym człowiekiem na świecie. Nie jedynym mężczyzną, a jedynym człowiekiem. Jakby nic innego się nie liczyło. Kurwa. W końcu była w pełni moja. Ulga rozlała się po moim ciele w zastraszającym tempie.

– To wszystko były kłamstwa, bo... bo prawda jest taka, że... – westchnęła – ...gdybym nie chciała ślubu, po prostu bym się spakowała i uciekła.

– Szukałbym...

– Och, zamknij się – warknęła z irytacją. – Zawsze mi musisz przerywać.

Z trudem, bo z trudem, ale zacisnąłem usta.

– Prawda jest taka, że walczyłam jak lwica, ponieważ się bałam. Bałam się znowu ci zaufać. Najśmieszniejsze w tym wszystkim jest to, że moja przysięga to była najszczerza prawda, chociaż usilnie wmawiałam sobie, że kłamałam. Wszystko, co powiedziałam, było szczerze. – Potrząsnęła głową, uśmiechając się. – Chciałam być dla ciebie podporą, przyjaciółką, kochanką i wkurwiającą żoną, ale też taką, która zrobiłaby ci śniadanie do łóżka, gdybyś tylko poprosił. Byłeś dla mnie wszystkim, odkąd cię po raz pierwszy zobaczyłam. Wszystkim. Wiedziałam już pięć lat temu, że będą z tobą problemy, że wrócę do Nowego Jorku ze złamanym sercem. Czułam to w kościach. Byłeś zbyt idealny, za bardzo wymarzony, jednak... Mimo że zdawałam sobie z tego sprawę, to i tak w to wszystko weszłam. – Pocałowała mnie, tym razem zdecydowanie mocniej niż wcześniej. Zanim zdołałem oddać pieszczotę, odsunęła się.

– Nie płacz – szepnąłem, widząc w jej oczach kolejne łzy.

Nie byłem w stanie powiedzieć nic więcej. Jej wyznanie doprowadziło mnie na skraj. Nie spodziewałem się usłyszeć od niej tych słów. Serce biło mi tak szybko i boleśnie mocno, że miałem wrażenie, jakby mi zaraz miało połamać żebra.

– To ze szczęścia, mężu – szepnęła, muskając kciukiem mój policzek. – To ze szczęścia, bo w dniu, w którym cię po raz pierwszy zobaczyłam, zakochałam się w tobie, kochanie. Moje serce zrobiło... fikołka, chociaż to mało powiedziane, a w żołądku poczułam stado... nie, rój pszczół. – Uśmiechnęła się uroczo, kiedy poruszyłem brwiami. – Poczulałam się wtedy tak, jakby nic innego nie istniało na świecie oprócz naszej dwójki. Zawsze śmiałam się z tych wszystkich komedii romantycznych, gdzie było wspomniane przeznaczenie, bla, bla, bla, ale ty i ja... – Westchnęła. – Jeśli to nie jest przeznaczenie, to ja już, kurwa, nie wiem, co to jest.

– Prawdziwa miłość. – Musnąłem opuszkami palców jej policzki. – Czysta, prawdziwa miłość, kochanie.

Zdobyłem wszystko, o czym marzyłem. Gio była w pełni moja. W końcu.

Rozdział trzydziesty czwarty

Giovanna

Siedzieliśmy jak na szpilkach w Obitorium, czekając na informacje z nalotu. Łypałam spod byka na Roberta, bo mnie wcześniej okłamał. A nie, przepraszam, on – jak to określił – „nie zdradził mi całej prawdy”. Domek, w którym rzekomo przebywał Orsi, nie był domkiem, tylko cholerną fortecą, w której znajdowało się ponad pięćdziesięciu camorristów. Byłam wściekła.

– Wy tłumacz mi raz jeszcze, dlaczego mi nie powiedziałeś, że puszcza naszych ludzi na akcję podbicia pieprzonej twierdzy? – warknęłam, zwijając dłonie w pięści.

Westchnął, zapewne z irytacji, i popatrzył na mnie z uniesioną brwią.

– Właśnie dlatego, kochanie – odparł spokojnym tonem; tym samym, który doprowadzał mnie do szewskiej pasji. – Zrobiłem to tylko po to, żebyś się niepotrzebnie nie denerwowała. Ale oczywiście ty jesteś tak cholernie ciekawska, że musiałaś wytargać plany i sama sprawdzić, prawda? – zakpił.

– Dziwisz mi się?!

Parsknął śmiechem, kręcąc głową.

– Ani, kurwa, trochę.

Miałam ochotę go rozszarpać. Próbował mnie trzymać z dala od wszystkiego. Rozumiałam, że się martwił i nie chciał, żebym się denerwowała, tyle że stanowczo przesadzał. To byli nasi ludzie – sam mi to tłumaczył na początku małżeństwa – więc miałam, do cholery, prawo wiedzieć, że puszczaaliśmy ich na rzeź!

Do tego jeszcze – mogłam się tego spodziewać – Roberto wymyślił sobie, że sam zabije Adama. Zamiast zmieść cały budynek w drobny pył, nasi ludzie mieli za zadanie dorwać Orsiego żywego.

Bez sensu. Kompletnie, cholera jasna, bez sensu.

– Nie mogą go na miejscu odstrzelić? – zapytałam z wyraźną złością w głosie.

– Nie – warknął. – Zamierzam patrzeć mu w oczy, jak będzie z niego uchodzić życie. A potem rozpuszczę jego ciało w kwasie. Tym razem się, kurwa, upewnię, że nie wypełnie z pieczary.

Przewróciłam oczami. Dramatyzowanie mu nie pasowało.

– Roberto... – Zamilkłam, kiedy spojrzał na mnie z niebezpiecznym błyskiem w oku.

Nie widziałam sensu w dalszej dyskusji. On i tak już swoje postanowił i nie planował zmieniać zdania, a ja nie miałam siły go do tego przekonywać. Byłam zmęczona ciągłymi sprzeczkami.

Mój mąż otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale w tym samym momencie rozdzwonił się jego telefon. Oboje rzuciliśmy się na niego, jakby był ostatnią kroplą wody na pustyni. Złapałam go pierwsza. Natychmiast odblokowałam urządzenie – Mauro wysłał nam zdjęcie. Fotografia przedstawiała ciemnowłosego mężczyznę z wykręconymi do tyłu ramionami; miał zakrwawioną twarz.

Mieliśmy Orsiego.

– No kurwa, w końcu! – wykrzyknął Roberto i przyciągnął mnie niespodziewanie za kark. Wpił się w moje usta, od razu wkradając się do środka językiem.

Jęknęłam, gdy pogłębił pocałunek, zaciskając dłoń na tyle mojej głowy. Nie nadażałam go całować, chociaż kompletnie mi to nie przeszkadzało. Czułam, że Roberta rozsadzała radość, więc ja też mimowolnie ją odczuwałam. W końcu nasze włoskie problemy odchodziły w zapomnienie. Musieliśmy jeszcze zabić Orsiego i mogliśmy wyjechać do Nowego Jorku, skąd Robert miał lecieć z Vitem do Moskwy.

– Teraz będzie z górki – oznajmił, przyciskając czoło do mojego.

– Oby – odparłam drżącym głosem. Jego pocałunek mnie rozpałił, jednak wiedziałam, że nie mieliśmy czasu na, nawet najszybszy na świecie, numer.

Dokładnie dwadzieścia minut później staliśmy przed Obitorium. Roberto ciasno obejmował mnie w pasie, składając na mojej szyi mokre pocałunki. Ja zaś obserwowałam wjazd na nasz teren, przygryzając wargę.

Żelazna brama została rozsunięta i na podjazd zaczęły wjeżdżać terenówki. Zatrzymywały się w równym rzędzie przed nami. Liczyłam wysiadających ludzi. Im więcej ich było, tym większą ulgę odczuwałam. Roberto natomiast rozglądał się nerwowo – zapewne próbował zlokalizować Orsiego. Najpewniej nie potrafił się już doczekać, aż ukróci mu życie.

– Czterdziestu – szepnęłam, gdy skończyłam liczyć. Co prawda dotarłam jedynie do trzydziestu dziewięciu, ale był jeszcze Mauro, po prostu go nie widziałam.

– Co?

– Straciliśmy dziesięciu ludzi – wyjaśniłam Robertowi.

On mnie jednak nie słuchał. Skupiał się na otwierających się tylnych drzwiach środkowego samochodu. Sekundę później na beton wypadł Orsi, a tuż za nim wysiadł Mauro z szerokim uśmiechem na ustach. Nigdy nie widziałam go tak zadowolonego.

– Szefie, przywiozłem prezent! – krzyknął, szarpiąc Orsiego za ramiona do góry.

Camorrista jęknął z bólu, choć jednocześnie na jego twarzy widoczna była w głównej mierze obojętność.

– Jeszcze trochę czasu do gwiazdki zostało! – Roberto się zaśmiał, rozluźniając nieco ramiona.

– Cóż. – Mauro chrząknął. – Uznajmy to za wczesny prezent. – Popchnął Orsiego tak, że ten wylądował na kolanach przed nami.

Zanim zdążyłam się obejrzeć, Roberto odsunął się ode mnie, chwycił Orsiego za koszulę i szarpnął nim do góry. Na koniec zacisnął prawą dłoń w pięść i wymierzył cios. Uderzył Adama tak mocno w szczękę, że aż usłyszałam chrupnięcie. Orsi upadł z głuchym łoskotem na beton, plując krwią; chyba stracił też zęba.

– Adamo! Tak dawno cię nie widziałem! – krzyknął Roberto, machając dłonią na swoich ludzi. Szybko do nas podeszli i podnieśli Orsiego, przytrzymując go za ramiona, bo kolana mu się uginały. – Kiepsko wyglądasz. Mówił ci już to ktoś? – Zmarszczył brwi.

– Pierdol się, Favale! – warknął, krzywiąc się, zapewne z bólu. Twarz zdążyła mu już spuchnąć, a z łuku brwiowego i rozwalonej wargi sączyła się krew. – Ty i ta nowojorska kurwa. Pierdolcie się!

– Fatalny dobór słów, Orsi – odparł poważnym tonem Roberto, zwijając dłonie w pięści. Mięsień na jego szczęce drgnął, zanim wyprowadził cios.

Tym razem Adam nie upadł – żołnierze cały czas go trzymali w pionie, kiedy Roberto rzucił się na niego jak pies z wścieklizną. Wbił mu pięść w twarz, potem w brzuch i znowu w twarz – i tak w kółko. Krzyczał przy tym, że żałuje, że nie załatwił go razem z Santiną i resztą jego rodziny. Wyzywał go i wyklinał, powtarzając przy tym, że nie jestem kurwą. Skończył, dopiero gdy głowa Orsiego zawisła bezwiednie nad jego torssem. Odsunął się, rozluźnił ramiona i splunął na Adama, kiwając do żołnierzy.

– Zanieście go do celi.

– Tak jest, don – odparli tuż przed tym, jak nas minęli, ciągnąc za sobą bezwładne ciała.

Do moich nozdrzy dotarła nieprzyjemna woń krwi. Nie zdążyłam się odwrócić do naszych ludzi. Zgięłam się wpół i zwymiotowałam wszystko, co udało mi się wepchnąć w siebie tego dnia.

Nie minęła nawet sekunda, a już czułam na sobie ciepłe dłonie Roberta. Szkoda tylko, że miał je pokryte krwią, przez co znowu dopadły mnie torsje.

– Odsuń się – wycharczałam słabym głosem, opierając się o beton; nawet nie wiedziałam, kiedy zdążyłam upaść na kolana. Kurwa, musiałam wyglądać naprawdę żałośnie. – To od zapachu krwi, odsuń się, proszę – powiedziałam nieco głośniejszym głosem, żeby mnie wyraźnie usłyszał.

Zrobił to, mimo to musiałam jeszcze zrzucić z siebie kurtkę; dalej czułam mdły zapach posoki. Było mi chłodno, ale poczułam się zdecydowanie lepiej. Odetchnęłam głęboko.

– Pomogę ci. – Głos należał do Maura. Owinął palce wokół mojego ramienia. – Roberto poszedł się umyć, zaraz do ciebie przyjdzie. Chodźmy do środka.

– Mhm. – Skinęłam głową, prostując się, po czym pozwoliłam poprowadzić się w głąb budynku.

Weszliśmy do łazienki. Podeszłam do umywalki, czując na sobie wzrok Maura. Zanim zdążyłam się odezwać, przewiesił mi przez ramiona jakiś materiał. W odbiciu w lustrze zauważyłam, że to jego kurtka.

– Dzięki – szepnęłam, przekręcając kurek.

– Nie ma sprawy. Wołaj, gdyby się coś działo – rzucił i opuścił pomieszczenie.

Nim zdołałam dobrze umyć zęby jednorazową szczoteczką, którą znalazłam w szafce, Roberto już obok mnie stał; kurtka Maura zniknęła z mojego ciała w okamgnieniu. W jego oczach błyszczało zmartwienie, ale i zazdrość – wcale mnie to nie zaskoczyło. Nie miałam jednak siły na przekomarzanie się z nim, więc jak tylko wyplukałam usta, wtuliłam się w niego. Przycisnęłam twarz do jego szyi i cicho westchnęłam.

– Przepraszam, kochanie – szepnął z wyraźnym przejściem w głosie. – Nie powinnaś była na to patrzeć w twoim stanie.

– Nie jestem śmiertelnie chora, Roberto. Nie przeszkadzało mi to, dopóki nie zemdlilo mnie od zapachu – wyjaśniłam, muskając opuszkami palców jego ciepły kark. – Co z nim teraz zrobisz?

– Strzelę mu w łeb, a potem poleci do kwasu.

– Chciałabym...

– Nie – zaprotestował natychmiast, przyciskając usta do mojej skroni. – Widziałas już wystarczająco. Poczekaś w moim biurze, a ja się z nim szybko rozprawię. Pięć minut i wracam.

– Miałaś się nad nim znęcać – zauważyłam, marszcząc brwi.

– Ale nie będę.

Objął moją dłoń i poprowadził mnie do wyjścia, a później przez korytarz, aż dotarliśmy do jego biura. Usiadłam na kanapie, a Roberto kucnął przede mną i musnął kciukiem moją dolną wargę, drugą dłonią pocierając udo.

– Miałem się nad nim znęcać, jednak doszedłem do wniosku, że szkoda mi na to czasu. – Uśmiechnął się nieznacznie. – Po drugie już dość się wycierpiał... Zabiłem mu siostrę i całą rodzinę. Wystarczy tego wszystkiego. Przeze mnie wybuchł ten konflikt, trzeba go jak najszybciej zakończyć – mruknął, krzywiąc się. – Zaraz wracam, kochanie.

Patrzyłam za nim jak oniemiała. Byłam zaskoczona, że odpuścił torturowanie Orsiego. Roberto był naprawdę mściwym człowiekiem i miał powody, żeby powoli zabijać Adama, lecz najwyraźniej... Najwyraźniej doszedł do wniosku, że to nie miało sensu.

Nie minęło nawet pięć minut, a wrócił do środka bez krwi na ubraniach. Wziął mnie na ręce tak szybko, że nie zdążyłam nawet pisnąć z zaskoczenia. Wyniósł mnie z Obitorium, ułożył na miejscu pasażera w aventadorze i pojechaliśmy do domu.

Musieliśmy się jeszcze spakować. Mimowolnie zaczął mnie dławić strach na samą myśl o tym, że zostanę w Nowym Jorku, gdy on i Vito polecą do Moskwy, gdzie mogą zostać pokonani...

Rozdział trzydziesty piąty

Vito

Droga numer siedemdziesiąt pięć w stanie Georgia już zawsze będzie mi się dobrze kojarzyć. Dlaczego? To proste. To właśnie na tej drodze, gdzieś pomiędzy Tifton a Cordele, na dobre zamknąłem pewien rozdział w swoim życiu. Dokonałem zemsty za siebie i Vivienne, tym samym pozwalając nam odetchnąć z ulgą.

Wzdłuż jezdni biegł sporej wielkości las, w którym moi ludzie wykopali i przygotowali dwa głębokie doły. Obok nich stały kanistry z benzyną. Czekaliśmy już tylko na naszych gości.

Reed i Troy dawali nam znać, jak im idzie trasa. Mieli się pojawić na wyznaczonym zjeździe za niecałe trzydzieści minut, a mnie zaczynało powoli nosić. Po krwiobiegu krążyła adrenalina. Serce pompowało szybko krew. Chciałem już zobaczyć swoje ofiary – kutasów, którym mimo wszystko byłem trochę wdzięczny. Gdyby nie oni, prawdopodobnie nigdy nie poznałbym Vi. Oczywiście, że pamiętałem, przez co musiała przez nich przejść, ale w tym przypadku byłem cholernym egoistą. Nie zamierzałem jednak mówić tego żonie.

– Dwadzieścia minut – oznajmił Reecon. Ledwo skończył palić jednego papierosa, a już odpałał drugiego. To było powalone uzależnienie, a on się jeszcze dziwił, że kaszlał jak gruźlik.

– Świetnie – mruknąłem, wciskając dłonie do kieszeni spodni. Spojrzałem na jeden z wykopanych dołów; na spodzie znajdowały się zaostrzone kije.

Planowałem dla LaScali i Catellazo długą i bolesną śmierć. Miłość do Vi aż tak mnie nie zmieniła. Dalej łaknąłem krwi.

Moim pierwszym pomysłem na zlikwidowanie ich było wykorzystanie posłańca – kogoś od nas, kto przebywał w Więzieniu Stanowym na Florydzie. Jednak zmieniłem zdanie. Wolałem widzieć ich pełne przerażenia oczy. Chciałem widzieć, jak błagają mnie o każdy oddech, a potem płaczą i wrzeszczą o skrócenie męki. Och, tak, czasem wychodził ze mnie sadysta.

Było mi z tym, kurwa, dobrze.

– Pięć minut. – Pieprzony Reecon odliczał czas, jakby mu cholernie zależało na tym, co się miało lada moment wydarzyć. W sumie ani trochę mu się nie dziwiłem, skoro miał na tym sporo zarobić.

Vi została w domu z bratem, jego przyszłą byłą żoną, dziećmiakami, matką i Regolem. Nie specjalnie chciała, żebym dokonywał morderstwa, ale nie odwodziła mnie od tego. W końcu do niej dotarło, że zaakceptowała mnie takim, jakim jestem. Wzięła ze mną ślub i już nie było odwrotu. Mimo to i tak widziałem ból na jej twarzy, kiedy wspominałem coś o zemście czy zabójstwie. Dlatego starałem się unikać tych tematów. Jak to się mówi: czego oczy nie widzą, tego sercu nie żal.

Brzmiałem jak matka.

– Jada – zakomunikował Reecon.

Zwinąłem dłonie w pięści i przybrałem obojętny wyraz twarzy, choć na moich ustach dalej błąkał się zadowolony uśmiešek. Do lasu wjechał biały samochód. Z daleka wyglądał na zwykłego dostawczaka, lecz gdy się człowiek lepiej przyjrzał, był w stanie zauważyć różnice. Po bokach znajdowały się małe przyciemniane szyby, a sam pojazd był masywny. Na przodzie siedziało dwóch klawiszy – jednym z nich był Reed. Na mój widok przełknął ślinę; doskonale widziałem, jak poruszył się jego przetyk.

Postanowił chyba grać niewzruszonego, bo po chwili wysiadł i do mnie podszedł, rozglądając się po okolicy. Nie wzdygnął się, kiedy kilku żołnierzy wycelowało do niego z broni. Chrząknął i popatrzył na mnie nieco niepewnie.

– Jak chcecie to zrobić?

Skinąłem głową na dwóch żołnierzy, przez co natychmiast do nas podeszli.

– Zgłosiliście, że macie problem z autem, tak?

– Tak – przytaknął Reed. – Ekipa naprawcza ma przyjechać do godziny.

– Świetnie.

Dałem znak ludziom, że mogą się przygotować. Jeden z nich wyciągnął broń wyglądającą jak beretta, przy czym tak naprawdę miała w sobie strzykawkę z lekami usypiającymi.

– Wrócisz teraz grzecznie do samochodu, Reed – oznajmiłem stanowczym tonem. – Ale nie wejdiesz do niego. Zostaniesz trafiony lekiem usypiającym. Ockniesz się za jakieś dwie godziny.

Reed wytrzeszczył oczy, a następnie skinął głową, mimo że przez jego twarz przetoczył się strach.

– Wracaj do auta.

Zawahał się przez chwilę, aż w końcu się ruszył. Jak tylko otworzył drzwi, jeden z żołnierzy strzelił do niego lekiem. Reed upadł na mokrą ziemię. Kierowca dostał chwilę później w ramię. Pozostała jedynie dwójka siedząca na pace.

Obeszliśmy samochód, ale zanim otworzyliśmy drzwi, wysłałem do Troya wiadomość, że wchodzimy. W tym czasie dwóch żołnierzy grzebało pod maską. Mieli za zadanie stworzyć awarię, żeby nikt się później nie dowiedział do klawiszy.

Troy w końcu mi odpisał, że możemy wchodzić. Do moich uszu natychmiast dotarł zgrzyt metalowych zawiasów, a potem świst strzałek i pełne niedowierzania krzyki LaScali i Catellazo.

– Co się, kurwa, dzieje?!

– Co, do chuja?!

Zacmokałem głośno i stanąłem tak, żeby mogli mnie zobaczyć. Wbili we mnie zaskoczone spojrzenia. Bardzo szybko zmieniły się na przerażone, gdy się uśmiechnąłem. Zaczęli się szamotać, próbując rozerwać kajdanki. Na nic im się to zdało, tylko niepotrzebnie hałasowali.

– *Buongiorno, gentlemen* – odezwałem się. – *Che bella giornata, vero?*⁴

Dwóch żołnierzy wskoczyło na pakę. Odpięli LaScalę i Catellazo od przymocowania na podłodze. Odsunąłem się o dwa kroki, żeby zrobić im miejsce.

– Zapewne już wiecie, kim jest moja żona – odezwałem się, kiedy stali przede mną trzymani przez czwórkę moich ludzi.

– Vivienne Hackett – syknął LaScala, szamocząc się. Chwilę później jęknął z bólu, ponieważ dostał łokciem w plecy.

– Owszem – przytaknąłem i skinąłem w stronę grobów.

Żołnierze popchnęli LaScalę i Catellazo w ich stronę. Widząc, gdzie idą, zaczęli się ponownie szamotać. Kilka dźgnięć łokciami prosto w kręgosłup sprowadziło ich do pionu. Upadli na kolana tuż obok dołów. Wpatrywali się z przerażeniem w ostro zakończony pale.

– Dziś jest wasz koniec, panowie – odezwałem się, stając po drugiej stronie.

– Nie rób tego, Bellomo. – Catellazo silił się na normalny ton głosu, choć i tak mu zadrżał. – Możemy się jakoś dogadać.

– Nie. Na pewno się nie dogadamy.

– Nie bądź głupi – warknął LaScala, spoglądając na mnie ze złością. – Mamy sporo informacji na temat Stellato...

Parsknąłem śmiechem.

– Mało mnie to interesuje. Stellato nie żyje, a jego Rodzinę przejął ktoś inny, tak że... – Wzruszyłem ramionami. – Sami rozumiecie, że nie jesteście mi do niczego potrzebni, tylko marnujecie tlen. – Spojrzałem na zegarek na nadgarstku.

Mieliśmy jakieś czterdzieści minut. Zdecydowanie musieliśmy się spieszyć. Popatrzyłem raz jeszcze na LaScalę i Catellazo, po czym skinąłem głową swoim ludziom. Natychmiast chwycili ich za ramiona i wepchnęli do dołów, zanim ci zdążyli wydać z siebie jakikolwiek odgłos.

Wrzasnęli, dopiero gdy nabili się na pale. Uśmiechnąłem się, słysząc ich zawodzenie i charczenie, kiedy krztusili się krwią. Nie byli w stanie nawet kiwnąć jednym palcem u stopy. Biedaczyska. Jedyne, czym ruszali, to głową i przekrwionymi oczami.

– Benzyna – rzuciłem.

Czując jej zapach, rozluźniłem się, a po ciele rozpląnęła się ulga. Wyciągnąłem z wewnętrznej kieszeni marynarki zapalniczkę i pokręciłem kółkiem trącym, aż nie pojawił się płomień. Podpaliłem

szmatkę i wrzuciłem do pierwszego dołu. Zaraz po tym, jak ciało LaScali zaczęło skwierczeć, wszystko powtórzyłem z Catellazo.

Nad grobami unosił się ciemny, śmierdzący dym. Dławił mnie, ale mimo to się nie odsunąłem. Obserwowałem, jak dwa ścierwa płoną, odczuwając dziką satysfakcję.

– Piętnaście minut, Vito – odezwał się Reecon, na co oderwałem wzrok od dołów i skinąłem żołnierzom. Od razu zaczęli zacierać ślady.

Po raz ostatni zerknąłem na zwęglone ciała, które dalej trawił ogień, a następnie ruszyłem w stronę samochodu. Reecon poszedł za mną. Popatrzyłem na niego, marszcząc brwi. Wystawił dłoń i potarł kciukiem o palec wskazujący. Zdusiłem w sobie chęć parsknięcia śmiechem.

– Dostaniesz pieniądze, jak dojadę do domu.

Nie patrząc na Reecona, wsiadłem do auta i napisałem wiadomość do jednego z moich ludzi:

„Tak jak się umawialiśmy”.

Na efekty nie musiałem długo czekać. Za skurwielem pojawił się żołnierz z nożem. Zanim Reecon się odwrócił, ostry kraniec znalazł się w jego szyi, a z tętnicy trysnęła krew. Spojrzenie, które mi posłał, zanim upadł, było pełne niedowierzania.

Był wolnym strzelcem, a już tyle razy było mu mówione, że powinien mieć ochronę. Nie posłuchał – lepiej dla mnie. Mogłem się go szybko pozbyć.

Uśmiechnąłem się do siebie i napisałem do Vi, że wracam.

Rozdział trzydziesty szósty

Vivienne

Vito wycisnął na moich ustach długi i namiętny pocałunek, jak tylko wrócił do domu; zupełnie tak, jakbyśmy się nie widzieli przez co najmniej miesiąc, a nie dwadzieścia cztery godziny. Mimo wszystko zdążyłam się za nim stęsknić, a na samą myśl o tym, że jeszcze tego samego dnia rozstaniemy się na dłużej, dopadł mnie smutek.

– Nasze sprawy załatwione – szepnął, kiedy się odsunął, i wbił we mnie poważne spojrzenie.

Szczękę miał zaciśniętą. Czułam pod palcami, jak mocno biło mu serce. Odniosłam wrażenie, jakby się czymś denerwował, jakby miał mi powiedzieć coś, co mogło mnie wytrącić z równowagi. Moje serce też przyspieszyło. W głębi siebie domyślałam się wszystkiego.

Bez względu na to i tak byłam zaskoczona, słysząc to, czego się spodziewałam.

– Możesz powtórzyć? – poprosiłam. Do oczu napłynęły mi łzy, coś mocno zacisnęło się na żołądku. Nie miałam jednak mdłości, to był raczej efekt zdenerwowania i wyczekiwania.

Vito westchnął ciężko.

– Pomściłem twojego zmarłego męża – oznajmił tym swoim chłodnym tonem, od którego dostawałam ciarek. Powiedział to tak, jakby dla niego to wszystko było niczym. Błahą sprawą. – Reeconą już nie ma.

Nie potrafił mnie oszukać. Widziałam w jego oczach emocje. To nie było wcale nic takiego. To było coś znacznie większego. Ja pomściłam zmarłego męża na własny sposób – donosząc na LaScalę i Catellazo, Vito zaś... On pomścił kompletnie obcego człowieka tylko sobie znanym sposobem – dokładnie wiedziałam jakim. Zabił go; zabił całą trójkę. Może nie zrobił tego osobiście, ale przyczynił się do tego. W mojej głowie wybuchła burza myśli i wyrzutów sumienia. Dlaczego odebrał im życie? Myślał, że mnie to uszczęśliwi? Oczywiście, że nie! Brzydziłam się przemocą i to się nie zmieniło, tyle że...

Cholera jasna!

Przecież nie mogłam okłamywać samej siebie! Słyszając słowa Vita o tym, że pomścił mojego męża, poczułam ogromną ulgę. Poczułam się tak, jakby ktoś zamknął za mną zdecydowanym ruchem drzwi symbolizujące moją przeszłość.

W końcu mogłam odetchnąć pełną piersią.

Vito obserwował mnie wyczekująco. Bał się mojej reakcji. Nie wiedział, czego oczekiwać. Zapewne myślał, że zrobię mu awanturę. Ha, wcale nie zamierzałam się wydzierać. Zamiast krzyknąć, objęłam jego twarz dłońmi i pocałowałam go, zaciskając palce na jego włosach. Jęknął mi wprost w wargi, mocniej do mnie przywierając. Całowałam go tak, jak jeszcze nigdy. Całowałam go mocno i namiętnie, odczuwając coraz większą ulgę. W końcu był w pełni mój, ja byłam w pełni jego. Nie miałam już z tyłu głowy tego, że ci, którzy przyczynili się do śmierci Nicka, dalej żyli. Oni już nie istnieli. Zostałam tylko ja i Vito.

– Dziękuję – wyszeptałam.

Posłał mi zaskoczone spojrzenie.

– Słucham?

– Dziękuję. – Uśmiechnęłam się z wdzięcznością, muskając palcami jego policzek. – Dziękuję,

Vito.

– Nie jesteś zła? – Zmarszczył brwi.

Potrząsnęłam głową, mrugając gwałtownie, żeby odgonić łzy. Uśmiechnęłam się szerzej. Chyba zbiło go to z tropu, bo się odsunął, a wzrok mu się wyostrzył.

– Brałaś coś?

Parsknęłam głośnym śmiechem, przyciskając dłoń do brzucha. Vito się spiął i zacisnął palce na

moich ramionach, lekko mną potrząsając.

– Vivienne, do cholery!

– Przestań! – krzyknęłam ze śmiechem. Gdy jego spojrzenie dalej było zimne jak lód, spoważniałam. – Nie ćpałam, nie piłam. O co ci chodzi?

– Zachowujesz się jak nie ty – mruknął, machając ręką w moim kierunku.

– Bo? – Parsknęłam śmiechem, opierając dłonie na biodrach i przechylając głowę. – Bo nie krzyczę? Bo nie mówię, że można to było inaczej rozwiązać?

Pokiwał powoli głową.

– Rany boskie, Vito – szepnęłam, chwytając go za ramiona. – Wiem, wciąż myślisz, że cały czas uważam, że jesteś mordercą. Wiem, że się obawiałeś mojej reakcji, że znowu będę wszystko analizować, ale tak się nie stanie. Przysięgam, że jestem trzeźwa, a moment, w którym przyznałeś, że pomściłeś Nicka, był momentem, w którym zwyczajnie mi ulżyło – wyrzuciłam z siebie słowa z prędkością wiatru. – Nie prosiłam cię o to, nie myślałam o tym, jednak... – Westchnęłam ciężko, na sekundę przymykając powieki. Po chwili je rozchyliłam i popatrzyłam wprost w oczy Vita. – Jak tylko mi powiedziałeś, że dokonałeś zemsty, poczułam, że zrobiłeś to, co powinieneś być zrobić. Postąpiłeś właściwie.

Zamrugął kilka razy, marszcząc brwi. Spoglądał na mnie z niedowierzaniem.

– Nie jesteś zła?

– Nie, kochanie – odparłam z czułością. – Jestem szczęśliwa, bo w końcu mogę definitywnie zamknąć niezbyt przyjemną przeszłość.

– Kurwa, Vi – sapnął. Przycisnął czoło do mojego i wypuścił pomiędzy warg drżące powietrze.

– Kurwa. Bałam się, że jak ci powiem, że zabiłem Reecona, to mnie znienawidzisz, a jednocześnie nie chciałem mieć przed tobą tajemnic. Nie chciałem, żebyś patrzyła na mnie jak na potwora.

– Nigdy tak na ciebie nie spojrzę – oznajmiłam z pewnością w głosie. – Nigdy, skarbie. Nie jesteś potworem, nigdy nim nie byłeś. To ja uważałam, że wszystko jest albo czarne, albo białe, nie brałam pod uwagę innych kolorów. Jesteś dobrym człowiekiem, Vito. Najlepszym, jakiego spotkałam. I jestem cholernie szczęśliwa, że jesteś moim mężem.

Byłam bliska płaczu, gdy zobaczyłam na własne oczy, jak uchodzi z niego cały stres.

– Cholera, Vi – wyszeptał, znowu mnie całując. – Jesteś moim aniołem.

A on był moim.

Rozdział trzydziesty siódmy

Giovanna

Leżałam na łóżku, przyglądając się mężowi, podczas gdy układał ubrania w walizce. Chciałam sama to zrobić, ale mi na to nie pozwolił, ponieważ „mam się oszczędzać”, cokolwiek to według niego oznaczało. Roberto chuchał na mnie i dmuchał, zupełnie jakbym była śmiertelnie chora, a nie po prostu w ciąży. Czasami to było urocze, czasami go przy tym wykorzystywałam, a czasami... Czasami doprowadzał mnie tym do furii. Innymi słowy: zupełnie nic się nie zmieniło w naszym związku, odkąd dowiedział się o moim stanie. Albo się powoli kochaliśmy, albo pieprzyliśmy się jak króliczki, albo się kłóciliśmy, a czasami po prostu siedzieliśmy obok siebie w ciszy – co i tak w końcu kończyło się jednym. Seksem.

– Po co ci koronkowa bielizna w Nowym Jorku? – zapytał nagle, trzymając między palcami moje majtki.

– Bo ją lubię? – Przewróciłam oczami, kiedy posłał mi podirytowane spojrzenie. – O co ci chodzi, co?

– Po co ci taka bielizna, skoro nie będzie mnie obok ciebie? – Nie spuszczał ze mnie oczu; widziałam w nich błyski złości.

Oho, włączył mu się tryb zazdrośnika.

– Roberto... – Parsknęłam śmiechem, siadając na skraju łóżka. – Czy ty jesteś zazdrosny o to, że będę miała na tyłku koronkowe majtki, a ty będziesz na innym kontynencie? Naprawdę, kochanie?

Z całych sił powstrzymywałam się od śmiechu.

– Nie – warknął, ciskając bielizną na samą górę moich ubrań. Zatrzasnął walizkę i zaczął się szarpać z zamkiem, klnąc pod nosem jak szewc.

Pokręciłam głową z ciężkim westchnieniem.

– Roberto – mruknęłam, klękając przy nim. Przytrzymałam go za przedramiona, na których uwydatniły się żyły; naprawdę był zdenerwowany. – Ty naprawdę jesteś o to wkurzony? Serio? – Wpatrywałam się w niego wyczekująco.

Sapnął i wymamrotał coś pod nosem, na koniec podnosząc głowę.

– Kochanie...

– Wiem, co sobie teraz myślisz, Gio. – Chyba próbował się uśmiechnąć, jednak wyszedł mu z tego grymas. – Nie chodzi mi o głupią bieliznę. – Zbliżył się, obejmując moją twarz dłońmi. Wbił we mnie poważne spojrzenie. – Na samą myśl o tym, że znowu nie będę mógł być obok ciebie, dotykać cię i całować...

– Hej... – przerwałam mu szeptem i też objęłam jego twarz, całując go delikatnie. – Jeszcze się nie rozdzielamy. Później faktycznie wyjedziesz do Moskwy, ale wrócisz po mnie do Nowego Jorku w jednym kawałku. Żywy – oświadczyłam z pewnością w głosie.

Jednocześnie chyba próbowałam też siebie przekonać, że nie stracę Roberta.

– Boję się, że...

– Przestań. – Potrząsnęłam głową. – Przestań, proszę cię. Powiedziałeś, że nic nas nie rozdzieli, tak? Że wrócisz do mnie i razem się zestarzejemy, więc przestań w to teraz wątpić, mężu.

Oboje byliśmy cholernie poważni. Czułam, że Roberto lekko drżał, lecz to nie były dreszcze podniecenia, a strachu. Odślaniał swoje emocje, pokazując mi, jak bardzo się bał stracić to, co mieliśmy. Zmusiłam się do szczerego uśmiechu i uspokoiłam rozedrgane serce – musiałam być dla niego silna. To on przez cały czas mnie pocieszał i sprawiał, że przestawałam panikować, dlatego musiałam wziąć się w garść i pokazać mu, że w nas wierzyłam; że wierzyłam w to, że byliśmy niepokonani.

– Rozwalicie Moskiewską Brać, a potem do mnie wrócisz. – Musnęłam opuszkami palców jego policzki. – Tak?

– Kochanie...

– Przestań – zaprotestowałam zirytowanym tonem.

Przymknął powieki i mnie pocałował – zrobił to tak delikatnie, jakby się bał, że mogłabym się rozpuścić w powietrzu. Muskał powoli moje usta ciepłymi wargami, smakował mnie i spijał moją pewność siebie, aż w końcu się odsunął. Przycisnął czoło do mojego, otworzył oczy i popatrzył na mnie z błyskiem w oku. Wiedziałam już, że wrócił mój Roberto. Ten, którego nic nie było w stanie pokonać.

– Dobrze, że cię mam. – Uśmiechnął się. – Nie mów nikomu, że miałem chwilę zwątpienia.

Miałam ochotę przewrócić oczami, ale powstrzymałam się przed tym. Roberto nienawidził pokazywania słabości. Musiał wiedzieć, że wszystko zostanie między nami, nawet jeśli to wydawało się głupie.

– Nie powiem – obiecałam i się cofnęłam, zerkając w stronę trzech walizek. – Pomóc ci?

– Nie – zaprotestował, potrząsając głową. – Połóż się i odpocznij, a ja dokończę pakowanie.

Jęknęłam z niezadowolenia, bo znowu zmienił się w tego przewrażliwionego faceta, który robił wszystko za mnie. Chciałam zaprotestować, jednak posłał mi stanowcze spojrzenie, więc nie oponowałam. Nie chciałam się z nim kłócić. Nie przed tym, jak za chwilę mieliśmy się rozstać na dłużej.

Wstaliśmy z dywanu, tyle że ja położyłam się z powrotem na łóżku, a Roberto wrócił do pakowania. Obserwowałam go spod przymrużonych powiek. Doskonale widziałam, jak posyłał mi ukradkowe, zmartwione spojrzenia. Miał napięte mięśnie ramion – to tylko utwierdzało mnie w przekonaniu, że nie był pewien. Denerwował się wojną, choć przecież nie mogłam się temu dziwić. Sama się denerwowałam. Odczuwałam nieprzyjemny ucisk na żołądku na samą myśl o tym, że komuś jeszcze mogłaby się stać krzywda. Nie chciałam stracić kolejnej osoby. Nie mogłam. Chyba bym się nie pozbierała. Jednocześnie starałam się nie pokazywać na zewnątrz zmartwienia. Grałam pewną siebie i twardą. Dla dobra Roberta. Musiał widzieć we mnie pewność. Musiałam być jego oparciem. Musiał widzieć, że wierzyłam w naszą wygraną.

Kilka godzin później byliśmy już w samolocie lecącym do Nowego Jorku. Siedzieliśmy obok siebie na skórzanych, beżowych fotelach. Dłonie mieliśmy splecione, ale każde z nas myślało gdzieś indziej. Roberto najpewniej zastanawiał się nad ostatecznym starciem w Moskwie. Zgrzytał zębami co jakiś czas i ciężko wzdychał. Czasami się wzdrygnął, jakby sobie wyobraził coś naprawdę okrutnego.

Ja zaś miałam przed oczami wspomnienia. Począwszy od tych, które wydarzyły się pięć lat wcześniej, poprzez nasze spotkanie, gdy Salvatore i Zoja wrócili z Rosji, nasz ślub, moje pogodzenie się z uczuciami, którymi go darzyłam, moją rozpacz, gdy rzekomo umarł, aż po nasze ostatnie wyznanie miłości. Uśmiechnęłam się, mocniej ściskając przy tym dłoń Roberta.

Natychmiast posłał mi zmartwione spojrzenie.

– Płaczesz? – zapytał szeptem, ścierając kciukiem łzę z mojego policzka.

Nawet nie wiedziałam, kiedy zaczęłam.

– To nic... – szepnęłam, potrząsając głową.

Chyba mi nie uwierzył. Objął moją twarz dłońmi i wbił we mnie skupiony wzrok. Brwi zmarszczył tak bardzo, że pomiędzy nimi pojawiły się dwie pionowe zmarszczki. Musnęłam je palcami, żeby się rozluźnił, a jak tylko to zrobił, uśmiechnęłam się czule i chrząknęłam, pozbywając się guli z gardła.

– Po prostu sobie wspominam. – Wzruszyłam ramionami. – Wszystko, odkąd się poznaliśmy.

– I dlatego płaczesz? – Zmarszczył ponownie brwi, na co ja znowu przejechałam palcami po jego skórze.

Dałabym sobie rękę uciąć, że zauważył w moich oczach rozbawienie, ponieważ znowu się rozluźnił i lekko uśmiechnął.

– To ze szczęścia, że mam obok siebie kogoś, kogo kocham nad życie – powiedziałam szczerze, zanim go pocałowałam. – Kocham cię, mężu.

– Och. – Uśmiechnął się szerzej. – Ja ciebie też, żono.

Reszta podróży minęła nam spokojnie. Nawet udało mi się zdrzemnąć na ramieniu Roberta, a gdy się obudziłam, z uśmiechem zauważyłam, że opatulił mnie miękkim kocem. Przyjemne ciepło

rozlało się po moim ciele, kiedy poczułam jego miękkie usta na policzku.

– Nie śpisz, to dobrze – mruknął zachrypniętym głosem; chyba sam się dopiero obudził. – Zaraz lądujemy.

– Już? – zapytałam zaskoczonym tonem. Poprawiłam się na fotelu i zapięłam pas, po czym chwyciłam Roberta za dłoń i splotłam nasze palce.

Od razu musnęła ich wierzch ustami, nie przestając się do mnie czule uśmiechać. Nawet zaspany i z rozczochranymi włosami wyglądał seksownie.

Kilka chwil później koła samolotu dotknęły płyty lotniska. Musiałam kilka razy przełknąć ślinę, żeby pozbyć się nieprzyjemnego uczucia spowodowanego zatkanymi uszami. Roberto robił dokładnie to samo, sądząc po ruchach jego grdyki. Samolot zaczął kołować, kierując się w najbardziej odległe miejsce lotniska. Domyśliłam się, że to tam czekał na nas Vito z Vivienne.

Nie pomyliłam się.

Vi rzuciła się na mnie, kiedy zeszliśmy po schodach. Zanosila się łzami, mamrocząc wyrazy współczucia. Tuliłam ją do siebie mocno, głaszcząc po plecach. Tęskniłam za nią. Mimo że nie znałyśmy się aż tak dobrze, to stała mi się cholernie bliska. Jak tylko się ode mnie odsunęła, Vito przyciągnął mnie do siebie w ciasnym objęciu. Złożył na mojej skroni braterski pocałunek, na co Roberto mruknął coś niezrozumiałego pod nosem. Zaśmiałam się i uderzyłam go lekko w ramię. Skrzywił się, ale bardzo szybko pocałował mnie w usta, zaborczo przyciągając do swojego boku. Vito zrobił dokładnie to samo z Vi. Parsknęłyśmy śmiechem, kwitując:

– Typowe.

Siedzieliśmy we czwórkę w salonie, jedząc sernik upieczony przez Vi. Chociaż ja tak naprawdę wpychałam go w siebie jak szalona, nie przejmując się tym, że patrzyli na mnie z niedowierzaniem w oczach. Cóż miałam poradzić na to, że jak mnie nie zemdliło, postanowiłam się zapchać jedzeniem do pełna? Lepsze to, niż jakbym miała żyć o owocowej herbacie – wszystko inne przyprawiało mnie o mdłości.

– Za ile wylatujecie? – zapytała Vi, gdy skończyliśmy jeść.

– Za dwie godziny – odparł Roberto, zerkając na chwilę na mojego brata. Tuż za jego plecami kręciło się kilku żołnierzy.

Vito skinął głową.

– Lecicie prywatnym?

– Tak – odpowiedział mi Vito, choć nie patrzył na mnie, tylko na Roberta.

Miałam wrażenie, że próbowali coś sobie niemo przekazać. Zmarszczyłam brwi. Ani trochę mi się to nie spodobało. Miałam złe przeczucia.

– O co chodzi? – zapytałam ostro, mrużąc oczy, gdy Roberto poruszył się niespokojnie na krześle.

Chrząknął i zamrugął gwałtownie, potrząsając głową.

– O nic – mruknął nonszalancko, a na jego twarzy na powrót pojawiła się obojętność.

Znowu mi czegoś nie mówił.

– Roberto – warknęłam ostrzegawczo. Otworzyłam usta, chcąc dodać coś jeszcze, jednak zatkał mi je pocałunkiem. Oderwał się, słysząc, że Vito chrząknął. – I tak wiem, że coś ukrywasz.

– To dobrze, że wiesz. – Uśmiechnął się. – To znaczy, że nic nie muszę ci tłumaczyć. Najpierw pomyślisz, a potem wysuniesz wnioski.

Początkowo nie rozumiałam, o co mu chodziło, a jak już udało mi się to pojąć – miałam ochotę go rozszarpać i rzucić wilkom na pożarcie. Nie wiem, co sobie wyobrażali, ale jak zwykle musieli coś, kurwa, odwalić. Jak zwykle!

Rozdział trzydziesty ósmy

Giovanna

Tuż po tym, jak nasi mężowie wyjechali, zaczęłam nadrabiać rozłąkę z Vi. Za wszelką cenę skupiałam się na tym, żeby się nie martwić, dlatego opowiedziałam jej o pomysłach na imiona dla dziecka.

– Naprawdę? Salvatore i Elena?

– Tak – przytaknęłam z uśmiechem. – Uważasz, że to dobry pomysł?

– Tak. – Ścisnęła moją dłoń. – Tak, chociaż nadawanie imion po zmarłych...

W oczach błysnęły mi łzy.

– Przepraszam. Nie chciałam, żebyś... – Popatrzyła na mnie ze skruchą.

– Nic się nie stało – zapewniłam ją, próbując się uspokoić. – Salvatore by się ucieszył, Elena też.

– Uśmiechnęłam się smutno. – Tęsknię za nim, tak cholernie tęsknię...

– Och, Gi – wyszeptwała, przyciągając mnie do siebie. Owinęła wokół mnie ramiona, pozwalając mi się wypłakać. Byłam jej za to wdzięczna. Na pewno wiedziała, co czułam. Ona też przecież straciła kogoś bliskiego. – Spoglądają na nas z góry i chronią.

Robiłam akurat herbatę w kuchni, kiedy dotarł do mnie rozemocjonowany głos reporterki:

– Wiadomość z ostatniej chwili!

Weszłam do salonu, akurat gdy Vivienne pogłośniła telewizor. Na ekranie widać było nagranie z katastrofy lotniczej. Resztki samolotu trawił ogień, nad okolicą unosił się ciemny dym. Serce mi na chwilę stanęło, a potem zaczęło szybko bić.

– Samolot lecący z Nowego Jorku do Moskwy uległ awarii niedaleko lotniska w Berlinie. Na pokładzie znajdowało się stu sześćdziesięciu pasażerów i sześciu członków załogi. Według informacji podawanych przez linię lotniczą samolot próbował awaryjnie lądować na polach niedaleko lotniska, jednak przy próbie podejścia doszło do przeciążenia i maszyna runęła na ziemię. Według doniesień służb nikt nie przeżył. To już kolejna w tym roku katastrofa lotnicza z udziałem Boeinga.

To było nienormalne, ale odetchnęłam z ulgą. Vito i Roberto lecieli prywatnym odrzutowcem. Kątem oka zauważyłam, jak Vi nerwowo przyciska telefon do ucha; po policzkach ciekły jej łzy. Zmarszczyłam brwi, nie bardzo rozumiejąc, co się stało.

– Vi? – zapytałam. – Uspokój się, proszę. Vito i Roberto lecieli przecież prywatnym – przypomniałam, kiedy popatrzyła na mnie załzawionymi oczami.

Miałam wrażenie, jakby ktoś ścisnął mi serce.

– Vi? – Zbliżyłam się do niej; broda jej drżała coraz bardziej. – Vi, proszę...

Przełknęła ciężko ślinę i uśmiechnęła się, tyle że to nie był szczery uśmiech. Tak samo jak jej następne słowa nie były szczerze.

– Przepraszam, zapomniałam, że lecieli prywatnym.

Coś ciężkiego usiadło mi na piersi. Potrafiłam rozpoznać kłamstwo.

– Nie, nie zapomniałaś – wymamrotałam, starając się nie podnieść głosu. – Czego mi nie mówisz?

– Niczego! – zaprotestowała szybko; za szybko. Zerwała się z kanapy, ale zanim zdołała się ruszyć, zacisnęłam mocno dłoń na jej ramieniu i pchnęłam z powrotem na kanapę.

– Czego mi nie mówisz? – warknęłam ostro.

– Gi, proszę... – Patrzyła na mnie ze strachem, co chwilę zerkając na mój brzuch.

Przymknęłam powieki i odetchnęłam głęboko, starając się uspokoić.

– Masz pięć sekund na to, żeby mi powiedzieć, co wiesz. Jeśli tego nie zrobisz, na moment zapomnę, że jesteś żoną mojego brata. – Wlepiłam w nią ostre spojrzenie. Roznosiła mnie wściekłość.

Przełknęła ciężko ślinę. Zadrżała.

– W ostatniej chwili zmienili zdanie i polecieli publicznymi liniami. Chcieli zmylić Siergieja...
Nie. Nie. Chyba się przesłyszałam!

Wdech, wydech, wdech, wydech. Pamiętaj, tylko spokój może cię uratować, Gi. Wdech, wydech, wdech, wydech...

Dlaczego mój brat jest takim cholernym idiotą? Dlaczego mój skretyniały mąż nie poinformował mnie o zmianie planów? Czy oni się z chujami na rozumy pozamieniali?

W pierwszej chwili miałam ochotę się rozplakać, jednak im więcej czasu upływało, tym więcej do mnie docierało. Zanim zdołałam postawić krzyżyk nad moim mężem, przypomniały mi się jego słowa o tym, że zanim wysunę wniosek, to pomyślę.

Roberto żyje, ale już niedługo. Zamorduję go własnoręcznie, jak tylko wróci.

– Kiedy dokładnie Vito ci powiedział, że zamierzają lecieć publicznymi liniami? – zapytałam spokojnie, spoglądając na Vi. Próbowała się uspokoić, łapiąc z trudem powietrze, ale na nic jej się to zdawało. – Vi, do cholery! Kiedy?! – Potrząsnęłam nią.

– Napisał mi wiadomość w czasie, gdy powinni wsiadać do samolotu – szepnęła.

– Rozszarpie ich kiedyś – warknęłam do siebie.

Kątem oka zarejestrowałam, że na ekranie telewizora ponownie pojawił się wrak samolotu.

– Świadkowie uważają, że samolot został zestrzelony – poinformowała reporterka. – Nie zostało to potwierdzone ani przez służby, ani przez linie lotnicze.

– Niech go tylko dorwę w swoje ręce – syknęłam.

– Co? Skąd...

– Bo to jest tak bardzo w stylu Vita! – krzyknęłam, wyrzucając ręce do góry. – Chcieli zmylić Siergieja. Najpewniej myśleli, że Wetrow zaatakuje ich na lotnisku w Moskwie. Wątpię, żeby sądzili, że dopuści się ludobójstwa – wyjaśniłam spokojnie. – Domyślam się, że Vito kupił bilety na prawdziwe nazwiska, stąd... – machnęłam dłonią w stronę telewizora – ...właśnie to.

Niemal jak na zawołanie odezwał się mój telefon. To nie były przychodzące połączenia, a lawina wiadomości. Zmarszczyłam brwi, wlepiając spojrzenie w ekran: ponad czterdzieści nieprzeczytanych SMS-ów. Większość z nich informowała mnie o tym, że ktoś próbował się ze mną połączyć. Praktycznie w tym samym czasie rozdzwoniła się komórka Vi, a na wyświetlaczu pojawiło się imię Vita.

– Vito?! – zawołała, przytykając telefon do ucha.

Kiedy wybuchnęła głośnym płaczem, a na jej twarzy pojawiła się ulga, wyrwałam jej urządzenie z ręki.

– Daj mi Roberta do telefonu – warknęłam.

– Gi...

– Daj mi go do telefonu, Vito, inaczej nie ręczę za siebie! – ryknęłam tak głośno, że aż Vi podskoczyła nerwowo na kanapie. – Teraz!

Po kilku trzaskach, ciszy i kolejnych trzaskach, usłyszałam głos Roberta:

– Kochanie, ja...

– Masz przejebane, Favale – przerwałam mu warknięciem, ściskając palcami nasadę nosa. – Masz totalnie, niezaprzeczalnie tak przejebane, że lepiej, żebyś miał cholernie dobrą wymówkę.

– Wysłałem ci wiadomość, że lecimy z innego lotniska! Zmieniliśmy zdanie w ostatnim momencie. Mieliśmy dwie opcje, prywatny lub publiczny lot z Nowego Jorku, jednak wybraliśmy trzecią, bo doszliśmy do wniosku, że to mniejsze ryzyko. Wysłałem, naprawdę! A jak nie odpisałaś, próbowałem się do ciebie dodzwonić, tylko się nie dało – rzucił jednym tchem. – W końcu uznałem, że Vi na pewno ci powiedziała. Potem byliśmy już w samolocie. Jak tylko usłyszeliśmy o katastrofie, od razu zacząłem do ciebie dzwonić, ale co chwilę mnie rozłączało. Vito też próbował się dodzwonić do Vi, nawet do Regola. Nie dało się.

Roberto był tak zdenerwowany, że nie miałam żadnych wątpliwości. Nie kłamał. Po prostu dziwne zrządzenie losu przeszkodziło nam w skontaktowaniu się ze sobą. Przymknęłam powieki, oddychając z ulgą. Po chwili już przeglądałam SMS-y na telefonie i faktycznie, jedną z pierwszych wiadomości była informacja od Roberta o zmianie planów. Później większość to powiadomienia, że ktoś się próbował z nami połączyć. Nawet Payton dzwoniła. Ostatnia wiadomość była od operatora – doszło do awarii w jakimś ich budynku, przez co mieli problem z siecią.

– Kochanie? Nie złość się na mnie i powiedz mi, proszę, że się dobrze czujesz – szepnęła.

– Daj mi Vita – poprosiłam.

– Gio...

– Zaraz do ciebie oddzwonię – obiecałam. – Pozwól, że Vito porozmawia z Vi. – Oddałam jej urządzenie.

Wybrałam numer i wyszłam z salonu, kierując się do mojej tymczasowej sypialni. Roberto odebrał, gdy byłam gdzieś w połowie schodów.

– Kochanie? Dobrze się czujesz? Jak dziecko? – zasypał mnie gradem pytań. – Tak cholernie cię przepraszam, że...

– Jest dobrze – przerwałam mu, wchodząc do sypialni. Zamknęłam za sobą drzwi i zjechałam po nich, siadając na dywanie. – Naprawdę. Gdzie teraz jesteście?

– Aktualnie jedziemy autostradą przez Francję – odparł. – Wylecieliśmy z Filadelfii do Paryża.

– Dobrze – wymamrotałam, kiwając głową i zamykając oczy. – Myślisz, że pogłoski o tym, że samolot został zestrzelony, to prawda? Myślisz, że Siergiej jest aż do tego stopnia zdesperowany, że zaczął zabijać niewinnych ludzi?

– Jestem tego niemal pewny, kochanie. Teraz może nawet myśli, że zginęliśmy. Dzięki temu będziemy mieć element zaskoczenia. – Chrząknął. – Jesteś na mnie zła?

– Nie – mruknęłam, prychając na siebie w myślach.

Odetchnął z ulgą.

– Jestem wkurwiona – dodałam. – Czemu, do cholery, nie powiedziałeś mi o wszystkim od razu?

Uniknęlibyśmy stresu, niepewności i wycia Vivienne.

– Wiem... – jęknął żałośnie. – Zjechałam.

– A i owszem – przytaknęłam. – Znowu.

– Przepraszam.

Pokręciłam głową, słysząc skruczę w jego głosie. Cholera, gdybym tylko umiała się na niego dłużej złościć, zrobiłabym mu z dupy jesień średniowiecza, a tak? Nie potrafiłam, a już na pewno nie teraz, kiedy nosiłam pod sercem nasze dziecko.

– Wybaczam, idioto – burknęłam. – Masz szczęście, że mnie ostrzegłeś.

– Mów mi jeszcze... – Zaśmiał się. – Tęsknię za tobą, skarbie.

– Ja za tobą też. Cieszę się, że jesteście cali.

W tle usłyszałam jakiś szum.

– Przepraszam, kochanie, ale muszę kończyć. Dojeżdżamy do granicy, a w bagażniku mamy arsenał.

– Idioci. – Parsknęłam śmiechem. – Kocham cię. Odezwij się później.

– Ja ciebie też. Skontaktuję się z tobą od razu po przyjeździe do Rosji.

Jak tylko się rozłączył, zesłałam na dół, gdzie błada Vi patrzyła na mnie z przejęciem.

– Złapią ich. Oni mają broń...

– Uspokój się. Nie panikuj – mruknęłam, klepiąc ją po ramieniu. – Znacznie gorszy towar przemycali przez zamknięte granice, a teraz w Europie większość jest otwarta. Schody się zaczną, jak będą się zbliżać do Rosji, jednak dadzą sobie radę.

– A co, jeśli...

– Nie złapią ich, Vi – zapewniłam ją. – Będzie dobrze, zobaczysz. Przestań się już denerwować, bo zaraz mi się udzieli.

– Och... wybac. – Uśmiechnęła się przepraszająco i usiadła obok mnie, kiedy przełączyłam na Hallmarka. – Po prostu to wszystko jest jeszcze takie... sama nie wiem.

– Dziwne.

To naprawdę mogło być dla niej dziwne. A dla mnie? Nie aż tak bardzo. Wychowałam się, słysząc o przemytach broni. To było coś normalnego.

Kilka godzin później z jednej strony odetchnęłam z ulgą, bo dali znać, że wjechali do Rosji, a z drugiej ścisnęło mi się serce, ponieważ najgorsze było jeszcze przed nimi.

Rozdział trzydziesty dziewiąty

Silvio

Roberto i Vito przyjechali do nas kilka minut po ósmej rano. Otworzyłem pilotem garaż, jak tylko zauważyłem ich na podjeździe. Vito przyciągnął mnie do siebie w braterskim uścisku, klepiąc po plecach. Przeprowadziliśmy przy tym niemą rozmowę na temat Salvatore'a. Gdybym nie był tak nakręcony na zemstę, może i bym pozwolił na chwilę żalu, jednak nie mogłem do tego dopuścić. Mieliśmy zbyt wiele na głowie.

– Dobra, przestańcie już, bo robi się zbyt ckliwie – mruknął Roberto, ciągnąc mnie za ramię. – Kurewsko mi przykro, Silvio. – Poklepał mnie po plecach.

– Dzięki, dupku. – Uśmiechnąłem się. – Jak droga?

– Luz. – Roberto wzruszył ramionami. – Mieliśmy drobny problem na granicy, ale to nic, czego nie załatwiłyby pieniądze. – Ruszył w stronę bagażnika, otwierając przy okazji tylne drzwi mercedesa.

Z pozoru kanapa wyglądała normalnie – tak jak powinna – lecz doskonale zdawałem sobie sprawę z tego, że pod materiałem kryło się coś jeszcze. Roberto otworzył klapę bagażnika i się uśmiechnął; w oczach pojawił mu się zadowolony błysk. Sam też się uśmiechnąłem, wyciągając siedziska, pod którymi ukryta była broń.

– No kurwa – mruknąłem, biorąc do dłoni kałasznikow, jeden z najbardziej niezawodnych karabinów na świecie. Jedyna dobra rzecz, która powstała dzięki Związkowi Radzieckiemu. – Chodź dziecińko do tatusia. – Uśmiechnąłem się szeroko, przesuwając palcami po kolbie.

– A to niby ja jestem psychopatą – skomentował Roberto, patrząc na mnie spod przymrużonych powiek. Wyciągnął z auta skrzynię i postawił ją pod ścianą. – Tu są fajne zabawki. – Otworzył wieko łomem i przesunął je, żebym mógł zobaczyć, co znajdowało się w środku.

Pomiędzy wiórami leżały granaty. Musieli je załatwić już w Europie – nie było szans, żeby przewiózł je samolotem.

– Nie. – Pokręciłem głową. – Wolę karabin – odparłem i odłożyłem kałasznikow na stół, po czym znów zanurkowałem w tylną kanapę.

Dobłą godzinę zajęło nam rozpakowanie auta. Łącznie przywieźli skrzynię z granatami, karabiny i beretty, jednak to nie było jeszcze wszystko.

– Dwie ekipy dotarły już na swoje miejsca – oznajmił Vito, chowając telefon do kieszeni spodni. – Niedługo dojedzie reszta.

– Świetnie – skwitowałem, kiwając głową.

Ręce mnie świerzbiły do walki.

– A gdzie Payton? – zapytał Roberto.

– Pewnie jeszcze śpi – mruknąłem, wzruszając ramionami. – Klóciliśmy się do późna. Chciałem ją odesłać do Nowego Jorku, ale...

– Ale się uparła, że nie zostawi cię samego – dokończył za mnie Roberto; skinąłem głową. – Giovanna zrobiłaby to samo, gdyby nie była w ciąży.

– Ta... – Gi i Payton były do siebie podobne pod tym względem. – Tak w ogóle to gratulacje, tatusiu. – Poklepałem go po ramieniu. – Jeśli to będzie córka, to już ci współczuję.

Skrzywił się.

– Lepiej dla nas wszystkich, żeby to był syn.

Parsknąłem śmiechem razem z Vitem. Chwilę później zauważyłem, jak ziewa. Zanim zamknął usta, zaczął się krztusić.

– *Mamma* cię ukarała, że nie zakrywasz ust – stwierdziłem, waląc go po plecach, żeby się nie utopił we własnej ślinie. Jak tylko się uspokoił, ruszyłem w stronę drzwi. – Chodźcie, zaprowadzę was do pokoi.

Uchyliłem się, gdy Vito się zamachnął, jakby chciał mnie uderzyć. Zaśmiałem się, bo nie trafił.

Na schodach spotkaliśmy Payton. Chciałem ją przytulić, ale minęła mnie, jakbym był powietrzem. Ucisnęła Vita, mamrocząc coś pod nosem, na co ten pokiwał głową. Przez twarz przemknął mu cień smutku. Domyśliłem się, że składała mu kondolencje. Roberta też uściskała na przywitanie, na koniec jednak uderzyła go w pierś.

– Kurwa! Za co? – warknął.

– Ty już, kurwa, wiesz za co. Za twoją fałszywą śmierć, ukrywanie prawdy i łzy Giovanny! – Uderzyła go po raz kolejny, zanim zdołałem ją powstrzymać.

Posłałem Robertowi przepaszające spojrzenie. Payton czasami naprawdę nie miała zahamowań. Najpierw coś robiła, dopiero potem myślała.

– Payton – warknąłem ostrzegawczo.

– Co? – Popatrzyła na mnie ze złością, a po chwili wytrzeszczyła oczy. Zrozumiała. – Cholera. Przepraszam – bąknęła, zerkając na Roberta. – Poniosło mnie.

– Zasłużyłem sobie. – Chrząknął, spoglądając na nią chłodnym wzrokiem. – Tak czy siak to był pierwszy i ostatni raz, kiedy to zrobiłaś.

– O ile znowu...

– Payton, na litość boską – syknąłem, przykładając dłoń do jej ust. – Opanuj się – wycedziłem.

Jeszcze, kurwa, tego brakowało, żeby się zaczęli kłócić albo – co gorsza – żeby Roberto uznał jej słowa za zniewagę. Fakt, Favale zachował się jak kutas, ukrywając informacje o sfingowaniu śmierci, tyle że to nie oznaczało, że każdy miał prawo go z tego tytułu wyzywać, bić czy robić cokolwiek innego. To nie była nasza sprawa. Już nie. Giovanna była jego żoną, a on był sam sobie szefem.

– Uspokoiliś się już? – zapytałem cicho, lustrując ją uważnym wzrokiem. Odsunąłem dłoń z jej twarzy, gdy skinęła głową.

– To nie moja wina, że mam alergię...

– Dość tego! – ryknął Vito tak głośno, że aż okna się zatrzęsły.

Payton zamarła w bezruchu, a ja przeniosłem uwagę na brata. W oczach błyszczała mu irytacja.

– Jeśli się w tej chwili nie ogarniesz, Payton, własnoręcznie wepchnę cię do samolotu i wyślę do Nowego Jorku – warknął. – Zrozumiałaś?

Przełknęła ciężko ślinę i pokiwała głową. Zadrżała. Ani trochę jej się nie dziwiłem.

– Nie możesz się tak zachowywać – skarciłem ją, kiedy znaleźliśmy się chwilę później sami w naszej sypialni.

– Po prostu wyraziłam swoje zdanie – burknęła.

Zazgrzytałem zębami.

– Do cholery, Payton, Roberto nie jest twoim kolegą, żeby się tak do niego odnosić.

– Zachował się jak ostatni fiut.

– Nie przeczę.

– Więc czemu mnie nie poparłeś? – Popatrzyła na mnie z żalem. – Czemu nie stanąłeś po mojej stronie? Tak to będzie teraz wyglądać? Nie będę mogła nic powiedzieć?

– Payton... – Westchnąłem ciężko, wznosząc oczy ku niebu.

Prychnęła i zrobiła krok w tył, jakby się chciała ode mnie odsunąć, lecz jej na to nie pozwoliłem. Przytrzymałem ją za nadgarstki.

– Jestem tylko żołnierzem, Payton. Roberto jest donem i należy mu się szacunek. Cokolwiek by nie zrobił, czegokolwiek by się nie dopuścił, nie możesz go obrażać. Myślisz, że ja nie mam ochoty mu nawrzucać? Oczywiście, że mam, mimo to nie powinienem tego robić. Vito, owszem, Vito może go opierdolić z góry na dół za jego zachowanie wobec Gi, jednak nikt więcej. Ja nie mam do tego prawa.

– Ale...

– Nie ma żadnego „ale”, Payton – przerwałem jej. – Jestem pewny, że już dość się nasłuchał od Giovanny, więc naprawdę powinnaś odpuścić. Dla dobra nas wszystkich.

Skrzywiła się, aż w końcu westchnęła i pokiwała głową.

– Po prostu... Jestem zła, bo Gi przez niego cierpiała.

– Wiem. – Uśmiechnąłem się nieznacznie. – Jednak to już nie ma znaczenia. To nie nasza sprawa. Pokiwała głową.

– Skoro to rozumiesz, pójdziesz go przeprosić.

Wytrzeszczyła oczy.

– Nie ma takiej... – Zazgrzytała zębami, wrywając ręce. – Dobra! – warknęła i ruszyła w stronę drzwi. – Roberto! – wydarła się, zbiegając po schodach, zanim zdołałem ją dogonić.

Dopałem do niej, gdy stanęła przed Robertem i mierzyła go wściekłym spojrzeniem. Vito znajdował się obok nich, przytykając pięść do ust. Doskonale wiedziałem, co robił – próbował powstrzymać śmiech. Dupek.

– Przepraszam, że na ciebie naskoczyłam i nie okazałam ci szacunku.

Roberto uniósł brwi, patrząc na nią z zaskoczeniem.

Miałem złe przeczucia. Naprawdę złe przeczucia.

– Przepraszam, że chciałam ci powiedzieć, że jeśli jeszcze raz...

– Payton! – ryknąłem.

Vito parsknął śmiechem. Jak Boga kocham, parsknął śmiechem.

– ...nie będzie mnie interesowało, czy zażyczysz sobie mojej głowy podanej na tacy, bo cię obraziłam, czy nie – kontynuowała. – Jedyne, co mnie będzie interesowało, to żebyś sobie wbił do pustej głowy, że Giovanna zasłużyła na wszystko co najlepsze, a nie na to, co jej zaserwowałeś!

Nie miałem do niej siły. Kurwa. Ja już naprawdę nie miałem do niej siły. Gdyby nie fakt, że była moją żoną i kochałem ją nad życie, chyba bym ją zabił. Doprowadzała mnie do szału.

– Zanotowane. – W głosie Roberta pobrzmiwały złość i ostrzeżenie.

Nie było dobrze.

– Świetnie – burknęła i się wyprostowała, posyłając mi triumfujące spojrzenie. Następnie pomaszzerowała w stronę kuchni, odwracając się przez ramię. – Ma ktoś ochotę na kawę?

Vito jej przytaknął i ruszył za nią, a gdy zniknęli za zakrętem, zerknąłem na Roberta. Podszedł do mnie z zaciśniętą szczęką. Czekałem tylko, jak mnie zjebie z góry na dół. Czekałem, aż mi powie, żebym się pozbył Payton z Rosji.

– Mniej więcej tak właśnie wygląda moje małżeństwo z twoją siostrą – oznajmił, uśmiechając się nieznacznie.

Odetchnąłem z ulgą.

– Wydaje mi się, że ty masz gorzej.

Prychnął, potrząsając głową.

– Sam nie wiem, ciężko stwierdzić. – Parsknął cichym śmiechem. – Twoja ci chociaż włosów na różowo nie pofarbowała.

– Ta. – Zaśmiałem się, spoglądając na Payton. Żywo dyskutowała z Vitem na temat rodzajów kaw, które mieliśmy w kuchni. – Tylko weź pod uwagę, że Giovanna chociaż mówi ci wprost, że ma w dupie to, co do niej mówisz i co jej każesz robić. Payton udaje, że słucha, a potem i tak robi po swojemu. Skaranie boskie z nią.

Roześmiał się, klepiąc mnie po ramieniu w geście pocieszenia.

– Fakt, masz rację. Współczuję nam obu. – Pokiwał głową, po czym chrząknął, zerkając na mnie z błyskiem w oku. – Ale świat bez nich byłby nijaki, prawda?

Nie mogłem się z nim nie zgodzić.

Rozdział czterdziesty

Vito

Dni mijały, a my byliśmy coraz pewniejsi naszych planów. Tak bardzo, że dzień, w którym mieliśmy rozpocząć ostatnią rozgrywkę z Moskiewską Bracią, przywitałem z szerokim uśmiechem na ustach.

Silvio dalej próbował namówić Payton do zostania w domu, ale ona szła w zaparte. Chciała walczyć razem z nami, więc Silvio w końcu skapitulował, mówiąc, że nie ma siły na kłótnie z nią. Nie pochylałem tego, mimo to nie protestowałem. To jego żona, nie moja. Dopóki go słuchała i nam nie przeszkadzała, nie zamierzałem się wtrącać.

– Chcesz się ich pozbyć na miejscu? – Spojrzałem na Silvia wpatrującego się w plany budynku, które rozłożyliśmy na stole w jadalni.

– Najchętniej właśnie tak bym zrobił – mruknął, przeczesując włosy. – Tyle że wtedy Wetrow się dowie, że coś jest nie tak, przez co możemy być zagrożeni. Potrzebujemy zabezpieczenia.

– Czyli jednak porwanie? – upewnił się Roberto, zerkając to na mnie, to na Silvia.

– Tak będzie chyba najrozsądniej – odparłem, kiwając głową. – Czyli wchodzimy i...

– Nie – przerwał mi Silvio. – Musimy to zrobić inaczej. Nie możemy porwać ich z domu. Kręci się tam za dużo jego ludzi.

– To co proponujesz?

– Coś, na co niechętnie się zgodzę, ale na ten moment to mój jedyny pomysł – mruknął, spoglądając na Payton.

Stała w salonie i rozmawiała przez telefon z Karą, swoją siostrą.

– Payton? – Roberto zmarszczył brwi, wpatrując się w Silvia z niedowierzaniem.

Sam też byłem zaskoczony.

– Payton – przytaknął, krzywiąc się. – Wiem, że to jest szalony plan.

– Nawet go jeszcze nie przedstawiłeś, a już mi się nie podoba.

– Czego ci jeszcze nie przedstawił? – zapytała Payton, pojawiając się nagle w kuchni. Popatrzyła na mnie z zaciekawieniem, siadając na kolanach Silvia.

– Planu porwania Sajanowów – odpowiedziałem, przyglądając jej się uważnie.

Chciałem wiedzieć, jak zareaguje na te rewelacje. Mocno się zdziwiłem, gdy na jej ustach pojawił się uśmiech. Zeskoczyła z kolan i wyszła z salonu, a po chwili dotarł do mnie odgłos stawianych na schodach kroków. Zmarszczyłem brwi i przeniosłem spojrzenie na Silvia.

Pocierał dłońmi twarz.

– Tak właściwie to jej pomysł, a nie mój.

– Jaki pomysł?

– Nie spodoba wam się – mruknął, zanim zaczął opowiadać.

Im więcej mówił, tym bardziej zaciskałem dłonie w pięści. W moim ciele zaczęła się rozwijać burza wściekłości. Tylko Payton mogła wpaść na tak szalony, niebezpieczny pomysł. Ta kobieta miała cholerne życzenie śmierci, zupełnie jak czasem Silvio. To się, kurwa, dobrali.

– Nie ma takiej pierdolonej opcji – zaprotestowałem warknięciem.

– Popieram Vita – odezwał się Roberto ze złością. – Nie możemy tego zrobić.

Silvio westchnął ciężko i potarł palcami policzek.

– Słuchajcie... – Położył dłonie na stole i popatrzył na nas z błyskiem determinacji w oczach. – Nie podoba mi się to, owszem, ale mimo że jest to szalony plan, to na ten moment nie mamy lepszego. Sajanowie nie wychodzą z domu, nie mamy jak ich porwać. Jedyna opcja to zrobienie z kogoś przynęty i doskonale wiecie, że najlepszą przynętą będzie kobieta.

– Nie podoba mi się to. – Roberto pokręcił głową, krzywiąc się znacznie.

– Mnie też. Ani, kurwa, trochę.

– Cholera, Vito. – Silvio uderzył pięścią w stół, a głuchoe echo odgłosu uderzenia odbiło się od ścian. – Długo o tym rozmawiałem z Payton. Analizowaliśmy wszystkie za i przeciw, wszelkie możliwe problemy. Chociaż na samą myśl o tym, że będzie przynętą, ściska mnie w sercu, to nie widzę innego wyjścia, a nie możemy siedzieć tu nie wiadomo ile. Nie mamy na to cholernego czasu. Wetrow w każdej chwili może się o nas dowiedzieć. Wtedy nie zdążymy się nawet odwrócić.

Czy ja już wspominałem, że ten pomysł mi się nie podobał? To był taniec na krawędzi... Nie, to było kurewskie przekroczenie granicy naszych zasad. Na miejscu Silvia prędeż wytlukłbym z głowy Payton taki pomysł, tymczasem on... Od zawsze wiedziałem, że miał inne spojrzenie na pewne kwestie. Był większym ryzykantem. Kochał Payton, nie wątpię w to, lecz równie mocno kochał Sprawę.

I właśnie Sprawa przyczyniła się do tego, że się zgodziłem.

Rozdział czterdziesty pierwszy

Payton

Plan nie był trudny. Najgorsze w sumie miałam za sobą – przekonanie facetów, że to było nasze jedyne wyjście na ten moment.

– Pamiętaj, że będziemy niedaleko, kochanie – przypomniał mi Silvio napiętym głosem, zatrzymując się niedaleko posesji rodziców Iwanki. Był przejęty. Ja też byłam, ale z całej siły starałam się tego nie pokazywać.

Uścisnął moją dłoń i pocałował mnie czule w usta, a ja natychmiast oddałam pocałunek. Gdzieś w głębi siebie czułam narastający strach, jednak go zduśiłam. Musiałam wziąć się w garść. Musiałam stanąć na wysokości zadania.

– Idę – oznajmiłam stanowczo, gdy się od siebie oderwaliśmy. Wyszłam szybko z samochodu, zanim zdążyłabym się rozmyślić.

Westchnęłam kilka razy i rozejrzałam się po okolicy. W końcu ruszyłam pewnym krokiem w stronę domu Sajanowów. Tuż przed bramą zatrzymał mnie wysoki, napakowany mężczyzna. Nie wycelował do mnie z broni, choć chyba tylko dlatego, że byliśmy na chodniku. Powiedział coś do mnie po rosyjsku, ale go nie zrozumiałam.

– Chcę rozmawiać z Naszką Sajanową – odezwałam się po angielsku, unosząc wysoko podbródek.

Zmarszczył brwi, posyłając towarzyszowi zdziwione spojrzenie. Sekundę później ów mężczyzna celował do mnie z pistoletu. Nie wzdrygnęłam się, jedynie uniosłam kącik ust. Rozpoznali mnie albo co najmniej domyślali się, kim mogłam być.

– Przekażcie swoim szefom, że mam dla nich kilka informacji odnośnie do planów Bellomo.

Clifton był do samego końca przekonany, że stałam po jego stronie. Nie był w stanie przekazać informacji Sajanowom, że wcale tak nie było. Zamierzałam to wykorzystać.

Na reakcję ochroniarzy nie musiałam długo czekać. Ten, który stał bliżej, skinął głową i otworzył bramę, a ten drugi dalej do mnie celował. Z całych sił starałam się nie zerknąć przez ramię na samochód, w którym siedział Silvio, kiedy przekraczałam granicę posiadłości.

– Bez żadnych gwałtownych ruchów – rozkazał jeden z mężczyzn z wyraźnym rosyjskim akcentem.

– Nie mam przy sobie broni.

Nie skłamałam. Naprawdę nic przy sobie nie miałam, nie licząc bransoletki z nadajnikiem i przyciskiem alarmowym. To było moje zabezpieczenie na wypadek, gdyby coś poszło nie tak. Miałam jednak nadzieję, że uda mi się wejść do środka, porozmawiać z Sajanowami i uspić ich czujność do tego stopnia, że pojedą ze mną do domu, z którego kilka godzin wcześniej się wynieśliśmy.

Ochroniarz przeprowadził mnie przez drzwi wejściowe. Jak tylko zatrzasnęły się za nami, zza zakrętu wyłoniła się Naszka Sajanowa i jej mąż, Petrow. Uśmiechnęła się kpiąco, a mnie przebiegł po kręgosłupie nieprzyjemny dreszcz. Na zewnątrz nie dałam tego po sobie poznać.

– Payton Keen – odezwała się chłodnym tonem, przechylając nieznacznie głowę. – Podobno masz dla nas jakieś informacje.

Skinęłam jej.

– Współpracowałam z Cliftonem. – Starałam się, żeby głos mi nie zdradzał i chyba mi się to udało.

– Niestety Bellomo byli o krok przed nami. Nie zamierzałam się jednak poddawać. Udało mi się owinąć Silvia wokół palca. – Uśmiechnęłam się triumfalnie. – Wiem, gdzie są.

Petrow zmrużył oczy, za to Naszka nawet się nie poruszyła. Po prostu na mnie patrzyła. Nie wiedziałam, co sobie myślała, lecz im dłużej milczała, tym bardziej mi się to nie podobało.

Nim zdołałam jakkolwiek zareagować, Petrow skinął głową, a ochroniarz stojący za mną pchnął mnie na chłodną posadzkę. Cholernie nieprzyjemny ból rozlał się od kolan po reszcie mojego ciała.

Naszka szarpnęła mnie mocno za włosy. Uniosłam głowę, wlepiając w nią zaskoczone spojrzenie.

– Współpracowałeś z Cliftonem, co? – zapytała, unosząc brew.

Przełknęłam ślinę i przytaknęłam. Nie byłam w stanie wydusić ani jednego słowa.

– Cóż, jaka szkoda, że on był tylko pionkiem w naszej grze. – Puściła mnie tak niespodziewanie, że runęłam na podłogę.

Jęknęłam, gdy uderzyłam łokciami o marmurowe kafle. Zanim zdołałam odetchnąć z ulgą, że nie bolała mnie już głowa, poczułam kolejne szarpnięcie. Tym razem to Petrow zacisnął palce na moich włosach. Jak się okazało, nie zamierzał po prostu mnie trzymać, zamiast tego pociągnął w głąb budynku.

– W sumie Bellomo zrobili nam przysługę, pozbywając się Cliftona. – Petrow się zaśmiał. – A teraz ty też zrobisz nam przysługę. Jestem pewien, że lada moment przybędą ci z odsieczą. Będziemy gotowi na przyjęcie ich.

Cholera. To nie tak miało wyglądać.

Drżącymi palcami próbowałam zlokalizować drobne urządzenie na bransoletce. Nie miałam za wiele czasu. Niestety było mi trudno go dosięgnąć, kiedy Petrow ciągnął mnie po podłodze za włosy. Po policzkach mimowolnie płynęły mi łzy, a skóra głowy wręcz parzyła z bólu. Wydawało mi się, że zdołałam nacisnąć przycisk, ale nie byłam pewna. Niespodziewane i cholernie mocne uderzenie w skroń spowodowało, że zobaczyłam przed oczami czarne plamki. Chyba straciłam przytomność.

Rozdział czterdziesty drugi

Silvio

Kiedy chciałem wyskoczyć z auta i zabrać Payton, bo doszedłem do wniosku, że ten plan był idiotyczny, ona już wchodziła na teren posiadłości Sajanowów. Było za późno.

– Kurwa! – ryknąłem, waląc pięścią w kierownicę.

Głos Vita rozniósł się echem po wnętrzu samochodu:

– Uspokój się. Ma bransoletkę. Użyj jej, jeśli poczuje się zagrożona. Daj jej czas na zrobienie tego, co do niej należy.

Chciałem zaprotestować, ale zanim zdążyłem to zrobić, Vito znowu się odezwał:

– Silvio, sam byłeś za tym planem.

– No i, kurwa, zmieniłem zdanie! Wchodzimy!

– Silvio, do kurwy nędzy, uspokój się i daj jej działać.

Byłam na siebie tak wściekły... Miałem ochotę własnoręcznie się udusić. Że też wcześniej tak bardzo skupiałem się na wygraniu wojny, że zgodziłem się na ten kretyński plan. Kurwa!

– Pomyśl sobie, że to nie Payton, a Vi, a ty nie wiesz, co się z nią dzieje.

Wytoczyłem najcięższe działo, jednocześnie przygotowując berettę. Sprawdziłem magazynek i chwyciłem klamkę, żeby wyskoczyć z auta.

– Dobra! – Vito skapitulował. Dałbym sobie rękę uciąć, że zaciskał zęby i pięści. – Wchodzimy! Petrow i Naszka mają wyjść stamtąd żywi, jednak priorytetem jest Payton. Jeśli będzie zagrożona, zabijcie ich, kurwa, wszystkich.

Uśmiechnąłem się z ulgą, zgasilem silnik i wyskoczyłem na chodnik. Przystanąłem przy jednym z drzew, ściskając mocno pistolet. Z oddali dotarł do mnie cichy warkot silników. Zbliżali się nasi żołnierze. Po chwili pojawili się obok mnie Vito i Roberto. Ten drugi, oprócz beretty, trzymał w dłoni nóż. Pomachał mi nim przed twarzą, uśmiechając się tym swoim psychopatycznym uśmiechem mordercy.

– Masz rację – pokręciłem głową – nóż na Rosjan to świetny pomysł.

Uniósł brew.

– Żebyś się, kurwa, nie zdziwił.

Nie minęło nawet pięć minut, a pobocze roiło się od poukrywanych przed ciekawskimi spojrzeniami samochodów. Przy bramie nie było nikogo – ochroniarze jeszcze nie wrócili z domu. I dobrze.

Ruszyliśmy w stronę płotu. Telefon mi zawibrował, gdy przeskoczyliśmy na teren posesji.

– Kurwa – sapnąłem, wyciągając urządzenie z kieszeni. Czerwony ekran spowodował, że oblał mnie zimny pot, a strach przepełniła po moim kręgosłupie jak oślizgły robak. – Payton dała sygnał. Musimy ją stamtąd jak najszybciej wyciągnąć.

W biegu wkręciliśmy w lufy tłumiki. Nie potrzebowaliśmy słów, żeby się porozumieć. Każdy z nas wiedział, co miał robić. Ja zamierzałem uratować żonę, przy okazji zabijając każdego, kto zrobił jej krzywdę. A potem planowałem ją wysłać do Nowego Jorku. Moskwa nie była miejscem dla niej. Ja mogłem zginąć, ale ona miała pozostać nietknięta.

Zdążyliśmy przebrnąć przez większą część posesji, zanim zostaliśmy zauważeni. Kutas, który wycelował do nas z kałasznikowa, nie zdążył jednak nawet pociągnąć za spust, bo trafiłem go prosto w klatkę piersiową. Vito oddał strzał jako drugi, a truchło moskiewskiego fiuta upadło na trawnik z głuchym plaśnięciem.

Moje serce przyspieszyło bicia, coraz szybciej rozprowadzając adrenalinę po organizmie. Jedyne, co miałem w głowie, to twarz Payton. Targał mną niemal obezwładniający strach o jej życie, mimo to cały czas spychałem go na bok. To nie był czas na to, żebym się aż tak przejmował. Musiałem zachować trzeźwość umysłu i zrobić wszystko, żeby ją uratować.

– Okno – rzucił Roberto, spoglądając w stronę jednego z okien na parterze niedaleko nas. – Jest za nim ciemno. Możemy tamtędy wejść.

– Usłyszą nas – powiedziałem, krzywiąc się przy tym.

– Skupią się na hałasie z przodu.

– Co? – zapytałem, jednak zanim zdążyłem odwrócić się w jego stronę, coś huknęło, a pod nogami poczułem, jak zatrzęsa się ziemia.

Pierdolone wojskowe granaty.

– Tym hałasie – mruknął Roberto, podbiegając do szyby, a ja ruszyłem zaraz za nim.

Do moich uszu dotarł odgłos wystrzałów, a potem kolejny huk; w tym samym czasie Roberto wybił uchwytem szybę. Lufą stracił pozostałości szkła, a następnie wspiął się do góry, przytrzymując się dłońmi o parapet i podpierając stopami o ścianę budynku. Jak tylko wskoczył do środka, zrobiłem dokładnie to samo. Po chwili staliśmy już w jakimś małym pokoju, w którym praktycznie nic się nie znajdowało. Nie mieliśmy niestety czasu na rozglądanie się, ponieważ musieliśmy dostać się do Payton, a żeby to zrobić, najpierw musieliśmy się dowiedzieć, gdzie była.

Roberto podszedł do drzwi, chwycił klamkę w dłoń i powoli je uchylił, starając się, żeby zawiasy nie wydały z siebie żadnego odgłosu. Było to zupełnie niepotrzebne, bo w budynku i tak było głośno. Huki granatów i wystrzały z karabinów idealnie zagłuszały naszą obecność.

– Dino wszedł już od drugiej strony z ekipą – poinformował nas Vito, a ekran telefonu rozświetlił na chwilę jego twarz. – Jak droga? – zapytał, chowając urządzenie do kieszeni i spoglądając na Roberta.

– Pusto – odpowiedział, po czym mocniej uchylił drzwi i szybko zza nich wyjrzał. Zaraz po tym schował się w środku, a w naszą stronę poleciała seria wystrzałów. – Kurwa! – ryknął, zamykając z trzaskiem drzwi.

Odsunęliśmy się, chowając po kątach pomieszczenia. W środku nie było niczego, co mogłoby robić za osłonę. Musieliśmy więc liczyć na łut szczęścia. Nienawidziłem takich momentów; nie byłem w stanie nic zrobić, żeby zwiększyć nasze szanse. Nie miałem zamiaru umierać, zanim nie upewniłbym się, że Payton była cała i zdrowa.

Powietrze przecięła kolejna seria, którą ktoś wystrzelił w stronę drzwi. Poczułem draśnięcie na ramieniu, ale na szczęście tylko tym było – drobnym draśnięciem. Syknąłem cicho, przykładając dłoń do rany. Chwilę później ją odsunąłem i popatrzyłem na lekko zabarwione krwią palce. Bolało, jednak nie było to nic, czym powinienem się przejmować.

Na korytarzu nagle zrobiło się cicho. Zerknąłem na Vita. Gestykulował do mnie coś, co zrozumiałem jako: „Ryzykujemy?”. Wzruszyłem ramionami, patrząc w stronę Roberta. To on stał najbliżej drzwi i wyraźnie nasłuchiwał. Potem uniósł beretkę, uśmiechając się do siebie. Wycelował w drzwi i nacisnął spust. Kiedy kula przebiła sfatygowane drewno, usłyszeliśmy, jak coś upadło z głośnym łupnięciem na ziemię. Powietrze ponownie przecięła seria wystrzałów.

Upadłem na ziemię, wyciągając przed siebie broń. Przez rozwalone drzwi ujrzałem leżącego człowieka Moskiewskiej Braci. Trzymał palec na spuście. Przy upadku musiał zacisnąć mięśnie, stąd ta seria.

– Czysto – rzucił Roberto, otwierając drzwi, a raczej to, co z nich pozostało. Wyjrzał na korytarz i w tym samym momencie dotarł do nas pełen bólu krzyk Payton.

– Zapiardolę ich – warknąłem, zrywając się na równe nogi. Minąłem w drzwiach Roberta i pobiegłem przed siebie, nawet się nie rozglądając, co było istic kreteńskim działaniem z mojej strony.

Nagle poczułem owijające się wokół mojej szyi ramię. Ktoś wyrwał mi broń i popchnął na ścianę. Zacząłem się szamotać, próbując się uwolnić. Na nic się to zdało, bo już po krótkiej chwili trzymało mnie czterech mężczyzn, a piąty z nich celował do mnie z mojej broni, uśmiechając się z triumfem. Moje serce zgubiło rytm, a jedyne, o czym byłem w stanie myśleć, to Payton.

Zanim się jednak pomodliłem, błagając o ratunek dla niej, kutas, który do mnie celował, dostał kulkę w łeb. Ci, którzy mnie trzymali, byli chyba w szoku, co zadziało na moją korzyść, ponieważ zdążyłem się uwolnić z ich uścisku, uderzając ich łokciami po brzuchach. Zanim zdążyli sięgnąć po broń – leżeli już na ziemi we własnej krwi, a obok mnie pojawił się Vito z Robertem.

Zabrałem broń i bez słowa ruszyłem w stronę miejsca, z którego wcześniej dotarł do mnie wrzask

Payton. Przerażała mnie cisza z jej strony. Nie słyszałem jej głosu, żadnego krzyku ani płaczu. Jedyne, co do mnie docierało, to rosyjskie i włoskie przekleństwa oraz huki wystrzałów.

W końcu dotarliśmy do końca korytarza. Zatrzymaliśmy się przy ścianie zaraz obok pierwszych drzwi i zaczęliśmy nasłuchiwać. Nie dochodziły do mnie żadne dźwięki, więc chwyciłem klamkę w dłoń. Spojrzałem na Vita i Roberta. Chyba czytali mi w myślach, bo już mieli przed siebie wyciągnięte bronie i celowali w stronę pomieszczenia. Nacisnąłem klamkę, a zaraz po tym nastąpiła cisza.

W środku było pusto.

– Kurwa mać – warknąłem do siebie. Odwróciłem się na pięcie i podszedłem do kolejnych drzwi.

– Nie, proszę, nie – usłyszałem pełen przerażenia głos Payton, na co się spiąłem i chwyciłem klamkę.

Nie byłem na tyle głupi, żeby samemu wejść do środka. Poczekałem na Vita i Roberta, a jak tylko pojawili się obok, skinąłem do nich głową i wskazałem podłogę.

Zrozumieli.

Vito usiadł bokiem do drzwi, a gdy szarpnąłem za klamkę, rzucił się plecami na posadzkę i oddał kilka strzałów. Do moich uszu dotarł spanikowany okrzyk Payton i jęk czyjegoś bólu, a potem kilka strzałów. Payton krzyczała głośno, co zaś spowodowało, że – nie zważając na nic – wychyliłem się zza drzwi.

Oczy zaszyły mi mgłą, kiedy ją ujrzałem, a serce pominęło kilka bić.

Krew ciekła po jej nagich udach, na co przełknąłem ciężko ślinę. Petrow przyciskał broń do jej skroni. To właśnie w niego celowałem. Vito natomiast wycelował w stojącą w kącie Naszkę, a ona w niego.

Kurwa.

Dobrze, że prawdopodobnie nie wiedzieli, że był z nami Roberto. To dawało nam większe szanse na uratowanie Payton i nas samych.

Z całych sił powstrzymałem się przed oddaniem strzału. Z całych pierdolonych sił. Miałem ochotę ich zapierdolić. Oczami wyobraźni widziałem ich błagające o szybką śmierć spojrzenia. Na samą myśl o tym, że skrzywdzili Payton, wybuchła we mnie jeszcze większa wściekłość.

– No, no. – Petrow zacmokał, uśmiechając się perfidnie. – Kto by się spodziewał... Wejdźcie, zapraszamy.

– Pierdol się – warknąłem, dalej celując w jego parszywą mordę.

– Och, już jestem po. – Zaśmiał się, obejmując Payton za nagą pierś.

Wzdrygnęła się i zacisnęła mocno usta, jakby nie chciała już krzyczeć. Potrząsnęła lekko głową, na co Petrow mocniej przycisnął broń do jej skroni.

– Wcale ci się nie dziwię, że wzięłeś ją za żonę. Jest całkiem ciasna.

Czyli odrobili pracę domową.

– Zapierdoleć cię – syknąłem, wchodząc do pokoju. Uważałem przy tym, żeby nie potknąć się o leżącego na ziemi Vita.

Zanim wszedłem do środka, mruknąłem po włosku do Roberta jedno słowo – „okno”. Liczyłem na to, że zrozumiał. Nie miałem jednak czasu na to, żeby na niego zerknąć. Musiałem zaufać, że się domyślił, o co mi chodziło.

– Nie odważysz się. – Petrow się uśmiechnął. Zjechał dłonią z piersi Payton na jej brzuch. Szarpnęła się, ale on tylko mocniej przycisnął ją do siebie.

Powoli zaczynała nosić mnie furia, mimo to dzielnie na to patrzyłem; nie mogłem ryzykować oddania strzału, bo wtedy Petrow mógłby nacisnąć spust i... straciłbym Payton na zawsze.

– Muszę wam podziękować – odezwał się Petrow, zaciskając mocniej palce na ciele mojej żony. Załkała bezgłośnie, spoglądając na mnie przestraszonym wzrokiem.

Patrzyłem na nią, starając się jej niemo przekazać, że zamierzałem ją uratować. Naprawdę, kurewsko mocno starałem się jej pokazać, że byliśmy w stanie przeżyć.

– Wyręczyliście mnie, pozbywając się Cliftona.

Nie dałem po sobie poznać, że zaskoczyły mnie jego słowa.

– Jesteś naiwny, Petrow – stwierdziłem, kątem oka rejestrując ruch za oknem. – I ta naiwność doprowadzi cię do grobu.

– Chyba zapomniałeś, że przykładałam odbezpieczoną broń do skroni twojej zdradzieckiej żonki.

Mimo że widziałem przed sobą rozgrywający się dramat, kątem oka rejestrowałem to, co robił Roberto za oknem. Zdążył się już ustawić z karabinem snajperskim. Musieliśmy się zsynchronizować i miałem ogromną nadzieję, że Vito także zdążył wszystko zauważyć i domyślić się planu. Wierzyłem w to, że usłyszał, jak wspomniałem Robertowi o oknie. Po prostu, kurwa, musiał to usłyszeć.

– To co? – rzucił Petrow. – Co teraz zrobisz? – Uśmiechnął się. – Powiem ci, co zrobisz. Nic! Pozwolisz nam stąd wyjść, a potem odbierzesz tę szmatę spod pobliskiej stacji benzynowej. Po drodze może jeszcze raz się do niej dobiorę. Zobaczę...

Zazgrzytałem zębami, dalej zerkając na Roberta; akurat ustawiał lunetę.

– A potem wyjedziecie z Rosji i nigdy więcej tu już nie wróciecie, Bellomo. Chyba że chcecie skończyć tak samo jak Salvatore i Zoja. Martwi. – Przesunął lufą po policzku Payton, na co się wzdrygnęła. – Nie wygracie z nami. Nie macie na to szans. Jesteśmy potężniejsi niż...

– Padnij! – ryknąłem z całych sił, tym samym przerywając pierdolony monolog Petrowa. Zrobiłem to, jak tylko zobaczyłem uniesiony kciuk Roberta.

Rzuciłem się w stronę Payton, gdy próbowała wyrwać się z objęć fiuta, szarpiąc ciałem w przód. W ułamku sekundy w pomieszczeniu rozbrzmiały trzy strzały, ale nie obchodziło mnie nic oprócz tego, że przyciskałem swoje ciało do nagiej, trzęsącej się jak osika Payton. Gdzieś obok mnie coś upadło, a potem znowu usłyszałem strzał i jęk bólu. Miałem to gdzieś. Jeśli miałem zginać, to trzymając w objęciach żonę. Miłość mojego życia. Nie obchodził mnie ból w nodze ani to, że właśnie ktoś mógł celować do mnie z broni. Miałem to w głębokim poważaniu, bo – kiedy spojrzałem w oczy Payton – nie zobaczyłem w nich ani strachu, ani przerażenia, a czystą miłość i wdzięczność.

Niewiele myśląc, przycisnąłem usta do jej i pocałowałem ją mocno, próbując zapomnieć o tym, że prawdopodobnie została zgwałcona. Obiecałem sobie, że jeśli przeżyjemy, to zrobię wszystko, żeby zapomniała o tragedii, która ją spotkała.

Rozdział czterdziesty trzeci

Roberto

Ustawiłem lunetę tak, żeby mieć pewność, że trafię Petrowa w łeb. Szlag mnie trafiał za każdym razem, gdy patrzyłem na krew na jej udach. Kurwa, nawet nie potrafiłem sobie wyobrazić tego, co czuł Silvio, celując w kutasa przykładającego lufę do skroni Payton. Jeśli Petrow ją zgwałcił – na co wskazywał stan jej ciała – przeczuwałem, że Silvio wpadnie w szal.

Uniosłem w końcu kciuk do góry, żeby pokazać mu, że może działać. Musiał tylko zwrócić na siebie uwagę tak, żebym miał pole do oddania czystego strzału.

Później wszystko rozegrało się w zastraszająco szybkim tempie. Silvio coś krzyknął, Payton szarpnęła się do przodu, a Petrow się zachwiał. Bez cienia zawahania nacisnąłem spust. Kula przebiła szybko i wbiła się idealnie w tył głowy Petrowa. W tym samym czasie strzał oddała Naszka. Była schowana w rogu pokoju i nie miałem szans do niej dotrzeć. Jak tylko Vito do niej strzelił, do moich uszu dotarł jęk bólu.

Rozejrzałem się po pokoju, żeby szybko zorientować się w sytuacji.

Silvio przygniatał ciałem Payton, a z uda wypływała mu krew. W żyłach zawrzała mi wściekłość. Przewiesiłem karabin przez ramię i ruszyłem w stronę wnętrza budynku. Dostałem się do niego przez okno niedaleko. Wybiłem je kolbą karabinu, strąciłem resztki szkła i wskoczyłem do środka. Huki wystrzałów już nieco ucichły, a niedaleko siebie słyszałem głośne polecenia wydawane przez Dina. Wiedziałem już, że byliśmy na wygranej pozycji.

Wpadłem z pomieszczenia, w którym się znalazłem, i pobiegłem w stronę pokoju, w którym była przetrzymywana Payton.

– To ja, nie strzelać! – krzyknąłem, przekraczając próg. Przystanąłem, widząc, że Silvio siedzi na mokrej posadzce, trzymając w ramionach Payton.

Zarzucił na jej ciało skórzaną kurtkę, a ona wtulała twarz w jego szyję. Drżała. Trzęsła się jak osika, na co przekląłem siarczyście w myślach. Bałem się o jej stan psychiczny po tym wszystkim.

Vito zaś dociskał do podłogi Naszkę. Próbowwała wyrwać się z jego uścisku, jednak na nic się to zdało. Była zbyt słaba, a spod jej ciała wypływała krew. Dostała. Vito ją trafił, na co się do siebie uśmiechnąłem. Tyle dobrze, że udało mu się ją unieruchomić.

– Wychodzimy – powiedziałem, gdy Vito szarpnął do góry Naszkę.

Głośno jęknęła z bólu.

– Zamknij mordę – warknąłem w jej stronę, podchodząc do Silvia.

W jego wzroku czał się mrok. Widziałem to bardzo wyraźnie. Pomogłem mu wstać, bo nie chciał wypuścić Payton z objęć, a jego udo krwawiło i zapewne nie był w stanie na nim ustać, sądząc po jego chwiejnych i niepewnych ruchach.

Przez to lodowate spojrzenie wcale mnie nie zdziwiło to, co zrobił później. Zanim którykolwiek z nas zdążył zareagować, wyciągnął przed siebie broń. Przystawił lufę do głowy Naszki i bez wahania nacisnął spust. Po pomieszczeniu rozniósł się głuchy odgłos wystrzału, a jej ciało osunęło się na ziemię.

Nastała cisza jak w grobowcu.

– Chodź, kochanie – szepnął Silvio, mocniej przyciągając do siebie Payton.

– Silvio – wydukała, a w jej głosie rozbrzmiał strach. – Uratowałeś mnie.

Wcale jej nie uratowaliśmy. Nie zdążyliśmy. Została zraniona i wykorzystana, a my się spóźniliśmy.

Kurwa!

– Chodźmy – mruknąłem, ciągnąc za ramię Silvia. Zaczął powoli powłóczyć nogami, bardziej opierając się na tej niepostrzelonej.

– Silvio, wezmę Payton na ręce, bo nie uniesie... – zaczął Vito, ale ten posłał mu wściekle

spojrzenie, więc zamilknął.

– Nie – warknął, mocniej przyciągając do siebie Payton.

Posłała w moim kierunku spanikowane spojrzenie.

– Przecież jej nie skrzywdzę. Kocham ją jak siostrę. Uspokój się – powiedział spokojnym tonem Vito, chwytając za ramię Silvia.

Nawet na niego nie spojrział. Wpatrywał się w swoją żonę.

– Nic mi nie jest – wychrypiała, uśmiechając się krzywo. – Naprawdę – dodała, po czym musnęła ustami jego wargi. Westchnął cicho, przymykając oczy; na jego twarzy pojawiła się ulga.

Zapewne bał się, że Payton mogłaby nie chcieć go dotykać. Nikt też nie odważył się kłócić z Payton, kiedy powiedziała, że wszystko z nią w porządku. To nie było miejsce na rozmowy o tym, co się wydarzyło.

W końcu udało nam się przekonać Silvia, żeby przekazał żonę w ramiona Vita, po czym wyszliśmy z budynku. Na podjeździe stał już nasz pojazd, a gdzie nie spojrziałem, leżały truchła skurwysynów z Moskiewskiej Braci. Uśmiechnąłem się do siebie na ten widok. Może nie wszystko poszło tak jak miało, jednak przynajmniej udało nam się ich zranić.

Wsiedliśmy do samochodu, to znaczy... pomogłem Silviowi wsiąść do środka, a on od razu wyciągnął dłoń w stronę Payton, więc Vito posadził ją na jego kolanach. Silvio przyciągnął ją do siebie, schował nos w jej szyi i popatrzył na mnie błagalnym wzrokiem. Domyśliłem się, że chciał zostać z nią sam na sam. Zamknąłem więc za nim drzwi i odsunęliśmy się od pojazdu. Po chwili odjechali. Zaciśnąłem dłoń w pięści i zerknąłem na Vita. Miał zmarszczone brwi, szczeka mu drgała.

– Nie będę w stanie powstrzymać Silvia przed rzuceniem się na Siergieja przy pierwszej możliwej konfrontacji – wymamrotał. – Kurwa! Sam się nie powstrzymam! – ryknął na cały głos, kopiąc ciało jakiegoś rosyjskiego fiuta. – Skurwysyny!

– Ja też się nie powstrzymam, Vito. Siergiej zgnije w męczarniach. Zobaczysz.

– Mam taką, kurwa, nadzieję – warknął, chowając zaciśnięte pięści do kieszeni spodni. Następnie skinął w stronę jednego z samochodów, a ten zaraz do nas podjechał. – Musimy przyspieszyć plan.

– Myślisz o zrobieniu akcji na wyścigu? – zapytałem, wsiadając do auta.

– Tak – przytaknął, siadając obok mnie. Zabębnił palcami o udo. – Nie ma sensu się dłużej ukrywać. Po dzisiejszej nieudanej akcji Siergiej już wie, że jesteśmy w Rosji i wcale nie zginęliśmy w katastrofie samolotu. Musimy mieć się na baczności.

Szkoda tylko, że zanim dotarło do nas, że byliśmy zagrożeni bardziej, niż myśleliśmy, było już za późno na jakiegokolwiek działania. Nie dotarliśmy nawet do naszego domu. Kilka kilometrów przed osiedlem, na którym mieszkaliśmy, obok nas pojawiły się dwa samochody dostawcze. Wskoczyło z nich kilku ludzi. Zanim zdążyliśmy mrugnąć pierdoloną powieką, mieliśmy przystawione bronie do głów.

2:1 dla Rosji.

Jedynym plusem tego wszystkiego był fakt, że nie zastrzelili nas od razu, więc cokolwiek od nas chcieli, potrzebowali nas żywych.

Rozdział czterdziesty czwarty

Payton

Silvio gładził mnie delikatnie po plecach, a ja się w niego wtuliłam. Mamrotał do mnie nieskładne zdania. Coś o tym, że to jego wina i że powinien był mnie wysłać do Nowego Jorku, gdy miał okazję, zamiast pozwolić mi zostać w Moskwie. Nie miałam ochoty tego słuchać. To był mój pomysł, moja propozycja. Jeśli chciał kogoś obwiniać, powinien obwiniać mnie, a nie siebie.

– Boli cię coś? – zapytał nagle, wpatrując się we mnie niepewnym wzrokiem; dostrzegałam w nim strach i zmartwienie.

– Nie – odpowiedziałam, gładząc go po policzku.

Zmarszczył brwi, przyglądając mi się uważnie, po czym jego spojrzenie zjechało na moje zakrwawione uda. Dopiero wtedy przypomniałam sobie, co mówił Petrow, kiedy trzymał broń przy mojej skroni. Wytrzeszczyłam oczy, bo nagle do mnie dotarło, że Silvio myślał, że zostałam...

– Nic mi nie zrobił – wymamrotałam, obejmując jego twarz dłońmi. – To tylko tak wyglądało.

– Ale... Krew... Mówił, że... – dukał, wpatrując się we mnie coraz to większymi oczami.

– Kłamał. Boże, on kłamał, Silvio – szepnęłam i musnęłam jego usta swoimi. – Kłamał jak z nut.

Chciał cię wyprowadzić z równowagi.

– Na pewno nie zrobił ci...

– Na pewno – przerwałam mu, obejmując go za kark. – Przysięgam, że mnie nie zgwałcił.

Zadrżałam, przypominając sobie, jak mało brakowało, żeby Petrow to zrobił, jednak na szczęście rozpętała się wtedy wojna i sukinsyn skupił się na chronieniu własnego tyłka. Silvio odetchnął z ulgą i mocniej mnie do siebie przyciągnął.

– Skąd wiedzieliście, że mam kłopoty? – zapytałam, wodząc nosem po jego szyi; ciekawiło mnie to, ponieważ nie pamiętałam, żeby mi się udało nacisnąć przycisk alarmowy.

– Jak tylko zniknęłaś mi z oczu, oznajmiłem Vitowi, że wycofujemy się z akcji. Niestety było na to za późno, już szłaś w stronę domu. Zdecydowałem, że musimy cię stamtąd jak najszybciej wyciągnąć. Zwołaliśmy chłopaków, a jak dotarliśmy na posesję, dostałem powiadomienie o alarmie, więc skupiliśmy się na uratowaniu ciebie – wytłumaczył, wpatrując się we mnie ze skruczą. – Tak kurewsko cię przepraszam, że musiałaś przez to przejść. Nie powinienem był w ogóle pozwalać na ten plan.

– Przestań – mruknęłam, mocniej ściskając jego twarz. – To był mój pomysł, nie twój. Nie obwiniaj się. Jestem cała i zdrowa.

Spoglądał na mnie niepewnie, gładząc dłonią moje udo, po czym westchnął i zniżył wzrok, zatrzymując go tuż pod moim brzuchem. Spiał się, a następnie z powrotem wlepił we mnie uważne spojrzenie.

– Payton, wiem, że powiedziałaś, że cię nie zgwałcił, ale masz krew na udach i...

– Krew jest jego, nie moja. Poleciała mu farba z nosa, gdy go uderzyłam. Próbował mnie dotknąć chwilę przed tym, jak wpadliście do środka – wyjaśniłam. Zanim zdążył coś dodać, znowu go pocałowałam. – Nie zgwałcił mnie, przysięgam.

– To dobrze – szepnął wprost w moje wargi. – Nie wybaczyłbym sobie, gdyby zrobił ci krzywdę.

– Nic mi nie jest. Naprawdę – zapewniłam, pocierając nosem o jego. – Po prostu zapomnijmy o tym i skupmy się na Siergieju.

Silvio pokiwał głową i mocniej mnie do siebie przyciągnął. Nawet nie wiedziałam, kiedy zasnęłam, ale w jego objęciach czułam się spokojna i bezpieczna, więc mnie to nie zdziwiło.

Obudziłam się na łóżku, a gdy dotarło do mnie, że przecież byłam ubabrana krwią Petrowa, zerwałam się na równe nogi. Z ulgą stwierdziłam, że byłam czysta. Silvio o mnie zadbał.

– Kochany – szepnęłam, uśmiechając się do siebie. Założyłam pospiesznie spodnie dresowe i

polarową bluzę.

Wyszłam z sypialni i od razu skierowałam się na dół. Potrzebowałam się przytulić do Silvia. Mimo że Petrow nie zdążył mnie skrzywdzić, krzywiłam się na samo wspomnienie tego, co mogło się wydarzyć. Schodząc po schodach, odetchnęłam głośniej kilka razy, przypominając sobie, że Sajanow nie żyje. Ulga. Tak, odczuwałam ulgę.

– Hej! – przywitałam się, wchodząc do salonu. Uśmiech jednak zamarł mi na ustach, kiedy zobaczyłam ponure spojrzenia Silvia i Dina. – Co się stało? – zapytałam, usilnie próbując wypowiadać słowa spokojnym głosem. – Gdzie Vito i Roberto? – Rozejrzałam się po kuchni, jednocześnie nasłuchując odgłosów obecności innych ludzi w domu.

Cisza.

– Zapadli się pod ziemię – syknął Dino, trzaskając pięścią o blat. – Chłopaki znalazły samochód kilka przecznic stąd. W środku był tylko martwy kierowca.

Zachwiałam się, słysząc jego słowa, na co Silvio bardzo szybko zareagował. Stanął obok mnie w ciągu zaledwie kilku sekund i objął mocno ramieniem w pasie, przyciągając do siebie. Coś niewidzialnego zacisnęło się na moim sercu i żołądku.

– Jak to zapadli się pod ziemię? – zapytałam, spoglądając w oczy mężowi. Czaiły się w nich zmartwienie i strach. – Nie da się ich namierzyć?

– Nie. – Pokręcił głową, po czym przeklął siarczyście. – Telefony są wyłączone albo leżą gdzieś rozwalone. Siergiej musiał ich śledzić.

– Mówiliście już o tym Gi i Vi? – zapytałam, wpatrując się uważnie w Silvia. Uciekł wzrokiem w bok. Zamrugłam gwałtownie.

W pierwszej chwili chciałam na niego nawrzeszczyć, bo obiecaliśmy im przecież, że będą wiedzieć wszystko na bieżąco, jednak z drugiej... Gi była w ciąży. Nie powinna się denerwować. Szlag by to trafił!

Rozdział czterdziesty piąty

Silvio

Minęło niemal sześć godzin, odkąd straciliśmy kontakt z Robertem i Vitem. Przez myśl mi przemknęło, żeby poinformować o wszystkim chociaż Vivienne, jednak nie potrafiłem wybrać jej numeru. Siedziałem tak i patrzyłem na ekran telefonu, zastanawiając się, co dalej. Miałem nadzieję, że to wszystko było tylko zwykłym nieporozumieniem, niczym więcej.

Komórka wydała z siebie odgłos nadchodzącego połączenia. Zmarszczyłem brwi, widząc, że dzwoni do mnie nieznany numer z kierunkowym wskazującym na Rosję. Zacisnąłem mocno szczęki, po czym zaakceptowałem połączenie i przyłożyłem urządzenie do ucha.

– Silvio.

Otworzyłem szeroko oczy, słysząc głos brata. Poczułem niewyobrażalną ulgę.

– Kurwa, bracie, nic ci nie jest? – zapytałem.

Payton zacisnęła mocno dłoń na moim ramieniu, a po chwili stała już przede mną i wlepiła we mnie uważne spojrzenie. W jej oczach błysnęły łzy.

– Jest w porządku. – Chrząknął. – Podam ci adres. Musicie tu przyjechać.

– Tu, to znaczy gdzie? Ktoś cię przetrzymuje?

– Nie, nie – odpowiedział szybko. – Pewne trzy osoby sporo zaryzykowały, żeby się do nas dostać. Chcą nam pomóc.

– Kto? – zapytałem od razu, czując rozplywającą się po moim organizmie adrenalinę.

Nie przychodził mi do głowy nikt, kto mógłby chcieć nam w jakikolwiek sposób pomóc, a już na pewno nie ktoś, kto mieszkał w Rosji.

– Właściwie to nie trzy, bo trochę ich tu więcej, ale... – chrząknął – ...trzech będziesz kojarzyć.

– Kto, Vito?

– Korotkow, Lasow i Iwankow.

– Co ty pierdolisz? – warknąłem, przyciskając palce do nasady nosa. – Przecież oni, kurwa, są wierni...

– Współpracują z policją, Silvio – przerwał mi. – Naprawdę powinniście wziąć cały sprzęt i tu przyjechać. Mamy plan, całkiem dobry, niestety sporo będziemy ryzykować. Jeśli się uda, już wkrótce Moskiewska Brać przestanie istnieć.

Mruknąłem coś niezrozumiałego pod nosem, a zaraz po tym zerknąłem na Payton. Z ruchu jej warg odczytałem imię Roberta.

– Roberto jest cały? – zapytałem, modląc się w duchu o twierdzącą odpowiedź.

– Tak, cały.

Skinąłem głową. Payton uśmiechnęła się i przyłożyła dłoń do piersi, cicho wzdychając. Ulżyło jej. Mnie też.

– Wyślę ci w wiadomości adres. Przyjedźcie jak najszybciej i najlepiej poruszajcie się po Moskwie w większych odstępach czasowych.

– W porządku. – Rozłączyłem się i wstałem z łóżka.

Payton w tym czasie dała znać Vi, że Vito wkrótce się z nią skontaktuje. Pisała jakiś czas wcześniej, że nie potrafi się do niego dodzwonić. Moja żona uśmiechnęła się do mnie, gdy cmoknąłem ją w usta.

Niecałe dwie godziny później jechaliśmy już pod wskazany przez Vita adres. Nie byliśmy nawet w Moskwie, a sporo poza nią. Dookoła nas było pustkowie – nie licząc lasu ciągnącego się wzdłuż drogi. Vito w trakcie rozmowy telefonicznej ani razu nie użył słowa, które kiedyś razem wymyśliliśmy na wypadek porwania lub podsłuchiwanej rozmowy. Niby banał, ale dzięki temu byłem pewien, że nikt go do niczego nie zmuszał, a my byliśmy bezpieczni.

Prawdopodobnie.

W końcu, kiedy dotarliśmy na miejsce, naszym oczom ukazała się stara fabryka. Wokół niej nie widzieliśmy żadnej żywej duszy, na co się nieco spiałem, zaciskając palce na pistolecie. Payton zaś trzymała w dłoni Glocka, uważnie rozglądając się dookoła. Zatrzymaliśmy się w niewielkiej odległości od wejścia, a zaraz za nami zaparkowały inne pojazdy. Żołnierze zaczęli wysiadać, okrążając dookoła naszego mercedesa.

W końcu też wyszedłem, obserwując okolicę, jednak nic nie wzbudziło moich obaw. Było cicho, lecz nie w sposób nienaturalny. Ot, stara fabryka, las dookoła i spora odległość od miasta; cisza była normalna. Odsunąłem się od drzwi i podałem dłoń Payton, żeby pomóc jej wysiąść, jak tylko uznałem, że jest to bezpieczne.

Ruszyliśmy powoli w stronę wejścia. Z każdym krokiem próbowałem ukryć grymas spowodowany bólem w udzie. Wcześniej, gdy Payton spała, Dino wyciągnął mi z niego kulę i zaszył ranę. Plus był taki, że niczego ważnego mi nie uszkodziła, ale mimo wszystko stawanie na prawej nodze bolało.

– Oprzyj się – usłyszałem cichy głos Payton, na co prychnąłem, kręcąc głową.

– Nie jestem niedołączny – warknąłem i natychmiast się za to skarciłem. Przystanąłem i posłałem jej przepaszające spojrzenie. – Dam radę, kochanie.

– Okej... – szepnęła, uśmiechając się czule, po czym kontynuowaliśmy powolny spacer w stronę wejścia; zapewne nie chciała się ze mną kłócić.

Czyż ta kobieta nie jest idealna?

Kiedy zbliżyliśmy się do wejścia, żelazna brama zazgrzytała i zaczęła się rozsuwać. Zatrzymałem się i wbiłem wzrok w ciemną przestrzeń. Pierwsze, co zauważyłem, to jasne włosy Roberta. Zaraz za nim wyszedł Vito, a obok niego szli Korotkow, Lasow i Iwankow. Ruszyłem przed siebie żwawym krokiem i już po chwili obejmowałem brata, klepiąc go po plecach.

– Dobrze cię widzieć.

– Ciebie też – mruknął i skinął głową w stronę Rosjan.

Przywitałem się z nimi i przedstawiłem im Payton, zanim zapadła cisza. Lustrowałem ich spojrzeniem, próbując doszukać się jakichkolwiek oznak stresu czy nieszczerości, jednak nic takiego nie widziałem. To mnie jeszcze bardziej uspokoiło.

– Lepiej wejdźmy do środka. – Iwankow odwrócił się na pięcie i skierował w stronę budynku.

Ruszyłem za nim, dopiero gdy poczułem na ramieniu rękę Vity.

– Można im ufać.

To mi wystarczyło. Skoro Vito był ich pewien, ja nie zamierzałem doszukiwać się fałszywych zagrywek z ich strony. Najważniejsze było, żeby zniszczyć Moskiewską Brać. Nieważne w jaki sposób i z czyją pomocą.

Po wejściu do środka od razu przystanąłem. Rozglądałem się po wnętrzu starej fabryki z szeroko otwartymi oczami. Ktoś zrobił sobie w niej pieprzone centrum dowodzenia światem. Wszędzie stały komputery i monitory, a przed nimi siedzieli mężczyźni, w większości w skórzanych kurtkach. Kompletnie nie zwracali na nas uwagi. Nie licząc jednego z nich. Stał gdzieś pośrodku pomieszczenia, a jak tylko nas zobaczył, podszedł bliżej.

– Artur Dewidow. – Podał mi dłoń.

Od razu ją uściskałem.

– Silvio Bellomo – przedstawiłem się i spojrzałem na Payton. – To moja żona, Payton, a to – przenieśliem wzrok na Dina – Dino Papini.

Dewidow przywitał się z nimi uściskami.

– Wiem, kim jesteście i dlatego się tu znaleźliście. – Chrząknął. – Potrzebujemy was.

– Potrzebujecie? – Payton brzmiała na sceptyczną.

– Jestem dowódcą tajnej jednostki policyjnej – wyjaśnił, a następnie machnął na nas dłonią i ruszył przed siebie. – Znajdujemy się w centrum dowodzenia. Jednostka została stworzona zaraz po tym, jak... zamordowano Salvatore'a i Zoję. Media za bardzo się tym wszystkim zainteresowały, przez co musieliśmy zacząć działać. Wcześniej wszyscy mieli gdzieś, że handluje się w naszej okolicy kobietami,

a ani ja, ani moi ludzie nigdy nie mieliśmy siły przebicia, żeby z tym walczyć – wyjaśnił, po czym przystanął na środku pomieszczenia i rozłożył ręce. – Teraz jesteśmy finansowani przez rząd, a jednostka jest ściśle tajna. Głównym zadaniem jest zlikwidowanie Moskiewskiej Braci. Poboczne i najważniejsze zadanie to ukrócenie handlu kobietami.

– No dobra – mruknąłem, kiwając głową. – Ale po co jesteście wam potrzebni?

Dewidow uśmiechnął się nieco niepewnie, a zaraz po tym chrząknął.

– Wiem, kim dokładnie jesteście. Wiem, że chcecie zemsty na Moskiewskiej Braci i możemy wam w tym pomóc. W zamian chcemy tylko, żebyście pomogli nam zrozumieć myślenie członków Moskiewskiej Braci i ich zniszczyć. Chcielibyśmy przeprowadzić razem z wami akcję zorganizowaną na szeroką skalę. Zsynchronizowane ataki na wszystkie domy i magazyny należące do Moskiewskiej Braci. Dzięki naszym informatorom – zerknął na Korotkowa, Lasowa i Iwankowa – znamy dokładne adresy. Nawet te, o których wiedzą wyłącznie nieliczni. Nie mamy tylu ludzi, żebyśmy mogli sami zaatakować wszystkie lokalizacje naraz, stąd nasza prośba o pomoc.

– Rozumiem. – Pokiwałem głową, spoglądając kątem oka na Vita.

Uśmiechał się nieznacznie. Przeczuwałem, że już miał przed oczami widok martwego Siergieja. Sam też to sobie wyobraziłem.

– Dlaczego porwanie? – zapytał nagle Dino, patrząc spod byka na Dewidowa.

– Nie mogliśmy ot tak się u was pojawić – odpowiedział od razu. – Wiedzieliśmy, że jesteście w Rosji, ale tak szybko zmienialiście lokalizacje, że nie byliśmy w stanie was wytropić. Udało nam się, dopiero gdy dostaliśmy informację od Korotkowa o ataku na dom Sajanowów. Jak tylko odjechaliście, zaczęliśmy was śledzić, jednak najważniejsze dla nas było spotkanie z głową Rodziny i donem Cosa Nostry. Stąd porwanie – wyjaśnił. – Już raz to powiedziałem, mimo to powtórzę i drugi. Kierowca był ofiarą konieczną.

Payton prychnęła pod nosem, kręcąc z niedowierzaniem głową. Zaciśnąłem więc palce na jej nadgarstku, dając jej tym samym znać, żeby nawet nie próbowała się o to rzucić. Na każdej wojnie były ofiary. Domyśliłem się, że była podirytowana zdaniem wypowiedzianym przez Dewidowa, bo policja działała na nią jak płachta na byka, ale stało się, co się stało. Nie było sensu tego roztrząsać.

– Już ci mówiłem, Artur, że to rozumiem – odezwał się Vito i rozejrzał się po hali. – Od czego zaczniemy?

– Musimy rozdzielić oddziały na miejsca.

– Bierzemy stary dom Letowa – oznajmiłem bez cienia zawahania, a Vito pokiwał na to głową.

– Tak – przytaknął mi. – Innej opcji nie ma, Artur. My zajmiemy się Siergiejem. Weźmiemy naszych najlepszych ludzi, żeby mieć pewność, że utniemy głowę żmii przy samych kostkach. Z chęcią przygarniemy też kilku twoich snajperów. Resztę żołnierzy rozdzielimy na kilka grup. Tak żeby w każdej lokalizacji było ich chociaż kilku – dodał, po czym uniósł dłoń, gdy Artur rozchylił usta tak, jakby chciał coś powiedzieć. – Nasi ludzie nie mają skrupułów, Artur. Wierz mi, chcesz mieć w swoich szeregach osoby, które bez mrugnięcia okiem odbiorą komuś życie.

– Nie chcecie ich postawić przed sądem? – zapytała nagle Payton, dokładnie w tym samym momencie, w którym skończył mówić Vito.

– Nie. – Dewidow pokręcił głową. – Mamy ich zlikwidować. Rząd ma kilka miejsc, w których ciała zostaną zutyliczowane. Moi przełożeni wyrazili się jasno. Mamy pozbyć się wszystkich, którzy należą do Moskiewskiej Braci.

Uśmiechnąłem się do siebie, splatając palce z Payton. Już się, kurwa, nie umiałem doczekać. Jedyne, co mi przeszkadzało, to fakt, że kulałem, a przez to nie byłem już takim dobrym żołnierzem. Nie miałem jednak zamiaru się na ten temat odzywać. Musiałem jakoś dać radę, bo w końcu wszystko zaczęło się układać. Nasze szanse wzrosły. Tylko Roberto wyglądał na niezadowolonego, jednak wcale mu się nie dziwiłem. Cosa Nostra nie współpracowała z policją. Tym się różniliśmy. Nam nie przeszkadzało, że działaliśmy wspólnie z organami ścigania, a włoska mafia... Cóż. Mieli nieco inne podejście niż my.

– Dobra, zrobimy to – oświadczyłem, kiwając przy tym głową.

Na twarzy Artura Dewidowa pojawił się szeroki uśmiech.

– Kurwa, nie wierzę, że to powiem – mruknął Roberto, krzywiąc się przy tym. – Wchodzę w to.

– Świetnie! – Vito uśmiechnął się szeroko i ruszył przed siebie. – No, chodźcie! Nie widzieliście, kurwa, najlepszego!

Słyszając ekscytację w jego głosie, nie byłem w stanie olać jego prośbo-rozkazu. Ruszyłem za nim, ciągnąc za sobą Payton. Przeszliśmy przez resztę hali, a zaraz po tym wkroczyliśmy do innego pomieszczenia. Widok, który zastałem, spowodował, że po moich plecach przebiegły dreszcze podniecenia. Mocniej ścisnąłem dłoń Payton i spojrzałem na jej twarz. Widniało na niej czyste rozmarzenie.

Wcale jej się nie dziwiłem. Tylko my mogliśmy się tak cholernie jarać tym, że staliśmy w ogromnej hali wypełnionej militarnym sprzętem.

– I to się nazywa magazyn broni – skomentował Roberto, ruszając przed siebie. Od razu do niego dołączyłem. – To co, Silvio? Mały zakładzik? – zapytał, przyglądając się karabinom maszynowym w skrzyniach.

– O co?

– O twoje auto – odpowiedział z uśmiechem.

– To już jest moje auto. – Payton wtrąciła się nagle do rozmowy. – Bo oczywiście masz na myśli jego poprzedniego demona, prawda?

– Tak – przytaknął, marszcząc brwi.

– Okej. – Wzruszyła ramionami, biorąc do dłoni jeden z karabinów snajperskich. – Kto ustrzeli więcej kaczek?

– Aha – zgodził się, kiwając głową.

– Okej. – Odłożyła i wyciągnęła dłoń w stronę Roberta. – Stawką jest twoje i moje auto.

– Mój aventa...

– Tak. – Uśmiechnęła się szeroko z błyskiem w oku. – Stoi?

– Stoi – odparł pewnym głosem i uścisnął jej dłoń.

A ja stałem jak ten debil, wpatrując się w żonę. Nie wierzyłem, że byłem takim cholernym szczęściarzem i ona była moja.

Kobieta, kurwa, ideal!

Rozdział czterdziesty szósty

Vito

Gdy reszta zajmowała się oglądaniem broni, wróciłem do hali i podszedłem do Artura. Akurat rozmawiał z Korotkowem. Przystanąłem obok, żeby posłuchać ich dyskusji. Dalej im nie ufałem. Zastanawiałem się, czy zamilkną, jak tylko się zbliżę. Nie zrobili tego, mimo że mnie zauważyli. Mówili coś o wyścigu.

– O, Vito. – Artur klepnął mnie lekko w ramię. – Korotkow właśnie dostał potwierdzenie o dacie i miejscu wyścigu organizowanego przez Siergieja.

– Organizują go mimo śmierci Sajanowów? – Uniosłem brew, spoglądając z powątpiewaniem na Korotkowa.

– Tak – przytaknął. – Siergiej stwierdził, że musi pokazać wszystkim, że ich śmierć nie zmniejszyła naszej pozycji. Zrobi pokaz siły.

Pokiwałem głową, marszcząc brwi. To faktycznie miało sens. Siergiej musiał udowodnić ludziom, że Moskiewska Brać dalej prężnie działała i nic nie było w stanie jej osłabić.

– Chcecie go zaatakować na wyścigu? – zapytałem w końcu, spoglądając uważnym wzrokiem na Artura.

– Nie. – Pokręcił głową. – Może się tego domyślić, za to... – przeniósł na chwilę wzrok na Korotkowa, po czym spojrzał z powrotem na mnie – ...raczej nie będzie się spodziewać komitetu powitalnego.

– Rozumiem, że mówisz o zsynchronizowanym ataku w czasie trwającego wyścigu, tak? – Popatrzyłem na niego sceptycznie. – Musielibyśmy dostać się na posesję i poczekać na miejscu, aż nie wróci do domu, bo inaczej może nam spierdolić, zanim zdążymy go złapać.

Artur pokiwał głową, przejeżdżając dłonią po brodzie, a następnie posłał pytające spojrzenie Korotkowowi. On także się zamyślił, marszcząc brwi, jednak w końcu pokiwał głową, uśmiechając się.

– To dobry plan – orzekł. – Musimy się do tego przygotować. Dostanie się na wszystkie posesje nie będzie trudne, ale utrzymanie naszej obecności w tajemnicy już tak łatwe nie będzie. – Zerknął na zegarek na nadgarstku. – Dobra, muszę się zwinąć. Mam się dzisiaj stawić u Siergieja w sprawie wyścigu.

– Jasne. – Artur klepnął go w ramię, a ja podałem mu dłoń na pożegnanie.

Korotkow zniknął z hali chwilę później. Jak tylko zamknęła się za nim żelazna brama, przeniosłem wzrok na Artura. Cały czas mi się przyglądał.

– Chcesz o coś zapytać? – zapytałem, unosząc brew.

– Właściwie to tak – przytaknął szybko, machając dłonią w stronę biura, po czym ruszył w jego stronę. Podążyłem za nim.

Przeszliśmy przez część hali, gdzie stało kilka stołów z jedzeniem, a zaraz po tym weszliśmy do jednego z pomieszczeń. Gabinet rozświetlała pojedyncza żarówka, smętnie zwisająca na kablu z sufitu. W środku stało jedynie biurko z dwoma krzesłami po obu jego stronach. Usiadłem na jednym z nich i wbiłem uważny wzrok w Artura, gdy stanął obok biurka z nieodgadnionym wyrazem twarzy. Nie miałem jednak czasu na to, żeby zastanawiać się nad tym, co chodziło mu po głowie, bo odezwał się do mnie nieco nerwowym tonem:

– Mam do ciebie sprawę... – chrząknął – ...chciałbym się poradzić.

– Słucham – odparłem, rozsiadając się wygodniej na fotelu.

Artur usiadł naprzeciwko i zwiesił głowę. Palce wsunął we włosy, przeczesując je kilka razy i jednocześnie wypuszczając spomiędzy warg powietrze. Zaczął mówić bez podnoszenia na mnie wzroku:

– Oficjalny plan jest taki, że niszczymy Moskiewską Brać, ale... – zamilknął na chwilę, spinając ramiona – ...mam na to inny plan i chciałbym się dowiedzieć, czy ma on sens.

– Jaki plan, Artur? Moskiewska Brać musi zniknąć z powierzchni ziemi. Nie możemy pozwolić na to, żeby została nawet jedna osoba, inaczej za jakiś czas ją odnowią i znowu zrobi się syf.

– Wszyscy, którzy teraz do niej należą, znikną – oznajmił, w końcu podnosząc na mnie oczy; widziałem w nich determinację. – Zostanie Korotkow, Lasow i Iwankow.

Zacisnąłem usta w wąską kreskę i machnąłem do niego dłonią, żeby kontynuował.

– Nie wiedzą, co od jakiegoś czasu chodzi mi po głowie. To jest wyłącznie mój pomysł. W sumie, nie licząc teraz ciebie, nikt nie wie, że zastanawiam się nad stworzeniem nowej Moskiewskiej Braci. Z przestrzeganiem zasad podobnych do waszych.

– Gównu wiesz na temat naszych zasad, Artur – warknąłem, zwijając dłonie w pięści.

Nienawidziłem, gdy ktoś spoza naszych kręgów próbował mnie przekonać, że wiedział cokolwiek o naszych zasadach i tradycjach. Kto do nas nie należał, nie wiedział wszystkiego.

– Nie wiem wszystkiego, to fakt – przytaknął, jakby czytał mi w myślach; westchnął. – Mimo to wiem wystarczająco. Wiem, że szanujecie kobiety i działacie charytatywnie. Wiem, że dzięki wam z powierzchni ziemi zniknęło sporo skurwysynów. Gwałcicieli, morderców – wyrzucił z siebie, wbijając we mnie zdeterminowane spojrzenie. – Chcę tego samego u nas. Nasze sądy i policja to pożałuj się Boże imitacja Wymiaru Sprawiedliwości. Większości nie chce się robić niczego, aby pomóc cywilom w lepszym życiu. Chcę to zmienić. Zaraz po tym, jak oficjalnie zlikwidujemy Moskiewską Brac, moja jednostka zostanie rozwiązana, a ja z powrotem znajdę się w wirze biurokracji ze związanymi rękami. Nie chcę już patrzeć na to, jak idą siedzieć niewinni ludzie, a winni chodzą sobie na wolności, bo mają znajomości w rządzie albo dowody zostały źle wprowadzone do ewidencji.

Parsknąłem śmiechem, kręcąc z niedowierzaniem głową. Chciał zmienić Moskiewską Brac w coś nowego, lepszego. Zupełnie tak, jak próbował zrobić to Salvatore, ale mój brat poległ z kretesem. Skrzywiłem się na samo jego wspomnienie, po czym głośno westchnąłem, próbując wymazać z głowy wspomnienia. To nie był czas na to, żeby odczuwać żal i tęsknotę.

– Co o tym sądzisz? – odezwał się, gdy dalej milczałem.

– Pytasz mnie, bo jestem donem? – zapytałem, przyglądając mu się z zaciekawieniem. – Co ci mam powiedzieć, Artur? To szlachetne, co chcesz zrobić, o ile naprawdę zamierzasz pomóc niewinnym ludziom, tyle że nie wiem, czy twoje intencje są szczerze. Nie wiem też, czy jak już uzyskasz władzę, to nagle nie zmienisz zdania, ponieważ do głowy uderzy ci sodówka.

– Nie uderzy – warknął, zaciskając przy tym mocno szczękę; tak mocno, że aż usłyszałem zgrzytanie jego zębów. – Już raz wymierzyłem sprawiedliwość, więc nie mów mi, że mam złe intencje.

– Sprawiedliwość – prychnąłem, kręcąc przy tym głową. – Zastrzelenie kogoś podczas policyjnej akcji nie jest wymierzaniem sprawiedliwości, Artur. To twoja praca, a nie...

– Mój brat miał szesnaście lat, kiedy został śmiertelnie potrącony w centrum Moskwy – przerwał mi, zaciskając dłonie w pięści. – Potrącił go jeden z polityków. Był pod wpływem alkoholu i narkotyków. Został aresztowany, jednak podczas rozprawy w sądzie okazało się, że na zebranych potwierdzeniach z badań nie było odpowiedniej ilości podpisów. Któryś z policjantów nie podpisał się na paru świstkach – kontynuował, a w jego oczach błysnęła wściekłość. – Sąd nie wziął pod uwagę tych badań jako dowodów, czego efektem było oddalenie sprawy. Polityk wrócił do swojego życia. Dalej pił, ćpał i jeździł pod wpływem, a mnie brała kurwica, jak tylko się o tym dowiadywałem od współpracowników...

– Westchnął ciężko, a w jego oczach błysnęła determinacja. – Pewnego wieczoru wracałem do domu z komisariatu i zauważyłem jego samochód. Niewiele myśląc, pojechałem za nim. Był tak nawalony, że przejechał dwa razy na czerwonym świetle, a na zielonym się zatrzymał. Cały czas go śledziłem, aż w końcu... Sam nie wiem, co to było, ale coś mnie tknęło i podjechałem mu do bagażnika, włączając przy tym sygnały świetlne. Przestraszył się chyba i przyspieszył. Musiał się co chwilę odwracać w moją stronę, bo nie zahamował przed zakrętem. Wbił się z impetem w ścianę jednego z budynków.

Po tych słowach na chwilę zamilknął, a ja dalej wpatrywałem się w niego uważnym wzrokiem. Nerwowo drgała mu szczeka. Widziałem w jego oczach całą paletę uczuć – od strachu, po ulgę.

– Wysiadłem z auta i podszedłem do niego, zakładając po drodze lateksowe rękawiczki, które później spaliłem u siebie w piecu. Otworzyłem drzwi od jego strony i spojrzałem w jego przećpane i przepite oczy. Błagał mnie, żebym mu pomógł, a ja jedynie stałem i patrzyłem na niego beznamiętnie. W tamtej chwili poczułem ulgę, że dostał to, na co zasłużył.

– Nie zabiłeś go – powiedziałem, kiedy skończył mówić. – Po prostu mu nie pomogłeś, a to nie

to samo, co...

– Zabiłem – przerwał mi, wbijając we mnie stanowcze spojrzenie. – Wiedziałem, że miał pozwolenie na broń i zawsze trzymał ją przy sobie. Przeszedłem dookoła jego auta, otworzyłem schowek od strony pasażera, po czym wróciłem do niego i strzeliłem mu w łeb. Bez mrugnienia okiem, a ulga, którą wtedy poczułem, była moim zbawieniem.

Ucichł, a ja wciąż go obserwowałam. Milczałem, próbując ułożyć sobie wszystko w głowie. Jedno wymierzenie sprawiedliwości niczego nie zmieniało, jednak na pewno zacząłem postrzegać go nieco inaczej. Nie potrafiłem mu niestety powiedzieć, czy jego pomysł miał rację bytu, choć mogłem mu pomóc. Mogłem, tylko czy na pewno chciałem? Nie byłem w stanie tak szybko podjąć konkretnej decyzji.

– Rozumiem twoje motywacje, Artur – odezwałem się w końcu, a on wyraźnie się rozluźnił; tak jakby naprawdę mocno zależało mu na tym, żebym go nie potępiał.

Nie miałem zamiaru. Sam bym tego lepiej nie zorganizował, chociaż kutasowi należało się trochę więcej cierpienia.

– To nie jest łatwa sprawa. Masz dobry pomysł, przyznaję. Brakuje u was organizacji, która mogłaby sprzątać syf. Mimo wszystko nie jestem w stanie stwierdzić, czy to się uda, czy nie. Ciężki orzech do zgryzienia, ale... – przerwałem i chrząknąłem, dokonując wyboru – ...mogę ci w tym pomóc.

– Naprawdę? – zapytał, prostując się na krześle. W jego głosie pobrzmiwała nadzieja.

– Tak, tyle że na moich warunkach, Artur – zaznaczyłem od razu. Nie mogłem pozwolić mu na samowolkę; nie ufałem mu.

– Jakich?

– Nie ty będziesz rządzić – oświadczyłem od razu, a on bez wahania pokiwał głową. – Po wszystkim to ustalimy. Mam kilku kandydatów na myśli, ale najpierw muszę z nimi porozmawiać. Musieliby przeprowadzić się z Nowego Jorku do Moskwy, a wątpię, żeby tego chcieli.

– Przyjmę wszelką pomoc z twojej strony – stwierdził, oddychając z ulgą. – Kurwa, Vito, jeśli to się uda, to w końcu poczuję, że zrobiłem w życiu coś dobrego. Coś więcej niż wypisywanie mandatów przez tyle lat i aresztowanie ludzi, którzy i tak wychodzili na wolność.

– Jesteś sfrustrowany – skwitowałem, kiwając głową. – To zrozumiałe. Też bym był. Dlatego jestem, kim jestem i robię to, co robię.

Nie mógłbym spokojnie żyć, gdyby wokół mnie chodzili na wolności ludzie odpowiedzialni za najgorsze czyny. W Rosji było o wiele gorzej, jeśli chodziło o sprawność Wymiaru Sprawiedliwości, niż w Stanach Zjednoczonych. Stworzenie nowej wersji Moskiewskiej Braci było wyzwaniem, lecz... Uwielbiałem wyzwania i zamierzałem pomóc Arturowi w osiągnięciu celu. Miałem tylko nadzieję, że nie oberwę za to rykoszetem.

Kilka godzin później, gdy leżałem już w łóżku w jednym z prowizorycznych pokoików stworzonych w starej fabryce, zadzwoniłem do Vivienne. Na sam dźwięk jej głosu poczułem przyjemne ciepło rozlewające się po ciele. Uśmiechnąłem się do siebie, wyobrażając sobie w myślach, że leży obok mnie.

– Tęsknię za tobą – szepnęła.

– Ja za tobą też, *bella*. Już niedługo. Obiecuję, że jeszcze trochę i wpadniesz w moje objęcia, a później postaramy się o dziecko na jakiejś plaży na Bali.

Zaśmiała się, niestety po chwili jej śmiech zmienił się w płacz. Bolało mnie, że nie mogłem zetrzeć łez z jej policzków. Kurwa, tak bardzo chciałem przy niej być.

– Zrobimy – przytaknęła w końcu, pociągając nosem. – Nieważne gdzie, czy w Nowym Jorku, czy na Bali, Vito. Ważne, że będziemy w końcu razem, a całe to szaleństwo będzie za nami.

– W punkt, kochanie – mruknąłem, tłumiąc ziewnięcie. – W punkt...

Zasnąłem z telefonem przy uchu, słuchając głosu Vi, kiedy opowiadała mi o swoim dniu spędzonym z Gi na oglądaniu wenezuelskich telenoweli. Dawno tak dobrze nie spałem jak wtedy. Kurewsko dawno.

Rozdział czterdziesty siódmy

Roberto

– Czyli wyścig zacznie się o północy – podsumowałem spotkanie, rozglądając się po zebranych.
– I planowo ma trwać do drugiej w nocy, zatem do tej godziny musimy być już ustawieni na miejscach.

– Tak – przytaknął mi Korotkow, podnosząc kieliszek wódki, a zaraz po tym wypił całą zawartość, nawet się przy tym nie krzywiąc.

Ja się skrzywiłem, chociaż nawet jej nie piłem. Byłem wierny dobrej whisky. Jedyne Silvio się wyłamał i pił wódkę, kompletnie nie przejmując się tym, że go przed nią ostrzegałem. Nie bardzo też rozumiałem, czemu nagle zaczął się śmiać z moich ostrzeżeń, ale sądząc po rozbawionych minach Payton i Dina – oni coś wiedzieli, jednak ani myśleli się tym pochwalić.

– Przepraszam na chwilę – rzuciłem nagle, czując wibracje w kieszeni spodni.

Wyciągnąłem telefon i uśmiechnąłem się, widząc, że dzwoniła Giovanna. Wstałem z krzesła i odszedłem pod ścianę, żeby móc porozmawiać z nią na spokojnie. Zaakceptowałem połączenie i przyłożyłem komórkę do ucha.

– Cześć, kochanie.

– Elena Rosalie Favale-Bellomo!

Zakrztusiłem się śliną. Zacząłem na zmianę głośno kaszleć i charczeć, uderzając pięścią w klatkę piersiową. Widziałem zaciekawione spojrzenia posyłane przez ludzi siedzących przy stole, mimo to kompletnie się tym nie przejąłem. W końcu udało mi się opanować kaszel.

– Możesz powtórzyć? – poprosiłem, przymykając oczy i jednocześnie opierając czoło o chłodny beton.

– Będziemy mieć córeczkę! Właśnie wróciłam od lekarza. Boże, tak się cieszę! Będziemy mieć córeczkę, Roberto! – wykrzyczała z prędkością światła. Jej głos ociekał radością.

– Córeczkę? – zapytałem, uśmiechając się szeroko. – Naprawdę? I wszystko z nią dobrze? Rośnie zdrowo? A ty jak się czujesz? – zasypałem ją pytaniami, jednocześnie chcąc jak najszybciej wsiąść w samolot i polecieć do niej.

Do moich dziewczyn.

– Wszystko jest idealnie, kochanie – odpowiedziała szybko. – Cieszysz się?

– Czy się cieszę? – zapytałem, jeszcze szerzej się do siebie uśmiechając. – Jestem pierdolonym szczęściarzem, Gio. Będziemy mieć córeczkę.

– Aha – przytaknęła, chichocząc. – Niestety cały czas męczą mnie mdłości. Mogłoby się to już uspokoić.

– Jak ci idzie przekonywanie żołądka do jedzenia? – zapytałem, nie kryjąc zmartwienia w głosie. Bałem się o jej niedożywienie.

– Jest lepiej. Od kilku dni jem na śniadanie, obiad i kolację wysmażonego steka. – Zaśmiała się głośno. – Będę gruba. Przytyłam już pięć kilogramów, odkąd pojechałeś.

– Więcej ciała do kochania – stwierdziłem, prostując się. Zerknąłem w stronę stołu.

Dalej patrzyli na mnie z zaciekawieniem.

– Jesteś głupi. – Parsknęła śmiechem.

– Ale twój i kocham cię najmocniej na świecie.

– Ja ciebie też, mężusiu. – Cmoknęła głośno. – Muszę kończyć. Jadę z Vi na zakupy. Ucałuj i wyściskaj ode mnie resztę. No i...

– No i? – zapytałem, dalej szczerząc się jak debil.

– Nie spij się za bardzo, gdy pochwalisz się reszcie, że będziesz mieć córeczkę. – Zaśmiała się.

– Odezwę się później. Kocham cię!

– Ja ciebie też!

Zaraz po tym rozłączyłem się. Zamiast jednak wykrzyknąć głośno wesołe nowiny, wcisnąłem

telefon do kieszeni, spoglądając na resztę. Radość, którą czułem podczas rozmowy z Gio, nagle wyparowała, a na jej miejscu pojawiła się panika.

Niewiele myśląc, podszedłem do Korotkowa, bo to przed nim stała wódka. Wziąłem butelkę i sięgnąłem po kieliszek. Ostatecznie zmieniłem zdanie i chwyciłem literatkę. Napełniłem ją do połowy wódką. Wychyliłem od razu całość, krzywiąc się przy tym. Odstawiłem butelkę z głośnym trzaskiem na stół i przebiegłem wzrokiem po zebranych.

– Roberto, co się stało? – Vito zmarszczył mocno brwi.

– Znacie jakiś dobry psychiatryk we Włoszech? – zapytałem, kompletnie olewając jego pytanie.

– Psychiatryk? – powtórzyła Payton, przyglądając mi się z coraz to większym zaciekawieniem.

– Po co ci psychiatryk? – Tym razem pytanie zadał Silvio.

No jak to po co?! Przcisnąłem palce do skroni, przymykając oczy. Kurwa, kurwa, kurwa.

Wypuściłem spomiędzy warg drżące powietrze, po czym ponownie przebiegłem spojrzeniem po twarzach zebranych. Wziąłem głębszy wdech powietrza do płuc i wypuściłem je po chwili, ciężko przy tym wdychając. Próbowałem wmówić sobie, że byłem pieprzoną oazą spokoju, ale na nic się to zdało. Zaczynałem panikować.

Córka? Boże, dopomóż...

– Będę mieć córkę – szepnąłem, wpatrując się w Vita.

Brwi podjechały mu do góry, a oczy mocno się rozszerzyły; niewątpliwie był w szoku. Z kolei Payton i Silvio dalej mieli niezrozumiałe miny. Chyba nie usłyszeli, dlatego podniosłem głos:

– Będę mieć, kurwa, córkę!

Po tym kilka rzeczy wydarzyło się naraz. Na mojej twarzy pojawił się ogromny uśmiech, Payton rzuciła się w moje ramiona, a Vito i Silvio zaczęli klepać mnie po plecach, jednocześnie mruczac pod nosem:

– Kurwa, stary, współczuję.

– Masz przejebane.

Korotkow zaś wcisnął mi do dłoni literatkę z wódką, spoglądając na mnie z błyskiem w oku.

– To mamy już pretekst, żeby się napić!

Och, kurwa, i to jaki. Będę mieć córkę. Córkę! Mieszankę genów Favale i Bellomo. Kurwa. Całe moje ciało trzęsło się ze szczęścia, choć gdzieś z tyłu głowy pojawiały się myśli o tym, że ktoś z naszej trójki miał postradać zmysły i najprawdopodobniej będę to ja.

Rozdział czterdziesty ósmy

Payton

Od samego poranka w starej fabryce panowała napięta atmosfera. Vito chodził nabuzowany po hali, co rusz zgrzytając zębami. Roberto z Dinem siedzieli nad planami magazynów i domów, które były naszymi celami. Silvio natomiast szczerzył się do wszystkich dookoła, opowiadając o tym, co zamierza zrobić z Siergiejem. Ja zaś... tkwiłam na jednym z krzeseł, pijąc kawę i rozmyślając. Ani Vivienne, ani Giovanna nie wiedziały o tym, że tego dnia mieliśmy wziąć udział w akcji.

Dochodziła już jedenasta, gdy podszedł do mnie szef tajnej jednostki. Usiadł na krześle obok, upijając łyk kawy ze swojego zwykłego czarnego kubka. Obrzucił mnie szybkim spojrzeniem, po czym przeniósł go na Silvia; rozmawiał akurat z jednym z policjantów po drugiej stronie hali.

– Byłabyś dobrą policjantką – powiedział nagle, nawet na mnie nie patrząc.

Zerknęłam na niego z zaskoczeniem. Nie spodziewałam się usłyszeć takich słów z jego ust.

– Słucham?

– Byłabyś dobrą policjantką – powtórzył. – Wiem, że uczęszczałaś do akademii policyjnej, stąd mój komentarz.

– Aha – mruknęłam, krzywiąc się. Nie bardzo rozumiałam, o co mu, do cholery, chodziło. – Czemu uważasz, że byłabym dobrą policjantką?

– Po prostu to wiem. – Wzruszył ramionami. – Jesteś inteligentna. Wcześniej, na spotkaniu, na którym analizowaliśmy plan działania, zadawałaś konkretne pytania i wyrażałaś własne zdanie. Analizowałaś każdy krok, głównie pod kątem bezpieczeństwa ludzi. Nie tylko swoich, ale także moich. Stąd wiem, że byłabyś piekielnie dobrą policjantką. Mogłabyś szybko stać się dowódcą jakiejś jednostki i to byłaby cholernie efektywna jednostka.

– No nie wiem – wymamrotałam, kręcąc głową. – Niezbyt przepadam za policją, bez urazy. Przejechałam się na niej i niespecjalnie mam ochotę znowu próbować stać się jednym ze stróżów prawa.

– Gdybyś chciała, masz do mnie kontakt, Payton – dodał, spoglądając na mnie uważnie.

– I co by mi to dało? – zapytałam, unosząc brew. – Ty jesteś w Moskwie, a mój dom jest u boku Silvia w Nowym Jorku.

– Po prostu o tym pamiętaj i tyle. – Uśmiechnął się tajemniczo, zanim wstał i odszedł w stronę biura.

Nie minęła nawet minuta, a na krześle obok usiadł Silvio i chwycił moją dłoń.

– Co chciał Artur? – zagadnął, lustrując mnie wzrokiem. W jego oczach widziałam zmartwienie, którego nie rozumiałam.

– To było dziwne – stwierdziłam. – Powiedział, że gdybym chciała zostać znowu policjantką, to mam się do niego odezwać. To nie ma sensu, skoro mieszkamy w Nowym Jorku, a nie w Moskwie – wyjaśniłam.

Na jego twarzy pojawiło się zmieszanie.

– Co do tego... – mruknął, pocierając dłonią kark. – Dostałem propozycję przeniesienia się do Moskwy – wypalił na jednym wydechu.

Już chciałam coś odpyskować, zacząć krzyczeć, że znowu o czymś nie wiedziałam, a on podejmował decyzje beze mnie, jednak powstrzymał mnie uniesieniem dłoni. Zaciśnęłam więc usta w wąską kreskę, pozwalając mu mówić.

– To tylko propozycja, Payton. Chciałem o tym z tobą porozmawiać po akcji.

– Jaka propozycja, Silvio? – zapytałam, czując nieprzyjemny ucisk w brzuchu.

– Słuchaj... – Zabrał ode mnie kubek z kawą. Odstawił go na stolik, po czym złączył nasze dłonie i wbił we mnie uważny wzrok. – Artur chce stworzyć na nowo Moskiewską Brac. Na zasadach podobnych do naszych. Po to, żeby przywrócić spokój na ulicach i zlikwidować lub przycisnąć ludzi, którzy dopuścili się przestępstw, a udało im się wywinąć. Vito zaznaczył, że pomoże mu w tym pod jednym warunkiem. Nową Moskiewską Bracią będzie kierować ktoś wskazany przez niego – wyjaśnił, po czym westchnął. – Zaproponował to mnie.

– Ale... – Z wrażenia zaschło mi w gardle. – Ale przecież jesteś jego następcą. Kto w razie czego przejmie władzę w Rodzinie, gdy ty będziesz w Rosji?

– My będziemy, Payton – dodał, nie spuszczać ze mnie wzroku. – Nie ruszę się bez ciebie, zatem decyzja należy wyłącznie do ciebie, kochanie. Jeśli chcesz zostać w Nowym Jorku, to zostaniemy, a Vito znajdzie sobie kogoś innego do rządzenia w Rosji.

– Muszę to przemyśleć – bąknęłam, przygryzając wnętrze policzka.

Nic mnie w Nowym Jorku nie trzymało oprócz Kary, ale ona radziła sobie coraz lepiej ze swoimi problemami. Chodziła na terapię i wydawała się szczęśliwa. Może nawet zechciałaby z nami wyjechać? Nie wiedziałam tego, jednak... Zdziwiło mnie, że naprawdę zaczęłam się poważnie zastanawiać nad zmianą kontynentu. Nie znałam rosyjskiego ani zwyczajów panujących na terenie Rosji, lecz nawet mi to nie przeszkadzało. Moje serce szybciej i mocniej zabiło, jak tylko pomyślałam, że mogłabym zostać policjantką – tak jak kiedyś o tym marzyłam. Mając za współpracownika Artura, mogłabym mieć większe szanse na przebicie się przez biurokrację, a do tego... Zwalczanie ludzi, którzy byli ponad prawem, to było dokładnie to, co chciałam robić w życiu. Może i podjęłam decyzję szybko, mimo to kiedy wypowiedziałam te słowa, poczułam, że to naprawdę było to, czego pragnęłam.

– Okej.

– Nie rozumiem. Co okej?

– Możemy się tu przeprowadzić – wyjaśniłam, rozplątując nasze palce, po czym chwyciłam jego twarz w dłonie. – Po pierwsze wiem, że tego chcesz. Zapewne dlatego, żeby dokończyć to, co chciał zrobić Salvatore. Po drugie mogłabym zostać policjantką. Trochę wyjętą spod prawa, ale nieważne.

– Naprawdę przeniesiesz się dla mnie do Rosji? – Jego mina wyrażała niedowierzenie. – Co z Karą?

– Zaproponuję jej przeprowadzkę z nami, a jeśli nie będzie chciała, to nie zmienię zdania. Jest dorosła. Nie potrzebuje niańki, szczególnie że jest z nią coraz lepiej, a gdyby było coś nie tak, zawsze może zwrócić się do Vita albo Vivienne. I tak, przeniosę się do Rosji, jednak nie dla ciebie, kochanie, a dla nas. Żebyśmy razem spróbowali naprawić świat.

– Jesteś cudowna – wyszeptał, muskając moje wargi. – Jesteś pieprzonym ideałem.

– Tylko mam jeden warunek – oświadczyłam, nie komentując jego komplementów. Wbiłam w niego stanowcze spojrzenie. – Będę należeć do Moskiewskiej Braci. Będę żołnierzem i będę brać udział w akcjach.

– Payton...

– To mój jedyny warunek. Chcę brać w tym wszystkim czynny udział.

– Jesteś kobietą, Payton. Nie chcę ryzykować twoim życiem. Już i tak teraz sporo ryzykujemy, a mi się to wcale a wcale nie podoba. Nie po tym, co stało się w domu...

– Przestań. – Westchnęłam, nieco się irytuując. – Równie dobrze może mnie na chodniku przejechać samochód. Powiedziałam ci, jaki jest mój warunek. Decyzja należy do ciebie.

– Porozmawiamy o tym po akcji – mruknął, przyciskając swoje usta do moich. – Teraz chciałbym po prostu miło spędzić z tobą czas.

– Och, tak? – zapytałam, uśmiechając się figlarnie. – Masz coś konkretnego na myśli?

– Tak. Bardzo konkretnego – warknął, wstając z krzesła. Pociągnął mnie do góry, a zaraz po tym przycisnął do siebie. Na udzie poczułam dowód jego podniecenia.

– Rozumiem – szepnęłam, przygryzając dolną wargę.

Z jego ust wydobył się cichy jęk.

– Pokój?

– Pokój – przytaknął, ciągnąc mnie w stronę jednego z wielu korytarzy, gdzie znajdowały się nasze tymczasowe małe sypialnie.

Gdy zamknęły się za nami drzwi, zatraciliśmy się w sobie bez opamiętania. Zamiast myśleć o Moskwie, Rosji, Siergieju i zemście, myślałam jedynie o tym, jak cudownie było czuć go w sobie i jak mocno targały mną wstrząsy, gdy szczytowałam z jego imieniem na ustach. Z nim mogłam pójść i na koniec świata, tak bardzo go kochałam. Był moim mężem. Nie wyobrażałam sobie życia bez niego.

Rozdział czterdziesty dziewiąty

Silvio

Nie spodziewałem się, że Payton zgodzi się na wyjazd do Rosji. Chciałem kontynuować to, co zaczął Salvatore, spełnić jego marzenie. To miał być mój hołd dla niego. Stworzenie z Moskiewskiej Braci mafii na miarę Pięciu Rodzin. Chyba nie potrafiłbym sobie wybaczyć, gdybym nie spróbował tego zrealizować.

Dojechaliśmy do starego domu Letowa, a obecnego domu mieszkalnego Siergieja, kilka minut po północy. Zgodnie z tym, co przekazał nam Korotkow, przed wejściem na posesję stało dwóch członków Moskiewskiej Braci, a przed drzwiami wejściowymi kolejnych dwóch. Wewnątrz zaś miało na nas czekać sześciu. Musieliśmy się przedostać do wnętrza po cichu, bez zabijania ich. Gdyby któryś z nich nas zobaczył, nasz plan mógłby się nie powieść. To było trudne zadanie, ale nie niewykonalne.

Samochody zostawiliśmy przecnicę dalej, a pod sam dom przyszlismy pieszo. Mieliśmy na nogach buty, których podeszwy zrobione były ze specjalnego materiału: były bezszelestne. W pistoletach zaś mieliśmy wkręczone tłumiki – tak na wszelki wypadek, gdybyśmy jednak musieli kogoś zabić, zanim rozpętalibyśmy piekło.

Idąc wzdłuż płotu, nie rozmawialiśmy ze sobą, żeby zminimalizować ryzyko zauważenia nas przez ochroniarzy Siergieja. Minuty mijały, a my powoli zbliżaliśmy się do miejsca, przez które mieliśmy się przedostać na teren posiadłości. Płot był betonowy i wysoki, na szczęście w jednym miejscu rosło drzewo, gałęzie zaś utworzyły naturalną drabinę. Chwyając pierwszą z nich, modliłem się, żeby nie była spróchniała. Jakby nie patrzeć – musiałem wspiąć się na wysokość niemal dwóch metrów, żeby później zeskoczyć na trawnik. Podciągnąłem się na gałęzi, zagryzając przy tym mocno zęby, a gdy nie usłyszałem żadnego trzasku, wsparłem się jedną nogą o pień, a drugą o płot. Konar utrzymał mój ciężar, więc bez wahania chwyciłem kolejny. Kilkadziesiąt sekund później stałem już na płocie, rozglądając się po posesji.

Do punktu, w którym się znajdowałem, nie docierało żadne światło – ani z lamp w ogrodzie, ani księżycowe. Usiadłem na ogrodzeniu i zeskoczyłem. Wylądowałem na trawniku ze zgiętymi nogami w kolanach, podpierając się rękami, żeby nie stracić równowagi. Podniosłem się i ponownie rozejrzałem.

Cisza. Nikt nie krzyczał, nikt się nie odzywał. Nie zauważyli mnie.

Odwrociłem się do płotu i stuknąłem w niego dwa razy uchwytem pistoletu; na tyle głośno, żeby usłyszeli mnie nasi ludzie, lecz na tyle cicho, żeby odgłos ten nie dotarł do ludzi Siergieja. Ani się obejrzałem, a trzymałem Payton za tyłki, pomagając jej zsunąć się po ogrodzeniu. Jak tylko wylądowała w moich ramionach, pocałowałem ją szybko w usta, uśmiechając się do niej czule.

Chciałem jej powiedzieć, jak bardzo ją kochałem, ale nie mogłem się odezwać, więc jedynie musnąłem palcami jej policzki, składając na nim jeszcze jeden, delikatny pocałunek. Mruknęła coś cicho pod nosem, a następnie uśmiechnęła się do mnie i chwyciła pistolet w dłonie. Była gotowa, a skoro ona była, to ja tym bardziej.

Ruszyliśmy w stronę domu, stąpając powoli po trawniku. Szedłem pośrodku, a zaraz za mną podążała Payton. Przede mną szli Vito i Roberto, a gdzieś za nami był jeszcze Dino. Kierował swoich ludzi w odpowiednie miejsca na terenie posesji. Przemykaliśmy pomiędzy tujami, chowając się przed spojrzeciami członków Moskiewskiej Braci, aż w końcu oparliśmy się plecami o budynek, ciężko dysząc.

Niedaleko nas znajdowało się zejście do piwnicy i tymi właśnie drzwiami mieliśmy się dostać do środka. Na zasuwie tkwiła zamknięta kłódka, z którą szybko poradził sobie jeden z ludzi Dina. Uchyliliśmy powoli drewniane skrzydła, uważając przy tym, żeby nie wydały z siebie żadnego dźwięku. W piwnicy, w której czasem kogoś przetrzymywali, aktualnie nikt nie przebywał, jak wynikało z informacji Lasowa.

Zeszliśmy po betonowych schodach do małego pomieszczenia, w którym znajdowały się

uchylone drzwi prowadzące na korytarz. Miejsca na dole było zaledwie dla kilku osób, więc kiedy obok mnie pojawiła się Payton, skierowaliśmy się w głąb piwnicy. Vito szedł na samym przodzie, ramię w ramię z Robertem; obaj mieli wycelowane przed siebie lufy pistoletów. Przez pierwsze kilka metrów korytarza nie widzieliśmy żadnych drzwi. Zobaczyliśmy je, dopiero gdy dotarliśmy do większego pomieszczenia. Za nimi najpewniej znajdowały się cele. Nie docierały jednak do nas żadne odgłosy, zatem skinęliśmy do siebie i ruszyliśmy dalej. Najwyraźniej faktycznie nikogo nie przetrzymywali.

Zaraz za pomieszczeniem z celami weszliśmy w korytarz, który zakończył się kolejnym pokojem – tym razem ze schodami prowadzącymi na parter domu. Zatrzymaliśmy się.

Rozejrzałem się po niemalże pustym otoczeniu, w którym jedynym źródłem światła były nasze latarki przymocowane do luf pistoletów. Oprócz schodów i drzwi na ich szczycie pod jedną ze ścian stało biurko ze starym stacjonarnym komputerem. Podszedłem do niego, spoglądając co jakiś czas pod nogi, żeby nie wejść w coś, co mogłoby narobić niepotrzebnego hałasu. Monitor był wyłączony, za to z jednostki dotarł do moich uszu lekki szum. Komputer był uruchomiony, co spowodowało, że serce załomotało mi w piersi. Kto normalny zostawia włączony komputer, jeśli nie zamierza zaraz do niego wrócić? Nie wiedziałem, czy ów sprzęt zawsze tak pozostawiali, czy może ktoś przebywał w piwnicy, a tylko na chwilę wyszedł.

Rzuciłem okiem na zegarek na nadgarstku. Pierwsza w nocy. Kurwa, godzinę zajęło nam dotarcie tutaj, a musieliśmy się jeszcze niepostrzeżenie dostać na parter i rozpierzchnąć po pokojach.

– Kurwa – mruknąłem cicho, przylegając do ściany zaraz obok komputera, kiedy usłyszałem odgłos przekręcanego zamka w drzwiach.

Jak na zawołanie wszyscy wyłączyliśmy latarki. Zanim piwnicę zalała ciemność, zobaczyłem, że Vito i Roberto schowali się za rogiem ściany obok stopni. Ktokolwiek zamierzał do nas zejść, nie miał szans ich zobaczyć. Payton i Dino schowali się pod schodami, więc też byli bezpieczni. Reszta zapewne zawróciła do poprzedniego pomieszczenia. Ja zaś stałem przy komputerze, wpatrując się w schody. Byłem na linii strzału i doskonale o tym wiedziałem, ale bezgranicznie ufałem wszystkim, którzy zostali.

Miałem tylko nadzieję, że zdołają się domyślić, że chciałem zostać zauważony, żeby mogli pozbyć się żołnierza Siergieja.

Usłyszałem skrzypienie drewnianych schodów, a po chwili ciche pstryknięcie i całe pomieszczenie zalało światło docierające ze smętnie zwisającej z sufitu żarówki. Nie powodowała jakiejś wielkiej jasności, lecz mimo wszystko świeciła na tyle mocno, że wiedziałem, że ktokolwiek tu wszedł, zaraz mnie zobaczy.

Wysunąłem przed siebie ramiona, zaciskając je na uchwycie, a palec położyłem na spuście. Powoli, starając się być jak najciszej, odbezpieczyłem kciukiem broń i czekałem. Czekałem na moment, w którym będę mógł w końcu odebrać życie komuś, kto przyczynił się do śmierci mojego brata.

Kroki na schodach stawały się coraz głośniejsze. Powoli wypuściłem spomiędzy warg powietrze, skupiając cały wzrok i umysł na schodach.

Najpierw zobaczyłem czyjąś stopę, a zaraz potem dłoń. Zanim zdążyłem nacisnąć na spust, usłyszałem cichy odgłos wystrzału, a zaraz potem kolejny – nieco głośniejszy, jednocześnie czując palący ból w klatce piersiowej.

– Silvio! – krzyknęła Payton, jednak zamroczony bólem byłem w stanie tylko zgiąć się wpół i upaść na kolana, przyciskając rękę do piersi.

Kurwa, znowu?

Rozdział pięćdziesiąty

Roberto

Zaraz po tym, jak usłyszałem cichy świst wystrzału i jęk mężczyzny, który wcześniej schodził do piwnicy, nastąpił drugi, głośniejszy wystrzał. Silvio sapnął, przyciskając dłoń do torsu i upadając na kolana, a członek Moskiewskiej Braci spadł ze schodów, zapewne chwiejąc się na przestrzelonym przez Payton lub Dina kolanie. Jak tylko zobaczyłem przed sobą jego przerażoną twarz, nie wahałem się ani chwili – strzeliłem mu w głowę. Zaraz po tym Payton podniosła nieco głos, wołając Silvia i ruszając w jego stronę. Wszyscy mieliśmy kamizelki, więc wiedziałem, że nic mu się nie stało, jedynie zamroczył go ból, a po wszystkim zapewne miał mu zostać ogromny siniak. To było nic w porównaniu z tym, co mogłoby się wydarzyć, gdyby nie miał na sobie dodatkowego zabezpieczenia.

Vito spojrzął na ułamek sekundy na klęczącego na posadzce brata, a zaraz po tym przeniósł wzrok na mnie. Rozumieliśmy się bez słów.

Przesunęliśmy trupa za ścianę, po czym stanęliśmy u podnóża schodów, celując bronią w stronę drzwi. Nasłuchiwalismy odgłosów zbliżających się ludzi Siergieja, jednak niczego podejrzanego nie słyszeliśmy. Piwnica musiała być całkiem nieźle wygłuszona, co wcale mnie nie dziwiło, biorąc pod uwagę fakt, że w poprzednim pomieszczeniu znajdowały się cele. Po kilkunastu minutach oczekiwania i chwilę po tym, jak Silvio w końcu do nas podszedł, ruszyliśmy po schodach na parter. Idąc jako pierwszy, cały czas celowałem w drzwi; tak na wszelki wypadek. Uważnie też stapałem po drewnie, bo mimo niemal dźwiękoszczelnej piwnicy nie zamierzałem ryzykować nakrycia nas przez ludzi Siergieja.

Nie w tak głupi sposób.

Przystanąłem przy drzwiach, widząc pozostawione w nich klucze. Zerknąłem pytającym wzrokiem na Vita, a ten skinął do mnie głową. Nadchodziła chwila prawdy. Nie wiedzieliśmy, czy za drzwiami było pusto, czy może czekał na nas już komitet powitalny, żeby powystrzelać nas jak kaczki, lecz to nie miało znaczenia. Wzięłem głębszy wdech powietrza, po czym wypuściłem je spomiędzy zaciśniętych zębów i chwyciłem klamkę. Jednocześnie Vito przytrzymał w palcach klucze, żeby nie wydały z siebie żadnego dźwięku, przy okazji sprawdzając, czy zamek aby na pewno był otworzony.

Był.

Nacisnąłem powoli klamkę i lekko popchnąłem drzwi, wyglądając przez szparę w stronę holu. Dookoła panowała ciemność. Znajdowaliśmy się gdzieś po północnej stronie budynku, a do biura z ochroniarzem patrzącym na kamery mieliśmy dobre kilkanaście metrów. To, że na korytarzu było ciemno, działało tylko na naszą korzyść. Według Lasowa kamery nie miały wmontowanego noktowizora, zatem nikt nie mógł nas zobaczyć. Uśmiechnąłem się do siebie, a następnie otworzyłem szerzej drzwi i wychyliłem się zza nich, żeby sprawdzić drugą część holu.

Pusto.

Gdzieś w oddali słyszałem rozmowy prowadzone przez trzech mężczyzn, oczywiście po rosyjsku, ale byli daleko i raczej nie szli w naszą stronę. Machnąłem dłonią do reszty, że mogliśmy wychodzić.

Mieliśmy do pokonania schody, które znajdowały się kilka metrów od pokoju z monitoringiem. Kamery ich nie obejmowały, jednak było przy nich coś innego – zamontowane światło na czujnik ruchu. Musieliśmy się jak najszybciej dostać na piętro, gdzie część ludzi Dina miała za zadanie ustawić ładunki wybuchowe w wentylacji. Tym razem nie zamierzaliśmy konfigurować czasowego zapłonu: miał on nastąpić zdalnie. Nie wiedzieliśmy, ile dokładnie czasu mogło nam zająć załatwienie Siergieja, więc tak było zdecydowanie dla nas bezpieczniej.

W końcu podeszliśmy pod schody, idąc wzdłuż ścian i przyciskając się do nich plecami. Zaraz za mną szedł Vito, a za nim Payton, Silvio, Dino i kilkoro z jego ludzi – ci odpowiedzialni za ładunki. Reszta miała rozpierzchnąć się po parterze i piwnicy, czekając na dogodny moment. My mieliśmy najważniejsze zadanie – obciąć łeb żmii. Z martwym Siergiejem Moskiewska Brac nie miała z nami

najmniejszych szans.

Ustawiliśmy się po trzy osoby w czterech grupkach tuż pod schodami. Czujnik ruchu znajdował się w rogu sufitu na półpiętrze. Odetchnąłem głęboko, starając się zrobić to możliwie jak najciszej, ponieważ czekał nas sprint po schodach. Chwała Bogu za militarny sprzęt, dzięki któremu nawet bieganie nie powodowało niepotrzebnego hałasu. Uniosłem dłoń, odliczając na palcach trzy sekundy, a jak tylko zacisnąłem ją w końcu w pięść – ruszyłem biegiem, przeskakując od razu po dwa stopnie. Już po kilku krokach zapaliło się światło na schodach, a z oddali usłyszałem jakieś rosyjskie przekleństwo. Na szczęście zanim ktokolwiek zdążył nas zobaczyć, znaleźliśmy się wszyscy na korytarzu na pierwszym piętrze. Spowity był w ciemnościach.

W tym miejscu się rozdzieliliśmy. Zgodnie z ustaleniami Dino pobiegł ze swoimi ludźmi w przeciwną stronę, a my skierowaliśmy się na południe budynku do sypialni Siergieja, która niegdyś należała do Bolesława Letowa. Szliśmy szybko, nie używając nawet latarek do doświetlania drogi, przez co musiałem przesunąć dłonią po chropowatej powierzchni ścian, żeby dokładnie wiedzieć, ile drzwi minęliśmy po drodze. Szóste po prawej stronie były naszym celem. Trzecie zaś – według zdobytych przez nas informacji – prowadziły kiedyś do sypialni Zoi.

W końcu, gdy dotarliśmy do celu, a na parterze wywiązała się między dwoma Rosjanami głośna rozmowa, nacisnąłem na klamkę, ale ta ani drgnęła.

– Kurwa – mruknąłem cicho, chwytając Vita za ramię. Wyciągnąłem wytrych z kieszeni spodni.
– Poświęć mi, tylko daj latarkę na minimum. – Nie potrzebowałem dużo światła, a im mniej go było, tym większe były nasze szanse na niezłapanie przez kamery.

Kiedy wsunąłem narzędzie do dziurki od klucza, zacząłem nim powoli poruszać, podważając ząbki w zamku i jednocześnie nasłuchując kliknięć. W końcu, po żałośnie dłużących się sekundach, rygiel się przesunął. Z radością otworzyłem drzwi i przekroczyłem próg, uprzednio wyciągając przed siebie broń.

Wszedłem do środka, uśmiechając się do siebie jeszcze szerzej.

W końcu byłem w jaskini skurwiela, którego mieliśmy za kilkanaście minut pozbawić życia i – kurwa – to uczucie rosnące w moim wnętrzu było nie do opisania. Radość mieszkająca się z ulgą wypełniona płynącą w moich żyłach adrenaliną, pompowaną w zastraszającym tempie przez głośno bijące serce; tak głośno, że odniosłem wrażenie, jakby reszta też je słyszała.

Weszliśmy w końcu wszyscy w głąb sypialni Siergieja, a jak tylko Payton zamknęła drzwi, odetchnąłem z ulgą. Najgorsze było już za nami.

– Muszę jakoś zaryglować z powrotem zamek – wymamrotałem, krzywiąc się. Nagle zdałem sobie sprawę z tego, że skoro wcześniej było zamknięte, to Siergiej, wchodząc do sypialni, mógł się domyślić, że coś jest nie tak.

– Tu leży jakiś klucz – szepnęła nagle Payton. – Może pasuje.

Nie widziałem, co robiła, ale doskonale to usłyszałem – metaliczny odgłos ocierającego się metalu o metal, a zaraz po tym charakterystyczne kliknięcie rygla. Odetchnąłem z ulgą. Wszystko wyszło idealnie – nie licząc drobnego problemu w piwnicy – i pozostało nam jedynie czekać na przybycie Siergieja.

Już wcześniej ustaliliśmy, jak to ma wyglądać, więc gdy rzuciłem okiem na zegarek, podświetlając go jednym kliknięciem w odpowiedni przycisk, chrząknąłem cicho. Druga dwadzieścia. Musieliśmy zająć nasze miejsca.

Payton i Silvio schowali się pod łóżkiem – sądząc po odgłosach szurania niedaleko. Ja z kolei stanąłem obok drzwi – tak że kiedy się otworzą, nie zostanę zauważony. Vito zaś... on miał czynić honory egzekucji. Usiadł na fotelu stojącym w kącie sypialni, wyciągnął przed siebie broń i wycelował lufę w drzwi.

Nie pozostało nam nic innego niż czekanie, aż Siergiej się pojawi. Potem musieliśmy mu już tylko pokazać, jak bardzo się pomylił, decydując się na wojnę z nami.

Rozdział pięćdziesiąty pierwszy

Vito

Wlepiłem spojrzenie w drzwi, w myślach widząc już, jak trafiam Siergieja w łeb. Miałem zajebiście dobre przecucia co do powodzenia akcji. Wielkimi krokami zbliżała się godzina, w której miał rozpocząć się skoordynowany atak.

Dokładnie o drugiej trzydziści usłyszałem ciężkie kroki na korytarzu, a do tego śmiech jakiejś dziewczyny. Zmarszczyłem brwi, zaciskając mocniej dłoń na uchwycie.

– Nie wejdź pierwsza. Nie wejdź pierwsza – mamrotałem do siebie, czując na sobie niespokojny wzrok Roberta; nie widziałem go, ale po prostu to, kurwa, czułem.

Usłyszałem dźwięk przekręcanego klucza w drzwiach, a zaraz po tym jeszcze głośniejszy śmiech pijanej dziewczyny.

Kurwa – pomyślałem w tym samym momencie, w którym skrzypnęły drzwi.

Nie ruszyłem się nawet o milimetr. Miałem wrażenie, że przestałem oddychać. Nikt nie nacisnął włącznika światła. Nie miałem pewności, czy ten ktoś, kto wszedł do sypialni z dziewczyną, był na pewno Siergiejem, jednak kimkolwiek by nie był – i tak miała spotkać go śmierć.

Czekałem na dogodny moment. Tak samo jak reszta. W głowie powtarzałem sobie tylko: „Roberto, nie zaświeć światła za szybko”. Wodziłem wzrokiem po ciemnym pomieszczeniu, całkowicie zdając się na zmysł słuchu. Najpierw jęk, potem śmiech i czyjeś gardłowe mruknięcie. Zaraz po tym metaliczny dźwięk odpinanej sprzączki paska, a chwilę później zgrzyt zamka i szelest ubrań. Znowu chichot. Potknięcie się.

– Siergiej! – Z ust kobiety wydobył się głośny pisk; do moich uszu dotarł odgłos czegoś twardego upadającego na materac łóżka.

Biedni ci, którzy leżeli pod nim.

Kolejny szelest, tym razem foliowego opakowania. Nie ruszałem się. Wciąż czekałem. Mogli się przy mnie pieprzyć, miałem to gdzieś. Czekałem wyłącznie na jeden dźwięk; jeden odgłos, który pozwoli nam się w końcu pokazać Siergiejowi.

– Odłóż broń! – Zachichotała.

Uśmiechnąłem się na to słowo usłyszane z ust pijanej i rozchichotanej dziewczyny.

Tak, Siergiej. Posłuchaj się, poprosiłem go w myślach.

Znowu warknięcie, a potem... coś, na co długo czekałem. Tapnięcie upadającej na deski pokryte dywanem broni. To był ten moment. Nasz moment.

Głośne jęknięcie i warknięcie, a potem błysk światła i krzyk kobiety. Miała przerażenie w swoich wielkich, naćpanych oczach.

Widziałem dezorientację na twarzy Siergieja, gdy w końcu dotarło do niego, że coś było nie tak jak powinno. Widziałem błysk wściekłości w jego oczach i próbę rzucenia się w stronę broni, której na dywanie już dawno nie było. Payton albo Silvio musieli się nią odpowiednio zająć, kiedy Siergiej rzucił ją na podłogę.

– Dobrze cię widzieć, Siergiej! – wyrzuciłem z siebie, uśmiechając się szeroko i jednocześnie ruszając nadgarstkami tak, że lufa pistoletu raz wy kierowana była w jego brzuch, a raz w głowę. – Co, nie przywitasz się? To niekulturalne z twojej strony.

– Nie spodziewałem się ciebie tutaj – powiedział w końcu, siląc się na spokojny ton głosu, lecz widziałem, jak niebezpiecznie drgała mu szczęka; grał opanowanego, ale nie do końca mu się to udawało.

Mocnym szarpnięciem przyciągnął do siebie kobietę, owijając ramię wokół jej szyi, i uśmiechnął się szyderczo. Parsknąłem na jego ruch śmiechem, bo najwidoczniej sądził, że byliśmy w jego sypialni tylko we trójkę. Nie spuszczał ze mnie wzroku, więc zapewne nie zauważył Roberta stojącego obok drzwi i celującego do niego z broni. Nie widział też Silvia ani Payton. Wyszli spod łóżka i stanęli za nim, mierząc w jego głowę.

Był w potrzasku i nawet o tym, kurwa, nie wiedział. To był piękny widok. Raj dla moich oczu i ukojenie dla duszy.

– To znaczy, że nasza niespodzianka się udała – stwierdziłem, uśmiechając się. – To dobrze. Długo ją planowaliśmy.

– Nie wyjdiesz stąd żywy, Bellomo. Moi ludzie zawsze patrolują korytarze i wystarczy, że krzyknę, a wpadną tutaj i rozstrzelają cię jak zwierzynę – warknął, mocniej zaciskając ramię wokół szyi niewinnej kobiety. Posiniała na twarzy.

– Nieładnie kłamać. – Zaczekałem, kręcąc przy tym z niezadowoleniem głową. – Może i patrolują korytarze, jednak obawiam się, że twoi ludzie już nie żyją albo są teraz bardzo zajęci. – Uśmiechnąłem się ironicznie.

Zapadła cisza przerywana jedynie krzykami i nieco przygłuszonymi odgłosami wystrzałów dochodzących z parteru. Akcja się rozpoczęła, a my siedzieliśmy spokojnie, czekając.

– Puść dziewczynę, Siergiej – powiedziałem chłodnym tonem. – Przegrałeś. Pogódź się z tym.

– Nie. – Jeszcze mocniej docisnął ramię do krtani kobiety, a ona otworzyła usta, próbując złapać powietrze, jednocześnie mocno wytrzeszczając oczy.

Zacisnąłem wolną dłoń w pięść.

I nagle... Siergiej zamarł, a determinacja i uśmiech zniknęły z jego oblicza. Silvio za to uśmiechał się do siebie, przytykając lufę do potylicy skurwiela, któremu patrzyłem w oczy.

– Sam widzisz – odezwałem się, wstając z fotela, po czym wyciągnąłem dłoń w jego stronę. – Przegrałeś, dlatego puść ją i przyjmij na klatę przeznaczenie. Próbowaleś nas zniszczyć. Zabiłeś mojego brata i jego żonę. Doprowadziłeś do śmierci ludzi na pokładzie samolotu. Porywałeś i sprzedawałeś do burdeli kobiety, nie przejmując się ich życiem. Choć raz w życiu zmeźnij i weź odpowiedzialność za to, na co sobie zasłużyłeś.

– Pierdol się, Bellomo – warknął. – Jeśli mam zginąć, to ona zginie ze mną – rzucił z błyskiem w oku, zapewne sądząc, że to mogło mnie powstrzymać.

– Mam ją w dupie – odparłem chłodnym i zdecydowanym tonem głosu, kierując lufę na klatkę piersiową dziewczyny.

Naćpana nieznajoma była ofiarą konieczną. Dokładnie tak jak mój kierowca.

– Nie zabijesz niewinnej kobiety – mruknął z przekonaniem, zaciskając palce jednej dłoni na ramieniu dziewczyny, gdy ta próbowała mu się wyrwać.

– Nie? – zapytałem, unosząc brew. – Wiesz... – chrząknąłem, celując lufą w udo kobiety – ...napsułeś mi tyle krwi, że wchodząc dzisiaj na ten teren, obiecałem sobie jedno. – Przeniosłem palec na spust. – Nic mnie dziś nie powstrzyma przed zabiciem cię – wycodziłem przez zaciśnięte zęby, naciskając spust. Nawet nie mrugnąłem przy tym okiem.

Po pokoju rozniósł się cichy odgłos wystrzału. Dziewczyna pisnęła, a czerwona ciecz niemal od razu zalała jasną pościel. Siergiej nerwowo poruszył przełykiem, zapewne przełykając nagromadzoną w ustach ślinę, a następnie spojrzął na mnie z udawaną obojętnością. Czułem, że jego pewność siebie zniknęła bezpowrotnie, a do niego w końcu dotarło, że przegrał.

Przegrał z kretesem.

– Puść dziewczynę, Siergiej – warknąłem, na powrót celując bronią w klatkę piersiową bladej z przerażenia kobiety. Zaciskała dłoń na krwawiącej ranie na udzie, ale słabła z każdą chwilą. – Puść ją, do kurwy! Chociaż raz w życiu zrób coś dla kogoś, a nie dla siebie! – wydarłem się, czując narastającą wściekłość.

– Możesz mnie zabić, kutasie – syknął, mocniej zaciskając ramię na odpływającej już kobiecie. – Tyle że po mojej śmierci znajdzie się kolejna osoba, która rozszerzy działalność Moskiewskiej Braci. Zginiecie z jego ręki tak samo jak Salvatore i Zoja. Śmiercią idiotyczną, bo na nic więcej nie zasługujecie. Zgnijecie w czyjejs piwnicy, zaślepieni swoim szacunkiem do kobiet i chęcią naprostowania świata. Umrzecie, naiwnie sądząc, że udało wam się nas pokonać, ale nawet gdy nie...

– Mam dość twojego pierdolenia – przerwałem mu znużonym tonem, naciskając spust, a kolejny świst przeszył powietrze.

Kula musiała utkwąć w ciele kobiety, gdzieś w okolicy obojczyka, ponieważ Siergiej nawet nie

jęknął z bólu; jego twarz zaś zrobiła się blada jak ściana. Zanim zdążył cokolwiek zrobić, jakkolwiek zareagować, oddałem kolejne kilkanaście strzałów. Dziewczyna nie miała już szans na przeżycie. Ukróciłem tylko jej cierpienie. Zresztą czymże była jedna ofiara w skali tysięcy uratowanych kobiet?

Niczym.

Złem koniecznym.

Silvio i Payton z mordercą w oczach oddawali kolejne strzały, rozszarpując plecy mężczyzny; Roberto zaś celował ambitniej – w głowę Siergieja. Jasna pościel pływała już we krwi, a patrząc na zmasakrowane ciała dziewczyny i Wetrowa, szczerze wątpiłem, że ktoś mógłby ich rozpoznać. Wyglądali, jakby wpadli pod rozpedzoną ciężarówkę. Doskonale widziałem kości prześwitujące spod rozszarpanej skóry tego gnoja. Jego lewa strona, ta w którą celował Roberto, była jedną wielką czerwoną mazią. A tors pokryty był posoką i nie byłem w stanie nawet rozróżnić, gdzie kończyło się ciało kobiety, a zaczynało Siergieja.

Uniosłem wzrok z ciał na Silvia, a on zrobił dokładnie to samo. Uśmiechnąłem się do niego, z ulgą wypuszczając spomiędzy warg powietrze. Zabiliśmy go. Nastął koniec Moskiewskiej Braci. Dokonałiśmy upragnionej zemsty. W końcu poczułem wewnątrz siebie spokój. Dokładnie w tym samym momencie poczułem też, że w końcu mogłem odetchnąć, odsunąć na bok wściekłość i...

Zacząć odczuwać żal po stracie brata.

Nie byłem pewien, o czym myślał Silvio, ale sądząc po jego błyszczących oczach, musiał myśleć o tym samym. Przez cały ten czas byliśmy tak skupieni na zemście i zlikwidowaniu Moskiewskiej Braci, że nie mieliśmy czasu na żalobę. Nie mogliśmy oddawać się przykrym uczuciom ani tym bardziej pozwolić im na zawładnięcie naszymi umysłami. Mieliśmy przecież zadanie do wykonania, a kiedy w końcu udało nam się dokonać egzekucji – żal i tęsknota za bratem dopadły mnie ze zdwojoną siłą.

Upadłem na kolana, upuszczając broń na podłogę. Schowałem głowę pomiędzy ramionami i bezgłośnie zapłakałem. Łzy popłynęły mi po policzkach, w ustach czułem żółć.

Straciłem brata. Chyba dopiero w tamtym momencie to do mnie w pełni dotarło.

Rozdział pięćdziesiąty drugi

Silvio

Nie zamierzałem płakać, ale łzy same cisnęły mi się do oczu. Nie upadłem na kolana – tak jak Vito to zrobił – chyba tylko dzięki Payton. Objęła mnie w pasie ramionami, głaszcząc po plecach. Patrzyłem zamglonym wzrokiem na truchło Siergieja i targały mną wszystkie emocje świata. Smutek, żal, tęsknota i wściekłość, że dopiero po takim czasie udało nam się zniszczyć tego skurwiela.

– Musimy iść – usłyszałem stanowczy ton Roberta, więc od razu odwróciłem wzrok w jego stronę.

Nie patrzył na mnie; patrzył na Vita. Westchnąłem ciężko. Złapałem Payton za nadgarstki i odsunąłem ją od siebie, przelotnie całując w usta. Była moją żoną, jednak w tamtym momencie to brat mnie bardziej potrzebował niż ona. Podszedłem do Vita, chwyciłem go pod ramiona i uniosłem. Objąłem go ciasno, przyciskając policzek do jego policzka.

– Bracie... Salvatore spogląda teraz na nas z góry z triumfem w oczach – powiedziałem, siląc się na spokojny ton. – Dokończmy zemstę. Na pewno nie wszyscy jeszcze zostali zamordowani.

W odpowiedzi usłyszałem głośne westchnięcie, a zaraz potem poczułem, że się spał. Odsunąłem się od niego i spojrzeliśmy sobie w oczy. Nie wiedziałem, co było w moich, lecz w jego widziałem czystą furię i chęć mordy. Ścisnąłem go mocniej.

– Co ty na to, żeby rozpierdolić ich do końca, ramię w ramię? – zapytałem, uśmiechając się w sposób, który Payton nazywała „uśmiechem diabła”.

– Ramię w ramię – powtórzył od razu, zaciskając palce na moich ramionach, po czym głośno odetchnął. – Dla Salvatore’a.

– I Zoi.

– I tych wszystkich kobiet – dopowiedziała Payton.

– I za to, że chcieli nas, kurwa, zlikwidować – warknął Roberto. – Ale chodźmy już, kurwa, bo mam zakład do wygrania, a zaraz nie będzie kogo zabijać.

Payton wytrzeszczyła na niego oczy, a następnie zmarszczyła brwi i prychnęła pod nosem.

– I tak przegrasz – burknęła, na co Vito parsknął śmiechem.

Wrócił już do bycia typowym spokojnym Vitem, choć dalej w jego oczach widziałem furię. Schował głęboko w sobie żal i tęsknotę, a na wierzch pozwolił wypłynąć wszystkim negatywnym uczuciom, które żywił do Rosji.

Odsunąłem się od niego, by podejść do Payton i wpić się mocno w jej usta, od razu wpychając do środka język. Całowałem ją zachłannie, w oddali słysząc jęk frustracji, który zapewne pochodził od Roberta.

– Kurwa, przestańcie się migdalić.

Odsunąłem się od żony kilka sekund później i spojrzałem w jej oczy wypełnione zdeterminowaniem i miłością do mnie.

– Uważaj na siebie – wymruczałem, muskając palcami jej policzek.

– Ty też. – Objęła moją dłoń i ruszyliśmy w stronę wyjścia z sypialni.

Roberto wychylił się zza drzwi, a po chwili otworzył je szerzej i machnął na nas dłonią. Na korytarzu było jasno, a na podłodze leżały ciała – w większości członków Moskiewskiej Braci. Gdzieś pod czwartymi drzwiami leżał jeden z ludzi Dina, na co skrzywiłem się do siebie. Kucnąłem obok niego i zamknąłem mu oczy, a zaraz po tym poczułem jeszcze większą ilość adrenaliny rozplywającej się po ciele. Zjeżyły mi się włoski na karku. Odwróciłem się bez wahania i nacisnąłem spust, trafiając skurwysyna w łeb, gdy wychylił się zza rogu. Krew rozbryzgnęła się na ścianie za nim. Zaraz po tym wstałem i poszliśmy w stronę schodów. Trupów na korytarzu było pełno, ale oprócz tego jednego pod czwartymi drzwiami nie widziałem więcej ciał naszych ludzi, co przyjąłem z nieskrywaną ulgą.

Schodziliśmy ramię w ramię po schodach, coraz bardziej zbliżając się do odgłosów toczącej się walki, aż w końcu przystanęliśmy na półpiętrze. Wychyliłem się zza balustrady, lustrując uważnie okolicę. Nikogo nie widziałem, więc ruszyłem do przodu, a niedługo po tym poczułem ruch powietrza spowodowany kulą, która świsnęła obok mojego ucha. Sekundę później zobaczyłem upadającego

członka Moskiewskiej Braci za rogiem.

– Jeden zero – skomentował Roberto, na co w odpowiedzi usłyszałem prychnięcie Payton. Zaśmiałem się w myślach, kręcąc głową, kiedy Vito mruknął:

– Jak, kurwa, dzieci.

Miał rację, tyle że ja akurat kochałem tę stronę Payton. Tę wariatkę, która nie miała nic przeciwko zabijaniu złych ludzi.

Jak tylko stanęliśmy na środku korytarza, zobaczyliśmy piekło. Zewsząd latały kule, a pomiędzy odgłosami wystrzałów słyszałem mieszaninę rosyjskich i włoskich przekleństw. Nie czekając na resztę, podążyłem przed siebie, nawet na chwilę nie opuszczając broni. Celowałem raz w nogi, raz w głowę – w zależności od sytuacji. Rosjanie upadali z głuchym łoskotem na ziemię, brudząc krwią ściany i podłogę, a ja uparcie parłem do przodu. Miałem wrażenie, że wstrzymywałem na długo powietrze, a przez większość czasu nawet nie mrugałem. Byłem rozluźniony, jednak na każdym kroku czujny.

Mijałem kolejne pomieszczenia, zaglądając do środka. Gdzieś za mną szła Payton, ubezpieczając moje tyły; Roberto i Vito poszli w przeciwnym kierunku. Jedno pomieszczenie – ledwo żyjący Rosjanin. Zanim zdążyłem do niego strzelić, Payton zrobiła to za mnie, rozkwaszając mu kulą twarz.

– No co? – zapytała, wzruszając ramionami. Mrugnęła i wyszła z powrotem na korytarz.

Brakowało jeszcze tego, żeby podskoczyła przy tym radośnie jak jakaś pieprzona rusalka. Miałem żonę-sadystkę.

– Idziesz czy co robisz?! – zawołała.

Potruchtałem za nią, wyrzucając z głowy myśli o tym, jak bardzo kręciła mnie ta konkretna wersja Payton. Tym razem to ona szła z przodu, a ja odwrócony do niej plecami ubezpieczałem nasze tyły. Coraz bardziej zbliżaliśmy się do drzwi prowadzących do piwnicy, a za nimi korytarz kończył się po kilku metrach.

Następne pomieszczenie – puste.

Któreś z kolei – tym razem to ja oddałem ostatni strzał, prosto w serce członka Moskiewskiej Braci. Patrzył na mnie beznamiętnym wzrokiem, niezdolny nawet do uniesienia ręki. Krew znowu trysnęła dookoła truchła. Uśmiechnąłem się do siebie szeroko.

W końcu trafiliśmy na koniec korytarza i kolejnych trupów na ziemi. Zawróciliśmy w stronę centrum domu, skąd docierały do nas dalej odgłosy wystrzałów, ale już nie tak częste jak wcześniej.

Ponownie to ja szedłem pierwszy, a Payton za mną, odwrócona plecami. Nie naciskaliśmy spustów, bo wszędzie było pusto. Minąłem schody. Usłyszałem huk, a potem pełen bólu jęk żony. Odwróciłem się, celując bronią w stronę, z której dotarł do mnie odgłos wystrzału i wbiłem kulę w członka Moskiewskiej Braci, który szykował się do jeszcze jednego strzału. Gdy upadł na schody, spojrzałem na Payton. Czulem narastającą we mnie panikę. Jej twarz wykrzywiona była w grymasie, a prawa dłoń zaciskała się na lewym ramieniu; spomiędzy jej palców wypływała krew.

– Kurwa – warknąłem, obejmując ją. Zawróciłem, próbując jednocześnie zlokalizować Roberta i Vita, niestety nigdzie ich nie widziałem. – Dasz radę iść?

– Tak. Dostałam w ramię, a nie w nogę.

Chciałem jej coś odwarknąć, ale ugryzłem się w język. Sam pewnie bym się do niej gorzej odezwał, gdybym został postrzelony, więc postanowiłem milczeć. Trzymałem jedną rękę na jej głowie, przyciskając ją do torsu, a drugie ramię – to z bronią – wyciągnięte przed siebie.

W końcu dotarliśmy do jakiejś wnęki przy komodzie, gdzie wcisnąłem Payton do środka i zacisnąłem dłoń na jej palcach, w których trzymała glocka.

– Idę im pomóc. Siedz tu i się nie ruszaj. Zaraz po ciebie wrócę – zarządziłem; najchętniej zostałbym z nią, jednak wiedziałem, że nie przedostałbym się przez cały budynek z ranną kobietą. – Ile masz jeszcze magazynków?

– Trzy – odpowiedziała, co przyjąłem z ulgą, mimo to... Przeworny zawsze ubezpieczony.

Rozejrzałem się dookoła, aż w końcu oczy zatrzymały się na kałasznikowie leżącym obok martwego członka Moskiewskiej Braci. Bez wahania podbiegłem do trupa, zabrałem broń i wróciłem do Payton. Sprawdziłem jeszcze magazynek; był pełny.

– Jesteś w stanie go utrzymać? – zapytałem.

Od razu chwyciła karabin i spróbowała go unieść.

Nie dała rady. Broń wyslizgnęła się jej spomiędzy palców.

– Dobra. To zostaje glock – szepnąłem i musnąłem ustami jej wargi. – Zaraz wracam. Nie ruszaj się stąd, dobrze?

– Dobrze. – Starła się uśmiechnąć, jednak wyszedł jej z tego tylko grymas. – Zostanę tu.

Pokiwałem głową i jeszcze raz musnąłem jej usta, po czym wstałem i ruszyłem przed siebie. Wyrzałem zza rogu i od razu wycelowałem w dwójkę mężczyzn stojących po drugiej stronie. Byli odwróceny do mnie plecami. Nacisnąłem spust, trafiając w kolano jednego z nich, a następnie oddałem drugi strzał – jak tylko fiut odwrócił się do mnie twarzą. Zaraz po tym w moim kierunku poleciała seria z karabinu, na szczęście zdążyłem schować się za róg. Upadłem na ziemię, chowając twarz za jakąś paprotką w pierdolonej donicy wielkości skrzyni z granatami, którą przywieźli Vito i Roberto. Po chwili zza niej wyrzałem. Mężczyzna czał się za przewróconym stołem po drugiej stronie pomieszczenia. Uśmiechnąłem się do siebie, widząc w odbiciu szyby, że rozglądał się dookoła, jakby nie wiedział, gdzie mógł się ukrywać.

W tym czasie z jednego z korytarzy wyszedł Vito z wyciągniętą przed siebie bronią. Szedł w stronę stolika, choć miałem wrażenie, że nie zauważył, że ktoś tam był.

– Kurwa – wymamrotałem. Wychyliłem się zza donicy i strzeliłem.

Jako jedyni mieliśmy zamontowane tłumiki, sądząc po głośnych odgłosach wystrzałów dookoła nas, więc Vito od razu się zorientował, że dawałem mu znak. Rosjanin wychylił się zza blatu z wyciągniętym przed siebie karabinem, lecz zanim zdążył cokolwiek zrobić, kula wystrzelona z pistoletu Vita utkwiała mu głęboko w czaszce.

– Silvio?

– Tu jestem – rzuciłem, unosząc się do pozycji siedzącej.

Vito pojawił się obok mnie chwilę później.

– Koniec, bracie – oznajmił, podając mi ramię. Od razu je chwyciłem i podciągnąłem się na nim.

– Na zewnątrz robimy egzekucję tych, których jeszcze nie zabiliśmy. Gdzie Payton?

– Ranna – odparłem, natychmiast ruszając do miejsca, w którym ją zostawiłem. – Payton? – zapytałem, zaglądając za wnękę. Przekląłem siarczyście. Krew odpłynęła mi z twarzy. – Payton! – ryknąłem, poruszając jej zwiotczalym ciałem.

Straciła przytomność, a krew dalej sączyła się z jej przestrelonego ramienia. Nie dociskała rany, a ja nie miałem nawet pojęcia, ile dokładnie to trwało.

Kurwa!

Wziąłem ją na ręce i zacząłem biec, a Vito ubezpieczał nasze przejście przez budynek – tak na wszelki wypadek, gdybyśmy jeszcze na kogoś natrafili. Mijaliśmy po drodze liczne ciała, ale nie zwracałem na nie w ogóle uwagi.

Payton była najważniejsza.

– Roberto! – ryknąłem, widząc szwagra przy Dinie niedaleko rzędu kłęczących Rosjan. – Potrzebujemy lekarza.

– Kto?! – zapytał, podbiegając, a kiedy jego wzrok padł na Payton w moich ramionach, warknął:

– Kurwa! Dobra. Do prosektorium!

– Prosektorium? Tego prosektorium? – zapytałem, kierując się szybko w stronę jednego z naszych terenowych samochodów.

– Tak, tego. – Otworzył mi drzwi. – Dam Doktorowi znać, że zaraz tam będziecie.

– Dzięki – wymamrotałem, wskakując do środka, po czym spojrzałem na Vita. – Rozpierzolcie ich.

– Daj od razu znać, co z nią. – Zacisnął dłoń na moim ramieniu w geście dodania mi otuchy. – Wyjdzie z tego. Jest silna.

Mam taką, kurwa, nadzieję, pomyślałem, spoglądając na jej bladą twarz. Boże, spraw, żebym jej nie stracił.

Rozdział pięćdziesiąty trzeci

Payton

Najpierw poczułam suchość w gardle, a dopiero później pieczenie w ramieniu. Jęknęłam głośno, jak tylko spróbowałam nim poruszyć, a nieznośny i niemal obezwładniający ból rozniósł się po całym moim ciele. Czułam pod sobą coś miękkiego, więc domyśliłam się od razu, że ktoś musiał mnie położyć na łóżku, a to oznaczało, że nam się udało. Przeżyliśmy. Pokonaliśmy Moskiewską Brać. Nie byłam pewna, ile tak dokładnie leżałam z zamkniętymi oczami i wykrzywionymi w uśmiechu ustami, ale kiedy usłyszałam skrzypienie drzwi, zmusiłam się do powrotu do rzeczywistości.

Poraziła mnie jasność, dlatego na powrót mocno zacisnęłam powieki. Ktoś stanął obok mnie, a zaraz po tym poczułam ciepły dotyk na ręce.

– Przyciemniłem rolety, więc możesz otworzyć oczy. Widzę, że nie śpisz – usłyszałam nieznamy głos, na co się cała spięłam. Mężczyzna chyba to wyczuł, bo puścił moją dłoń i ponownie się odezwał. – Jestem twoim lekarzem, Payton. Wysłałem Silvia pod prysznic, bo śmierdziało od niego na kilometr. Możesz do mnie mówić Doktor.

Te słowa pomogły mi się rozluźnić. Pamiętałam z opowieści Zoi, że niejaki Doktor pomógł im swego czasu w szpitalnym prosektorium, kiedy uciekali przed Moskiewską Bracią. Wiedziałam, że mogłam mu ufać. Uniosłam wzrok na mężczyznę. Patrzył na mnie ze zmartwieniem, ale też i z lekkim uśmiechem na ustach.

– Jak się czujesz? – zapytał, wieszając jakiś woreczek na stojaku na kroplówki.

– Boli mnie ramię i pić mi się chce – wycharczałam, krzywiąc się z bólu.

– To zrozumiałe. Spałeś ponad dwadzieścia cztery godziny – wyjaśnił. Podpiął kroplówkę do wenflonu wbitego w wierzch mojej ręki i zwilżył mi wargi nasączonym wodą wacikiem.

Oblizawałam z ulgą wilgotne usta.

– Chciałbym z tobą porozmawiać, zanim twój narwany mąż wróci.

– Coś nie tak? – zapytałam, wpatrując się w niego uważnie. Czułam narastającą gulę w gardle.

Bałam się, że miał dla mnie kiepskie wieści. Czułam ramię, jednak nie byłam w stanie nim ruszyć bez bólu. Czy to oznaczało, że coś zostało w nim uszkodzone?

Doktor usiadł na krześle, uśmiechając się ciepło.

– Zanim cokolwiek ci podałem, musiałem zrobić ci badania. Jest coś, o czym musisz wiedzieć, a kiedy i jak powiesz to mężowi, to już od ciebie zależy.

Poczułam się tak, jakby nagle zatrzymał się cały świat.

Boże, tak panicznie bałam się usłyszeć od niego kolejnych słów... Skinęłam mu w końcu, pozwalając mu dokończyć. Niewiedza była gorsza od wiecznego zastanawiania się nad tym, co mogło być ze mną nie tak.

Im dłużej mówił, tym większe miałam oczy, a w klatce piersiowej boleśnie mnie coś uciskało. Pod powiekami czułam piekące łzy, a mój oddech się spłycił. Zadrżałam na samą myśl o tym, jak wszystko miało dalej wyglądać. Jak miało wyglądać moje i Silvia życie. Przecież... dopiero co się poznaliśmy. Ledwo zaczęliśmy nasze wspólne życie i...

– Doktorze, wróciłem świeży i pachnący, więc...

Wzdrygnęłam się na dźwięk głosu Silvia, a Doktor od razu wstał z krzesła.

– Obudziłaś się! – Podbiegł do mnie, lecz gdy stanął obok łóżka, wbił we mnie zdezorientowane spojrzenie, po czym przeniósł wściekły wzrok na Doktora. – Co on ci zrobił?!

– Nic – odpowiedziałam szybko, chwytając dłoń Silvia, po czym pociągnęłam go w swoją stronę.

– To ze szczęścia, że żyję i nic mi nie jest, kochanie – szepnęłam, uśmiechając się uspokajająco.

Żółć podeszła mi do gardła na samą myśl o tym, że go okłamałam. Na szczęście chyba nie zauważył zmiany w wyrazie mojej twarzy, bo uśmiechnął się czule i pocałował mnie delikatnie w usta.

Doktor bezszelestnie wyszedł z pomieszczenia, zanim jednak zamknął za sobą drzwi, zerknął na

mnie porozumiewawczo. Nieznacznie kiwnęłam do niego głową. Wiedziałam, że nie mogłam wiecznie ukrywać przed Silviem prawdy, ale nie mogłam mu tego teraz powiedzieć. Przejmowałby się mną jeszcze bardziej niż dotychczas, a nie chciałam dokładać mu zmartwień. Nie kiedy musieliśmy przelecieć nad oceanem i wrócić do Nowego Jorku.

– Odebraliśmy dzisiaj prochy Salvatore’a i Zoi – szepnął z wyczuwalnym bólem w głosie, a mi od razu stanęły łzy w oczach. – Gdy dostaniesz pozwolenie na lot, wracamy do Nowego Jorku. Vivienne i Giovanna zaczęły już organizację pogrzebu.

– Doktor powiedział, że jak tylko poczuję się na siłach, to mogę lecieć – oznajmiłam, muskając palcami jego policzek, a następnie szybko cmoknęłam go w usta. – Jak akcja?

– Idealnie, kochanie – odparł, uśmiechając się szczerze. Odgarnął mi z czoła zabłąkany kosmyk włosów. – Stara Moskiewska Brać oficjalnie nie istnieje. Rozmawiałem też z Arturem na temat naszego przylotu do Moskwy. Powiedziałem mu, że potrzebujemy kilku miesięcy spokoju, a potem tu wrócimy.

– W porządku – przytaknęłam, spychając w głąb umysłu strach, który wypełził nagle na wierzch.

– Tak cholernie się o ciebie bałem – mruknął, przyciskając czoło do mojego i spoglądając na mnie z miłością w oczach. – Jak do ciebie wróciłem i znalazłem cię nieprzytomną, świat mi się zawalił. Zadrzałem na samą myśl o tym, że mógłbym cię stracić. Nie dałbym sobie rady bez ciebie. Jesteś dla mnie wszystkim.

– Och, Silvio – załkałam, a po moim policzku spłynęło kilka łez. Od razu starł je kciukami i przycisnął usta do moich. – Żyję. Jesteśmy razem. Kocham cię.

– Ja ciebie też – szepnął i po raz kolejny pocałował mnie tak, że zabrakło mi tchu.

Rozdział pięćdziesiąty czwarty

Giovanna

Z nieba leciały grube płaty śniegu. Stałam przy samochodzie obok Vivienne i patrzyłam, jak ląduje samolot, którym moja rodzina wracała z Moskwy. Byłam wściekła, że nie poinformowali nas o dacie akcji, ale rozumiałam ich. Nie chcieli nas martwić, a już w szczególności mnie. Wiedziałam, że Payton została postrzelona, jednak kula przeszła na wylot i jedyne, z czym był problem, to że sporą utratą krwi. Na szczęście, jak na twardzielkę przystało, wyszła z tego i podobno dobrze się czuła. Cieszyłam się, że nikomu nie stało się nic poważniejszego.

Kątem oka zerknęłam na Vi. Przygryzała nerwowo wargę. Ta to się dopiero stresowała, na co miałam ochotę zachichotać pod nosem; mimo to się powstrzymałam.

Jak tylko schody zostały podsunięte pod drzwi, ruszyliśmy biegiem w stronę samolotu. Pierwszy szedł Vito. Zbiegł czym prędzej po stopniach i chwilę później trzymał już Vi w ramionach. Ja zaś dalej biegłam, bo tuż za nim podążał Roberto. Rzuciłam się na niego jak wariatka, zapominając o balaście w postaci widocznego już brzucha.

Kiedy poczułam jego wodę kolońską, rozplakałam się na dobre. Wpił się w moje usta, całując mnie zachłannie i bez opamiętania. Tak cholernie za nim tęskniłam. Boże, byłam taka szczęśliwa, że wrócił cały i zdrowy.

– Kurwa, wyglądasz jeszcze piękniej niż wcześniej – wydyszał, gdy się od siebie oderwaliśmy. Rozsunął poły mojego wełnianego płaszczyka i wlepił spojrzenie w brzuch. – Córeczko... – mruknął; w jego oczach zalśniły łzy.

Uklęknął przede mną, po czym pocałował mnie w ukryty pod grubym swetrem brzuch, jednocześnie zaciskając palce na moich pośladkach. Pisnęłam z zaskoczenia, na co nawet nie zwrócił na to uwagi.

– Cześć, Elena – szepnął, dalej obsypując brzuch pocałunkami. – Tutaj twój tatuś, który bardzo tęsknił za mamusią i który cholernie się cieszy, że w końcu ma was w swoich ramionach – powiedział, spoglądając na mnie z dołu, na co cicho załkałam, wsuwając dłonie w jego blond włosy. – Och, kochanie – mruknął, wstając z klęczek. Ujął moją twarz i znowu mnie pocałował; dużo mocniej i namiętniej niż wcześniej.

Jęknęłam mu w usta, zaplatając ręce na jego karku. Zamruczał z zadowolenia, drażniąc językiem mój. Czułam na ciężowym brzuszku, że nie stęsknił się za mną wyłącznie emocjonalnie, ale też fizycznie, przez co od razu zaczęło targać mną pożądanie. Hormony we mnie szalały, a długie rozstanie jedynie wszystko potęgowało.

– Jak dobrze, że jesteście cali – szepnęłam wprost w jego usta. – Tak cholernie się o was bałam. – Schowałam twarz w zagłębieniu jego szyi, a on objął mnie w pasie ramieniem, składając na czubku mojej głowy pocałunek.

– A ja martwiłem się o ciebie – szepnął i przesunął dłoń na mój brzuch. – I o malutką – dodał, gładząc okolice pępka. – Jak się czujesz? Wszystko w porządku? Nie jesteś głodna? – zapytał, spoglądając na mnie ze zmartwieniem w oczach.

– Nie – odparłam, kręcąc głową. – Chyba że proponujesz mi siebie, kochanie, to jestem bardzo głodna – szepnęłam, przygryzając mu wargę. Warknął cicho i zsunął rękę na mój pośladek, a następnie go ścisnął. – Jedźmy do domu, co? Tylko się przywitam z resztą.

– Dobrze – zgodził się z błyskiem w oku.

Zaśmiałam się cicho i cmoknęłam go szybko w usta. Zaraz po tym wpadłam w objęcia Silvia; tulił mnie, głaskając po głowie. Mamrotaliśmy do siebie, jak bardzo za sobą tęskniliśmy i jak bardzo się oboje cieszyliśmy, że wojna skończyła się na naszą korzyść. Potem przytuliłam do siebie Payton. Popłakała się, a ja razem z nią. Czułam, jak drżała – nawet przez grube warstwy ubrań, które nas dzieliły. Miała sińce pod oczami, ale zrzuciłam od razu winę na utratę krwi. Nie zdążyłam niestety z nią dłużej

porozmawiać, ponieważ zaraz utonęłam w objęciach Vita.

- Zemściliśmy się – mruknął, całując mnie w skroń. – W końcu możemy odetchnąć.
 - I skupić się na nas. Na rodzinie. – Otarłam wierzchem dłoni łzy. – Cieszę się, że żyjesz.
 - Szkoda tylko, że...
 - Wiem... – przerwałam mu, doskonale wiedząc, co chciał powiedzieć.
- „Szkoda, że Salvatore i Zoja tego nie dożyli”.

Po długich i wypełnionych łzami szczęścia przywitaniach wsiedliśmy w końcu do samochodów i odjechaliśmy każdy do swojego domu. Przy czym my skierowaliśmy się do mieszkania Roberta na Manhattanie. Nie wiedziałam jak reszta, jednak ja nie zamierzałam wychodzić z łóżka przez następne dwadzieścia cztery godziny. Chciałam nacieszyć się mężem.

W drodze do domu Roberto nie wytrzymał i po zasypaniu mnie licznymi pytaniami o tym, czy aby na pewno możemy się kochać, w końcu stargał ze mnie spodnie i bieliznę. Kochaliśmy się na tyle samochodu oddzieleni zaledwie cienką ścianką od kierowcy. Miałam to gdzieś. Mój mąż w końcu był we mnie, obok mnie, a za rogiem nie czyhało na nas żadne zło.

Rozdział pięćdziesiąty piąty

Vivienne

Jak tylko wpadłam w ramiona Vita, wybuchnęłam głośnym płaczem. Tuliłam go do siebie, kurczowo zaciskając palce na jego płaszczu. Płakałam, mamrocząc do niego wyznania, że tęskniłam i tak cholernie mocno się o niego bałam, a on zapewniał mnie, że już wszystko było w porządku i byliśmy bezpieczni. Dopiero po kilku minutach uspokoiłam się na tyle, że mogłam go pocałować. Kiedy przycisnął wargi do moich, zaczęłam spijać jego smak z ust, chłonąc wszystkie uczucia, które przelewał na mnie poprzez pieszczoty.

Staliśmy na płycie lotniska, a płatki śniegu osiadały na naszych włosach i ramionach, jednak nie czułam chłodu. Cała w środku płonęłam: z tęsknoty, pożądania i miłości.

– Tak bardzo się bałam – szepnęłam, gdy się od siebie oderwaliśmy. – Tak bardzo cię kocham, Vito.

– Ja ciebie też – odszepnął, po raz kolejny mnie całując. – Cholernie mocno. I już nigdy nie zostawię cię samej. Ten wyjazd. Ta wojna. To wszystko jeszcze bardziej utwierdziło mnie w przekonaniu, że jesteś całym moim światem.

– Ta rozłąka – odezwałam się po tym, jak umilkł. – Potrzebowałam tego, żeby już w pełni zrozumieć, że jesteś moim jedynym. Nikt inny się nie liczy, tylko ty.

Znowu poczułam jego usta na swoich. Przerwało nam dopiero chrząknięcie.

Odsunęłam się od Vita i zostałam porwana w objęcia Payton. Ścisnęła mnie mocno, wylewając z siebie morze łez. Tuliłam ją do siebie, uważając przy tym, żeby nie urazić jej postrzelonego ramienia. Zmartwiłam się natomiast widokiem jej zmęczonej twarzy i sińców pod oczami.

– Wszystko w porządku? – zapytałam cicho, szepcząc jej do ucha.

– Nie wiem – jęknęła cicho z bólem w głosie, a mnie ścisnęło się serce. – Ale będzie – dodała nieco pewniej, odsuwając się.

Chciałam jeszcze jej coś powiedzieć. Zapytać, co miała na myśli, niestety nie zdążyłam, bo już po chwili byłam ścisnana przez Silvia. Zaraz po tym wylądowałam w objęciach Roberta.

– Cieszę się, że trafiliście na siebie z Vitem. Jesteście sobie przeznaczeni.

– A ja się cieszę, że u was się wszystko ułożyło – oznajmiłam, kątem oka spoglądając na uśmiechającą się do nas Gi. – Jesteś całym jej życiem. Ty i teraz też Elena.

– A one są całym moim życiem. – Ścisnęła delikatnie moją dłoń. – A teraz wybacz, zabieram żonę do łóżka.

– My też się zbieramy. – Poczułam owijające się wokół mnie ramiona mojego męża. – Musimy nadrobić rozłąkę.

Roberto mrugnął do nas porozumiewawczo, na co zaśmiałam się pod nosem, kręcąc głową. Złączyłam dłonie z Vitem, po czym ruszyliśmy w stronę Dina stojącego niedaleko naszego samochodu.

– Dziękuję – przerwałam milczenie jako pierwsza. Przytuliłam się do niego, a on niepewnie objął mnie w pasie. Domyśliłam się, że Vito łypał na niego spod byka. – Dziękuję za pomoc, Dino.

– Nie ma za co, Vivienne – wymamrotał, odsuwając się. – Jesteśmy w końcu jedną wielką rodziną, prawda?

– Prawda – przytaknęłam, ponownie biorąc męża za rękę. – Teraz to wszystko w pełni rozumiem.

I naprawdę tak było. Podczas tego czasu, gdy oni walczyli w Moskwie, a ja byłam w Nowym Jorku i spędzałam czas z członkami innych Rodzin, dotarło do mnie, że naprawdę byli jedną wielką rodziną, której wielu mogło nam pozazdrościć. Wskakiwali za sobą w ogień, nie zważając na konsekwencje. To było piękne. Nie musieli sobie wyznawać, jak bardzo się kochali i jak bardzo byli dla siebie ważni. Pokazywali to czynami.

– Wracajmy do domu, kochanie. – Vito przygryzł płatek mojego ucha. – Stęskniłem się za twoim tyłeczkiem.

I tak po prostu po całym moim ciele rozlało się ciepło, a pomiędzy udami poczułam drżenie na samą myśl o tym, czym mieliśmy się zaraz zająć. Bez wahania pociągnęłam go w stronę naszego samochodu, a on zaśmiał się głośno, klepiąc mnie w pupę.

– Niecierpliwa – skomentował, otwierając przede mną drzwi.

– Niezaspokojona – szepnęłam, zerkając na niego z figlarnym uśmiechem na ustach.

– Och, *bella* – mruknął gardłowo, wpychając mnie do środka pojazdu.

Jak tylko zatrzęsły się za nami drzwi, przycisnął usta do moich, całując mnie tak zachłannie, że zaparło mi dech w piersi.

W głowie tłukła mi się jeszcze jedna myśl. Vito nadal nie wiedział, a ja nie mogłam się już doczekać momentu, w którym przekażę mu najnowsze informacje.

Rozdział pięćdziesiąty szósty

Vito

Stałem nad grobem, zaciskając palce na dłoni Vivienne. Wpatrywałem się w czarną urnę Salvatore'a, czując nieprzyjemny ucisk w żołądku i ogromny ciężar na piersi. Z oddali docierały do mnie odgłosy płaczu i cichych rozmów. Pogrzeb skończył się jakiś czas temu, ale nie potrafiłem się ruszyć z miejsca. Czułem, jak trzęsa się Vi, zapewne próbując pohamować łzy, mimo że mówiłem jej, że wcale nie musiała tego robić. Sam nie włożyłem maski obojętności na twarz. Nie mogłbym. Nie na pogrzebie mojego brata.

Gdy umarła *mamma*, byłem załamany, lecz szybko się pozbierałem. Mimo wszystko była dużo starsza od nas, więc z tyłu głowy zawsze byłem świadom tego, że mogło jej nagle przy nas zabraknąć, z kolei śmierć Salvatore'a... to był dla mnie ogłuszający cios.

Obiecałem mamie, że będę chronić naszą rodzinę; nie minęło nawet pół roku od jej śmierci, a my musieliśmy zorganizować kolejny pogrzeb. Żałowałem, że zgodziłem się na jego wyjazd do Rosji. Żałowałem, że nie potrafiłem go przekonać do zostania w Nowym Jorku. Miałem sobie za złe to, że od razu za nimi nie polecałem. Może wtedy wszystko skończyłoby się inaczej?

– Nie obwiniaj się, Vito – szepnęła Vi.

Spojrzałem na nią i znowu poczułem ucisk w klatce piersiowej. Moja żona miała zaczerwienione oczy i zaschnięte łzy na policzkach.

– To nie jest twoja wina, kochanie – wymamrotała, mocniej ściskając moją rękę. – Nikt cię nie obwinia.

– Sam siebie obwiniam – mruknąłem rozeźlonym tonem, na powrót przenosząc wzrok na urnę, tym razem tę od Zoi.

Nie patrzyłem jednak długo, ponieważ już po chwili ktoś mnie objął, a do mojego ucha dotarł głos Silvia.

– To nie jest niczyja wina, bracie. Nie możesz się za to winić. Wiesz, jakie mamy życie. Wiesz, że nie wszystko kończy się tak, jakbyśmy tego chcieli.

Westchnąłem, zaciskając palce na jego ramieniu; dwie pojedyncze łzy spłynęły mi po policzkach. Przymknąłem powieki, starając się oddychać równomiernie i uspokoić ciało, kiedy nagle zaczęło dygotać.

– Oni zawsze będą obok nas. Zawsze – dodał jeszcze, po czym mnie puścił i stanął obok.

Nie otworzyłem oczu, nawet gdy zaczęli do mnie podchodzić ludzie, żeby złożyć kondolencje. Coraz mocniej ściskałem dłoń Vivienne, chcąc jak najszybciej uciec z cmentarza i zapomnieć o tym, że nie ochroniłem brata. Zagami tulił mnie do siebie, mówiąc szeptem, żebym się nie obwiniał, i chyba zacząłem w to w końcu wierzyć. Po kolejnych kilku krótkich i cichych rozmowach w końcu rozchyliłem powieki, ciężko wzdychając.

Pogrzeb pogrzebem. Pożegnanie pożegnaniem, ale czułem, że powinniśmy zrobić coś jeszcze. Coś, czego nie udało się zrobić Salvatore'owi i Zoi. Coś, co spowodowałoby, że pamięć o nich nigdy nie zginie.

– Muszę coś załatwić – odezwałem się nagle, odsuwając od grobu.

Ruszyłem przed siebie, wyciągając z kieszeni płaszcza telefon. Czułem na sobie spojrzenia rodziny, niestety nie miałem czasu im niczego wyjaśniać.

Po rozmowie wróciłem nad grób. Został już tam tylko Silvio z Payton, Roberto z Gi i Vivienne. Ta ostatnia patrzyła na mnie zatroskanym wzrokiem. Uśmiechnąłem się do niej uspokajająco, a następnie stanąłem pomiędzy nimi i chrząknąłem.

– Salvatore obiecał kiedyś Zoi, że weźmie udział w wyścigu. Przy okazji balu charytatywnego w przyszły weekend zorganizujemy przejazd samochodami po kilku ulicach w centrum. – Powiodłem oczami po rodzinie.

Wpatrywali się we mnie z niezrozumieniem.

– Pomyślałem, że możemy symbolicznie wziąć udział w wyścigu za nich – wyjaśniłem. – Dla nich.

– Chcesz się ścigać? – zapytał Silvio, marszcząc brwi.

Skinąłem mu, niezdolny do wypowiedzenia jakichkolwiek słów, bo znowu gula stanęła mi w gardle. Chrząknąłem.

– Oboje kochali rywalizację. Salvatore obiecał ten jeden wyścig Zoi, tyle że nie zdążył spełnić obietnicy. Zaczniemy w centrum, a meta będzie tutaj. Daleko temu będzie do wyścigu, bo po prostu zrobimy przejazd po mieście, ale nagłośnimy to. Wolontariusze z fundacji będą zbierać datki, a w trakcie balu zrobimy licytację samochodów.

– Och, Vito. – Vivienne załkała, obejmując mnie ciasno ramionami w pasie i wtulając twarz w mój tors.

Pogłaskałem ją czule po plecach, nie spuszczać wzroku z Silvia.

– Zrobmy to – przytaknął po chwili milczenia. – Salvatore by tego chciał.

– Zoja też – szepnęła Gi, wtulając się w bok Roberta.

To był szalony pomysł i kompletnie nie w moim stylu, ale to nie było ważne. Liczyło się to, że mogliśmy spełnić obietnicę Salvatore'a i jednocześnie zebrać pieniądze w szczytnym celu.

Jeszcze zanim wsiałem do swojego mercedesa, którym rzadko sam jeździłem, przypomnieliśmy kierowcom, że wyścig był wyścigiem jedynie z nazwy. To miał być przejazd przez miasto. Początkowo nie sądziłem, że będzie tylu chętnych, jednak gdy stanęliśmy na jednej z przecznic na Manhattanie, musiałem przetrzeć oczy, bo nie wierzyłem w to, co widziałem.

Pomiędzy dwoma przecznicami stał sznur sportowych samochodów – od starych amerykańskich wozów po te nowsze. Na chodniku zaś roilo się od ludzi. Ktoś trzymał jakiś baner z napisem, którego nie potrafiłem przeczytać, ktoś inny machał amerykańską i włoską flagą, a pomiędzy nimi chodzili ludzie z puszkami oklejonymi logiem fundacji, w której pręźnie działał Salvatore. Vivienne chwyciła moją dłoń, splatając nasze palce.

Pocałowałem ją szybko w usta.

– Salvatore i Zoja ucieszyliby się z tego – skomentowała, na co jej przytaknąłem, kiwając kilka razy głową, ponieważ nie byłem w stanie nic więcej z siebie wydusić.

Przejechaliśmy środkiem ulicy wzdłuż zaparkowanych samochodów na tyle wolno, że rozpoznałem niektórych kierowców. Byli donowie i głowy rodzin z delegacji w innych miastach. Pojawiła się nawet żona Louisa Federiciego – stała przy jego samochodzie, starym mustangu, uśmiechając się do nas i trzymając dłoń na sercu. Kurwa, nawet komisarz podjechał radiowozem. Stał na przodzie, kiwając do mnie głową.

Zatrzymałem się przed skrzyżowaniem. Po mojej lewej stanął Roberto z Gi, a po prawej Silvio z Payton. Wcisnąłem sprzęgło i nacisnąłem gaz, wprowadzając silnik w wyższe obroty. Słyszałem dochodzące spod maski mruczenie, a z zewnątrz docierały do mnie odgłosy innych silników i wystrzały z rur wydechowych. Ruszyliśmy, jak tylko zapaliło się zielone światło.

Mknęliśmy ulicami Nowego Jorku. Kątem oka widziałem, jak Vi uśmiechała się przez łzy, a kiedy skrzyżowały się nasze spojrzenia – posłałem w jej kierunku przelotnego całusa. Przed zakrętem zredukowałem bieg i docisnąłem pedał gazu, a tył samochodu wpadł w kontrolowany poślizg. Pokręciłem kierownicą, wyprowadzając pojazd na prostą i uśmiechając się do siebie, słysząc pełen zaskoczenia pisk Vivienne.

Na cmentarz dojechaliśmy jakiś czas później. Im bliżej niego byłem, tym większy ucisk w piersi czułem. Zatrzymałem się przed bramą, a następnie wysiadłem z auta, obszedłem go dookoła i pomogłem Vivienne wysiąść. Pocałowałem ją czule w usta, uśmiechając się do siebie. To był szalony pomysł z tym przejazdem i zbiórką, ale czułem się zadziwiająco lekki. Miałem wrażenie, że z serca spadł mi ogromny ciężar.

– Piękna noc – powiedziała Vi, muskając palcami mój policzek.

– Masz rację – zgodziłem się, unosząc wzrok na ciemne, rozgwieżdżone niebo.

Śnieg, który padał przez ostatnie dni, zdążył już stopnieć, a na niebie nie było ani jednej chmury. Wpatrywałem się w migoczące gwiazdy i jasno świecący księżyc, ciężko do siebie wzdychając. Ciszę i mój spokój przerwał dźwięk przychodzącego połączenia. Przekląłem pod nosem, wyciągając komórkę z kieszeni. Zmarszczyłem brwi, widząc, że dzwonił do mnie burmistrz.

– Słucham? – rzuciłem sucho.

– Vito – usłyszałem w jego głosie żal wymieszany z czymś jeszcze. – Wiem, że nie zawsze się ze wszystkim dogadywaliśmy, mimo to – chrząknął – mam zamiar to zmienić. Przyjmij moje najszczerze wyrazy współczucia. Mam też dla ciebie informację, która powinna cię ucieszyć.

Zaskoczył mnie. Raczej nie pałał do nas sympatią.

– To znaczy? – dociekałem, mocniej przyciągając do siebie Vivienne.

Patrzyła na mnie roziskrzonym i nieco zmartwionym spojrzeniem.

– Właśnie zaakceptowałem przelew na rzecz fundacji na kwotę trzystu tysięcy dolarów – oznajmił. – Przykro mi z powodu twojego brata.

Rozłączyłem się krótko po tych słowach, niezdolny do prowadzenia dłuższej rozmowy. Uniosłem znowu wzrok na niebo, akurat gdy pojawiły się na nim dwie spadające gwiazdy. Uśmiechnąłem się, czując przyjemne ciepło rozlewające się po moim ciele.

– Fundacja Salvatore i Zoja Kobietom – mruknąłem, a zaraz po tym poczułem pocałunek na policzku i uścisk palców Silvia na moim ramieniu. – Zmienię nazwę fundacji. Niech wszyscy wiedzą, że wiele z tego, co nam się udało osiągnąć, jest właśnie dzięki Salvatore’owi i Zoi.

Dziękuję, pomyślałem, spoglądając w miejsce na niebie, na którym wcześniej mignęły mi spadające gwiazdy. Kocham cię, bracie. Zawsze będę cię kochać i... kurewsko za tobą tęsknię.

Epilog

Vito

Stojąc nad grobem Salvatore'a i Zoi, zacząłem myśleć o tym, jak potoczyły się nasze losy.

Ostatnie miesiące były przepełnione łzami szczęścia, smutku i wściekłości. Chwilami beztroski i podejmowania trudnych decyzji. Akcjami, zabójstwami, zemstami i walką o lepsze jutro. Zmianami, które zostały wprowadzone do Pięciu Rodzin i... naszych żyć. Miałem żonę; tak jak Silvio, a nasza mała Gi miała męża. Salvatore i Zoja zginęli, podobnie jak nasza matka... Ten rok był ciężki, ale... Skończył się, a w następny weszliśmy z nadzieją na lepsze czasy. Z nadzieją na to, że miało być już tylko lepiej.

Dokończyliśmy to, co zaczął w Rosji Salvatore. Pokonaliśmy Moskiewską Brać, tym samym w sporej mierze likwidując proceder handlu kobietami. Mieliśmy też zaplanowane stworzenie nowej wersji rosyjskiej mafii, jednak tym miał zająć się Silvio z Payton.

Za trochę ponad pół roku miałem zostać ojcem! Najwidoczniej nasze zbliżenie przed moim wyjazdem do Rosji nie było na tyle bezpieczne, na ile sądziliśmy, że było. To chyba była najlepsza dla mnie wiadomość, gdy w końcu wróciliśmy do Nowego Jorku, mimo że nie obyło się bez stresu ze względu na wcześniejszą stratę.

Vi była szczęśliwa. Popłakała się, kiedy mi oznajmiła, że jest w ciąży. Całowałem jej płaski brzuch, ponieważ wiedziałem, że pod skórą rosło nasze dziecko. Nasze małe szczęście. Byłem pieprzonym szczęściarzem i już nie mogłem się doczekać narodzin naszego słońeczka.

Gi promieniała, a Roberto skakał wokół niej jak piesek, co chwilę sprawdzając, czy jej czegoś nie brakowało. Niby ją to denerwowało, bo na niego psioczyła: „Nie jestem obłożnie chora, Roberto!”, jednak ukradkiem ocierała łzy, uśmiechając się do siebie. To mnie uspokajało, ponieważ wiedziałem, że była bezpieczna i kochana, a w końcu na tym mi najbardziej zależało: żeby moja siostrzyczka była szczęśliwa i miała obok siebie kogoś, kto traktował ją tak, jak myśmy ją zawsze traktowali – jak największy skarb na świecie.

Silvio zaś... Silvio, jak to Silvio, nigdy nie potrafił trzymać języka za zębami i zwykle niezbyt dobrze potrafił przemyśleć swoje słowa. Po informacji o tym, że zostanie wujkiem, zaczął błagać Payton, żeby zaczęli się jeszcze dodatkowo zabezpieczać, bo nie chciał mieć dziecka w wieku mojego czy Gi. Dostała za to w łeb od własnej żony, a chwilę później Payton się rozplakała i uciekła do swojego pokoju. Zza pleców wypadła jej kartka... ze zdjęciem z badania ultrasonograficznego. Silvio najpierw zzieleniał, potem zbladł, a na samym końcu wytrzeszczył oczy. Chwycił świstek w palce i przyłożył do serca. Później... Później po prostu pobiegł za żoną, zapewne wyklinając siebie w myślach. Przez kolejny tydzień zmienił się w Roberta: skakał wokół Payton, dogadzając jej we wszystkim.

– Widzisz, Salvatore – szepnąłem, kucając obok nagrobka. Przejechałem palcami po zdjęciu zmarłego brata. – Wszystko się dobrze skończyło. Mam nadzieję, że patrzysz na nas z góry i cieszysz się naszym szczęściem.

Podniosłem się, po czym odszedłem od grobu i zbliżyłem do stojącej niedaleko Vivienne. Pocałowałem ją przelotnie w usta, a zaraz po tym skierowaliśmy się do samochodu. Za kilka godzin rozpoczynał się kolejny bal, z którego dochód miał trafić do nowojorskich szpitali.

Przeszliśmy przez piekło, a i tak przetrwaliśmy. Udało nam się, bo mieliśmy siebie.

„Rodzina może rozpaść się na różne sposoby. Wystarczy źdźbło egoizmu, pech i szczypta chciwości. Ale ściśle utkana tworzy więź, której nic nie pokona”².

K O N I E C

Playlista

Axel Rudi Pell – *Hey Hey, My My*

Breaking Benjamin – *The Dark of You*

Chord Overstreet – *Hold On*

grandson – *Blood // Water*

Jeremiah Tall – *Moonlight*

Johnny Cash – *God's Gonna Cut You Down*

KALEO – *Way Down We Go*

Michael Schulte – *You Said You'd Grow Old With Me*

Paul Cauthen – *Everybody Walkin' This Land*

Red Hot Chilli Pipers, Tom Walker – *Leave a Light On*

Sick Puppies – *Gunfight*

The Score – *Born For This*

The Score – *Legend*

The White Stripes – *Seven Nation Army*

Thousand Foot Krutch – *Courtesy Call*

Thousand Foot Krutch – *War of Change*

Welshly Arms – *Legendary*

X Ambassadors, Jamie N Commons – *Jungle*

Zayde Wolf – *Heroes*

Podziękowania

Historia rodzeństwa Bellomo dobiegła końca, a mnie – mimo że rzadko płaczę – łza zakręciła się w oku. Pierwszy tom zaczęłam pisać we wrześniu 2019 roku i wtedy miała to być jednotomówka, ale za bardzo spodobali mi się bohaterowie – a także odzew wśród Was, Czytelników, również był spory. I właśnie w ten sposób, w dużej mierze dzięki Wam, powstały pozostałe części.

Zdaję sobie sprawę z tego, że *Bellomo* to nieco inna seria mafijna, bo bohaterowie nie są pozbawionymi kręgosłupa moralnego skurczybykami, jednak moim zamysłem było stworzenie czegoś innego. Chciałam napisać coś w klimatach mafii, gdzie rodzina jest jedną z najważniejszych wartości, a kobiety obdarzane są szacunkiem. Stworzyć serię, gdzie bohaterowie nie będą idealni, przez co będą popełniać błędy, których – być może – gdyby dłużej się zastanowili, łatwo by uniknęli... Mam nadzieję, że mi się to udało; że *Bellomo* Wam się podobało.

Dziękuję z całego serca każdemu, kto kupił książkę bądź ją przeczytał na którejś z legalnych platform z e-bookami.

Dziękuję mojemu mężowi za wsparcie i akceptowanie moich ciągów pisarskich, podczas których byłam nieobecna duchem.

Dziękuję Sandrze za to, że zauważyła mnie na Wattpadzie i została moją betą, a potem siostrą z wyboru. No i oczywiście za to, że zmusiła mnie do zrobienia z Roberta głównego bohatera. Gdyby nie Ty – Giovanna pewnie skończyłaby w związku z kimś znacznie nudniejszym. :)

Dziękuję Julii za redakcję całej serii – mam nadzieję, że przyjdzie nam jeszcze ze sobą współpracować.

Dziękuję również całemu Wydawnictwu NieZwykłe za zauważenie mnie i spełnienie mojego marzenia.

Dziękuję także moim patronkom. Bez Was to nie byłoby to samo. <3

Lena

PS Jeśli jesteście ciekawi moich planów wydawniczych, zachęcam do obserwowania mnie na platformach społecznościowych:

<http://www.instagram.com/lenambielska>

<https://www.facebook.com/autorlenambielska>

¹ Gejsza – zespolone kajdanki; założone na nadgarstkach i kostkach oraz połączone łańcuchem (przyp. red.).

² *Ti amo, amore mio* (z wł.) – kocham cię, miłości moja.

³ *Ti amo, tesoro* (z wł.) – kocham cię, kochanie (przyp. red.).

⁴ *Boungiono, gentleman. Che bella giornata, vero?* (z wł.) – Dzień dobry, panowie. Cóż za piękny dzień, prawda? (przyp. red.).

⁵ Jodi Picoult, *To, co zostało*, Pruszyński i S-ka, 2013, tłum. M. Moltzan-Małkowska (przyp. red.).